

DMITRY GLUKHOVSKY

METRO

2034

Mempo 2034

z rosyjskiego przełożył

PAWEŁ PODMIOTKO



Spis treści

Spis treści.....	2
Prolog.....	4
Rozdział.....	1
Obrona Sewastopolskiej.....	6
Rozdział.....	2
Powrót.....	20
Rozdział.....	3
Po życiu.....	34
Rozdział.....	4
Sploty.....	46
Rozdział.....	5
Pamięć.....	58
Rozdział.....	6
Z drugiej strony.....	72
Rozdział.....	7
Przejście.....	85
Rozdział.....	8
Maski.....	98
Rozdział.....	9
Powietrze.....	111
Rozdział.....	10
Po śmierci.....	124
Rozdział.....	11
Dary.....	138
Rozdział.....	12
Znaki.....	153
Rozdział.....	13
Pewna historia.....	166
Rozdział.....	14

<u>Co jeszcze.....</u>	<u>180</u>
<u>Rozdział</u>	<u>15</u>
<u>We dwoje.....</u>	<u>195</u>
<u>Rozdział</u>	<u>16</u>
<u>W klatce.....</u>	<u>210</u>
<u>Rozdział</u>	<u>17</u>
<u>Kto mówi?.....</u>	<u>225</u>
<u>Rozdział</u>	<u>18</u>
<u>Wybawienie.....</u>	<u>239</u>
<u>Epilog.....</u>	<u>256</u>

Prolog

Rok 2034.

Cały świat leży w gruzach. Ludzkość niemal w całości zginęła. Promieniowanie sprawia, że na wpół zburzone miasta nie są zdatne do życia. A poza ich granicami podobno zaczynają się bezkresne wypalone pustynie i gęstwiny zmutowanych lasów. Ale nikt nie wie na pewno, co tam jest.

Cywilizacja ginie. Pamięć o dawnej wielkości człowieka obrasta w bajki i zmienia się w legendy. Od dnia, w którym ostatni samolot oderwał się od ziemi, minęło ponad dwadzieścia lat. Przeżarte rdzą tory kolejowe prowadzą donikąd. Nieukończone budowy nowego stulecia zamieniły się w ruiny. W eterze panuje cisza - radiowcy, kiedy po raz tysięczny próbują nastroić się na dawną częstotliwość Nowego Jorku, Paryża, Tokio czy Buenos Aires, słyszą tylko ponure wycie.

Minęło ledwie dwadzieścia lat odkąd to się wydarzyło, ale człowiek nie jest już panem Ziemi. Stwory zrodzone z promieniowania są znacznie lepiej przystosowane do nowego świata. Epoka człowieka dobiega kresu.

Tych, którzy nie chcą w to uwierzyć, jest bardzo niewiele - zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Nie wiedzą, czy ktoś jeszcze się uratował, czy też są ostatnimi ludźmi na planecie. Żyją w moskiewskim metrze, największym z wybudowanych niegdyś schronów przeciwoatomowych - ostatnim schronieniu ludzkości.

Wszyscy ci ludzie znaleźli się w metrze tamtego dnia i to uratowało im życie. Hermetyczne zapory chronią ich przed promieniowaniem i potworami ciągnącymi z powierzchni, stare filtry oczyszczają powietrze i wodę. Skonstruowane przez majsterkowiczów prądnice produkują prąd elektryczny, w podziemnych gospodarstwach uprawia się grzyby i hoduje świnię.

Centralny system władzy już dawno upadł, a stacje przekształciły się w karłowate państwka. Mieszkający w nich ludzie gromadzą się wokół idei, religii lub po prostu filtrów wodnych.

To świat, w którym nie ma jutra. Nie ma w nim miejsca na marzenia, plany, nadzieje. Uczucia ustępują tu instyktom, a najważniejszy z nich każe przeżyć. Za wszelką cenę przeżyć.

O wydarzeniach poprzedzających opisaną w tej książce historię możecie przeczytać w powieści *Metro 2033*.

Rozdział 1

Obrona Sewastopolskiej

Nie wrócili ani we wtorek, ani w środę, ani nawet w czwartek, umówiony jako termin ostateczny. Pierwszy posterunek pełnił służbę przez całą dobę i gdyby wartownicy usłyszeli choć echo wołań o pomoc, dostrzegli słaby odblask światła na wilgotnych, ciemnych ścianach tunelu, to naprzód, w kierunku Nachimowskiego Prospektu natychmiast wysłano by oddział szturmowy.

Napięcie rośnie z każdą godziną. Najlepsi żołnierze, doskonale wyposażeni i specjalnie przygotowywani do takich zadań, czuwali na okrągło. Talia kart, przy których zabijało się czas między jednym a drugim alarmem, już drugą dobę pokrywała się kurzem w szufladzie biurka w wartowni. Zwyczajowe pogaduszki przeszły w ciche, niespokojne rozmowy, a te - w ciężkie milczenie: każdy miał nadzieję, że pierwszy usłyszy echo kroków powracającej karawany. Zbyt wiele od niej zależało.

Mieszkańcy Sewastopolskiej, z których każdy - od pięcioletniego chłopca do zgrzybiałego starca - umiał obchodzić się z bronią, przekształcili ją w niedostępną twierdzę. Najeżona gniazdami karabinów maszynowych, zasiekami z drutu kolczastego, a nawet zespawany z szyn zaporami przeciwczołgowymi stacja - zdawałoby się całkowicie zabezpieczona - mogła w każdej chwili upaść.

Jej piętą achillesową był ciągły brak amunicji.

Gdyby mieszkańcy jakiegokolwiek innej stacji byli zmuszeni mierzyć się z tym, co każdego dnia musieli powstrzymywać ludzie na Sewastopolskiej, z pewnością nie zastanawialiby się nawet nad jej obroną, lecz uciekliby jak szczury z zalanego tunelu. Nawet potężna Hanza - związek stacji Linii Okrężnej - po kalkulacji zysków i strat raczej nie zdecydowałaby się rzucić sił potrzebnych do obrony Sewastopolskiej. Co prawda jej znaczenie strategiczne było znaczne, lecz mimo to gra nie była warta świeczki.

Energia elektryczna była rzeczywiście bardzo droga. Do tego stopnia, że sewastopolczycy, którzy wybudowali jedną z największych elektrowni wodnych w metrze, za zyski z dostaw prądu dla Hanzы zamawiali u nich całe skrzynie amunicji i wciąż byli na plusie. Wielu z nich musiało jednak płacić nie tylko nabojami, ale i swoim zmarnowanym,

urwanym życiem.

Wody gruntowe, które Sewastopolska zarazem błogosławiła i przeklinała, oblewały ją ze wszystkich stron, niczym wody Styksu oblewające kruchą łódź Charona. Poruszały łopatkami dziesiątek turbin postawionych przez samouków w tunelach, jaskiniach, łożyskach podziemnych strumieni - wszędzie, dokąd mogły się dostać grupy inżynieryjno-zwiadowcze, dając światło i ciepło samej stacji i dobrej trzeciej części Linii Okrężnej.

Woda nieustannie podmywała podpory tuneli, wyzerała cement spojeń, spokojnie szemrała gdzieś całkiem blisko za ścianami holu stacji, próbując uspić czujność jej mieszkańców. Wreszcie, nie pozwalała zasypywać zbędnych, nieużywanych tuneli, z których na Sewastopolską nieprzerwanie, niczym jadowita stonoga wciskająca się do maszynki do mięsa, szły całe hordy koszmarnych stworów.

Mieszkańcy stacji, załoga tej żeglującej po piekielnych wodach fregaty, byli zmuszeni po wsze czasy odnajdywać i zalepiać wszystkie nowe szczeliny, bo ich okręt dawno już zaczął przeciekać, a przystań, w której mógłby odzyskać spokój, po prostu nie istniała.

I jednocześnie musieli odierać atak za atakiem potworów wciąż próbujących się wdrzeć abordażem z Czortanowskiej i Nachimowskiego Prospektu... wypełzających z szybów wentylacyjnych, wypływających wraz z wartkami, mętnymi strumieniami ścieków, rwących z południowych tuneli.

Zdawało się, że cały świat powstał przeciw sewastopolczykom, nie szczędząc wysiłków, by wymazać ich schronienie z planu metra. A ci do końca trzymali się swojej stacji, jakby oprócz niej w całym Wszechświecie nic im nie zostało.

Ale jakkolwiek biegli byli miejscowi inżynierowie, jakkolwiek doświadczonych i bezlitosnych żołnierzy wychowywałyby Sewastopolska, nie mogli ochronić swojej siedziby bez amunicji, bez żarówek do reflektorów, bez antybiotyków i bandaży. Wprawdzie stacja produkowała elektryczność i Hanza była gotowa dobrze za nią płacić, ale Linia Okrężna miała też innych dostawców i własne źródła, zaś sewastopolczycy bez pomocy z zewnątrz prawdopodobnie nie przetrwaliby nawet miesiąca. A najbardziej przerażające byłoby zostać bez amunicji.

Silnie chronione karawany co tydzień wyruszały w stronę Sierpuchowskiej, by na otwarty u kupców z Hanzы kredyt kupić wszystkie potrzebne rzeczy i nie zatrzymując się nawet na godzinę wracać do domu. I póki kręciła się Ziemia, póki płynęły podziemne rzeki i trzymały się sklepienia wzniesione przez budowniczych metra, ten porządek nie powinien się zmieniać.

Ale tym razem karawana się spóźniała. Spóźniała się tak bardzo, że było już jasne: stało

się coś strasznego, nieprzewidzianego, przed czym nie obronili ani zaprawieni w bojach, ciężkozbrojni konwojenci, ani od lat dobrze się układające kontakty z Hanzą.

Sprawa nie byłaby tak poważna, gdyby działała łączność. Jednak z prowadzącym do Linii Okrężnej kablem telefonicznym coś się stało, komunikacja urwała się jeszcze w poniedziałek, a grupa wyprawiona na poszukiwania uszkodzenia wróciła z niczym.

Lampa okryta rozłożystym zielonym abazurem wisiała bardzo nisko nad okrągłym stołem, oświetlając pożółkłe kartki z narysowanymi ołówkiem wykresami i tabelami. Żarówka była słaba, jakieś czterdzieści watów, ale nie żeby trzeba było oszczędzać elektryczność, a dlatego, że gospodarz gabinetu nie lubił jasnego światła. Z popielniczki, przepełnionej niedopałkami podłych miejscowych skrętów, unosił się siny, gryzący dym, tworząc pod niskim sufitem leniwe, lepkie kłęby.

Naczelnik stacji potarł czoło, podniósł rękę i swoim jedynym okiem spojrzał na zegarek - piąty raz w ciągu pół godziny. Potem strzelił palcami i ciężko się podniósł.

- Trzeba podjąć decyzję. Nie ma sensu dalej tego odwlekać.

Krzepki starzec w bosmance w panterkę i wytartym błękitnym berecie, który siedział po przeciwnej stronie stołu, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale kaszlnął i machnął ręką rozganiając dym. Potem odezwał się z grymasem niezadowolenia:

- Słuchaj Władimirze Iwanowiczu, powtórzę jeszcze raz: z odcinka południowego nie możemy zdjąć nikogo. Posterunki powstrzymują taki napór, że ledwo się trzymają. W zeszłym tygodniu trzech zostało rannych, w tym jeden ciężko, i to pomimo umocnień. Nie pozwolę ci osłabiać południa. Przecież tam jeszcze potrzeba dwóch trzyosobowych patroli zwiadowców, żeby cały czas pilnowali szybów i łączników między tunelami. No, a północ... Oprócz tych z brygady powitalnej, nie ma żadnych wolnych, przykro mi. Możesz szukać, gdzie chcesz.

- Ty jesteś dowódcą, to ty masz szukać - odgryźł się naczelnik. - A ja się będę zajmował tym, co należy do mnie. Ale w ciągu godziny grupa powinna już iść. Zrozum, myślimy różnymi kategoriami. Nie można przecież załatwiać tylko bieżących spraw! A jeśli tam się stało coś poważnego?

- A po mojemu, Władimirze Iwanowiczu, to jesteś w gorącej wodzie kąpany. W zbrojowni mamy jeszcze dwie nienaruszone skrzynie amunicji 5,45 mm - starczy spokojnie na półtora tygodnia. A i u mnie w domu pod poduszką coś niecoś się zawieruszyło - starzec uśmiechnął się obnażając mocne żółte zęby - cała skrzynka się uzbiera. Problem nie w nabojach, a w ludziach.

- Wiesz co, ja ci lepiej wyjaśnię, w czym problem... Za dwa tygodnie, jeśli nie przywrócimy dostaw, trzeba będzie zamykać śluzy w południowych tunelach, bo bez amunicji ich nie utrzymamy. Czyli nie będziemy mogli doglądać i naprawiać dwóch trzecich naszych turbin wodnych. Po kolejnym tygodniu zaczną się rozregulowywać. Zakłócenia w dostawach prądu nikogo w Hanzie nie ucieszą. W najlepszym razie zaczną szukać innych dostawców. W najgorszym... Zresztą, nie o prąd chodzi! W tunelach pusto już prawie od pięciu dni, ani żywej duszy! A jeśli doszło do zawału? Coś się oberwało? A jeśli jesteśmy teraz odcięci?

- Daj spokój! Kable energetyczne są w porządku. Cyferki na licznikach się kręcą, prąd płynie, Hanza z niego korzysta. Gdyby coś się zawaliło, od razu byś się dowiedział. Nawet jeśli, dajmy na to, jest to dywersja, to nie telefon by nam odcięli, tylko przewody elektryczne. A jeśli chodzi o tunele, to kto by tu przychodził? I w lepszych czasach nikt do nas nie zaglądał. Sam Nachimowski Prospekt to wyzwanie... W pojedynkę nikt się tam nie przedrze, a obcy handlarze już się do nas nie pchają. No, i bandyci, jasna sprawa, też się już nasłuchali, nie na darmo za każdym razem puszczaaliśmy jednego żywcem. Mówię ci, nie panikuj.

- Łatwo ci mówić - burknął Władimir Iwanowicz, podnosząc przepaskę znad pustego oczodołu i ocierając pot z czoła.

- Dam ci trzech. Na razie, prawda, więcej nie potrzeba - powiedział już łagodniej starzec - I dosyć tych papierosów. Wiesz przecież, że nie mogę tym oddychać, a jeszcze sam się trujesz! Napijmy się lepiej herbaty...

- A to zawsze chętnie - naczelnik zatarł ręce. - Mówi Istomin - mruknął do słuchawki telefonu - herbatę dla mnie i pułkownika.

- I wezwij dyżurnego oficera - poprosił dowódca, zdejmując beret. - Wydam rozkazy co do tych trzech żołnierzy.

U Istomina zawsze piło się jego własną herbatę, z WOGN-u - specjalny, wyselekcjonowany gatunek. Mało kto mógł sobie na coś takiego pozwolić: sprowadzana z drugiego krańca metra, obłożona potrójnym cłem Hanzy, ulubiona herbata naczelnika stacji była tak droga, że nawet on nie ulegałby swojej słabości, gdyby nie stare kontakty na Dobrynińskiej. Z kimś stamtąd walczył niegdyś ramię w ramię i od tej pory raz w miesiącu dowódca wracającej z Hanzy karawany nieodmiennie przywoził z sobą kolorowy pakiecik, po który Istomin zawsze przychodził sam.

Przed rokiem w dostawach zaczęły się przerwy. Do Sewastopolskiej dotarły niepokojące pogłoski o nowym przerażającym zagrożeniu, które zawisło nad WOGN-em, a może i nad

całą pomarańczową linią: z powierzchni ziemi schodziły tam tajemnicze i nieznanie wcześniej mutanty, podobno potrafiące czytać w myślach, prawie niewidzialne i do tego praktycznie nie do wytopienia. Mówiło się, że stacja padła i że Hanza w obawie przed inwazją zarwała tunele za Prospektem Mira. Ceny herbaty poszybowały w górę, a potem, gdy niemal zniknęła z rynku, Istomin nie na żarty się przestraszył. Jednak po kilku tygodniach plotka sama z siebie wygasła, a karawany powracające na Sewastopolską z amunicją i żarówkami znów zaczęły przywozić również słynną aromatyczną herbatę. A cóż mogło być ważniejszego?

Nalewając dowódcy wywar do porcelanowej filiżanki ze złotą, miejscami obtłuczoną obwódką i wdychając aromatyczne opary, Istomin aż zmrużył na moment oko z rozkoszy. Potem nalał też sobie, opadł ciężko na krzesło i z brzękiem zamieszał srebrną łyżeczką, by rozpuścić pastylkę sacharyny.

Obaj mężczyźni milczeli, i dobre pół minuty to mechaniczne dzwonienie było jedynym dźwiękiem, który rozlegał się w zaciągniętym tytoniowym dymem, pogrążonym w półmroku gabinecie. A potem przebiło go, dobiegające z tuneli prawie w tym samym rytmie przenikliwe bicie dzwonów.

- Alarm!

Dowódca, niezwykle żywo jak na swoje lata, zerwał się z miejsca i wybiegł z pokoju. Gdzieś w oddali huknął pojedynczy wystrzał z karabinu, potem podjęły go automaty: jeden, drugi, trzeci, po peronie zadudniły podkute żołnierskie buty i już z daleka rozległ się dźwięczny bas pułkownika wydającego rozkazy.

Istomin też ruszył już w kierunku wiszącego przy szafie lśniącego milicyjnego automatu, ale potem złapał się za krzyż, jęknął, machnął ręką, usiadł z powrotem przy stole i wypił łyk herbaty. Naprzeciw niego dymiała, stygnąc, porzucona przez pułkownika filiżanka i wałał się niebieski beret. Naczelnik stacji zrobił do niego minę i półgłosem zaczął się spierać z nieobecnym dowódcą wracając do dawnych tematów z nowymi argumentami, o których zapomniał wspomnieć podczas dyskusji.

Na Sewastopolskiej opowiadano wiele mrocznych dowcipów o tym, dlaczego sąsiednia Czortanowska miała taką nazwę. Choć turbiny maleńkich elektrowni były umieszczone w głębi tuneli między obiema stacjami, nikt nawet nie pomyślał, by dla wygody zająć i skolonizować opustoszałą Czortanowską, tak jak stało się to z sąsiednią Kachowską. Ekipy inżynierskie, podchodząc do niej pod osłoną żołnierzy, by instalować i doglądać najdalszych generatorów prądu, nie chciały zbliżyć się do peronu na mniej niż sto metrów. Przed wyruszeniem na taką wyprawę niemal każdy, prócz ostatnich bezbożników, ukradkiem czynił

znak krzyża, a niektórzy na wszelki wypadek żegnali się nawet z rodzinami.

Na tej stacji było coś niedobrego i czuł to każdy, kto zbliżył się do niej choćby na pół kilometra. Ciężkozbrojne oddziały uderzeniowe, które sewastopolczycy z niewiedzy posyłali kiedyś na Czortanowską, mając nadzieję powiększyć swoje terytorium, wracały przetrzebione, zdziesiątkowane, a najczęściej nie wracały wcale. Zahartowani żołnierze, przerażeni do szpiku kości, z cieknącą po brodzie śliną, nie mogli powstrzymać dreszczy, nawet kiedy siedzieli tak blisko ogniska, że zaczynało im płonąć ubranie. Z trudem przypominali sobie, co musieli tam przejść, a jedne wspomnienia nigdy nie były podobne do innych.

Uważano, że gdzieś za Czortanowską boczne odnogi od głównych tuneli schodziły w dół, spletały się z labiryntem naturalnych jaskiń, które podobno roiły się od różnorakiego diabelstwa. Na stacji miejsce to nazywano umownie „Wrotami” - umownie, bo nikt z żywych mieszkańców Sewastopolskiej nigdy ich nie widział. Fakt, zdarzyło się, że jeszcze na początku kolonizacji linii. Wrota zostały odkryte przez liczny oddział zwiadowczy, który minął Czortanowską. Grupa miała z sobą nadajnik - coś w rodzaju telefonu przewodowego. To właśnie za jego pomocą łącznościowiec poinformował Sewastopolską, że zwiadowcy stoją u wejścia do schodzącego prawie pionowo w dół wąskiego tunelu. Nie udało mu się przekazać nic więcej, ale jeszcze przez kilka minut, zanim urwał się kabel, zebrane wokół odbiornika dowództwo Sewastopolskiej słuchało, jak jeden po drugim rozlegają się przesywające, pełne strachu i niehumanitarnego bólu wrzaski żołnierzy. Żaden z nich nie próbował nawet strzelać, jakby dla wszystkich umierających było jasne, że zwykła broń nie jest w stanie im pomóc. Jako ostatni umilkł dowódca oddziału, najemnik-zabijaka z Kitaj-Gorodu, który kolekcjonował odcięte małe palce swoich wrogów. Najwidoczniej znajdował się w pewnej odległości od upuszczonej przez łącznościowca słuchawki telefonu, bo niełatwo było zrozumieć, co mówił. Wsłuchawszy się jednak w jego przedśmiertne jęki naczelnik stacji rozpoznał modlitwę, jedną z tych prostych, naiwnych, których wierzący rodzice uczą małe dzieci.

Po tym wypadku porzucono wszelkie próby przebicia się na Czortanowską; zamierzano nawet porzucić Sewastopolską i wycofać się w kierunku Hanzy. Jednak przeklęta stacja była, jak się zdawało, tym właśnie słupem granicznym, który wyznaczał w metrze zasięg panowania człowieka. Przekraczające tę granicę stworzenia nękały mieszkańców Sewastopolskiej, ale przynajmniej można je było zabić, i przy umiejętnie zorganizowanej obronie ataki były odpierane łatwo i prawie bez strat: dopóki starczało amunicji.

Czasem do posterunków podchodziły takie monstra, że dawały się zatrzymać jedynie

przy pomocy pocisków rozpryskowych i pułapek pod wysokim napięciem. Najczęściej jednak wartownicy mieli do czynienia z mniej przerażającymi, choć też skrajnie niebezpiecznymi stworami. Nazywano je jakoś tak swojsko, jak u Gogola: upiorami.

- Jest, jeszcze jeden! Na górze, trzecia rura!

Reflektor, zerwany z zamocowania pod sufitem, kołysał się konwulsyjnie na jednym kablu, niczym wisielec, oblewając ostrym białym światłem przestrzeń przed posterunkiem i to wychwytywał czające się w ciemności przykurczone postacie skradających się mutantów, to znów krył je w mroku i kierował oślepiające światło w oczy wartowników. Wokół wędrowały cienie, malejąc i nagle znów rosnąc, dziwacznie powykrzywiane zakłamywały rzeczywistość: ludzkie wyglądały jak zwierzęce, te zaś należące do potworów - jak ludzkie.

Posterunek był bardzo korzystnie położony. W tym miejscu schodziły się tunele: niedługo przed ostatnią wojną. Metrobudowa rozpoczęła prace ulepszające, których jednak nie doprowadzono do końca. Na tym skrzyżowaniu sewastopolczycy stworzyli prawdziwą miniaturową fortecę: dwa stanowiska cekaemów, osłony z worków z piaskiem o grubości półtora metra, na szynach kolczatki i szlabany, na podjeździe do posterunku elektryczne pułapki i starannie obmyślony system sygnalizacji. Ale kiedy mutanty szły taką falą, jak tego dnia, wydawało się, że jeszcze chwila i obrona padnie.

Mężczyzna obsługujący cekaem mruczał coś monotonicznie puszczając nosem krwawe bańki i przyglądając się ze zdziwieniem swym mokrym szkarłatnym dłoniom. Powietrze wokół zablokowanego pieczenia drgało od gorąca. Strzelec zachrapał, ufnie wtulił twarz w ramię swojego sąsiada, potężnie zbudowanego komandosa w zamkniętym tytanowym hełmie, i uciekł. Sekundę później z przodu rozległ się rozdzierający wizg: atak upiora.

Komandos w hełmie odsunął leżącego na nim zakrwawionego strzelca, wychylił się zza przedpiersia, poderwał automat i puścił długą serię. Wstrętne żyłaste bestia, pokryta matowoszarą skórą, rzuciła się już do przodu rozpościerając węzłowate przednie łapy i szybując lotem koszącym na rozciągniętych fałdach skórnych. Upiory poruszały się z wprost niewyobrażalną szybkością, nie dając czasu na najmniejsze wahanie, dlatego tego posterunku bronili tylko najzręczniejsi i najlepsi.

Grad ołowiu uciszył potwora, ale siłą inercji martwy już upiór leciał dalej: stukilogramowe cielsko głucho uderzyło w osłonę, wzbijając z worków z piaskiem chmurę pyłu.

- To chyba tyle...

Pozornie niekończący się strumień potworów, który jeszcze parę minut temu chlustał z

podwieszonych pod sklepieniem ogromnych uciętych rur, rzeczywiście przestał płynąć. Wartownicy zaczęli ostrożnie wychodzić zza umocnień.

- Dajcie nosze! Lekarza! Natychmiast zanieść go na stację!

Zwalisty żołnierz, który zabił ostatniego upiora, przymocował bagnet do lufy karabinu i rozpoczął niespieszne oględziny zabitych i rannych stworów, porzucanych po strefie ostrzału; przyciskał każdą najeżoną zębami paszczę butem do ziemi i krótkim pewnym ruchem wbijał im w oko bagnet. Potem, zmęczony, oparł się plecami o worki z piaskiem, obrócił twarz w kierunku tuneli, wreszcie podniósł przyłbicę hełmu i przyssał się do manierki.

Posiłki ze stacji przybyły, gdy wszystko już było rozstrzygnięte. Pojawił się też, ciężko dysząc i przeklinając swoje dolegliwości, sam dowódca w wyciągniętej żołnierskiej bosmance.

- No, i skąd ja mu tutaj wezmę trzech ludzi? Z piersi mam sobie wyrwać?

- O co chodzi, Denisie Michajłowiczu? - niemal zaglądając dowódcy do gardła, spytał jeden z wartowników.

- Istomin pilnie potrzebuje wysłać trzech zwiadowców na Sierpuchowską. Boi się o karawanę. Ale skąd ja mu ich niby wezmę? I to jeszcze właśnie teraz...

- O karawanie nadal nic nie wiadomo? - nie odwracając się spytał ten, który przed chwilą zaspokajał pragnienie.

- Nic - potwierdził starzec. - Ale przecież nie minęło jeszcze tak dużo czasu. W końcu co jest groźniejsze? Jak огоłocimy dziś z ludzi odcinek południowy, to za tydzień nie będzie miał kto tej karawany witać!

Komandos kiwnął głową i umilkł. Nie odezwał się też, kiedy dowódca po kilku kolejnych minutach zrzędzenia spytał pozostałych na posterunku żołnierzy, czy któryś z nich nie chciałby być jednym z tych trzech ochotników, których jednak trzeba będzie wysłać w kierunku Sierpuchowskiej, bo inaczej naczelnik stacji wyrwie staremu ostatnie włosy z głowy.

Ze znalezieniem chętnych nie było żadnych problemów: wielu wartowników zasiedziało się na miejscu, a niełatwo im było wyobrazić sobie coś jeszcze niebezpieczniejszego niż obrona południowych tuneli.

Z szóstki, która zgłosiła się na wyprawę, pułkownik wybrał tych, których według jego mniemania Sewastopolska potrzebowała teraz najmniej. Myśl okazała się słuszna, bo z wyprawionej na Sierpuchowską trójki na stację nie wrócił nikt.

Minęły trzy dni odkąd zwiadowcy wyruszyli na poszukiwania karawany i pułkownikowi

zaczęło się zdawać, że ludzie szepczą za jego plecami i wszędzie dostrzegał spojrzenia spode łba. Nawet najbardziej ożywione dyskusje cichły, kiedy przechodził w pobliżu. I w tym pełnym napięcia milczeniu, które zapadało gdziekolwiek się pojawił, zdało mu się, że wyczuwa niewypowiedziane żądanie, aby to wyjaśnił i rozwiązał.

Wykonywał po prostu swoją pracę: chronił przed zagrożeniem granice Sewastopolskiej. Był taktykiem, nie strategiem. W sytuacji, gdy liczył się każdy żołnierz, pułkownik zwyczajnie nie miał prawa nimi szafować wysyłając ich na wątpliwe, jeśli nie bezsensowne akcje.

Trzy dni wcześniej pułkownik był o tym święcie przekonany. Ale teraz, kiedy wszystkie te przepelnione strachem, nieprzychylnie, pełne wątpliwości spojrzenia smagały go po plecach, jego pewność zachwiała się. Poruszający się bez ciężkiego sprzętu oddział zwiadowczy nie potrzebowałby nawet doby, żeby pokonać całą drogę do Hanzy i z powrotem - i to wliczając możliwe potyczki i oczekiwanie na granicach niezależnych stacji. To znaczy, że...

Pułkownik rozkazał nikogo nie wpuszczać, po czym zamknął się w swoim pokoiku i mrucząc pod nosem po raz setny odtworzył sobie wszystko, co mogło się stać z handlarzami i zwiadowcami.

Nikt na Sewastopolskiej nie bał się ludzi, oczywiście z wyjątkiem wojsk Hanzy. Zła sława stacji, wielokrotnie przesadzone opowieści nielicznych naocznych świadków o tym, jaką cenę płać tu, by przeżyć, opowieści podchwyczone przez straganiarzy i ich słuchaczy rozprzestrzeniały się po całym metrze i robiły swoje. Władze szybko zrozumiały wynikające z tej reputacji korzyści, i same przyłożyły rękę do jej ugruntowania. Informatorzy i uczestnicy karawan, podróżnicy i dyplomaci dostali oficjalne błogosławieństwo, by pleść bzdury - im straszniejsze, tym lepiej - na temat Sewastopolskiej i w ogóle całego odcinka linii, który zaczynał się za Sierpuchowską.

Tylko jednostki potrafiły dostrzec za tą zasłoną dymną urok i rzeczywiste znaczenie stacji. W ciągu ostatniego roku bandyci zaledwie parę razy próbowali siłą przedrzeć się przez posterunki, ale doskonale naoliwiona sewastopolska machina wojenna bez najmniejszych trudności ścierała w proch rozproszone oddziały.

Tak czy inaczej, wysłani na rekonesans żołnierze mieli wyraźne instrukcje, by w przypadku napotkania niebezpieczeństwa nie walczyć z przeciwnikiem, lecz jak najszybciej wycofać się na stację.

Była oczywiście Nagorna - nie tak paskudna jak Czortanowska, ale wciąż bardzo niebezpieczna i złowieszcza. No i Nachimowski Prospekt, gdzie zaklinowane górne wrota nie

pozwalają w pełni odgrodzić stacji od intruzów z powierzchni ziemi. Sewastopolczycy nie chcieli zasypywać tych przejść - z „podejścia” na Nachimowskim korzystali miejscowi stalkerzy. W pojedynkę przez Prospekt, jak nazywali go na stacji, nikt nie miał odwagi chodzić, ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby trzech ludzi nie potrafiło obronić się przed zamieszkującymi to miejsce stworami.

Zawał tunelu? Wylew wód gruntowych? Sabotaż? Atak Hanzy bez wypowiedzenia wojny? Teraz to on, nie Istomin, był w obowiązku powiedzieć coś żonom zaginionych zwiadowców, które przychodziły do pułkownika, by smutnym, poszukującym wzrokiem, niczym porzucone psy, zajrzeć mu w oczy w nadziei, że zobaczą w nich pociechę, obietnicę. Musiał wszystko wyjaśnić nie zadającym zbędnych pytań, na razie jeszcze wierzącym w niego żołnierzom garnizonu. Uspokoić wszystkich zalęknionych ludzi, którzy zbierali się wieczorami po pracy pod stacyjnym zegarem, na którym oznaczono godzinę wyjścia karawany.

Istomin mówił, że w ostatnich dniach ludzie go coraz częściej pytali, czemu na stacji przygaszono oświetlenie i żądali przywrócenia wcześniejszej jasności lamp. A przecież nikt nawet nie pomyślał, by zmniejszyć napięcie, żarówki cały czas świeciły z pełną mocą. Ciemność gęstniała nie na stacji, a w ludzkich duszach, i nie mogły jej rozproszyć nawet najjaśniejsze lampy rtęciowe.

Ciągle nie udawało się przywrócić łączności telefonicznej z Sierpuchowską i w ciągu tygodnia, jaki minął od dnia, w którym wyruszyła karawana, pułkownik, jak i wielu innych sewastopolczyków, stracił bardzo ważne i rzadkie wśród mieszkańców metra poczucie bliskości z ludźmi.

Póki działała łączność, póki regularnie chodziły karawany i do Hanzy był niecały dzień drogi, każdy mieszkaniec Sewastopolskiej mógł odejść lub zostać, każdy miał świadomość, że ledwie pięć przystanków od jego stacji zaczynało się prawdziwe metro, cywilizacja... Ludzkość. Tak pewnie czuli się niegdyś zagubieni w Arktyce polarnicy, w imię odkryć naukowych bądź wysokich zarobków dobrowolnie skazujący się na długie miesiące walki z zimą i samotnością. Do stałego lądu są tysiące kilometrów, ale jest on jednak gdzieś obok, póki działa radio, a raz w miesiącu nad głowami słychać ryk silników samolotu zrzucającego na spadochronach skrzynki z mielonką.

Lecz teraz kra, na której stała ich stacja, odłączyła się od reszty i z każdą godziną dryfowała coraz dalej: w lodową zamieć, w czarny ocean, w pustkę i nieznanie.

Oczekiwanie przeciągało się i nieokreślony niepokój pułkownika o los wysłanych na Sierpuchowską zwiadowców stopniowo zmieniał się w mroczną pewność: więcej tych ludzi

nie zobaczy. Zwyczajnie nie mógł sobie pozwolić, żeby zdjąć z umocnień kolejnych trzech żołnierzy i tak samo jak tamtych rzucić ich na spotkanie nieznanego niebezpieczeństwa, a nawet, co całkiem możliwe, na pewną śmierć, i nadal nie znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Zamknięcie zapory, odcięcie południowych tuneli i zebranie silnej grupy uderzeniowej wciąż jednak wydawało mu się przedwcześnie. Gdyby tylko znalazł się ktoś, kto podejmie teraz decyzję za niego... Decyzję, która z pewnością okaże się błędna.

Dowódca westchnął, uchylił drzwi i obejrzawszy się niczym złodziej zawołał wartownika.

- Nie poczęstowałbyś papieroskiem? Ale to już ostatni, więcej mi nie dawaj, choćbym nie wiem jak prosił! I nikomu o tym nie mów, w porządku?

Nadia, przysadzista, gadatliwa baba w dziurawej wełnianej chustce i poplamionym fartuchu, przyniosła gorący garnek z mięsem i warzywami i strażnicy się ożywili. Kartofle i pomidory z ogórkami uważało się tu za najbardziej wyrafinowany przysmak - poza Sewastopolską warzywa serwowało tylko parę najlepszych restauracji Linii Okrężnej i Polis. Rzecz była nie tylko w skomplikowanych instalacjach hydroponicznych, niezbędnych, by wykiełkowały zachowane nasiona, ale i w fakcie, że w metrze mało kto mógł tracić całe kilowaty energii elektrycznej, by urozmaicić żołnierskie menu.

Nawet wśród władz warzywa trafiały na stół tylko w święta, zwykle rozpuszczano w ten sposób jedynie dzieci. Istomin musiał porządnie wyklócić się z kucharzami, by dodali gotowane ziemniaki i po jednym pomidorze do przypadającej na dni nieparzyste wieprzowiny - wszystko dla podniesienia morale.

Pomysł zadziałał: wystarczyło, by Nadia niezręcznie, po babsku, zdjęła z ramienia karabin i podniosła pokrywkę garnka, żeby bruzdy na twarzach wartowników zaczęły się wygładzać. Przy takiej kolacji nikt nie miał ochoty ciągnąć obrzydłej już wszystkim rozmowy o zaginionej karawanie i spóźniających się zwiadowcach.

- Dzisiaj z jakiegoś powodu cały dzień rozmyślałam o Komsomolskiej - powiedział ugniatając kartofle w swojej aluminiowej misce siwy staruszek w waciaku z naszywkami z symbolem metra. - Poszłoby się tam, pooglądało... Ależ tam jest mozaika! Na mój gust, to najpiękniejsza stacja w Moskwie.

- Daj spokój, Homer. Pewno po prostu tam mieszkałeś, to i do tej pory ją lubisz - odezwał się po chwili nieogolony grubas w uszance. - A witraże na Nowosłobodskiej? A jakie są na Majakowskiej smukłe kolumny i malowidła na sklepieniu!

- Mi się zawsze podobał Plac Rewolucji - przyznał się nieśmiało snajper, cichy, poważny

mężczyzna w średnim wieku. - Wiem, że to głupoty, ale wszyscy ci surowi marynarze i lotnicy, pogranicznicy z psami... Od dziecka uwielbiam tę stację!

- Dlaczego niby głupoty? Całkiem sympatycznych chłopców wyrzeźbili w brązie - wsparła go Nadia, wygrzebując ostatki z dna garnka. - Hej, brygadierze, chodź, bo zostaniesz bez kolacji!

Siedzący samotnie wysoki, barczysty żołnierz niespiesznie zbliżył się do ogniska, wziął swoją porcję i wrócił na miejsce - bliżej tunelu, dalej od ludzi.

- On się w ogóle pojawia na stacji? - spytał szeptem grubas, wskazując tonące w półmroku potężne plecy.

- Siedzi tu na tyłku od ponad tygodnia - równie cicho odparł snajper. - Nocuje w śpiworze. Jak on to nerwowo wytrzyma? Chociaż może mu się to po prostu podoba... Kiedy trzy dni temu upiory o mało nie zagryzły Rinata, to brygadier potem chodził i je dobijał. Ręcznie; piętnaście minut. Wraca, a buty ma całe w posoce, karabin też... Ale zadowolony.

- Maszyna, nie człowiek... - wtrącił tyczkowaty strzelec.

- Ja to się nawet boję spać obok niego. Widziałeś, co on ma z twarzą? Nie mogę mu popatrzeć w oczy.

- A ja odwrotnie, tylko z nim czuję się bezpiecznie - wzruszył ramionami stary, na którego mówili Homer. - Coście się go tak uczepili? Dobry z niego człowiek, tylko poraniony. To stacje mają być piękne. A ta twoja Nowosłobodzka to właśnie kompletne bezguście! Takich witraży to na trzeźwo się nie da oglądać... Też mi znalazł, witraże!

- A mozaika o życiu kołchozu na pół sklepienia to niby nie bezguście?!

- Gdzie ty takie coś widziałeś na Komsomolskiej?

- Cała ta cholerna sztuka sowiecka to albo o życiu kołchozu, albo o bohaterskich lotnikach! - rozkręcił się gruby.

- Sierioża, lotników nie ruszaj - ostrzegł go snajper.

- I z Komsomolskiej badziewie, i z Nowosłobodzkiej łajno - zabrzmiał głuchy niski głos.

Zaskoczony grubas zachłysnął się przygotowanymi już słowami i popatrzył na brygadiera. Pozostali też natychmiast ucichli, oczekując na ciąg dalszy: tamten prawie nigdy nie brał udziału w ich rozmowach, nawet na bezpośrednie pytania odpowiadając lapidarnie albo wcale.

Dalej siedział zwrócony do nich plecami, nie spuszczać oczu z wylotu tunelu.

- Na Komsomolskiej sklepienia są za wysokie, filary cienkie i cały peron widać jak na dłoni, można go ostrzelać z torów, przejścia też trudno pokryć. A na Nowosłobodzkiej wszystkie ściany popękane, choćby nie wiem ile zalepiali. Wystarczy jeden granat, żeby

pogrzebać całą stację. Witraży też tam już dawno nie ma. Potłukły się. Krucha rzecz.

Nikt nie odważył się zaoponować. Po chwili milczenia brygadier rzucił:

- Idę na stację. Biorę ze sobą Homera. Za godzinę będzie zmiana. Artur dowodzi.

Snajper z jakiegoś powodu skoczył na równe nogi i kiwnął głową, choć brygadier nie mógł tego widzieć. Stary też wstał i zaczął gorączkowo zbierać swoje manatki, wkładać je do plecaka, nie kończąc nawet swoich ziemniaków. Komandos podszedł do ogniska już w pełnym ekwipunku marszowym, niezmiennie w hełmie i z solidnych rozmiarów plecakiem.

- Powodzenia.

Spoglądając na dwie oddalające się oświetlonym tunelem postaci: potężnego brygadiera i chudzinę Homera, snajper potarł ręce i skulił się z zimna.

- Coś chłodno się zrobiło. Dorzucicie do ognia, co?

Przez całą drogę brygadier nie uronił niemal słowa, upewnił się tylko, czy to prawda, że Homer był kiedyś pomocnikiem maszynisty, a przedtem zwykłym dróżnikiem obchodzącym tory. Staruszek spojrzał na niego podejrzliwie, ale nie zaprzeczył, choć na Sewastopolskiej zawsze wszystkim mówił, że dosłużył się stopnia maszynisty, a o pracy dróżnika w ogóle wolał nie rozpowiadać uważając ją za niewartą opowieści.

Brygadier wszedł do gabinetu naczelnika bez pukania, sucho salutując rozstępującym się przed nim wartownikom. Na jego widok zza stołu podnieśli się ze zdziwieniem Istomin i pułkownik: rozczochrani, zmęczeni, zakłopotani. Homer zamarł nieśmiało przy wejściu przestępując z nogi na nogę.

Brygadier zdjął hełm i postawił go wprost na papierach Istomina, po czym przejechał dłonią po wygolonej na łyso czaszce. W świetle lampy można było zobaczyć, jak strasznie oszpeconą miał twarz: lewy policzek był przeorany i ściągnięty przez ogromną bliznę, jakby od poparzenia, oko zmieniło się w wąską szczelinę, od ucha do kącika ust szła gruba, fioletowa szrama. Chociaż Homer myślał, że już przyzwyczał się do tej twarzy, teraz, jak za pierwszym razem kiedy ją zobaczył, poczuł w środku obrzydliwy chłód.

- Sam pójdę do Linii Okrężnej - bez przywitania wypalił brygadier.

W pokoju zaległa ciężka cisza. Homer słyszał już wcześniej, że brygadier, jako niezastąpiony komandos, miał specjalne stosunki z władzami stacji. Ale dopiero teraz zaczął rozumieć, że w odróżnieniu od wszystkich innych sewastopolczyków, brygadier posterunku zdawał się kompletnie nie podlegać dowództwu.

Teraz też nie prosił tych dwóch starszych, znużonych mężczyzn o zgodę, lecz jakby wydawał im rozkaz, który byli zobowiązani wykonać. I Homer - który to już raz? - zadał

sobie pytanie: kim jest ten człowiek?

Dowódca wymienił spojrzenia z naczelnikiem, zmarszczył brwi chcąc się sprzeciwić, ale machnął tylko ręką z rezygnacją.

- Decyduj sam, Hunter... Ciebie i tak nikt nie przekona.

Rozdział 2

Powrót

Skulony przy drzwiach stary stał się czujny: nie miał jeszcze okazji słyszeć tego imienia na Sewastopolskiej. Nie imienia nawet, a przezwiska - tak jak z niego samego nie był żaden Homer, tylko najpospolitszy Nikołaj Iwanowicz; imieniem greckiego autora mitów obdarzono go dopiero tutaj, na stacji, a to przez jego niespożyte zamięłowanie do wszelkich opowieści i plotek.

- To wasz nowy brygadier - zwrócił się pułkownik do strażników, którzy z posępną ciekawością przyglądali się barczystemu przybyszowi w kevlarze i ciężkim hełmie. Ten, lekceważąc etykietę, odwrócił się do nich obojętnie plecami: zdawało się, że tunel i umocnienia interesowały go znacznie bardziej niż przydzieleni mu ludzie. Kiedy jego nowi podwładni podchodzili, żeby się przywitać, ścisnął ich wyciągnięte dłonie, ale sam się nie przedstawiał. Kiwał głową w milczeniu zapamiętując kolejne imiona i dmuchał im w twarz dymem papierosowym, wyznaczając dystans. W cieniu uchylonej przyłbicy martwo, mętnie pobłyskiwała obwiedziona bliznami, przypominająca otwór strzelniczy szczelina oka. Ani wtedy, ani później żaden ze strażników nie śmiał nalegać, i minęły już dwa miesiące odkąd nazywali go po prostu „brygadierem”. Przyjęli, że stacja wykosztowała się na jednego z tych drogich najemników, którzy nie mają przeszłości ani imienia.

Hunter.

Homer bezdźwięcznie miał w ustach to dziwne słowo. Bardziej niż do człowieka pasuje do owczarka środkowoazjatyckiego. Ledwo dostrzegalnie uśmiechnął się do siebie: a więc pamięta jeszcze, że były kiedyś takie psy. Skąd to się wszystko bierze w jego głowie? Rasa psów do walki, ze skróconym ogonem i uciętymi przy samej czaszce uszami. Wszystko, czego potrzeba.

A to imię, kiedy powtórzył je sobie wiele razy, zaczęło mu się zdawać nieuchwytnie znajome. Gdzie on mógł je słyszeć? Niesione przez niekończącą się rzekę plotek i bajdurzeń, o coś się kiedyś zaczepiło i osiadło na samym dnie pamięci. I pokryło się już grubą warstwą mułu: nazwami, faktami, pogłoskami, liczbami - wszystkimi niepotrzebnymi informacjami o życiu innych ludzi, których Homer z taką ciekawością słuchał i które tak usilnie starał się

zapamiętać.

Hunter... Może to recydywista, za którego głowę Hanza wyznaczyła nagrodę? Stary rzucił na próbę kamień w głąbiny swojej sklerozy i nasłuchiwał. Nie, to nie to. Stalker? Raczej nie. Dowódca polowy? Bliżej. I to chyba nawet legendarny...

Homer jeszcze raz zerknął ukradkiem w beznamiętną, jakby sparaliżowaną twarz brygadiera. To jego psie przezwisko dziwnie mu jednak pasowało.

- Potrzebuję dwóch ludzi. Wezmę Homera; zna okoliczne tunele - nie odwracając się w stronę staruszka i nie pytając go o zgodę ciągnął brygadiera. - Jeszcze jednego możecie dać, według waszego uznania. Gońca, kuriera. Wychodzę już dzisiaj.

Istomin kiwnął lekko głową na znak zgody, potem opamiętał się i podniósł pytający wzrok na pułkownika. Ten, zaszepiony, też burknął, że nie ma nic przeciwko, choć przez te wszystkie dni tak zaciekle kłócił się z naczelnikiem stacji o każdego wolnego żołnierza. Nikt nie miał zamiaru dyskutować tego z Homerem, ale ten ani myślał protestować: pomimo wieku stary nigdy jeszcze nie odmówił wykonania podobnego zadania. Miał zresztą ku temu powody.

Brygadier podniósł ze stołu swój ciężki hełm i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się na moment w drzwiach i rzucił Homerowi:

- Pożegnaj się z rodziną. Spakuj się na długą wyprawę. Nabojów nie bierz, wydam wam amunicję - i zniknął.

Stary chciał ruszyć za nim, w nadziei, że choć w ogólnym zarysie dowie się, na co ma się przygotować, ale kiedy wyszedł na peron, Hunter był już kilkadziesiąt swoich długich kroków dalej i Homer nie próbował go gonić. Pokiwał tylko głową odprowadzając go wzrokiem.

Inaczej niż zwykle, brygadier został z gołą głową: zamyślił się i zapomniał o hełmie, albo brakowało mu teraz powietrza. I kiedy mijał gromadkę próżnujących podczas przerwy obiadowej dziewcząt, zajmujących się świniami, w ślad za nim pomknął pełen obrzydzenia szept: „Ej, dziewczyny, patrzcie jaki szpetny!”.

- Skąd ty go wystraszałeś? - spytał Istomin, z ulgą rozsiadając się na krześle i wyciągając pulchną dłoń w stronę paczki z bibułkami papierosowymi.

Mówiono, że liście tytoniu, które z taką przyjemnością pali się na stacji, stalkerzy zbierali na powierzchni, chyba nawet w rejonie Parku Bitcewskiego. Kiedyś pułkownik dla żartu zbliżył do paczki tytoniu miernik radiacji, który rzeczywiście zaczął złowróźnie terkotać. Staruszek rzucił palenie w tej samej chwili, i rozdierający kaszel, który męczył go po nocach strasząc rakiem płuc, zaczął powoli ustępować. Istomin nie chciał wierzyć w historię o radioaktywnych liściach, nie bez racji przypominając Denisowi Michajłowiczowi, że w

metrze w mniejszym lub większym stopniu „świeci” wszystko, czego się człowiek dotknie.

- Stary znajomy - niechętnie powiedział pułkownik; po krótkiej chwili milczenia dodając:

- Kiedyś taki nie był. Coś mu się stało.

- No jasne, sądząc po fizjonomii, z pewnością coś mu się stało - mruknął naczelnik zerkając w stronę drzwi, jakby Hunter mógł w nich zostać i go podsłuchać.

Dowódca nie mógł narzekać na to, że brygadier nieoczekiwanie wychynął z zimnej mgły przeszłości. Ledwo się pojawił, stał się niemal głównym punktem obrony stacji. Jednak Denis Michajłowicz do tej pory nie mógł w pełni uwierzyć w jego powrót.

Wiść o śmierci Huntera - dziwnej i strasznej - obiegła wszystkie tunele metra jeszcze w zeszłym roku. I kiedy pojawił się dwa miesiące temu na progu pokoiku pułkownika, ten pospiesznie się przeżegnał i dopiero wtedy otworzył mu drzwi. Podejrzana łatwość, z jaką wskrzeszony komandos pokonał posterunki - jakby przeniknął przez strażników - wywoływała wątpliwość, czy w tym cudzie nie uczestniczyła zła siła.

W zaparowanym wizjerze widniał niby znajomy profil: byczy kark, wygolona do gołej skóry głowa, nieco spłaszczony nos. Ale nocny gość z jakiegoś powodu zastygł obrócony bokiem, opuścił głowę i nie próbował przerwać ciężkiej ciszy. Spojrzawszy z wyrzutem na odkorkowaną butelkę piwa stojącą na stole, pułkownik wziął głęboki oddech i odsunął zasuwę. Kodeks nakazywał pomagać swoim - bez różnicy, żywym czy martwym.

Hunter oderwał wzrok od podłogi dopiero, gdy drzwi się otworzyły. Wtedy stało się jasne, dlaczego krył drugą połowę twarzy: bał się, że stary po prostu go nie pozna. Nawet pułkownik, który widział już wiele i dla którego dowodzenie garnizonem Sewastopolskiej było, w porównaniu z dawnymi burzliwymi latami, honorową emeryturą, kiedy go zobaczył, skrzywił się jakby się oparzył, a potem nie wytrzymał i roześmiał się z poczuciem winy.

Gość w odpowiedzi nawet się nie uśmiechnął. W ciągu minionych miesięcy przerażające szramy szpecące mu twarz nieco się już zblizniły, ale mimo to prawie w niczym nie przypominał staruszkowi dawnego Huntera.

Kategorycznie odmówił wyjaśnienia swojego cudownego ocalenia i późniejszej nieobecności i po prostu nie reagował na żadne z pytań pułkownika, jakby ich nie słyszał. Co gorsza, poprosił Denisa Michajłowicza, żeby nikogo nie informował o jego powrocie - miała to być spleta starego długu wdzięczności. Pułkownik musiał stłumić zdroworoządkowy odruch, by natychmiast dać znać wyżej, i zostawił Huntera w spokoju.

Swoją drogą staruszek ostrożnie zasięgnął języka. Jego gość nie był w nic zamieszany, wszyscy dawno go już pochowali i nikt go nie szukał. Ciało wprawdzie nie odnaleziono, ale gdyby Hunter przeżył, na pewno dałby o sobie znać - zapewniano pułkownika. To prawda,

zgodził się starzec.

Za to, jak to się często dzieje z zaginionymi bez śladu, Hunter, czy raczej jego rozmyty i podkolorowany obraz, pojawił się w co najmniej dziesięciu półprawdziwych legendach i klechdach. Zdawało się, że ta rola w pełni go satysfakcjonowała i nie spieszo mu było wyprowadzać z błędu towarzyszy, którzy pochowali go żywcem.

Pamiętając o swoich niespłaconych długach wdzięczności i doszedłszy do właściwych wniosków, Denis Michajłowicz uspokoił się, a nawet zaczął grać w tę grę: przy osobach postronnych nie mówił do Huntera po imieniu i, nie wchodząc w szczegóły, wyjawiał tajemnicę Istominowi.

Temu ostatniemu było w zasadzie wszystko jedno: brygadier za chleb odpłacał z nawiązką, dzień i noc spędzał na pierwszej linii, w południowych tunelach. Na stacji nie było go prawie widać: przychodził raz na tydzień, kiedy wypadała jego kolej na kąpiel. I choćby nawet zstąpił do tego piekła, aby ukryć się przed nieznanymi prześladowcami, Istomin, który nigdy nie brzydził się korzystać z usług legionistów z ciemną przeszłością, nie martwił się tym. Żeby tylko się bił; a z tym akurat wszystko było w porządku.

Wartownicy, którzy utyskiwali na wyniosłość ich nowego dowódcy, umilkli od razu po pierwszym starciu. Widząc jak metodycznie, z wyrachowaniem, w nieludzko zimnym upojeniu unicestwia wszystkie stworzenia, które wolno mu unicestwić, każdy z żołnierzy coś sobie o nim pomyślał. Nikt już nie próbował zaprzyjaźnić się z mrukowatym brygadierem, ale podporządkowywali mu się wszyscy, bez słowa, tak że nigdy nie musiał podnosić swojego głuchego, zdartego głosu. Było w tym głosie coś hipnotycznego i nawet naczelnik stacji od razu pokornie kiwał głową, za każdym razem, kiedy Hunter do niego mówił - nie słuchał nawet do końca, ale na wszelki wypadek się zgadzał.

Po raz pierwszy w ostatnich dniach atmosfera w gabinecie Istomina oczyściła się: jak gdyby przed chwilą rozpętała się tu i przewaliła bezgłośnie nawałnica, przynosząc tak długo oczekiwane rozładowanie napięcia. Nie było już po co dyskutować. Lepszego komandosa niż Hunter nie było; jeśli on też zginie w tunelach, sewastopolczykom zostanie tylko jedno.

- Wydać polecenie przygotowania operacji? - pierwszy spytał pułkownik, wiedząc, że naczelnik stacji i tak zacznie o tym mówić.

- Trzy doby powinny ci wystarczyć - Istomin szczerknął zapalniczką i zmrużył oczy. - Dłużej nie możemy na nich czekać. Jak myślisz, ilu ludzi będzie potrzeba?

- Jedna grupa uderzeniowa czeka na rozkazy, zajmę się resztą, zostało jeszcze jakichś dwudziestu ludzi. Jeśli pojutrze od nich - pułkownik wskazał głową w stronę wyjścia - nie

będzie żadnych wieści, ogłaszaj powszechną mobilizację. Będziemy starali się przebić.

Istomin podniósł brwi, ale zamiast coś powiedzieć, głęboko zaciągnął się potrzaskującym skrętem. Denis Michajłowicz zgarnął kilka walających się na stole pokreślonych kartek papieru i zbliżając do nich oczy krótkowidza zaczął wyrysowywać tajemnicze schematy i wpisywać w kółeczka nazwiska i pseudonimy.

Przebić się? Naczelnik stacji patrzył ponad siwą głowę pułkownika i poprzez gęsty tytoniowy dym na wielki plan metra, wiszący za plecami starca. Pożółkły i zatłuszczony, upstrzony znaczkami: strzałkami przerzutów wojsk i kółkami oblężeń, gwiazdkami posterunków i wykrzyknikami oznaczającymi strefy zamknięte - plan ten był kroniką ostatniej dekady. Dziesięciolecia, w którym nie było spokojnego dnia.

Poniżej Sewastopolskiej zapiski urywały się zaraz za Jużną: za pamięci Istomina nikt stamtąd nie wrócił. Długa, pełzająca w dół niczym rozgałęziony korzeń linia pozostała dziewicza. Zdobycie Linii Sierpuchowskiej okazało się ponad siły sewastopolczyków, - wątpliwe, czy starczyłoby na to wszystkich sił osłabionej chorobą popromienną ludzkości.

Teraz siwy dym niewiadomej spowijał również ten odcinek ich linii, który z uporem parł do góry, do Hanzy, do ludzi. Nikt z tych, którym pułkownik rozkaże gotować się do walki, nie odmówi. Na Sewastopolskiej wojna na wyniszczenie człowieka, która zaczęła się ponad dwadzieścia lat wcześniej, nie ustawała nawet na chwilę. Kiedy przez wiele lat żyje się w obliczu śmierci, strach przed umieraniem ustępuje obojętności, fatalizmowi, przesądom i zwierzęcym instynktom. Ale kto wie, co czekało ich tam, między Nachimowskim Prospektem a Sierpuchowską? Kto wie, czy można było w ogóle przebić tę zagadkową blokadę i czy było się dokąd przebijać?

Wspomniał swój ostatni pobyt na Sierpuchowskiej: stragany na bazarze, legowiska włóczęgów i rozpadające się parawany, za którymi śpią i kochają się zamożniejsi mieszkańcy. Nie hodowano tam nic własnego, nie było szklarni ani zagród dla zwierząt. Cwani, obrotni mieszkańcy Sierpuchowskiej żyli ze spekulacji, odsprzedawali zleżały towar kupiony za bezcen od spóźnionych karawan i świadczyli obywatelom Linii Okrężnej usługi, za które w domu czekałby ich sąd. To nie była stacja, tylko pasożytniczy grzyb, narośl na potężnym cielsku Hanzy.

Związek bogatych stacji handlowych Linii Okrężnej, celnie ochrzczonej Hanzą, jako ostatnie wspomnienie o swoim niemieckim pierwowzorze, pozostał ostoją cywilizacji w pograżającym się w otchłani barbarzyństwa i nędzy metrze. A Hanza... Hanza to była regularna armia, światło elektryczne nawet na najbiedniejszych stacyjkach i gwarantowany kawałek chleba dla każdego, kto miał w paszporcie drogocenną pieczętkę oznaczającą

obywatelstwo. Takie paszporty kosztowały na czarnym rynku majątek, ale jeśli posiadacza fałszywki udało się przyłapać pogranicznikom Hanzy, płacić musiał głową.

Oczywiście, bogactwo i potęga były udziałem Hanzy dzięki jej położeniu: Linia Okrężna opasywała wiązkę wszystkich pozostałych nitek, poprzez stacje przesiadkowe dawała dostęp do każdej z nich i łączyła je w jedno. Straganiarze wiozący herbatę z WOGN-u i dreżyny dostarczające amunicję z fabryk na Baumańskiej - wszyscy woleli zdać towar w najbliższym punkcie celnym Hanzy i wracać do domu. Lepiej już dostać mniej pieniędzy niż w pogoni za zyskiem wypuszczać się na wyprawę przez całe metro, wyprawę, która w każdym momencie mogła zakończyć się tragicznie.

Hanza przyłączała czasem przylegające do niej stacje, ale częściej były one zostawione samym sobie i za jej zgodą stawały się szarą strefą, gdzie prowadzono te interesy, na których nie chcieli być przyłapani hanzeatyccy bonzowie. Stacje promieniste były oczywiście pełne szpiegów i agenci Hanzy od samego początku mieli je w kieszeni, lecz formalnie pozostawały niezależne. Tak właśnie było z Sierpuchowską.

Na jednym z prowadzących do niej podjazdów na zawsze zatrzymał się pociąg, któremu nie udało się dojechać do sąsiedniej Tulskiej. Zamieszkałe przez sekciarzy i dlatego oznaczone na planie Istomina prostym katolickim krzyżykiem wagony zamieniły się w zagubiony wśród czarnego pustkowie chutor. Gdyby nie misjonarze, którzy grasowali po okolicznych stacjach polując na zabłąkane dusze, Istomin nie miałby przeciwko sekciarzom zupełnie nic. Zresztą do Sewastopolskiej te Boże owczarki nie docierały, a mijającym ich podróżnym nie czynili specjalnych przeszkód - czasem tylko zabierali im trochę czasu swoimi opowieściami o zbawieniu duszy. Poza tym drugi tunel prowadzący z Tulskiej do Sierpuchowskiej był czysty i pusty, i to właśnie z niego korzystały tutejsze karawany.

Istomin znów prześlizgnął się wzrokiem wzdłuż linii. Tulska? Stopniowo dziczejąca osada, której dostają się ochłapy od przemaszerowujących przez nią sewastopolskich konwojów i sprytnych sierpuchowskich kramarzy. Żyją z tego, co Bóg da: jedni reperują różne mechaniczne rupiecie, inni chodzą na zarobek pod granicę Hanzy i siedzą całymi dniami w kucki w oczekiwaniu kolejnego kierownika robót o nawykach poganiacza niewolników. „Też żyją biednie, ale jednak nie mają w oczach tego śliskiego sierpuchowskiego złodziejstwa - pomyślał Istomin - i porządek tam mają jakby większy. Pewnie jednoczy ich niebezpieczeństwo”.

Następna stacja na jego planie, Nagatińska, była oznaczona krótką kreseczką: pusto. Nie była to do końca prawda: nikt nie zatrzymywał się na niej na dłużej, ale bywało, że kłębiła się na niej najrozmaitsza hałastra, wiodąca ciemną, na wpół zwierzęcą egzystencję. W

nieprzeniknionych ciemnościach łączyły się w miłosnym uścisku pary uciekające przed cudzym wzrokiem. Innym razem między filarami płonęło wątłe ognisko, wokół którego zbierały się na tajne zebranie cienie morderców z tuneli.

Lecz na noc zostawali tu tylko ignoranci i najwięksi desperaci: nie wszyscy odwiedzający stację byli bowiem ludźmi. W pełnym szeptów, gęstym jak galareta mroku, wypełniającym Nagatińską migały czasem, jeśli dobrze się przyjrzeć, naprawdę koszmarnie sylwetki. I co jakiś czas, rozpraszając na chwilę na różne strony wystraszonych bezdomnych, duszne powietrze przeszywał ostry krzyk biedaka, którego tamci zaciągali do legowiska, by pospiesznie pożyć.

Włóczędzy nie wazyli się zapuszczać za Nagatińską i do samej obronnej granicy Sewastopolskiej ciągnęła się „ziemia niczyja”. Nazwa była umowna: tereny te miały oczywiście panów strzegących swych granic i nawet sewastopolskie grupy zwiadowcze wolały ich unikać.

Ale teraz w tunelach pojawiło się coś nowego, nieznanego. Coś, co połykało wszystkich próbujących pójść dawno, zdawałoby się, zbadaną trasą. I skąd miał wiedzieć, czy jego stacji, nawet gdyby powołał pod broń wszystkich zdolnych do walki mieszkańców, uda się wystawić wystarczające siły, by to pokonać...

Istomin ciężko podniósł się z krzesła, pokuśtykał w kierunku planu i odznaczył ołówkiem kopiowym odcinek od punktu z napisem „Sierpuchowska” do punktu oznaczonego „Nachimowski Prospekt”. Obok postawił grubo znak zapytania. Chciał go napisać przy Prospekcie, a wyszło równo naprzeciw Sewastopolskiej.

Na pierwszy rzut oka Sewastopolska zdawała się niezamieszka. Na peronie nie było widać nawet śladu typowych wojskowych namiotów, w których zwykle mieszkało na innych stacjach. Tutaj ciemniały tylko ledwo rozświetlone nielicznymi wątlami lampami, podobne do mrowisk, a składające się z worków z piaskiem, umocnienia. Jednak stanowiska strzeleckie były puste, zaś ascetyczne kwadratowe filary pokrywała gruba warstwa kurzu. Wszystko urządzono tak, że gdyby trafił tu ktoś postronny, z pewnością stwierdziłby, iż stacja jest od dawna opuszczona.

Jednak gdyby nieproszonemu gościowi powstała w głowie myśl, by zatrzymać się tu choć na chwilę, ryzykowałby, że zostanie na zawsze. Dyżurująca bez przerwy na przyległej Kachowskiej obsługa cekaemów i snajperzy zajmowali swoje miejsca w mgnieniu oka. Pod sklepieniem, zamiast słabych żaróweczek, rozbłyskiwały bezlitosne lampy rtęciowe, wypalając siatkówkę ludziom i potworom przywykłym do ciemności tuneli.

Peron był ostatnią i najsprytniej obmyśloną linią obrony sewastopolczyków. Natomiast ich mieszkania znajdowały się we wnętrzu tej stacji-pułapki, w umieszczonych pod peronem zbiornikach. Pod granitowymi płytami posadzki, ukryta przed wzrokiem obcych, znajdowała się jeszcze jedna kondygnacja, nie ustępująca powierzchnią głównemu holowi, ale podzielona na mnóstwo komórek. Dobrze oświetlone, suche i ciepłe pokoje, miarowo brzęczące urządzenia do oczyszczania powietrza i wody, hydroponiczne szklarnie... Mieszkańcy stacji czuli się bezpiecznie i przytulnie dopiero wtedy, gdy chowali się jeszcze głębiej pod ziemią.

Homer wiedział, że decydujące starcie czeka go nie w południowych tunelach, ale w domu. Krocząc przez wąski korytarz wzdłuż przymkniętych drzwi cudzych mieszkań, włókł się coraz wolniej i wolniej w miarę przybliżania się do własnego. Trzeba było jeszcze raz przemyśleć taktykę i powtórzyć w myślach wszystkie repliki; czasu było coraz mniej.

- Co zrobić? Rozkaz... Sama wiesz, jaka jest sytuacja. Nikt mnie nawet nie pytał. Co ty tak, jak mała dziewczynka? To po prostu śmieszne! No, przecież o to nie prosiłem! Nie mogę. No, co ty! Oczywiście, że nie mogę. Uchylić się? Przecież to dezercja! - mruzczał sobie pod nosem, to próbując oburzonego, zdecydowanego tonu, to obniżając głos i starając się kogoś łagodnie przekonać.

Kiedy dotarł na próg swojego pokoju, odbębnił wszystko od nowa. Nie, płaczu się nie uniknie, ale nie zamierzał ustępować. Stary nastroszył się i przygotował do walki, po czym nacisnął klamkę.

Z dziewięciu i pół metra kwadratowego - wielkiego luksusu, na który w swoim czasie czekał w kolejce pięć lat, przemieszkując po salach grupowych - dwa metry zajmowało żołnierskie łóżko piętrowe, metr - stół obiadowy z ozdobną serwetą, a kolejne trzy - ogromna, sięgająca sufitu sterta starych gazet. Gdyby Homer mieszkał samotnie, któregoś pięknego dnia ta góra z pewnością zwałiłaby się na niego, grzebiąc go pod swoim ciężarem. Ale piętnaście lat temu poznał kobietę, która była gotowa nie tylko znosić obecność takiej ilości zakurzonej makulatury w maluteńkim mieszkanku, ale i troskliwie ją układać, nie pozwalając, by jej ognisko domowe zmieniło się w papierowe Pompeje.

W ogóle gotowa była wiele znosić. Jego niezliczone wycinki z gazet z niepokojącymi tytułami w rodzaju: „Wyścig zbrojeń nabiera tempa”, „Amerykanie przetestowali nowy system przeciwrakietowy”, „Nasza tarcza atomowa coraz mocniejsza”, „Kolejne nuklearne prowokacje” czy „Cierpliwość się wyczerpała”, którymi, niczym tapetą, wyklejone były od góry do dołu ściany pokoiku. Jego nocne posiedzenia z obgryzionym długopisem nad stosem szkolnych zeszytów przy świetle żarówki - o świecy przy takiej kupie papieru nie mogło być

w ich domu mowy. Jego na wpół żartobliwe, a na wpół błazeńskie przezwisko, które sam nosił z dumą, podczas gdy inni wymawiali je z pobłażliwym uśmiechem.

Wiele, ale nie wszystko. Nie jego chłopięcą skłonność, by za każdym razem wchodzić w sam środek huraganu, żeby popatrzeć jak tam wszystko naprawdę wygląda - a przecież ma prawie sześćdziesiąt lat! I nie tę lekkomyślność, z jaką zgłasza się do dowolnych zadań wyznaczanych przez dowództwo, zapominając, że po jednej z ostatnich wypraw ledwo się wykaraskał.

Nie myśl, że mogłaby go stracić i znów zostać całkiem sama.

Po odprowadzeniu Homera na służbę - jego warta wypadała raz w tygodniu - nigdy nie siedziała w domu. Uciekając od pełnych strachu myśli, szła do sąsiadów, albo do pracy na nie swoją zmianę. Męska obojętność wobec śmierci wydawała jej się głupia, egoistyczna, zbrodnicza.

Zastał ją w domu przypadkiem - zaszła tu, żeby się przebrać po pracy. Włożyła ręce w rękawy polatanej wełnianej fufajki i tak już została: jej ciemne włosy z dobrze już widoczną siwizną, choć nie miała nawet pięćdziesiątki, były w nieładzie, w bladopiwnych oczach był strach.

- Kola, coś się stało? Przecież masz dziś wartę do późna?

I Homerowi od razu odechciało się mówić jej o podjętej decyzji. Zawahał się: może na razie ją uspokoi, a powie jej mimochodem, przy kolacji?

- Tylko mi tu nie kłam - uprzedziła go widząc jego błędzący wzrok.

- Widzisz, Lena... Jest taka sprawa - zaczął.

- Nikt nie...? - spytała od razu o najważniejsze, o najstraszniejsze, nie chcąc nawet wypowiadać na głos słowa „zginął”, jakby wierzyła, że jej głupie myśli mogłyby się zmaterializować.

- Nie! Nie! - Homer pokręcił głową. - Po prostu ściągnęli mnie ze służby. Wysyłają mnie na Sierpuchowską - dodał niewinnie.

- Ale przecież - zająknęła się Helena. - Przecież tam... Jeszcze nie wrócili, prawda? Przecież tam jest...

- Daj spokój, to jakieś bzdury. Nic tam nie ma - przerwał jej szybko.

Helena odwróciła się, podeszła do stołu, nie wiedząc czemu przestawiła z miejsca na miejsce solniczkę, wygładziła zagięcie na obrusie.

- Miałam sen - chrząknęła, by pozbyć się chrypki.

- Ciągle ci się...

- Zły sen - ciągnęła uparcie i nagle się rozplakała.

- No, co ty? Co ja mogę poradzić... Przecież to rozkaz - myląc słowa, widząc, że cała jego przygotowana przemowa nie jest warta złamanego grosza, bełkotał i głaskał jej dłoń.

- To niech jednooki sam tam pójdzie! - rzuciła ze złością przez łzy odpychając jego rękę.
- Niech ten pręgowany diabeł tam idzie, w tym swoim berecie! Rozkazywać tylko potrafią...
A on co? Całe życie przespał z karabinem zamiast baby! Co on w ogóle rozumie?

Nie dało się pocieszyć doprowadzonej do łez kobiety bez złamania własnego postanowienia. Homer czuł wstyd i prawdziwy żal, ale niełatwo było się teraz ugiąć i obiecać odmowę wykonania zadania, uspokoić ją, osuszyć łzy - a potem rozpamiętywać i żałować straconej szansy. Być może ostatniej szansy, jaka trafiała mu się w życiu, według dzisiejszych miar i tak już nieźle przeciągniętym.

Więc nie powiedział nic.

Był już czas żeby iść, zebrać oficerów i wydać im rozkazy, ale pułkownik wciąż siedział w gabinecie Istomina nie zwracając uwagi na zwykle tak drażniący i kuszący dym papierosowy.

Kiedy naczelnik stacji szeptał coś do siebie, w zadumie wodząc palcem po swoim zaprawionym w bojach planie metra, Denis Michajłowicz wciąż starał się pojąć: po co Hunterowi to wszystko? Za jego tajemniczym przybyciem na Sewastopolską, za chęcią pozostania tu na stałe, wreszcie za ostrożnością, z jaką brygadier pojawiał się na stacji - prawie zawsze w skrywającym twarz hełmie - mogło kryć się tylko jedno: Istomin miał rację, Hunter wciąż się przed kimś ukrywał. By zarobić dodatkowe punkty, ulokował się na południowym posterunku: sam zastępował całą brygadę i stopniowo stał się niezastąpiony. Choćby nie wiadomo kto zażądał teraz, by go wydać, jakąkolwiek nagrodę ogłoszono by za jego głowę, Istomin ani pułkownik nawet by o tym nie pomyśleli.

Kryjówka była bez zarzutu. Na Sewastopolskiej nie bywali obcy, a tutejsi wędrowni handlarze, w odróżnieniu od gadatliwych straganiarzy z innych stacji, idąc do wielkiego metra nigdy nie rozpuszczali języków. W tej małej Sparcie, uczeptionej swojego skrawka ziemi na końcu świata, ponad wszystko ceniona była pewność i bezwzględność w walce. Umiano tu też dochować tajemnicy.

Ale po co w takim razie Hunter rzucał wszystko, sam zgłaszał się na wyprawę, na którą Istominowi nie starczyłoby odwagi go wysłać, i ryzykując, że zostanie rozpoznany, miał iść w kierunku Hanzy? Pułkownikowi jakoś nie chciało się wierzyć, że brygadiera rzeczywiście niepokoi los zaginionych zwiadowców. Tak jak i za Sewastopolską walczył nie z miłości do stacji, a ze swoich, nikomu nie znanych powodów.

A może wykonuje jakąś misję? To by wiele wyjaśniało: jego nagłe przybycie, jego

skrytość, upór, z jakim nocował w śpiworze w tunelach, wreszcie decyzję, by natychmiast ruszać na Sierpuchowską. A więc dlaczego prosił, by nie informować p o z o s t a ł y c h? Kto, jeśli nie oni, mógł go posłać? Kto?

Pułkownik z trudem zwalczył pokusę, by poczęstować się skretem Istomina. Nie, to niemożliwe. Hunter, jeden z filarów Z a k o n u? Człowiek, któremu życie zawdzięczały dziesiątki, a może setki spośród jego członków, a wśród nich sam Denis Michajłowicz?

„T a m t e n człowiek by nie mógł - ostrożnie powiedział sam do siebie - Ale czy Hunter po powrocie z niebytu jest jeszcze tamtym człowiekiem?”

Więc jeśli wypełniał czyjeś polecenia... To może dostał teraz jakiś sygnał? Czyżby znaczyło to, że zniknięcie karawan z transportem amunicji i oddziałów zwiadowczych nie było przypadkiem, a częścią precyzyjnie zaplanowanej operacji? Ale w takim razie jaką rolę odgrywał w tym sam brygadier?

Pułkownik pokręcił gwałtownie głową, jakby chciał strząsnąć z siebie czepiające się go i szybko pęczniejące pijawki podejrzeń. Jak może tak myśleć o człowieku, który go uratował? Na dodatek do tej pory Hunter doskonale służył stacji i nie dawał żadnych powodów, by w niego wątpić i Denis Michajłowicz, zabraniając sobie nawet w myślach nazywać go „szpiegiem” i „dywersantem”, podjął decyzję.

- Wypijmy po filizance i pójdę do chłopaków - powiedział z przesadną rzeškością i zaplótł z trzaskiem palce.

Istomin oderwał się od planu i posłał mu zmęczony uśmiech. Zaczął już kuśtykać w stronę swojego staroświeckiego telefonu z tarczą do wybierania numerów, żeby wezwać ordynansa, gdy nagle aparat z wysiłkiem zadzwonił sam, sprawiając, że obaj obecni wzdrygnęli się i spojrzeli po sobie. Nie słyszeli tego dźwięku już od tygodnia: dyżurny, jeśli chciał coś zameldować, zawsze pukał do drzwi, a poza nim nikt na stacji nie mógł dzwonić bezpośrednio do naczelnika.

- Istomin, słucham - powiedział ostrożnie do słuchawki.

- Władimirze Iwanowiczu... Mamy Tuską na linii - trajkotał przez nos telefonista. - Tylko bardzo słabo słychać... To chyba nasi... Ale łączność...

- Łączyć, szybko! - ryknął naczelnik waląc pięścią w stół z taką siłą, że telefon żałośnie brzęknął.

Przestraszony telefonista umilkł, potem w głośniku coś szcęknęło, zaszumiało i gdzieś nieskończenie daleko dał się słyszeć zniekształcony, niemal nierozpoznawalny głos.

Kryjąc łzy Helena obróciła się do ściany. Co mogła jeszcze zrobić, by go zatrzymać?

Dlaczego z taką radością czepiał się pierwszej okazji, by uciec ze stacji, zasłaniając się tą grubymi nićmi szytą historią o rozkazach dowództwa i karach za dezercję? Tyle mu dała, tyle robiła przez te piętnaście lat, żeby go oswoić! A jego znów ciągnie do tuneli, jakby chciał tam znaleźć coś jeszcze poza ciemnością, pustką i śmiercią. Czego mu brakuje?

Homer słyszał w myślach jej wyrzuty tak wyraźnie, jakby mówiła teraz do niego na głos. Czuł się arcypodłe, ale było już za późno, by się wycofać. Otwierał usta, żeby przeproszać, ogrzać ją swoimi słowami, ale gryzł się w język rozumiejąc, że każde z tych słów tylko doleje oliwy do ognia.

A nad głową Heleny płakała Moskwa - na ścianie, troskliwie otoczona ramką, wisiała kolorowa fotografia ulicy Twerskiej w drobnym letnim deszczu, wycięta ze starego, błyszczącego almanachu. Kiedyś, w dawnych czasach tułaczki po metrze, całym majątkiem Homera było ubranie i ta właśnie fotografia. Inni mieli w kieszeniach pomięte zdjęcia rozebranych ślicznotek, wydarte z męskich pisemek, ale Homerowi nie mogło to zastąpić żywej kobiety nawet na kilka krótkich, wstydliwych minut. I to ta właśnie fotografia przypominała mu o czymś bezgranicznie ważnym, niewysłowienie pięknym... I na zawsze straconym.

Szepnąwszy niezdarnie „przepraszam”, wyszedł na korytarz, dokładnie zamknął za sobą drzwi i bezsilnie przykucnął. Drzwi do sąsiadów były otwarte, na progu bawiły się wątle, blade dzieci: chłopczyk i dziewczynka. Widząc starego zamarły; byle jak zszyty i wypchany szmatami miś, o którego dopiero co się kłóciły, smutno pacnął o ziemię.

- Wujek Kola! Opowiedz bajkę! Obiecałeś, że jak wrócisz, to opowiesz! - podbiegły do Homera dzieci.

- O czym chcecie? - staruszek nie mógł odmówić.

- O bezgłowych mytantach! - zawołał wesoło malec.

- Nie! Ja nie chcę o mytantach! - skrzywiła się dziewczynka. - Oni są straszni, boję się!

- A jaką chcesz bajeczkę, Taniusza? - westchnął stary.

- No to o faszystach! I partyzantach! - wtrącił chłopczyk.

- Nie... Mnie się podoba ta o Szmaragdowym Grodzie... - powiedziała Tania uśmiechając się szczerbatą buzią.

- Ale przecież opowiadałem wam ją wczoraj. Może o tym, jak Hanza wojowała z Czerwonymi?

- O Szmaragdowym Grodzie, o Szmaragdowym Grodzie! - zawołali oboje.

- No dobrze - zgodził się stary. - Hen daleko na Linii Sokolniczeskiej, za siedmioma pustymi stacjami, za trzema zburzonymi mostami, za tysiącem tysięcy podkładów kolejowych

leży czarodziejskie podziemne miasto. Miasto jest zaczarowane i zwykli ludzie nie mogą do niego wejść. Mieszkają w nim czarodzieje i tylko oni potrafią wychodzić za bramy miasta i wracać do środka. A nad nim, na powierzchni ziemi, stoi ogromny, potężny zamek z wieżami, w którym kiedyś mieszkali ci mądrzy czarodzieje. Zamek ten nazywa się...

- Wersytet! - zawołał chłopiec i spojrzał triumfalnie na siostrę.

- Uniwersytet - potwierdził Homer. - Kiedy doszło do wielkiej wojny i na ziemię zaczęły spadać rakiety nuklearne, czarodzieje zeszli do swojego grodu i zaczarowali wejście, żeby nie trafili do nich źli ludzie, którzy wywołali wojnę. I mieszkają tam... - zaciął się i umilkł.

Helena stała oparta o futrynę drzwi i słuchała; Homer nawet nie zauważył kiedy wyszła na korytarz.

- Spakuję ci plecak - powiedziała zachrypniętym głosem.

Stary podszedł do Heleny i wziął ją za rękę. Objęła go niezręcznie, wstydząc się cudzych dzieci, i spytała:

- Wrócisz szybko? Wszystko będzie z tobą w porządku?

I Homer po raz tysięczny w swoim długim życiu dziwił się nieprzeparłej kobiecej miłości do obietnic - nieważne czy można je wypełnić, czy nie - powiedział:

- Wszystko będzie w porządku.

- Tacy już jesteście starzy, a całujecie się jak państwo młodzi - dziewczynka zrobiła niezyczliwą minkę.

- A tata powiedział, że to nieprawda i nie ma żadnego Szmaragdowego Grodu - nieprzyjemnym głosem oznajmił na koniec chłopczyk.

- Może i nie ma - wzruszył ramionami Homer. - W końcu to bajka. Ale jak mamy żyć bez bajek?

Rzeczywiście, potwornie słabo było słyhać. Głos, który przebijał się przez trzaski i szумы wydał się Istominowi mgliście znajomy - przypominał jednego ze zwiadowców z grupy wysłanej na Sierpuchowską.

- Na Tulskiej... Nie możemy... Tulskiej... - próbował coś przekazać głos.

- Zrozumiałem, jesteście na Tulskiej! - krzyknął do słuchawki Istomin. - Co się stało? Dlaczego nie wracacie?

- Tulskiej! Tutaj... Nie wolno... Przede wszystkim nie wolno... - Koniec zdania zagłuszyły przekłete zakłócenia.

- Czego nie wolno? Powtórz, czego nie wolno?!

- Nie można szturmować! W żadnym wypadku nie szturmujcie! - nieoczekiwanie

wyraźnie przemówiła słuchawka.

- Dlaczego? Co za diabelstwo się tam u was wyczynia? Co się dzieje?! - krzyknął naczelnik.

Jednak głosu nie było już słycać; wszystko przykryła gruba warstwa szumu, a potem słuchawka zamarła. Ale Istomin nie chciał w to wierzyć i nie mógł wypuścić jej z rąk.

- Co tam się dzieje?!

Rozdział 3

Po życiu

Homer pomyślał, że na całe życie zapamięta spojrzenie wartownika, który zegnał ich na ostatnim posterunku na północy. Tak patrzy się na ciało pokonanego bohatera, kiedy warta honorowa salwą oddaje mu po raz ostatni cześć - z zachwytem i smutkiem. Żegnając się na zawsze.

Takie spojrzenia nie były przeznaczone dla żywych. Homer poczuł się, jakby wchodził po chyboliwych schodkach do kabiny kruchej samolotki, którym nie da się wylądować, przeobrażonej przez zdradliwych japońskich konstruktorów w maszynę piekielną. Słony wiatr szarpał sztandarem z imperialnym słońcem, na pasie startowym uwijali się mechanicy, warczały włączane silniki, a w oczach brzuchatego generała z palcami przyłożonymi do otoka czapki skrzyła się samurajska zazdrość...

- Coś ty taki wesoły? - ponuro spytał rozmarzonego staruszką Ahmed.

W odróżnieniu od Homera, nie pchał się, żeby jako pierwszy zobaczyć, co się wyprawia na Sierpuchowskiej. Na peronie została jego milcząca żona: trzymała za rękę starszego synka, a drugą ostrożnie przyciskała do piersi płaczące zawiniątko.

- To jakby iść wyprostowanym i szarżować na karabiny maszynowe - atak psychologiczny. Taka rozpaczliwa bezczelność. Czeka nas „śmiertelny ogień"... - spróbował wyjaśnić Homer.

- Dobrze nazwali ten twój atak - burknął Ahmed, oglądając się za siebie na maleńki punkcik światła u wylotu tunelu. - Dokładnie dla takich psychicznych jak ty. Normalny człowiek nie pójdzie dobrowolnie na cekaem. Nikt takiego bohaterstwa nie potrzebuje.

- Widzisz, chodzi o to... - nie od razu odparł stary. - Kiedy czujesz, że czas na ciebie, zaczynasz się zastanawiać: udało mi się coś zdziałać? Nie zapomną mnie?

- Co do ciebie, to pewności nie mam. A ja mam dzieci. One na pewno mnie nie zapomną... Przynajmniej starszy - po chwili milczenia ciężko dodał tamten.

Homer poczuł się dotknięty i chciał się odgryźć, ale ostatnie słowa Ahmeda wybiły go z rytmu. Miał rację: to jemu, staremu, bez dzieci, łatwo ryzykować swoją nadgryzioną przez mole skórą, a ten chłopak idący przed nim ma zbyt długie życie przed sobą, by troszczyć się o nieśmiertelność. Za ich plecami została ostatnia latarnia - szklana kula z żarówką w środku,

umieszczona w drucianej siatce i pełna przypalonych much i skrzydlatych karaluchów. Chitynowa masa ledwie zauważalnie drgała: niektóre owady jeszcze żyły i próbowały się wydostać, jak niedobici skazańcy, zwaleni do wspólnego dołu razem z resztą rozstrzelanych.

Homer mimowolnie stanął na chwilę w drżącej, zamierającej plamie słabego żółtego światła, które wyciskała z siebie ta lampa-grobowiec. Nabrał powietrza i pograżył się w ślad za pozostałymi w atramentową ciemność rozlaną od granic Sewastopolskiej aż do Tulskiej; jeśli oczywiście taka stacja wciąż jeszcze istniała.

Wrośnięta w granitowe płyty posadzki ponura kobieta z dwójką małych dzieci nie była jedyną żegnającą osobą na opustoszałym peronie. Nieopodal, odprowadzając odchodzących wzrokiem, zmarł jednooki grubas z barami zapaśnika, a krok za nim cicho rozmawiał z ordynansem zasuszony starzec w wojskowej bosmance.

- Pozostaje nam tylko czekać - przesuwając z roztargnieniem zgasty niedopałek z jednego kącika ust w drugi podsumował Istomin.

- Ty sobie czekaj, a ja zajmę się swoimi sprawami - odrzekł z uporem pułkownik.

- Mówię ci, to był Andriej. Dowódca ostatniego wysłanego zwiadu - Władimir Iwanowicz jeszcze raz wsłuchał się w głos ze słuchawki telefonu, który wciąż natarczywie dźwięczał mu w głowie.

- I co teraz? Może zmusili go torturami, żeby to powiedział. Specjaliści znają różne sposoby - podniósł brwi starzec - Nie wydaje mi się - naczelnik pokręcił głową w zadumie. - Gdybyś słyszał, jak on to mówi. Tam się dzieje coś innego, niewyjaśnionego. Szarżą kawalerii tego nie załatwisz...

- Wyjaśnię ci to raz, dwa - zapewnił go Denis Michajłowicz. - Tulska zdobyli bandyci. Urządzili zasadzkę, niektórych naszych zabili, resztę wzięli do niewoli. Nie odcięli prądu, bo sami z niego korzystają i nie chcą drażnić Hanzy. Ale odłączyli telefon. Co to za historia, że telefon raz działa, a raz nie?

- Miał taki głos... - jakby go nie słysząc, ciągnął swoje Istomin.

- Jaki tam głos?! - wybuchnął pułkownik zmuszając ordynansa, by grzecznie wycofał się na kilka kroków. - Jakby ci wsadzić szpilki pod paznokcie, to sam będziesz miał jeszcze lepszy! A jak się weźmie obcęgi, to w ogóle można bas przerobić na falset na całe życie!

Dla niego wszystko było już jasne, dokonał wyboru. Kiedy otrząsnął się z wątpliwości, znów poczuł, że siedzi pewnie w siodle i ręka sama szuka szabli, cokolwiek by tam jęczał Istomin.

Ten nie spieszył się z odpowiedzią, dając rozemocjonowanemu pułkownikowi czas, by

ochłonął.

- Poczekamy - powiedział wreszcie pojednawczo choć twardo.
- Dwa dni - starzec skrzyżował ręce na piersi.
- Dwa dni - kiwnął głową Istomin.

Pułkownik pokręcił się w miejscu i pomaszerował do koszar: nie miał zamiaru tracić cennych godzin. Dowódcy oddziałów uderzeniowych czekali na niego w sztabie już bitą godzinę, rozmieszczeni po obu stronach długiego drewnianego stołu. Puste były tylko krzesła na przeciwstawnych końcach: jego i Istomina. Ale tym razem trzeba będzie zacząć bez szefa.

Naczelnik nie zwrócił uwagi na odejście Denisa Michajłowicza.

- Zabawne jak zamieniliśmy się rolami, nie? - odezwał się Istomin, niby do niego, niby do samego siebie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, odwrócił się, natknął się na skonfundowany wzrok ordynansa i odprawił go machnięciem ręki.

„Pułkownik, który stanowczo odmawiał znalezienia choć jednego zbędnego żołnierza, zmienił się nie do poznania - myślał naczelnik. - Stary wilczur coś przeczuwa. Ale czy nie zawodzi go węch?”

Powonienie Istomina podpowiadało mu coś zupełnie innego: przycząć się. Czekać. Dziwny telefon tylko utwierdził go w złych przeczuciach: ich ciężka piechota stanęła na Tulskiej twarzą w twarz z przeciwnikiem tajemniczym, nie do pokonania.

Władimir Iwanowicz pogrzebał w kieszeniach, znalazł zapalniczkę i zapalił papierosa. I dopóki nad jego głową unosiły się poszarpane pierścienie dymu, nie ruszał się z miejsca i nie spuszczał wzroku z ciemnego wylotu tunelu, patrzył w niego jak zaczarowany, niczym królik w mamiącą paszczę węża dusiciela.

Kiedy dopalił do końca, znów pokręcił głową i pokuśtykał do siebie. Wynurzywszy się z ciemności, w ślad za nim podążył ordynans.

Dał się słyszeć głuchy szcęk i żebrowe sklepienie tunelu przed nimi rozjaśniło się na odległość dobrych pięćdziesięciu metrów. Latarka Huntera rozmiarami i mocą bardziej przypominała reflektor. Homer cicho wypuścił powietrze: przez ostatnie minuty nie mógł pozbyć się głupiej myśli, że brygadier nie będzie używał światła, gdyż jego oczy świetnie sobie bez niego radzą.

Kiedy wkroczyli do ciemnego tunelu, Hunter zaczął jeszcze mniej przypominać normalnego człowieka, a zresztą w ogóle jakąkolwiek istotę ludzką. Jego ruchy nabrały

zwierzęcej miękkości i szybkości. Latarkę włączył pewnie tylko dla swoich towarzyszy, bo sam polegał bardziej na innych niż wzrok zmysłach. Zdjął hełm i uchem zwrócony w kierunku tunelu często nasłuchiwał, a czasem nawet nieruchomiał i, co wzmagało podejrzenia Homera, wciągał nosem pachnące rdzą powietrze.

Sunął bezszelestnie kilka kroków z przodu i nie odwracał się do pozostałych, jakby zapomniał o ich istnieniu. Ahmed, który rzadko miał wartę na południowym posterunku i nie był przyzwyczajony do dziwactw brygadiera, szturchnął starego w bok - co z nim jest? Ten tylko rozłożył ręce: żeby to się dało wyjaśnić w dwóch słowach...

Dlaczego on w ogóle ich wybrał? Zdawało się, że Hunter czuł się w tutejszych tunelach wyraźnie pewniej niż Homer, któremu sam niby przydzielił rolę tubylca-przewodnika. A przecież stary, gdyby go spytać, mógłby wiele opowiedzieć o okolicy: i legend, i faktów, czasem dużo straszniejszych i bardziej potwornych od najbardziej niewiarygodnych bajek opowiadanych przez siedzących wokół samotnego ogniska wartowników.

Miał w głowie własny plan metra, bez porównania lepszy od tego, który należał do Istomina. Tam, gdzie u naczelnika stacji ziała pustka, Homer swoimi notatkami mógłby wypełnić całą wolną przestrzeń. Pionowe szyby, otwarte bądź zamknięte na głucho pomieszczenia służbowe, pajęcza sieć korytarzy między liniami. Na jego planie między Czortanowską a Juzną - następną stacją licząc od Sewastopolskiej - na linii wyrastało rozgałęzienie, które rozszerzało się w gigantyczną butlę zajezdni „Warszawskiej”, oplecioną niczym żyłkami dziesiątkami odstożników. Zajezdnia, ze swoim kultem pociągów, była dla Homera miejscem mrocznym i mistycznym, czymś w rodzaju cmentarzyska słoni. Stary mógł o niej mówić godzinami - gdyby tylko znaleźli się słuchacze, którzy zechcieliby mu wierzyć. Odcinek między Sewastopolską a Nachimowskim Prospektem Homer uważał za nader ciężki. Reguły bezpieczeństwa i zwyczajny zdrowy rozsądek nakazywały trzymać się razem, posuwać się powoli i ostrożnie, uważnie badając ziemię i ściany przed sobą. I nawet w tym tunelu, gdzie wszelkie dziury i szczeliny były potrójnie zamurowane i zaplombowane przez sewastopolskich inżynierów, w żadnym wypadku nie wolno było zostawiać wolnych tyłów.

Mrok, rozcięty przez światło latarki, zrastał się od razu za ich plecami, słychać było echo ich kroków odbijające się od niezliczonych metalowych pierścieni, i gdzieś w oddali tęsknie wył schwycony w szyby wentylacyjne wiatr. Zbierając się powoli w szczelinach sufitu spadały w dół wielkie, gęste krople - być może była to tylko woda, ale Homer starał się ich unikać. Tak na wszelki wypadek.

W dawnych czasach, kiedy na powierzchni żyło jeszcze swym gorączkowym życiem rozdęte do potwornych rozmiarów miasto, a metro zdawało się niespokojnym mieszcuchom

jedynie bezdusznym środkiem komunikacji - już wtedy młody jeszcze Homer, na którego wszyscy mówili po prostu Kola, z latarką i metalową skrzynką z narzędziami przemierzał jego tunele.

Ścieżki te były dla zwykłych śmiertelników zamknięte; im było przeznaczone tylko półtorej setki błyszczących czystością marmurowych holów i obklejone pstrokatymi reklamami ciasne wagony. Spędzając codziennie po dwie-trzy godziny w huczących i kołyszających się pociągach, miliony ludzi nie miały świadomości, że wolno im zobaczyć ledwie dziesiątą część niewiarygodnie wielkiego podziemnego królestwa. I żeby nie zastanawiali się nad jego prawdziwymi rozmiarami, nad tym, dokąd prowadzą te niepozorne drzwi i żelazne zapory, ciemne odnogi tuneli i zamknięte na wieczny remont przejazdy, odwracano ich uwagę błyszczącymi, aż oczy bolały, obrazkami, wyzywająco głupimi sloganami i drewnianymi głosami reklam, od których nie można było uciec nawet na schodach ruchomych. Tak przynajmniej wydawało się samemu Koli, po tym jak zaczął wnikać w sekrety tego państwa w państwie.

Banalny tęczyowy schemat sieci metra, który wisiał w wagonach, był po to, by uspokoić ciekawskich, że mają przed sobą obiekt wyłącznie cywilny. W rzeczywistości pomalowane w wesołe kolory linie były oplecione niewidocznymi pędami tajemnych tuneli, na których, niczym ciężkie grona, wisiały wojskowe i rządowe bunkry, a przejazdy łączyły się z labiryntem katakumb wykopanych pod miastem jeszcze w pogańskich czasach.

Kiedy Kola był bardzo młody, a jego kraj zbyt biedny, by rywalizować z innymi w sile i ambicjach, zaś Sądny Dzień wydawał się jakże daleki, przygotowane na jego nadejście bunkry i schrony pokrywał kurz. Ale wraz z pieniędzmi wróciły i dawne dążenia, a z nimi - ludzie o złych zamiarach. Ze zgrzytem otwarto pokryte już rdzą potężne żeliwne wrota, odnowiono zapasy żywności i leków, przywrócono do stanu gotowości filtry wody i powietrza.

I w samą porę.

Przyjęcie do pracy w metrze było dla niego, biedaka z prowincji, czymś na kształt wstąpienia do łoży masońskiej. Z pogardzanego bezrobotnego stawał się członkiem potężnej organizacji, szczerze opłacającej te skromne usługi, które potrafił jej świadczyć, i obiecując wtajemniczyć go w najskrytsze sekrety tego, jak urządzony jest świat. Pensja, którą obiecywało ogłoszenie o naborze, wydała się Koli bardzo kusząca, a wymagania wobec przyszłych dróżników były prawie żadne.

Dopiero dużo później, dzięki niechętnym wyjaśnieniom kolegów z pracy, zaczął

rozumieć, dlaczego metro musi nęcić pracowników wysokimi zarobkami i dodatkami za szkodliwe warunki. Rzecz kryła się nie w napiętym grafiku, czy w dobrowolnej rezygnacji ze światła dziennego. Nie, chodziło tu o zupełnie innego rodzaju zagrożenia.

Jako człowiek o sceptycznym umyśle, nie wierzył wszechobecnym ponurym plotkom o jakichś diabelskich sprawkach. Aż pewnego razu z obchodu krótkiego ślepego korytarza nie wrócił jego przyjaciel. Z jakiegoś powodu nikt nie zaczął go szukać - szef zmiany machnął ręką ze zniechęceniem - a w ślad za przyjacielem zniknęły bez śladu także wszystkie dokumenty potwierdzające, że kiedykolwiek pracował w metrze. Koli - jedynemu, który przez młodość i naiwność nijak nie mógł się pogodzić z jego zaginięciem - któryś ze starszych wyjaśnił wreszcie szeptem i oglądając się na boki, że jego przyjaciela „zabrali”. A więc kto, jak nie Homer, miał wiedzieć, że złe rzeczy działy się w moskiewskich podziemiach na długo przed tym, jak megalopolis wymarła, spalona tchnieniem Armagedonu...

Po stracie przyjaciela i kontakcie z wiedzą tajemną Kola mógłby się przestraszyć i uciec, rzucić tę pracę i znaleźć sobie inną. Stało się jednak tak, że jego związek z metrem z małżeństwa z rozsądku przeistoczył się w historię miłosną. Nasyciwszy się pieszymi wędrówkami po tunelach, przeszedł inicjację, został pomocnikiem maszynisty i zajął mocniejszą pozycję w skomplikowanej hierarchii metra.

Im bliżej zaznajamiał się z tym niezbadanym cudem świata, z tym nostalgicznym wspomnieniem antycznego labiryntu, gigantycznym opuszczonym miastem, odwróconym do góry nogami i powielonym obrazem oryginału zakopanym w szarej moskiewskiej glebie, tym mocniej i bardziej żarliwie się w nim zakochiwał. Ten stworzony ludzką ręką. Tartar bezwzględnie zasługiwał na poezję prawdziwego Homera, w najgorszym razie na lekkie pióro Swifta, który dojrzałby w nim temat wspanialszy od Laputy... Lecz jego sekretnym wielbicielem i nieudolnym piewcą został tylko Kola. Nikołajew Nikołaj Iwanowicz. Niezły żart.

Zdawałoby się, że można kochać co najwyżej Gospodynię Góry Miedzianej¹, ale żeby kochać samą Górę Miedzianą? Jednak to ta miłość, jak się okazało odwzajemniona i zazdrosna, miała kiedyś zabrać Koli rodzinę, ale uratować mu życie.

Hunter zastygł tak nagle, że pochłonięty wspomnieniami Homer nie zdołał zmienić kierunku i z całym impetem wszedł brygadierowi w plecy. Ten nawet nie jęknął, odepchnął tylko starego od siebie i znów zamarł z opuszczoną głową, zwróciwszy w stronę tunelu swoje oszpecone

¹ *Gospodyni Góry Miedzianej* - baśń Pawła Bażowa oparta na motywach folkloru rosyjskiego (przyp. tłum.).

ucho. Niczym nietoperz, rysujący sobie obraz przestrzeni bez użycia wzroku, chwycił fale słyszalne tylko dla niego.

Homer poczuł coś innego: zapach Nachimowskiego Prospektu, zapach, którego z niczym nie dało się pomylić. Szybko tu jednak dotarli... Oby za tę łatwość, z jaką ich dotąd przepuszczono, nie trzeba było zapłacić. Jakby słysząc jego myśli, Ahmed ściągnął z ramienia automat i szcęknął bezpiecznikiem.

- Co tam jest? - odwróciwszy się do starego, mruknął nagle Hunter.

Homer uśmiechnął się do siebie: kto wie, kogo tam licho przyniosło... W otwartą na oścież bramę Nachimowskiego, jak do leja, spływały najbardziej niewyobrażalne stwory. Lecz stacja miała też swoich stałych mieszkańców. Choć wydawali się całkiem niegroźni, staruszek żywił do nich specjalne uczucie: lepką mieszaninę strachu i obrzydzenia.

- Nieduże... Bezwłose - próbował ich opisać brygadier, i Homer więcej nie potrzebował: to oni.

- Ścierwojady - powiedział cicho.

Od Sewastopolskiej po Tulską, a może i w innych zakątkach metra to sztamkowe przekleństwo miało teraz inne, nowe znaczenie. Dosłowne.

- Drapieżniki? - spytał Hunter.

- Padlinożercy - niepewnie odparł stary.

Te ohydne stworzenia, podobne zarazem do pajaków i naczelnych, nie ryzykowały otwartych ataków na ludzi i żywiły się padliną, którą taszczyły z powierzchni na upatrzoną stację. Na Nachimowskim Prospekcie gnieździło się duże stado i wszystkie okoliczne tunele wypełniał mdło słodki smród rozkładu. Na samej stacji od jego natężenia zaczynało kręcić się w głowie i wielu, nie wytrzymując, zakładało maski przeciwgazowe jeszcze przed wejściem.

Homer, pamiętając doskonale o tej szczególnej właściwości Nachimowskiego Prospektu, pospiesznie wyciągnął z torby podróźnej kaganiec maski oddechowej i włożył go na twarz. Ahmed, który pakował się w pośpiechu, popatrzył na niego z zazdrością i zasłonił twarz rękawem: pełną od strony stacji wyziewy zaczęły ich powoli ogarniać, popędzając, zmuszając do ruszenia z miejsca.

Hunter jakby niczego nie poczuł.

- Jest tu coś trującego? Jakieś zarodniki? - dopytywał Homera.

- Zapach - ten krzyknął przez maskę i skrzywił się.

Brygadier przyjrzał się uważnie staremu, jakby próbując stwierdzić, czy sobie z niego nie żartuje, a potem wzruszył potężnymi ramionami.

- Normalny - i odwrócił się.

Złapał wygodniej swój krótki automat, przywołał ich gestem i miękkim krokiem ruszył dalej jako pierwszy. Już po pięćdziesięciu krokach do potwornego smrodu dołączyły ulotne, niezrozumiałe szepty. Homer otarł z czoła obfity pot i starał się uspokoić swoje galopujące serce. Byli bardzo blisko.

Wreszcie promień latarki coś wymacał... Starł ciemność z rozbitych reflektorów, ślepo wpatrzonych w pustkę, z zakurzonej przedniej szyby pokrytej siecią pęknięć, z uparcie nie chcącego rdzewieć granatowego obramowania... Przed nimi widniał pierwszy wagon pociągu, gigantycznego korka zatykającego szyjkę tunelu.

Kolejka była od dawna i beznadziejnie martwa, lecz za każdym razem, gdy Homer ją widział, jak mały chłopiec miał ochotę wdrapać się do zdewastowanej kabiny maszynisty, pogłaskać przyciski na desce rozdzielczej, zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że znów z pełną prędkością mknie tunelami, ciągnąc za sobą łańcuch jasno oświetlonych wagonów pełnych ludzi: czytających, drzemiących, gapiącym się w reklamy czy próbujących rozmawiać wśród hałasu silników...

”W przypadku nadania sygnału alarmowego »Atom« przenieść się do najbliższej stacji, tam się zatrzymać i otworzyć drzwi. Współpracować z siłami obrony cywilnej i wojskiem w celu ewakuacji rannych i hermetycznego zamknięcia stacji metra...”

Instrukcja opisująca to, co w Sądny Dzień mieli robić maszyniści, była ścisła i nieskomplikowana. Wypełniono ją wszędzie, gdzie okazało się to możliwe. Większość pociągów, po tym jak zamarła przy peronach stacji, pogrążyła się w letargu i została stopniowo rozkradziona na części przez mieszkańców metra, którym zamiast obiecanych kilku tygodni przyszło zostać w tym schronie na zawsze.

Tu i tam wagony zachowały się i były zamieszkałe, lecz Homerowi, który w pociągach zawsze widział rodzaj obdarzonej duszą żywej istoty, wydawało się to bluźnierstwem - zupełnie jakby ktoś wypchał swojego ukochanego kota. W miejscach nie nadających się do mieszkania, takich jak Nachimowski Prospekt, pociągi stały nadgryzane przez czas i wandalów, ale wciąż jeszcze całe.

Homer nijak nie mógł oderwać wzroku do wagonu, a w uszach, zagłuszając szmery i syki coraz wyraźniej dochodzące ze stacji, wyła mu przenikliwa syrena alarmowa i basowy ryk nadając nigdy dotąd nie słyszany sygnał: jeden długi - dwa krótkie: „Atom”!

...Przeciągły zgrzyt hamulców i wydany roztrzęsionym głosem komunikat w wagonach: „Szanowni pasażerowie, z przyczyn technicznych pociąg dalej nie pojedzie...”. Ani mruczący do mikrofonu maszynista, ani sam Homer, jego pomocnik, nie są jeszcze świadomi, jaką

beznadziejnością wieje od tych bezdusznych słów.

Ciężkie zgrzytanie hermetycznych blokad, na zawsze rozdzielających świat żywych i świat martwych. Według instrukcji wrota powinny być ostatecznie się zamknąć nie później niż sześć minut po nadaniu sygnału alarmowego, bez względu na to, ilu ludzi zostało po drugiej stronie życia. Do tych, którzy próbowali uniemożliwić zablokowanie wyjść, miano strzelać.

Czy sierżant, który pilnuje stacji przed bezdomnymi i pijakami, będzie potrafił strzelić w brzuch mężczyźnie, który próbuje powstrzymać ogromną żelazną maszynę, by jego żona ze złamanym obcasem zdążyła wbiec do środka? Czy siedząca przy bramkach bezczelna kobita w uniformie i kepi, która przez cały swój trzydziestoletni staż w metrze doskonalila się w dwóch sztukach: dmuchać w gwizdek i nie puszczać, zdoła nie wpuścić ciężko dyszącego staruszka z żalnymi baretkami orderów na piersi? Instrukcja przewidywała zaledwie sześć minut na to, by z człowieka zmienić się w maszynę. Albo w potwora.

...Pisk kobiet i pełne oburzenia krzyki mężczyzn, zapamiętały dziecięcy płacz. Trzaski pistoletów i grzechoczące serie z karabinów. Odtwarzane przez każdy głośnik, czytane beznamyślnym metalicznym głosem wezwanie, by zachować spokój - odtwarzane, bo żaden człowiek, który by wiedział, co się dzieje, nie mógłby zachować zimnej krwi i mówić tego tak... obojętnie. „Prosimy nie ulegać panice...” Płacz, błaganie...

Kolejne strzały.

I równo sześć minut po ogłoszeniu alarmu, na minutę przed Armagedonem: donośne, żalobne uderzenie zwierających się połówek hermetycznych zapór. Soczyste trzaski zasuw. Cisza.

Jak w grobowcu.

Wagon trzeba było obejść wzdłuż ściany - maszynista zbyt późno zahamował. Być może jego uwagę odciągnęło to, co działo się w tamtym momencie na peronie... Na górę weszli po stalowych schodkach i po chwili stali już w zadziwiającym, przestronnym holu. Nie było tu żadnych filarów, pojedynczy półokrągły strop z jajowatymi wgłębieniami na lampy. Sklepienie było ogromne, obejmowało peron i oba tory razem ze stojącymi na nich pociągami. Niesłychana wytworność konstrukcji: prostej, niebiańsko lekkiej, lakonicznej... Tylko nie patrzeć w dół, pod nogi, przed siebie.

Nie widzieć tego, czym teraz była ta stacja. Ten groteskowy cmentarz, gdzie nie można zaznać spokoju, te ohydne jatki, zawalone obgryzionymi szkieletami, gnijącymi tuszami, oderwanymi kawałkami jakichś ciał. Wstrętne stwory chciwie znosiły tu wszystko, co mogły

znaleźć w obrębie swoich rozległych terenów, więcej niż mogły od razu pożreć, na zapas. Zapasy te psuły się i rozkładały, ale mimo to stwory je gromadziły, gromadziły bez końca.

Zwały martwego mięsa wbrew wszelkim prawom natury ruszały się, jakby oddychając, i zewsząd rozlegał się ohydny dźwięk zgrzytania. Światło latarki uchwyciło jeden z dziwacznych kształtów: długie węzłowate kończyny, sflaczała, wisząca w fałdach, bezwłosa, szara skóra, wykrzywione plecy... Łypiące na nich mętne, ślepe oczy... Żyjące własnym życiem ogromne ruchliwe małżowiny uszne.

Stwór wydał ochryply krzyk i niespiesznie uciekł w kierunku otwartych na oścież drzwi wagonu, przebierając wszystkimi czterema ni to nogami, ni rękami. Z pozostałych stert mięsa równie leniwie zaczęła złazić reszta ścierwojadów, sycząc i chlipiąc z niezadowoleniem, szczerząc zęby i gryząc się nawzajem.

Wyprostowane ledwo sięgały do piersi nawet niewysokiemu Homerowi, który na dodatek świetnie wiedział, że tchórzliwe stwory nie będą atakować silnego, zdrowego człowieka. Jednak irracjonalny strach, który odczuwał wobec tych stworzeń, pochodził z jego sennych koszmarów: słaby i porzucony leżał na opuszczonej stacji, a bestie podchodziły coraz bliżej. Jak rekiny w oceanie z wielu kilometrów czują zapach kropli krwi, tak te stwory wyczuwały zbliżającą się do kogoś śmierć i biegły, by być jej świadkami.

Starcze lęki, mówił sobie z pogardą Homer, który w swoim czasie naczytał się podręczników do psychologii stosowanej. Gdyby to tylko pomagało.

Ścierwojady nie bały się jednak ludzi: trawienie nabożów na odpychających, ale w sumie nieszkodliwych padlinożerców uznano by na Sewastopolskiej za karygodne marnotrawstwo. Przechodzące tamtędy karawany starały się nie zwracać na nie uwagi, chociaż bywało, że ścierwojady zachowywały się bezczelnie.

Namnożyło się ich tu mnóstwo i w miarę jak oddział zapuszczał się dalej, miażdżąc z ohydym chrzęstem rozsypane na ziemi drobne kosteczki, wciąż nowe stwory niechętnie przerywały ucztę i rozbiegały się do swych kryjówek. Gnieździły się w pociągach, za co Homer nienawidził je jeszcze bardziej.

Zapory na Nachimowskim Prospekcie były podniesione. Uważano, że przy szybkim przejściu przez Prospekt dawka promieniowania była nieduża i nie zagrażała zdrowiu, nie wolno jednak było się tu zatrzymywać. Dlatego też oba pociągi zachowały się we względnie dobrym stanie: szyby były całe, przez otwarte drzwi widać było zapaskudzone siedzenia, granatowa farba ani myślała schodzić z metalowych boków wagonów.

Pośrodku holu wznosił się istny kurhan złożony z poskręcanych szkieletów nieznanych stworzeń. Zrównawszy się z nim Hunter nagle się zatrzymał. Ahmed i Homer rozejrzeli się z

przestrachem, starając się dostrzec, skąd może pochodzić zagrożenie. Jednak powód tego postępu okazał się inny.

U podnóża kurhanu, smacznie chrupiąc i mlaskając, dwa niewielkie ścierwojady obgryzały szkielet psa. Nie zdążyły się schować: albo zbyt pochłonięte ucztą nie usłyszały sygnałów swoich pobratymców, albo nie potrafiły przezwyciężyć żarłoczności.

Mrużąc oczy w ostrym świetle latarki brygadiera, stwory, wciąż przeżuując, zaczęły powoli wycofywać się do najbliższego wagonu, lecz nagle jeden po drugim fiknęły kozła i głucho, jak dwa worki z podrobami, plasnęły o ziemię.

Homer ze zdziwieniem patrzył na Huntera, który chował do kabury pod pachą ciężki wojskowy pistolet, wydłużony dodatkowo przez walcowaty tłumik. Twarz miał nieprzeniknioną, martwą, jak zawsze.

- Widać były bardzo głodne - burknął pod nosem Ahmed, z pełnym obrzydzenia zainteresowaniem przyglądając się ciemnym kałużom wyciekającym ze zgruchotanych czaszek zabitych stworów.

- Ja też - odezwał się nagle niewyraźnie brygadier sprawiając, że Homer się wzdrygnął.

Nie oglądając się na pozostałych, Hunter ruszył naprzód, a staremu wydało się, że znów słyszy chciwe pomruki. Z jakim trudem sam za każdym razem zwalczał pokusę, by wystrzelić w te gadziny kulę! Przekonywał sam siebie, uspokajał i w końcu mu się udawało, dowodził sobie, że jest człowiekiem dojrzałym, który potrafi okiełznać swoje koszmary, nie dać im pozbawić się rozsądku. Najwidoczniej Hunter nie zamierzał walczyć ze swoimi pragnieniami.

Ale co to były za pragnienia?

Bezglębna śmierć dwóch członków stada dała ostrogę pozostałym trupojadom: kiedy poczuły świeżą śmierć, nawet najodważniejsze i najleniwsze z nich uciekły z peronu, ledwo słyszalnie chrypiąc i skomląc. Wcisnęły się do obu pociągów, oblepiły okna, stłoczyły się w drzwiach wagonów i ucichły.

Stwory nie przejawiały złości ani pragnienia zemsty czy odparcia ataku. Gdy oddział opuści stację, szybko pożrą swoich zabitych krewniaków. „Agresja jest cechą drapieżników - pomyślał Homer. - Ci, którzy żywią się padliną, nie potrzebują jej, bo nie muszą zabijać. Wszystko, co żyje, wcześniej czy później umrze samo. Kiedy umrze, tak czy inaczej stanie się ich pożywieniem. Trzeba tylko poczekać”.

W świetle latarki, przez brudne zielonkawe szyby widać było przyciśnięte do nich z przeciwnej strony ohydne pyski, powykrzywiane ciała, szponiaste łapy, niespokojnie badające od środka to szatańskie terrarium. W całkowitym milczeniu setki par wyblakłych oczu nie

odstępowały na krok mijającego je oddziału, a głowy obracały się niesamowicie synchronicznie, odprowadzając go długim, uważnym spojrzeniem. Tak zamknięte w słojach z formaliną potworki patrzyłyby na ludzi zwiedzających gabinet osobliwości - gdyby ktoś przewidujący nie zaszył im powiek.

Mimo że zbliżał się czas zapłaty za grzechy, Homer wciąż nie umiał się przekonać do wiary czy to w Boga, czy w diabła. Lecz gdyby istniał czyściec, dla staruszka przyjąłby właśnie taką formę. Syzyf był zmuszony do walki z ciężeniem, Tantal skazany na męczarnie niezaspokojonego głodu. Zaś na Homera na stacji jego śmierci czekał pomięty uniform maszynisty i ten potworny pociąg widmo z ohydny jak gargulce pasażerami, naigrawanie się mściwych bogów. I po odjeździe kolejki z peronu, tunel, jak w jednej ze starych legend metra, zapętlił się jak wstęga Moebiusa, jak smok pożerający własny ogon.

Huntera przestała interesować stacja i jej mieszkańcy. Oddział przebył resztę holu szybkim krokiem: Ahmed i Homer ledwo nadążali za wyrwijającym do przodu brygadierem.

Starego korciło, żeby się odwrócić, krzyknąć, wystrzelić - spłoszyć ten rozzuchwalony gatunek, odegnąć ciężkie myśli. Lecz zamiast tego dreptał z opuszczoną głową i koncentrował się na tym, by nie nadepnąć na jakieś gnijące szczątki. Spochmurniał też Ahmed, pochłonięty własnymi myślami. W tej ich panicznej ucieczce z Nachimowskiego Prospektu nikt już nie zamierzał rozglądać się dookoła.

Plama światła latarki Huntera przesuwiała się gorączkowo z boku na bok, jakby podążała za jakimś niewidzialnym akrobatą pod kopułą tego złowieszczy cyrku, ale brygadier też nie zwracał już uwagi na to, co wyłapywała z ciemności.

W smudze światła na ułamek sekundy błysnęły i natychmiast zniknęły przez nikogo nie zauważone świeże kości i nie całkiem jeszcze obgryziona czaszka - czaszka zdecydowanie ludzka. Obok wałały się niepotrzebne skorupy metalowego wojskowego hełmu i kamizelki kuloodpornej.

Na oblaźłej zielonej stali widniał odmalowany z szablonu białą farbą napis: „Sewastopolska”.

Rozdział 4

Sploty

- Tato... Tato, to ja, Sasza!

Ostrożnie rozwiązała brezentowy sznureczek wpinający się w strasznie spuchnięty podbródek i zdjęła ojcu hełm. Wsunęła palce w jego przepocone włosy, uniosła gumkę, ściągnęła i rzuciła za siebie maskę przeciwgazową przypominającą zmięty, martwo-szary skalp. Pierś ciężko mu się podnosiła, palce drapały granit posadzki, wodniste oczy patrzyły na nią bez mrugania. Nie odpowiadał.

Sasza podłożyła mu pod głowę plecak i rzuciła się do wrót. Oparła się chudziutkim ramieniem o ogromne skrzydło bramy, zrobiła głęboki wdech i zazgrzytała zębami. Wielotonowy blok żelaza, niechętnie się poddając, ruszył, i ze stęknieniem wrócił na miejsce. Sasza szczęknęła zasuwą i osunęła się na ziemię. Minuta, tylko jedna minuta - złapie oddech i zaraz do niego wróci.

Za każde kolejne wyjście jej ojciec płacił wyższą cenę, a skąpy łup, z którym wracał, nie mógł wynagrodzić straconych sił. Na te wyprawy poświęcał resztkę swojego życia: nie dni, a całe tygodnie, miesiące. Było to marnotrawstwo wymuszone: jeśli nie będą mieli niczego na sprzedaż, pozostanie im tylko zjeść swojego oswojonego szczura - jedyne na tej zakazanej stacji, a potem strzelić sobie w łeb.

Sasza chciała zastąpić ojca. Tyle razy prosiła go o aparat oddechowy, żeby samej wyjść na powierzchnię, ale tata był nieustępliwy. Dobrze wiedział, że z dziurawej maski przeciwgazowej z dawno zapchanymi filtrami nie ma więcej pożytku niż z jakiegokolwiek innego talizmanu. Lecz nigdy się jej do tego nie przyznał. Kłamał, że potrafi czyścić filtry, kłamał, że dobrze się czuje nawet po godzinnym „spacerze”, kłamał, że chce po prostu pobyc sam, kiedy bał się, że zobaczy, jak wymiotuje krwią.

Nie w mocy Saszy było cokolwiek zmienić. Zagnali ją i ojca w ten kąt i nie dobili bardziej z podszytej szyderstwem ciekawości, niż z litości. Myśleli, że nie wytrzymają nawet tygodnia, ale ojcu starczyło woli i hartu ducha na lata. Nienawidzili ich i pogardzali nimi, ale regularnie dokarmiali - rzecz jasna nie za darmo.

W przerwach między wyprawami, w tych rzadkich momentach, kiedy siedzieli we dwoje przy wątlm, dymiącym ognisku, ojciec lubił rozprawiać o tym, co było kiedyś. Już parę lat

wcześniej zrozumiał, że nie ma sensu się okłamywać: nie ma przed nim żadnej przyszłości. Za to przeszłości nie zabierze mu już nikt.

„Kiedyś miałem oczy takiego koloru, jak twoje - mówił jej ojciec - Koloru nieba”. I Saszy wydawało się, że pamięta te dni - dni, kiedy gruczoł tarczycy jeszcze nie nabrzmiał mu na szyi do rozmiarów ogromnego wola, kiedy jego oczy jeszcze nie wyblakły i były tak intensywne, jak teraz jej.

Kiedy ojciec mówił „koloru nieba”, miał oczywiście na myśli lazurowe niebo, które żyło jeszcze w jego pamięci, a nie to kłębiące się purpurą, pod które trafiał wychodząc nocą na powierzchnię. Światła dziennego nie widział już od dobrych dwudziestu lat. Sasza nie widziała go nigdy. Tylko w snach, ale jak można stwierdzić, czy jej wyobrażenia były właściwe? Czy świat, który ludzie niewidomi od urodzenia widzą we śnie przypomina ten nasz? I czy choćby wtedy cokolwiek widzą?

Kiedy małe dzieci zamykają oczy, myślą, że ciemności pochłonęły cały świat. Myślą, że wszyscy pozostali wokół nich stają się w tym momencie ślepi, tak jak one. „Człowiek w tunelach jest bezsilny i naiwny jak te dzieci” - myślał Homer. Może cały czas uważać się za władcę świata i ciemności, i pstrykać swoją latareczką, ale nawet najbardziej nieprzenikniony mrok wokół może okazać się pełen widzących oczu. I teraz, po spotkaniu z padlinożercami, ta myśl nie mogła się od niego odczepić. Oderwać się, trzeba się od tego oderwać.

„Jakie to dziwne, że Hunter nie wiedział czego się spodziewać na Nachimowskim” - pomyślał Homer. Kiedy dwa miesiące temu brygadier pierwszy raz pojawił się na Sewastopolskiej, żaden z wartowników nie umiał wyjaśnić w jaki sposób człowiek tak potężnej postury mógł niezauważony minąć wszystkie posterunki w północnych tunelach. Dobrze, że dowódca nie zażądał potem od strażników, by mu to wyjaśnili.

Lecz jeśli nie przez Nachimowski Prospekt, to jak Hunter dostał się na Sewastopolską? Pozostałe drogi do wielkiego metra zostały dawno odcięte. Opuszczona Linia Kachowska była wykluczona - z wiadomych przyczyn już od wielu lat nie widziano tam żywego stworzenia. Czortanowska? Głupotą było przypuszczać, że nawet tak sprawny i bezlitosny komandos mógłby samotnie przebić się przez tę przeklętą stację, a i dostać się tam nie pokazawszy się najpierw na Sewastopolskiej było niemożliwością.

Po wykluczeniu północy, południa i zachodu, Homerowi pozostało tylko przyjąć, że tajemniczy gość przybył na ich stację z góry. Wszystkie znane wejścia i wyjścia na powierzchnię były, rzecz jasna, zamknięte na głucho i strzeżone, ale... Mógł na przykład otworzyć szyb wentylacyjny. Sewastopolczycy nie spodziewali się, że wśród wypalonych

ruin bloków z wielkiej płyty wciąż jeszcze może się objawić ktoś dość inteligentny, by odłączyć ich system sygnalizacji.

Bezkresna szachownica osiedli mieszkaniowych, zrytych spadającymi na miasto głowicami bojowymi, dawno opustoszała, porzucona przez ostatnich graczy kilkadziesiąt lat temu. Te potworne, przerażające figury, które teraz na nią przypełzały, rozgrywały nową partię już według własnych reguł. Człowiek nie miał nawet co marzyć o partii rewanżowej.

Krótkie wyjścia w poszukiwaniu wszelkich cennych rzeczy, które nie zdążyły zamienić się w próchno przez te ponad dwadzieścia lat, te pospieszne i wstydlive próby szabrowania we własnych domach - to było wszystko, na co ludziom starczało sił. Zakuci w zbroje ochronnych skafandrów stalkerzy wychodzili na powierzchnię, by po raz setny przeszukać szkielety pobliskich niewielkich bloków z czasów Chruszczowa, ale żaden z nich nie decydował się na otwartą walkę z ich obecnymi gospodarzami. Ledwo można było odgryźć się serią z automatu, przesiedzieć w zafajdanym przez szczury mieszkaniu, a jak tylko niebezpieczeństwo minie - na łeb na szyję rzucić się do zbawienego wejścia w podziemia.

Stare plany stolicy dawno straciły jakikolwiek związek z rzeczywistością. Tam, gdzie wcześniej przebiegały zatykające się kilometrowymi korkami arterie, teraz często ziały przepaście lub czerniała nieprzebyta gęstwina zarośli. Dzielnice mieszkalne zamieniły się w trzęsawiska lub wypalone, łyse placki ziemi. Najbardziej zdesperowani stalkerzy mieli odwagę, by badać powierzchnię ziemi w promieniu kilometra od własnej nory, pozostałym wystarczało o wiele mniej.

Leżące za Nachimowskim Prospektem stacje Nagorna, Nagatińska i Tulska nie miały własnych wyjść, a i ludzie, którzy zamieszkiwali dwie z nich, byli zbyt lękliwi, by wyprawiać się na powierzchnię. Skąd pośród tej głuszy mógł się wziąć żywy człowiek, było dla Homera prawdziwą zagadką. Mimo to wolał myśleć, że Hunter trafił na ich stację właśnie z powierzchni.

A to dlatego, że był jeszcze jeden możliwy kierunek, z którego mógł nadejść ich brygadier. Kierunek ten przyszedł staremu bezbożnikowi do głowy wbrew jego woli, kiedy starał się pohamować zadyszkę i nadażyć za zwawo, jakby bez dotykania ziemi prującą do przodu ciemną sylwetką.

Z dołu?

- Mam złe przeczucia - powiedział przeciągle Ahmed - dokładnie tak cicho, żeby usłyszał go Homer, a nie idący nieco dalej z przodu brygadier. - Wyruszyliśmy w złym momencie. Możesz mi wierzyć, tyle razy chodziłem z karawanami. Na Nagornej nie jest dziś dobrze...

Drobne szajki bandytów, odpoczywające pomiędzy napadami na ciemnych stacyjkach jak

najdalej od Linii Okrężnej, już od dawna nie ośmiały się zbliżyć do sewastopolskich karawan. Słyszając miarowy stukot podkutych butów, informujący o tym, że zbliża się ciężka piechota, bandyci mogli marzyć tylko o jednym: by jak najszybciej zejść im z drogi.

Nie, to nie z ich powodu, ani też czterorękich ścierwojadów z Nachimowskiego Prospektu, karawany były tak silnie chronione. Doskonałe wyszkolenie i odwaga, zdolność, by w ciągu sekundy zacisnąć się w stalową pięść i unicestwić dowolne dostrzeżone zagrożenie huraganowym ogniem karabinów czyniłyby sewastopolskie konwoje niepodzielnymi władcami tuneli od własnych posterunków do samej Sierpuchowskiej... Gdyby nie Nagorna.

Nachimowski Prospekt z jego straszidłami został za nimi, ale ani Homer, ani Ahmed nawet na chwilę nie poczuli ulgi. Nagorna, nieznaczna i niepozorna, stała się stacją końcową dla wielu podróżnych, którzy odnieśli się do niej bez należytej uwagi. Biedacy, którzy przypadkiem znaleźli się na sąsiedniej Nagatińskiej, kulili się jak najdalej od chciwej paszczy tunelu prowadzącego na południe, do Nagornej. Tak jakby mogło ich to uratować... Tak jakby to, co wychodziło na żer z południowego tunelu było zbyt leniwe, by zakraść się kawałek dalej i wybrać sobie ofiarę według smaku.

Idąc przez Nagorną trzeba było liczyć tylko na szczęście, bo stacja nie uznawała żadnych reguł. Raz w milczeniu pozwalała się przedostać, strasząc tylko śladami krwi na ścianach i żelaznych żłobkowanych kolumnach, tak jakby ktoś rozpaczliwie starał się po nich wdrapać jak najwyżej w nadziei na ratunek. A minutę później mogła zgotować następnej grupie takie przyjęcie, że utrata połowy towarzyszy, tym, którzy przeżyli, wydałaby się zwycięstwem.

Ona nie mogła się nasycić. Nie miała swoich faworytów. Nie poddawała się poznaniu. Nagorna zdawała się mieszkańcom wszystkich okolicznych stacji ucieleśnieniem przypadkowości losu. Była też główną próbą dla tych, którzy chcieli się dostać z Linii Okrężnej na Sewastopolską i odwrotnie.

- Sama Nagorna chyba by nie mogła tego wszystkiego zrobić - Ahmed, przesądny jak wielu innych sewastopolczyków, wołał mówić o tej stacji jak o żywym stworzeniu.

Homer nie potrzebował go dopytywać, uściślać - sam właśnie się zastanawiał, czy Nagorna mogła połknąć zaginione karawany i wszystkich zwiadowców wysłanych na poszukiwania.

- Różne rzeczy się zdarzały, ale żeby tyle ludu naraz przepadło... - przytaknął. - Udławiłaby się...

- Po co tak mówisz? - syknął na niego gniewnie Ahmed i machnął bezładnie ręką, czy może ledwo się opanował przed walnięciem starucha o długim jęzorze w łeb, o co się

wyraźnie prosił. - Tobą się na pewno nie udławi!

Homer zmilczał obrażony. Nie wierzył, że Nagorna mogła ich usłyszeć i się na nich rozgniewać. Przynajmniej nie na taką odległość... Przesady, wszystko to przesady! Czczenie wszystkich bożków podziemnego świata było zajęciem skazanym na niepowodzenie, zawsze komuś nadeptnie się na odcisk. Dlatego Homer dawno już przestał się przejmować, jednak Ahmed miał na ten temat własną opinię.

Wymacał w kieszeni kurtki różaniec z tępych nabożów do pistoletu, zakręcił w brudnej dłoni karuzelą z ołowianych bożków i zaczął ruszać ustami modląc się w swoim języku do Nagornej o darowanie Homerowi grzechów. Jak się jednak zdawało, stacja go nie rozumiała, albo na wybaczenie było już za późno.

Hunter, wyczuwając coś swoim nadnaturalnym zmysłem, machnął ukrytą w rękawicy dłonią, zwolnił i miękko opadł na ziemię.

- Widzę mgłę - rzucił wciągając nosem powietrze. - Co to jest?

Homer wymienił spojrzenie z Ahmedem. Obaj rozumieli, co to oznaczało: rozpoczęło się polowanie i ich niezwykłym sukcesem będzie teraz, jeśli do północnego krańca Nagornej dotrą żywi.

- Jakby ci to powiedzieć - odpowiedział niechętnie Ahmed - To jej oddech...

- Czyj? - sucho zapytał go brygadier i zrzucił z ramion plecak, najwidoczniej z zamiarem wybrania ze swojego arsenału odpowiedniego kalibru.

- Stacji Nagornej - przeszedł na szept tamten.

- Zobaczymy - skrzywił się pogardliwie Hunter.

Ale nie, Homerowi tylko się przywidziało, że sparaliżowana twarz brygadiera ożyła; w rzeczywistości pozostała nieruchoma, jak zawsze - to tylko światło tak na nią padło.

Po kolejnych stu metrach pozostali też to zauważyli: pełznącą im na spotkanie po ziemi ciężką białawą mgłę, z początku jakby smakującą ich buty, potem owiewającą im kolana, zalewającą tunel na wysokość pasa... Wchodzili jakby powoli w upiorne morze, zimne i nieczułe, z każdym krokiem schodząc coraz głębiej po myląco łagodnie opadającym dnie aż pogrążyli się całkowicie w jego mętnych wodach.

Widoczność była fatalna. Światło latarek wzięło w tych dziwnych oparach niczym muchy w pajęczynie: po przebyciu zaledwie kilku kroków traciło siły, wiotczało i zawisało w pustce - schwycone, ociążałe, uległe. Dźwięki dobiegały z trudem, jak przez watę, i nawet ruszać się było trudniej, tak jakby ich oddział rzeczywiście kroczył nie po podkładach kolejowych, a po mulistym dnie.

Oddychanie też stało się trudniejsze - jednak nie przez wilgoć, a przez nietypowy cierpki posmak tutejszego powietrza. Nie miało się ochoty wpuszczać go do płuc: nie opuszczało ich poczucie, że faktycznie pochłaniali oddech czegoś ogromnego, obcego, co wyciągnęło z powietrza cały tlen i nasyciło je swoimi trującymi wyziewami.

Homer na wszelki wypadek znów wsunął twarz w aparat oddechowy. Hunter rzucił mu spojrzenie, wsunął rękę do płóciennej torby, którą miał pod pachą, poluzował opaskę i do swojej zwykłej maski przyczepił drugą, gumową. Bez maski przeciwgazowej został tylko Ahmed, który czy to nie zdążył wziąć jej ze sobą, czy to zlekceważył sprawę...

Brygadier znów zastygł i skierował swoje poszarpane ucho w stronę Nagornej, lecz gęsta biała mgła przeszkadzała mu w rozróżnieniu dochodzących do stacji urywanych dźwięków i stworzenia z nich całego obrazu sytuacji. W pobliżu jak gdyby zważyło się na ziemię coś ciężkiego, coś wydało przeciągłe stęknienie, zbyt niskie jak na człowieka, a nawet jakiegokolwiek zwierzę. Histerycznie zazgrzytało żelazo, tak jakby czyjaś ręka skręcała w supeł jedną z grubych rur biegnących wzdłuż ścian.

Hunter potrząsnął głową, niby strząsając z siebie przyklejone błoto, i w miejsce krótkiego pistoletu maszynowego w jego rękach pojawił się wojskowy kałasznikow z podwójnym magazynkiem i podczepionym pod lufę granatnikiem.

- Nareszcie - mruknął pod nosem.

Nie od razu zdali sobie sprawę, że weszli na właściwą stację. Nagorna była spowita mgłą, gęstą jak świńskie mleko, i patrzącemu na nią przez zaparowane szkiełka maski przeciwgazowej Homerowi zdawało się, że jest pletwonurkiem, który znalazł się na pokładzie zatopionego transoceanicznego liniowca.

Podobieństwa dopełniały zdobiące ściany tłoczone reliefy: morskie mewy wyżłobione w metalu z surową i niewyszukaną sowiecką sztaampą. Najbardziej przypominały odciski zwierząt kopalnych odkryte w rozłupanej skale. „Skamieliny: tyle zostanie z człowieka i jego dzieł - przemknęło Homerowi przez głowę. - Tylko kto to tutaj odkopie?"

Otaczające ich opary żyły: przelewały się, drgały. Czasem wyłaniały się z nich ciemne zgęstnienia - z początku wyglądały jak skorodowany wagon czy pordzewiała budka strażnika, potem pokryty łuską tułów lub głowa mitycznego potwora. I Homerowi strach było sobie nawet wyobrazić, kto mógł przejąć kubryki i upatrzeć dla siebie kajuty pierwszej klasy kilkadziesiąt lat po katastrofie. Wiele słyszał o tym, co działo się na Nagornej, ale nigdy nie zetknął się twarzą w twarz z...

- Jest! Tam, z prawej! - wrzeszczał Ahmed szarpiąc starego za rękaw.

Zabrzmiał przygaszony przez tłumik własnej roboty strzał.

Homer obracał się w miejscu z niedopuszczalną dla swojego reumatyzmu szybkością, ale otepiała latarka oświetliła tylko kawałek pokrytej metalem żłobkowanej kolumny.

- Z tyłu! Jest za nami! - Ahmed puścił krótką serię.

Jego kule kruszyły jednak tylko resztki marmurowych płyt, którymi niegdyś wyłożono ściany stacji. Coś, czego zarysy Ahmed dostrzegł w lepkim mroku, rozplynęło się w nim bez szwanku.

„Nawdychał się i ma zwidy” - pomyślał Homer.

I wtedy kątem oka zauważył coś... Coś gigantycznego, garbiącego się pod zbyt niskim czterometrowym sklepieniem stacji, niewiarygodnie szybkiego jak na swoje kolosalne rozmiary, co wynurzyło się z mgły na samej granicy widzialności i pogrzyżyło w niej z powrotem, zanim stary zdążył wycelować karabin.

Homer obejrzał się bezradnie na brygadiera...

Nigdzie go nie było.

- To nic. To nic. Nie bój się - robiąc przerwy między słowami by odpocząć pocieszał ją ojciec

- Wiesz... Gdzieś w metrze są ludzie, którym jest teraz dużo straszniej...

Spróbował się uśmiechnąć - wyszło to przerażająco, jakby szczeka oddzieliła mu się od głowy. Sasza uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale po jej ostro zarysowanym, umazanym sadzą policzku spłynęła słona kropla. Ojciec przynajmniej doszedł do siebie - po kilku długich godzinach, podczas których zdążyła już wszystko przemyśleć.

- Wybacz mi, tym razem zupełnie mi się nie udało - mówił. - Postanowiłem jednak dotrzeć do garaży. Okazało się, że to kawałek drogi. Znalazłem jeden nienaruszony. Zamek ze stali nierdzewnej, naoliwiony. Nie udało mi się go rozwalić... podczepiłem ładunek, już ostatni. Miałem nadzieję, że będzie samochód, części. Odpaliłem, otwieram - pusto. Zupełnie nic. Po co zamykali, dranie? A ile huku... Modliłem się, żeby nic nie usłyszało. Wychodzę z garażu - dookoła psy. Myślałem, koniec... Myślałem, koniec.

Ojciec opuścił powieki i zamilkł. Przerazona Sasza schwyciła go za rękę, ale tata nie otwierając oczu pokręcił głową - nie martw się, wszystko w porządku. Nie starczało mu nawet sił, żeby mówić, a chciał zdać relację, musiał wyjaśnić, dlaczego wrócił z pustymi rękami, dlaczego przez najbliższy tydzień, póki nie stanie na nogi, będą żyć w biedzie. Nie zdążył, zapadł w sen.

Sasza sprawdziła opatrunek na jego poszarpanej goleni, przesiąknięty już czarną krwią, zmieniła rozgrzany kompres. Wyprostowała się, podeszła do domku szczura, otworzyła

drzwiczki. Zwierzątko nieufnie wyjrzało na zewnątrz, schowało się, ale potem zrobiło Saszy uprzejmość i wyszło na peron rozprostować kości. Intuicja nigdy szczura nie zawodziła: w tunelach wszystko było w porządku. Uspokojona dziewczyna wróciła do legowiska.

- Na pewno wstaniesz, znów będziesz chodził - szeptala ojcu. - I znajdziesz garaż, w którym będzie cały samochód. I wyjdziemy razem na górę, wsiądziemy do niego i pojedziemy daleko stąd. Dziesięć, piętnaście stacji. Tam, gdzie nas nie znają, gdzie będziemy obcy. Gdzie nikt nie będzie nas nienawidził. Jeśli jest gdzieś takie miejsce...

Opowiadała mu czarodziejską bajkę, którą tyle razy od niego słyszała. Powtarzała słowo w słowo i teraz, kiedy sama wypowiadała tę starą ojcowską mantrę, wierzyła w nią sto razy mocniej. Będzie go pielęgnować, wyleczy go. Jest na tym świecie miejsce, gdzie nikogo nie będą obchodzić.

Miejsce, gdzie będą mogli być szczęśliwi.

- Tu jest! To ono! Patrzy na mnie!

Ahmed piszczał tak, jakby coś go już złapało i ciągnęło po ziemi; tak, jak nigdy nie pozwalał sobie krzyczeć. Znów gruchnęła i urwała się seria z automatu. Ahmed ostatecznie stracił swój zwykły spokój i trzęsąc się próbował włożyć do gniazda pełny magazynek.

- Ono mnie wybrało... Mnie...

Gdzieś nieopodal lakonicznie zaterkotał inny karabin, ucichł na moment i znów ledwo słyszalnie zagrały krótkie, trzystrzałowe serie. Hunter wciąż żył, czyli i oni mogli mieć nadzieję. Wystrzały to się zbliżały, to oddalały, ale nie dało się określić, czy pociski trafiały w cel. Homer na próżno wytężał słuch czekając na rozwścieczony ryk rannego monstrum. Stacja była pogrążona w ciężkiej ciszy; jej tajemniczy mieszkańcy zdawali się albo bezcieleśni, albo odporni na ciosy.

Brygadier prowadził teraz swoją dziwną walkę na drugim końcu peronu - to tam rozbłyskiwała i gasła przerywana linia ognia wytyczająca ślad kul. Upojony starciem z widmami pozostawił na pastwę losu swoich podopiecznych.

Homer wstrzymał oddech i podniósł wzrok. Chęć, by to zrobić nie opuszczała go już od dłuższej chwili, i wreszcie ostrożnie jej uległ. Skórą, czubkiem głowy, włoskami na karku zbyt mocno czuł na sobie spojrzenie - zimne, przytłaczające - i nie potrafił już oprzeć się swoim przecuciom.

Pod samym sufitem, wysoko nad ich głowami wisiała jeszcze jedna głowa. Tak ogromna, że Homer nie od razu uświadomił sobie, co w ogóle widzi. Ciało giganta pozostawało skryte w mrokach stacji i tylko jego potworny pysk kołysał się zwisając nad kruchymi ludzikami wystawiającymi przed siebie swoją beużyteczną broń, nie spiesząc się z atakiem, z jakiegoś

powodu dając im jeszcze kilka chwil.

Oniemiały ze strachu staruszek pokornie padł na kolana; żałośnie brzęknął o szynę wypuszczony z rąk automat. Ahmed zawył na całe gardło. Stwór niespiesznie ruszył naprzód i całą przestrzeń przed nimi wypełniło jego ciemne, wielkie jak góra ciało. Homer zamknął oczy, przygotowując się, żegnając...

I myślał, i żałował tylko jednego. Gryzła go i przesywała gorzka myśl: „Nie zdążyłem!”.

Lecz wtedy plunął ogniem granatnik, w uszy chlasnęła fala uderzeniowa, ogłuszając i zostawiając po sobie niekończący się wysoki świst, na ziemię spadły strzępy spalonego mięsa. Ahmed opamiętał się pierwszy, złapał starego za kołnierz, postawił na nogi i pociągnął za sobą.

Biegli przed siebie potykając się o deski podkładów kolejowych i znów wstając; nie czuli bólu. Trzymali się siebie nawzajem, bo w białawej mgłę nie było nic widać nawet na odległość wyciągniętej ręki. Mknęli, jakby groziła im nie zwykła śmierć, lecz coś nieskończenie straszniejszego - ostateczne, bezpowrotne odejście w niebyt, unicestwienie ciał i dusz.

Niewidoczne i prawie niesłyszalne, lecz trzymające się ledwie o krok demony podążały za nimi, odprowadzając ich, ale nie atakując, jakby się bawiąc, dając iluzję ratunku.

Potem łupany marmur ścian przeszedł w żebra tunelu: udało im się wydostać z Nagornej! I strażnicy stacji, naprężywszy do granic łańcuchy, na których byli uwiązani, zostali w tyle. Jednak było za wcześnie, by się zatrzymywać... Ahmed podążał jako pierwszy, łapiąc się biegnących wzdłuż ścian rur, wymacał drogę przed sobą i popędzał potykającego się starego, który co chwilę szukał okazji, by przysiąść - A co z brygadierem? - wychrypiął Homer, ściągając w biegu duszącą go maskę przeciwgazową.

- Wyjdziemy z mgły, to staniemy i poczekamy. To musi być niedaleko, już niedaleko! Ze dwieście metrów zostało... Wyjść z tej mgły. Najważniejsze to wyjść z mgły - Ahmed klepał swoje zaklęcia. - Będę liczył kroki...

Ani po dwustu, ani po trzystu krokach otulające ich opary nie zrzędyły. „A co, jeśli to coś dotarło do samej Nagatińskiej? - myślał Homer. - Co, jeśli pożarło też Tulska i Nachimowski?”

- Nie może być... Powinno... Jeszcze kawałek... - setny raz mruknął Ahmed i nagle znieruchomiał.

Homer wpadł na niego z rozpędu i obaj wywrócili się na ziemię.

- Ściana się skończyła - Ahmed obmacał deski, szyny, wilgotny, chropowaty beton,

jakby obawiał się, że ziemia za moment zdradziecko usunie mu się spod nóg, tak samo jak zniknął ten drugi punkt oparcia.

- Przecież jest tutaj, co z tobą? - Homer wymacał tubing tunelu, schwycił go i ostrożnie się podniósł.

- Wybacz... - Ahmed milczał przez chwilę zbierając myśli. - Wiesz, tam na stacji... Myślałem, że już nigdy z niej nie ucieknę. Tak na mnie patrzyło... Na mnie, rozumiesz? Postanowiło mnie zabrać. Myślałem, że zostanę tam na zawsze. I nawet grobu nie będę miał.

Słowa przychodziły mu ciężko, długo nie chciał ich wypowiadać, wstydził się swoich babskich pisków i próbował je usprawiedliwić, i wiedział, że żadnego usprawiedliwienia być nie może. Homer pokiwał głową.

- Daj spokój. Ja to w ogóle popuściłem w spodnie, i co mam teraz zrobić? Chodźmy, teraz już rzeczywiście powinniśmy być blisko.

Pościg odwołany, można złapać oddech. Zresztą nie mogli już dalej biec i brnęli teraz jak ślepcy, łapiąc się ścian, krok po kroku zbliżając do wybawienia. Największy strach zostawili w tyle i choć mgła na razie nie chciała ustąpić, to wcześniej czy później pożrą ją zachłanne przeciągi tuneli, rozerwą ją na strzępy i zapędzą do szybów wentylacyjnych. Wcześniej czy później trafią do ludzi i poczekają tam na swojego spóźniającego się dowódcę.

Stało się to nawet wcześniej, niż mogli oczekiwać - może dlatego, że w tej mgle czas i przestrzeń podlegały zniekształceniu? Przy ścianie pokazały się schodki: wejście na peron, zaokrąglony przekrój tunelu zmienił się w prostokątny, między szynami pojawiło się zagłębienie, kryjówka dla pasażerów, którzy spadli na tory.

- Popatrz no... - wyszeptał Homer. - Zdaje się, że to stacja! Stacja!

- Hej! Jest tu kto? - ze wszystkich sił wrzasnął Ahmed. - Chłopaki! Jest tu kto? - opanował go bezsensowny triumfalny śmiech.

Pożółkłe, zmęczone światło latarek wychwytywało z ciemnej mgły nadgryzione przez czas i ludzi marmurowe płyty na ścianach; ani jedna z barwnych mozaik, tej dumy stacji Nagatińskiej, nie ocalała. I co się stało z kamiennymi kolumnami? Czyżby...

Chociaż Ahmedowi nikt nie odpowiadał, ten nie rozpaczał, tylko dalej wołał radośnie: jasna sprawa, przestraszyli się mgły i uciekli gdzieś dalej; ale on się nie da na to nabrać. A Homer wciąż niespokojnie szukał czegoś na ścianach, obmywał je słabnącą smugą światła i zimno mu się robiło od tego, co podejrzewał.

Aż wreszcie znalazł: żelazne litery, przykręcone do popękanego marmuru.

„NAGORNA”.

Jej ojciec wierzył, że powroty nigdy nie bywają przypadkowe. Wraca się, żeby coś zmienić, żeby coś poprawić. Czasem sam Pan łapie nas za kark i zaciąga z powrotem do miejsca, w którym przez przypadek wymknęliśmy się spod jego opieki, żeby wykonać swój wyrok albo dać nam drugą szansę.

Dlatego, objaśniał ojciec, nigdy nie uda mu się wrócić z wygnania na ich ojczystą stację. Nie miał już sił, żeby się mścić, walczyć, coś udowodniać. Od dawna już nie potrzebuje niczyjej skruchy. W tej starej historii, która kosztowała go całe dawne życie i o mało co, a by je w ogóle zakończyła, każdy dostał to, na co zasłużył - mawiał. Tak się złożyło, że byli skazani na wieczne zesłanie - ojciec Saszy nie chciał niczego naprawiać, a Pan na tę stację nie zaglądał.

Plan ratunku - znaleźć na powierzchni samochód, który nie sparciał przez te dziesięciolecia, naprawić go, zatankować i wyrwać się z zaklętego kręgu losu - dawno zmienił się w bajkę na dobranoc.

Dla Saszy istniała jeszcze jedna droga, z powrotem do wielkiego metra. Kiedy w umówione dni podchodziła do mostu, żeby wymieniać jako tako naprawione sprzęty, zaśniedziałe ozdoby, pleśniejące książki na jedzenie i trochę amunicji, zdarzało się, że proponowali jej coś więcej.

Oświetlając reflektorem z drezyny jej nieco kanciastą, chłopięcą postać, straganiarze mrugali do niej i cmokali, wołali ją i obiecywali różne rzeczy. Dziewczyna zdawała się dzika - w milczeniu patrzyła na nich spode łba, napięta, ze schowanym za plecami długim ostrzem. Obszerny męski kombinezon nie mógł przesłonić jej wyraziście zarysowanych kształtów. Błoto i olej maszynowy na twarzy sprawiały, że jej błękitne oczy jaśniały jeszcze mocniej, tak mocno, że niektórzy odwracali wzrok. Białe włosy, niezręcznie ucięte tym samym nożem, który zawsze ścisnęła w prawej dłoni, ledwo przykrywały uszy, przygryzione usta nigdy się nie uśmiechały.

Ludzie z drezyny szybko zrozumieli, że nie oswoją wilka rzucając mu ochłapy, więc próbowali kupić ją obietnicą wolności, jednak Sasza ani razu im nie odpowiedziała. Uznali, że dziewczyna jest niema. Tak było nawet prościej. Sasza świetnie rozumiała: choćby nie wiadomo na co się zgodziła, nie kupi dwóch miejsc na drezynie. Jej ojciec ma u innych zbyt wysoki rachunek i nie da się go zapłacić.

Pozbawieni twarzy, mówiący przez nos w swoich czarnych wojskowych maskach przeciwgazowych, nie byli dla niej zwykłymi wrogami: nie znajdowała w nich nic ludzkiego, nic, co mogłoby sprawić, że się rozmarzy, choćby nocą, choćby we śnie.

Dlatego kładła po prostu na tory telefony, żelazka, czajniki, cofała się o dziesięć kroków i

czekała aż straganiarze zabiorą towar i rzucają na ziemię paczki z suszoną wieprzowiną i złośliwie rozsypią garść nabożów, żeby popatrzeć jak będzie je na czworakach zbierać. Potem drezyzna powoli startowała i odjeżdżała do prawdziwego świata, a Sasza uspokajała się i szła do domu, gdzie czekała na nią góra zepsutych przedmiotów, śrubokręt, lutownica i przerobiony na prądnicę stary rower. Wsiadała na niego, zamykała oczy i mknęła gdzieś daleko, nie myśląc prawie o tym, że nigdy nie ruszy się z miejsca. I to, że sama podjęła decyzję, by odmówić łaski, dodawało jej sił.

Jak u licha?! Jakim sposobem znów ich tu zaniósł? Homer gorączkowo próbował znaleźć wyjaśnienie tego, co się stało. Ahmed nagle się przymknął - zobaczył, na co Homer świeci latarką.

- Ona nie chce mnie wypuścić... - powiedział przeciągle stłumionym, ledwie słyszalnym głosem.

Otulająca ich mgła zgęstniała na tyle, że nie widzieli się nawzajem. Nagorna, pogrążona w drzemce, kiedy nie było ludzi, teraz się ocknęła: ciężkie powietrze odpowiadało na ich słowa ledwie wyczuwalnymi drganiami, a w głębi stacji budziły się niewyraźne cienie. I żadnych śladów Huntera... Stworzenie z krwi i kości nie może zwyciężyć w starciu z fantomami. Jak tylko stacji znudziło się z nim igrać, osnuła go swym jadowitym oddechem i strawiła żywcem.

- Uciekaj - wydusił z rezygnacją Ahmed. - Ona mnie potrzebuje. Ty nie rozumiesz, rzadko tu bywasz.

- Wystarczy już tych bzdur! - z nieoczekiwaną dla samego siebie mocą huknął na niego stary. - Po prostu zgubiliśmy się we mgle. Idziemy z powrotem!

- Nie uda nam się uciec. Jeśli zostaniesz ze mną, to choćbyś nie wiem jak biegł, zawsze tu wrócisz. Wyrwiesz się, jak będziesz sam. Uciekaj, proszę.

- Dosyć tego! - Homer złapał Ahmeda za przegub i pociągnął za sobą w stronę tunelu. - Za godzinę będziesz mi dziękował!

- Przekaż mojej Gulnarze... - zaczął tamten.

I niepojęta, potworna siła wyrwała go z uścisku Homera - wprost w górę, w mgłę, w niebyt. Nie zdążył nawet krzyknąć: po prostu zniknął, jak gdyby w jednej chwili rozpadł się na atomy, jakby nigdy nie istniał. Zamiast niego przeraźliwie wrzasnął stary - jak oszalały kręcąc się wokół własnej osi i marnując drogie naboże magazynka za magazynkiem.

Potem poczuł na potylicy miażdżące uderzenie, które mogło pochodzić tylko od jednego z tutejszych demonów, i wszechświat się zawalił.

Rozdział 5

Pamięć

Sasza podbiegła do okna i otworzyła okiennice wpuszczające do środka świeże powietrze i nieśmiałe światło. Parapet z desek zwisał wprost nad bezdenną przepaścią wypełnioną delikatną poranną mgłą. Rozwieje się z pierwszymi promieniami słońca i z okna będzie widać nie tylko wąwóz, ale i dalekie, porośnięte sosnami łańcuchy górskie, i rozścielające się między nimi zielone łąki, rozsypane w dolinie wiejskie domy jak pudełka zapalek i dzwonnice niczym łuski po nabojach.

Świt to była jej pora. Przeczuwała wschód słońca i uprzedzała je budząc się pół godziny wcześniej, żeby zdążyć wejść na szczyt góry. Za ich chatką, niewielką, ale wypucowaną na błysk, ciepłą i przytulną, wiała się w górę po zboczu kamienista ścieżka, okolona jaskrawożółtymi kwiatami. Żwir usuwał się spod stóp i przez te kilka minut, kiedy wchodziła na szczyt, Sasza zdążyła czasem parę razy upaść i otrzeć kolana.

W zamyśleniu wytarła rękawem parapet, wilgotny od oddechu nocy. Śniło jej się coś ponurego, coś złego, coś co przekreślało całe jej obecne beztrudne życie, lecz resztki niespokojnych majaków wyparowały z pierwszym muśnięciem jej skóry przez delikatny chłodny wiatr. I teraz nie chciało jej się przypominać, co ją tak zmartwiło we śnie. Trzeba było szybko wejść na szczyt, powitać słońce, a później ześlizgując się w dół ścieżką pobiec do domu, by obudzić ojca i przygotować mu węzełek na drogę.

A potem cały dzień, kiedy on będzie polował, Sasza będzie pozostawiona sama sobie, i aż do obiadu będzie mogła gonić za statecznymi ważkami i latającymi karaluchami pośród polnych kwiatów, żółtych jak linoleum w wagonach.

Podkradła się na palcach po skrzypiących deskach podłogi, uchyliła drzwi i cichutko się zaśmiała.

Minęło już kilka lat od czasu, kiedy ojciec Saszy widział na jej twarzy taki szczęśliwy uśmiech, i bardzo nie chciało mu się jej budzić. Noga mu spuchła i zdrętwiała, nie dało się powstrzymać krwotoku. Mówią, że rany od ugryzień dziczykałych psów nigdy się nie goją...

Zawołać ją? Ale przecież nie było go w domu ponad dobę - zanim wyruszył w kierunku garaży, postanowił zajść do mrówkowca z wielkiej płyty położonego dwie przecznice od

stacji, wdrapał się na szesnaste piętro i tam stracił przytomność. Przez cały ten czas Sasza nie zmrużyła oka - córka nigdy nie zasypiała, póki nie wrócił ze „spaceru”. „Niech odpocznie - myślał. - To wszystko łągarstwa. Nic się z nim nie stanie”.

Chciałby wiedzieć, co ona teraz dokładnie widzi. Jemu samemu z jakiegoś powodu nie udawało się zapomnieć, nawet we śnie. Tylko z rzadka podświadomość wypuszczała go na parę godzin na wycieczkę do czasów beztroskiej młodości. Zwykle przychodziło mu wałęsać się wśród znajomych martwych domów pozbawionych wnętrza, i za dobry sen uważał taki, w którym nagle udawało mu się znaleźć nietknięte mieszkanie pełne cudem ocalałych sprzętów i książek.

Zasypiając przeniósł się w przeszłość. Marzył o tym, by wrócić choćby do czasów, kiedy dopiero co poznał matkę Saszy, kiedy miał ledwie dwadzieścia lat, a już dowodził garnizonem stacji - stacji, która zdawała się wtedy swoim mieszkańcom tylko chwilowym schronieniem, a nie wspólnym barakiem w kopalni dla katorżników, gdzie odbywają swoje dożywotnie zesłanie.

Lecz zamiast tego rzuciło go w niedaleką przeszłość. W sam środek wydarzeń sprzed pięciu lat. W dzień, który zdecydował o jego losie i, co jeszcze straszniejsze, o losie jego córki. W głowie pogodził się i ze swoją porażką, i z zesłaniem, ale wystarczyło, że rozum zasnął, a serce zaczęło żądać rewanzu.

Znów stał przed szeregiem swoich komandosów z kałasznikowem skierowanym lufą w dół - w tej sytuacji przysługującym mu według rangi oficerskim makarowem mógłby się co najwyżej zastrzelić. Oprócz dwudziestu ludzi z karabinami, którzy stali za jego plecami, na stacji nie było już nikogo, kto byłby mu wierny.

Tłum burzył się, gęstniał, dziesiątki par rąk trzęsły blokadami; chaotyczna wrzawa poddająca się ruchom niewidocznej dla niego dyrygenckiej batuty przekształciła się w zgodny chór. Na razie domagali się tylko, by ustąpił ze stanowiska, ale za minutę zażądają jego głowy.

To nie była spontaniczna demonstracja - działali tu przysłani z zewnątrz prowokatorzy. Próba ich wydzielenia i likwidacji, jednego po drugim, nie miała już sensu. Jedyne, co mógł teraz zrobić, żeby powstrzymać bunt, żeby zachować władzę, to wydać rozkaz otwarcia ognia do tłumu. Jeszcze nie było za późno.

Zacisnął palce na niewidzialnej rękojeści karabinu, oczy biegały mu niespokojnie pod spuchniętymi powiekami, usta poruszały się wydając bezgłośnie rozkazy. Czarna kałuża, w której leżał, z każdą minutą rosła, jakby karmiła się jego uchodzącym życiem.

- Gdzie oni są?!

Wyciągnięty z ciemnego jeziora niepamięci, Homer zatrzepotał niczym złapany na błysk okoń, konwulsyjnie wdychając powietrze i wlepiając w brygadiera bezrozumny wzrok. Niewyraźne gromady mrocznych olbrzymów, strażników Nagornej, wciąż jeszcze kłębiły się przed nim, wyciągały po niego długie palce o wielu stawach, zdolne bez trudu wyrwać nogę czy zmiażdżyć żebra. Otaczali starego za każdym razem, gdy zamykał oczy, i niespiesznie, niechętnie rozplywali się w powietrzu, gdy znów je otwierał.

Homer próbował stanąć na nogi, ale obca ręka, lekko trzymająca go za ramię, znów zamieniła się w ten stalowy hak, który wyciągnął go z koszmaru. Homer stopniowo uspokoił oddech i skupił się na pokrytej szramami twarzy, na ciemnych oczach świecących oleistym błyskiem maszyny... Hunter! Żywy? Staruszek ostrożnie spojrzał w lewo, potem w prawo, bojąc się znów zobaczyć, że leży na tej zakłętej stacji.

Nie - znajdowali się pośrodku pustego, czystego tunelu. Mgła zalegająca na podjeździe do Nagornej była tu prawie niewidoczna. Widać Hunter niósł go na plecach co najmniej pół kilometra, obliczył z zakłopotaniem Homer. Uspokojony, rozluźnił się i na wszelki wypadek spytał znowu:

- Gdzie oni są?

- Nikogo tu nie ma. Jesteś bezpieczny.

- Te potwory... Zaatakowały mnie? Ogłuszyły? - stary skrzywił się pocierając piekącą wypukłość na czubku głowy.

- To ja cię uderzyłem. Musiałem, żebyś przestał histeryzować. Mogłeś mnie zranić.

Hunter wreszcie rozluźnił uścisk, z trudem się wyprostował i przejechał ręką po szerokim oficerskim pasie. Po przeciwnej co kabura ze stieczkinem stronie, wisiał na nim skórzany futerał niewiadomego przeznaczenia. Brygadier szczęknął zatrzaskiem i wyciągnął płaską mosiężną manierkę. Potrząsnął nią, otworzył i nie częstując Homera wziął duży łyk. Na chwilę zmrużył oczy, jakby z przyjemnością... Stary poczuł lekki chłód widząc, że lewe oko brygadiera nie może się nawet porządnie zamknąć.

- A gdzie Ahmed? Co z Ahmedem? - przypomniał sobie Homer i znów zaczął się trząść.

- Nie żyje - obojętnie powiedział brygadier.

- Nie żyje - posłusznie powtórzył za nim stary.

Kiedy potwór wyrwał rękę kolegi z jego uścisku, zrozumiał: z tych szponów nie ucieknie żadna żywa istota. Homer miał po prostu szczęście, że wybór Nagornej padł na kogoś innego. Stary jeszcze raz się obejrzał - ciężko było od razu uwierzyć, że Ahmed na zawsze zniknął. Homer przyjrzał się swojej dłoni, startej i krwawiącej. Nie wytrzymał. Brakowało mu

powietrza.

- A przecież Ahmed wiedział, że jest zgubiony - powiedział cicho. - Dlaczego zabrały właśnie jego, a nie mnie?

- Miał w sobie dużo życia - odparł brygadier. - One żywią się ludzkim życiem.

- To niesprawiedliwe - pokręcił głową stary. - Ma małe dzieci, tyle go tu trzyma! Trzymało... A ze mnie taki włóczykij.

- A ty najadłbyś się mchem? - uciął rozmowę Hunter i zerwał Homera na nogi. - Starczy, idziemy. Możemy nie zdążyć.

Drepcząc za Hunterem, który przyspieszył kroku, stary łamał sobie głowę: jak to się mogło stać, że wrócili na Nagorną? Jak mięsożerna orchidea, stacja odurzyła ich swoimi miazmatami i zwabiła z powrotem do swojego wnętrza. Ani razu nie zawrócili, Homer mógł za to ręczyć. Był już gotów uwierzyć w zakrzywienia przestrzeni, o których sam lubił opowiadać łatwowiernym towarzyszom z warty, ale wszystko okazało się o wiele prostsze. Stary zatrzymał się i walnął dłonią w czoło: tor manewrowy! Kilkaset metrów za Nagorną między prawym a lewym tunelem otwierała się jednokierunkowa odnoga dla zawracania pociągów. Odchodziła w bok pod małym kątem i idąc na ślepo wzdłuż ściany najpierw po prostu zoczyli w rozgałęzienie, a potem - kiedy ściana zniknęła - przez pomyłkę znów skręcili w stronę stacji. „Żadnej metafizyki” - pomyślał z niedowierzaniem Homer. Ale należało wyjaśnić jeszcze jedną rzecz.

- Hej! - zawołał do Huntera. - Stój!

Jednak ten, jakby był głuchy, kontynuował marsz naprzód i stary musiał zwalczyć zadyszkę i samemu przyspieszyć kroku. Zrównawszy się z nim, próbując zajrzeć brygadierowi w oczy, Homer wypalił:

- Dlaczego nas zostawiłeś?

- Ja was?

Staremu zdało się, że w jego beznamiętnym, metalicznym głosie słyszy uśmiech, i ugryzł się w język. Rzeczywiście, przecież to on i Ahmed uciekli ze stacji i zostawili brygadiera sam na sam z demonami...

Wspominając jak wściekle i jak bezowocnie Hunter walczył na Nagornej, Homer nijak nie mógł się uwolnić od wrażenia, że mieszkańcy stacji po prostu nie przyjęli bitwy, którą ten starał się im wydać. Przestraszyli się? Czy może poczuli w nim bratnią duszę... Staruszek nabrał odwagi: pozostało jeszcze jedno pytanie, najtrudniejsze.

- Powiedz mi Hunter, tam, na Nagornej... Dlaczego one cię zostawiły?

Minęło kilka nieprzyjemnych minut, Homer nie miał odwagi nalegać, aż tamten ledwie

słyszalnie dał mu krótką, ponurą odpowiedź.

- Brzydziły się.

Piękno zbawi świat², żartował jej ojciec.

Sasza czerwieniła się i chowała zdobione opakowanie po torebce herbaty do kieszonki na piersi swojego kombinezonu. Plastikowy kwadracik, który wbrew wszystkiemu zachowywał dalekie echo aromatu zielonej herbaty, był jej najważniejszym skarbem. Przypominał też o tym, że wszechświat nie ograniczał się do bezgłowego tułowia ich stacji z czterema kikutami tuneli, zakopanego na głębokości dwudziestu metrów w Moskwie, mieście-cmentarzu. Był też magicznym portalem, zdolnym przenosić Saszę o dziesiątki lat i tysiące kilometrów. I jeszcze czymś niezmiernie ważnym.

W tutejszym wilgotnym klimacie wszystkie przedmioty z papieru gasły szybko, jak grzłicy. Tlen i pleśń nie tyle pożerały po prostu książki i czasopisma: unicestwieniu ulegała przeszłość jako taka. Bez wizerunków i kronik, niczym bez laski, chroma ludzka pamięć potykała się i plątała.

Torebka po herbacie była jednak zrobiona z plastiku, nad którym pleśń i czas nie miały władzy. Ojciec tłumaczył jakoś Saszy, że minie kilka tysięcy lat, zanim zacznie się rozkładać. To znaczy, że jej potomkowie będą mogli przekazywać ją z pokolenia na pokolenie, myślała.

Był to najprawdziwszy obraz, nieważne że miniaturowy. Złota ramka, tak jaskrawa, jak w dniu, w którym torebka zjechała z taśmy w fabryce, okalała widok, od którego Saszy brakło tchu. Pionowe skały wynurzające się z marzycielskiej mgiełki, rozłożyste sosny wczepione w niemal wertykalne zbocza, rwące wodospady spadające w przepaść, karmazynowa zorza słońca, które już prawie weszło... Sasza nie widziała w swoim życiu nic piękniejszego.

Mogła długo siedzieć położywszy etykietkę na dłoni i zachwycać się nią, a jej wzrok tonął w porannej mgiełce spowijającej góry w oddali. I choć połykała wszystkie zdobycie przez ojca książki, nim sprzedali je za naboje, wyczytane tam słowa nie wystarczały jej, żeby opisać mu, co dokładnie czuje, kiedy patrzy na centymetrowej wysokości skały i wdycha woń narysowanych sosen. Nieziszczalność tego wyobrazonego świata - i stąd właśnie jego niewiarygodną atrakcyjność... Słodką tęsknotę i wieczny przedsmak tego, na co jako pierwszy padnie blask słońca... Niekończące się analizowanie, co też może się kryć za idiotyczną ramką z nazwą marki herbaty? Niezwykłe drzewo? Orle gniazdo? Przyklejony do zbocza domek, w którym mogłyby mieszkać razem z ojcem?

To właśnie on, kiedyś, kiedy Sasza nie miała nawet pięciu lat, przyniósł jej tę torebkę

² „Piękno zbawi świat” - aforyzm Fiodora Dostojewskiego z powieści *Idiota* (przyp. tłum.).

herbaty, wtedy jeszcze z zawartością, co stanowiło dużą rzadkość. Chciał zadziwić córeczkę prawdziwą herbatą, ale ta wypila ją dzielnie, jak lekarstwo, zaś plastikowe opakowanie z jakiegoś powodu wręcz ją poraziło. Wtedy też musiał jej objaśniać, co przedstawia niewymyślna ilustracja. Umowny pejzaż górskiej okolicy w Chinach, nadający się akurat do druku na torebkach herbaty. Ale Sasza nawet po upływie dziesięciu lat oglądała ją równie oczarowana, jak w dniu, w którym właśnie dostała ją w prezencie.

Ojciec uznał, że obrazek był dla Saszy żalosnym erzacem całego świata.

I kiedy wpadała w radosny trans, kontemplując byle jak namalowaną fantazję nieudolnego artysty, ojcu wydawało się, że córka obwinia go o swoje okrojone, bezkrwiste życie. Zawsze próbował zwalczyć pokusę, ale nie mógł długo wytrzymać. Ze źle skrywanym rozdrażnieniem po raz setny pytał Saszę, co takiego znalazła w resztkach opakowania po jednogramowej porcji herbaty.

A ta, pospiesznie chowając swój małe skarby w kieszeni kombinezonu, niezgrabnie odpowiadała: „Tato... Tak mi pięknie!”.

Gdyby nie Hunter, który nie zatrzymał się ani na chwilę do samej Nagatińskiej, Homer straciłby na ten odcinek trzy razy więcej czasu. Sam nigdy by nie zaryzykował, by z taką pewnością pędzić przez te tunele.

Ich oddział musiał zapłacić straszne cło za tranzyt przez Nagorną, ale dwóch z tej trójki się uratowało. Przeżyliby wszyscy, gdyby nie zabłądzili we mgle. Cena nie była nadzwyczajna; ani na Nachimowskim Prospekcie, ani na Nagornej nie działo się z nimi nic, do czego nie dochodziłoby wcześniej.

Czyli chodziło o tunele prowadzące do Tulskiej? Teraz ucichły, ale cisza ta była niedobra, pełna napięcia. Tak, Hunter wyczuwał niebezpieczeństwo z odległości setek metrów, wiedział, czego się spodziewać na stacjach, na których nigdy nie był, ale czy nie zawiedzie go w tych miejscach intuicja, której wcześniej nie starczyło najbardziej doświadczonym żołnierzom?

Może to właśnie Nagatińska, do której zbliżali się z każdym krokiem, skrywała rozwiązanie tajemnicy? Siłą porządkując myśli płaczące się od zbyt szybkiego kroku, Homer próbował domyślić się, co mogło ich czekać na stacji, którą kiedyś tak lubił. Staruszek bawiący się w zbieracza mitów bardzo łatwo mógł sobie wyobrazić zarówno to, że na Nagatińskiej otwarto legendarną Szatańską Ambasadę, jak i to, że wszystkich zagryzły szczury migrujące w poszukiwaniu jedzenia własnymi, niedostępnymi dla ludzi tunelami.

Tak, gdyby staruszek znalazł się w tych tunelach sam, poruszałby się znacznie wolniej,

ale jednak nie zawróciłby choćby nie wiem co. Przez lata przeżyte na Sewastopolskiej oduczył się lęku przed śmiercią. Wyruszając w tę podróż Homer dobrze wiedział, że może się ona stać jego ostatnią przygodą, i był w pełni gotowy oddać za nią cały pozostały mu czas.

Ledwie pół godziny po spotkaniu z potworami na Nagornej zapomniał już o swoim strachu. Co więcej, wsłuchując się teraz w siebie zaczynał wychwytywać na dnie duszy niejasne, nieśmiałe szmery: gdzieś tam rodziło się - albo budziło - to, na co tak czekał i czego łaknął. To, czego szukał na najniebezpieczniejszych wyprawach, nie znajdując tego w domu.

Miał teraz ważki powód, by ze wszystkich sił odsuwać od siebie śmierć. Mógł ją do siebie dopuścić dopiero po tym, jak ukończy swoje dzieło.

Ostatnia wojna była bardziej zaciekle od wszystkich wcześniejszych i dlatego zakończyła się w ciągu dni. Od czasów II wojny światowej minęły trzy pokolenia, jej ostatni weterani zasnęli na zawsze, i w pamięci żyjących nie zachował się autentyczny strach przed wojną. Zamiast zbiorowego obłąkania pozbawiającego miliony ludzi wszystkiego co ludzkie, znów stała się standardowym instrumentem politycznym. Stawka rosła zbyt szybko, na podjęcie słusznych decyzji po prostu nie starczyło czasu. Tabu użycia głowic atomowych zniknęło, jak okazało się, mimochodem, w emocjach: po prostu strzelba, którą powieszono na ścianie w pierwszym akcie dramatu, jednak wystrzeliła w przedostatnim. I nieważne już było kto nacisnął ten sakramentalny guzik jako pierwszy.

Wszystkie wielkie miasta na Ziemi jednocześnie obróciły się w ruiny i popiół. Te nieliczne, które były chronione tarczą przeciwrakietową, także wymarły, choć na oko pozostały prawie nietknięte: silne promieniowanie, trujące środki bojowe i broń bakteriologiczna wytrzebiły ich ludność. Wątła komunikacja radiowa, którą ustanowiono między garstkami ocalałych, urwała się ostatecznie po kilku latach i odtąd dla mieszkańców metra świat kończył się na pogranicznych stacjach zamieszkałych linii.

Ziemia, która wcześniej wydawała się zbadana i przyciasna, znów stała się tym bezbrzeżnym oceanem chaosu i niepamięci, jakim była w starożytności.

Krucze wysepki cywilizacji jedna po drugiej tonęły w jego odmętach: pozbawiony ropy i elektryczności człowiek błyskawicznie dziczał.

Nadchodziła czarna epoka.

Uczeni przez stulecia pedantycznie odtwarzali tkaninę historii ze strzępków znalezionych papirusów i pergaminów, urywków kodeksów i foliałów. Wraz z wynalezieniem druku, pojawieniem się gazet, maszyny typograficzne zaczęły tkać to płótno z materiałów prasowych. W kronikach ostatnich dwóch wieków nie było luk: każdy gest i każdy

wykrzyknik tych, którzy decydowali o losach świata, był starannie rejestrowany. I nagle w jednej chwili drukarnie na całym świecie zostały zniszczone bądź porzucone na zawsze.

Maszyny tkackie historii stanęły. W świecie bez przyszłości mało kogo to obchodziło. Materiał się rozpruł pozostawiając nienaruszoną tylko jedną cienką nić.

W pierwszych kilku latach po katastrofie Nikołaj Iwanowicz włóczył się po przepelnionych stacjach w rozpaczliwej nadziei odnalezienia na jednej z nich swojej rodziny. Nadzieja zniknęła, lecz on, osierocony i przygnębiony, wciąż błędził w mrokach metra, nie wiedząc czym ma się zająć w życiu pozagrobowym. Spleciona przez Ariadnę nić sensu istnienia, która mogłaby wskazać mu właściwą drogę w niekończącym się labiryncie tuneli, wypadła mu z rąk.

Tęskniąc za dawnymi czasami, zaczął zbierać czasopisma, dzięki którym mógł powspominać, oddać się marzeniom. Zastanawiając się, czy można było zapobiec apokalipsie, zainteresował się kronikami i analizami prasowymi. Potem sam też zaczął pisywać, naśladując styl artykułów w gazetach codziennych i opisując wydarzenia ze stacji, na których bywał.

I zdarzyło się tak, że zamiast swojej utraconej przewodniej nici Nikołaj Iwanowicz chwycił się innej, tej właśnie: postanowił zostać kronikarzem. Autorem historii najnowszej - od końca świata do końca własnego życia. Beładne i bezcelowe zbieractwo nabrało sensu: teraz musiał zmusić restaurować uszkodzone płótno czasu i własnoręcznie szyc dalej.

Pozostali traktowali pasję Nikołaja Iwanowicza jak nieszkodliwe dziwactwo. Chętnie oddawał swoje racje żywnościowe za stare gazety i każdy kącik, w którym mieszkał na stacjach, do których zanosił go los, przekształcał w prawdziwe archiwum. Brał udział w patrolach, bo właśnie przy ognisku na trzechsetnym metrze twardzi mężczyźni zaczynali, niczym mali chłopcy, opowiadać niestworzone historie, z których Nikołaj Iwanowicz mógł wyłowić ziarenka wiarygodnej wiedzy o tym, co działo się w innych zakątkach metra. Konfrontował ze sobą dziesiątki plotek, żeby wydzielić z nich fakty, które skrupulatnie zszywał w szkolnych zeszytach.

Praca pozwalała mu się zatracić, ale wciąż nie opuszczało go uczucie, że robi to wszystko na próżno. Po jego śmierci suche komunikaty o wydarzeniach, troskliwie zebrane przez niego w zeszytach jak w zielniku, bez należytej pielęgnacji zwyczajnie rozsypią się w proch. Jeśli kiedyś nie wróci z warty, jego gazetami i kronikami zagną rozpalać ogień, a na długo ich nie starczy.

Z pociemniałego od upływu lat papieru zostanie dym i sadza, atomy stworzą nowe

połączenia, przyjmą inną formę. Materia jest bowiem niemal niezniszczalna. A to, co chciał zebrać dla potomnych, owo nieuchwytnie, efemeryczne coś, co kryło się na kartkach papieru, zginie na zawsze, ostatecznie.

Tak jest człowiek stworzony: treść szkolnych podręczników żyje w jego pamięci równo do egzaminów końcowych. I zapominając to, co wykuł, czuje szczerą ulgę. „Pamięć ludzka przypomina piasek na pustyni - myślał Nikołaj Iwanowicz. - Liczby, daty i nazwiska drugorzędnych działaczy państwowych pozostają w niej nie dłużej, niż napis zrobiony patykiem na wydmie. Piach zasypuje go bez śladu”.

Jakimś cudem zachowuje się tylko to, co potrafi zawładnąć ludzką fantazją, zmusić, by serce szybciej biło, pobudzić wyobraźnię, przeżycia. Wciągająca historia wielkiego bohatera i jego miłości może przeżyć historię całej cywilizacji, jak wirus zakorzenić się w ludzkim mózgu i być przekazywana z ojca na syna przez setki pokoleń.

Kiedy staruszek wreszcie to zrozumiał, z samozwańczego uczonego zaczął świadomie zamieniać się w alchemika, z Nikołaja Iwanowicza - w Homera. Noce spędzał teraz nie na tworzeniu kronik, a na poszukiwaniu formuły nieśmiertelności. Tematu, który okazałby się żywy jak Odyseja, bohatera, który długowiecznością równałby się z Gilgameszem. Na tę nić fabuły Homer spróbowałby nawlec zgromadzoną przez siebie wiedzę... I w świecie, w którym cały papier jest zamieniany w ciepło, w którym z łatwością poświęcano przeszłość dla jednej chwili w terażniejszości, legenda o takim bohaterze mogłaby porwać ludzi i ocalić ich przed powszechną amnezją.

Jednak bezcenna formuła nie nadchodziła. Bohater w żaden sposób nie chciał przyjść na świat. Przepisywanie artykułów prasowych nie mogło nauczyć staruszka układania mitów, tchnąć życia w golem, sprawić, że fikcja stanie się ciekawsza od rzeczywistości. Porwane i pogniecione kartki z nieukończonymi pierwszymi rozdziałami przyszłej sagi, z niewiarygodnymi i nieżywymi postaciami, upodabniały jego biurko do kliniki aborcyjnej. Jedynym wynikiem bezsennych nocy były podkowy pod oczami i pozagryzane wargi.

Ale Homer wciąż nie chciał odwracać się od swojego nowego przeznaczenia. Starzał się nie myśleć, że po prostu nie jest do tego stworzony, że aby tworzyć światy potrzebny jest talent, którym go nie obdarzono.

Po prostu nie mam natchnienia, zapewniał sam siebie.

Zresztą skąd by się miało wziąć na dusznej stacji, pośród rutyny rodzinnych herbatek, prac rolniczych, czy nawet patroli, na które ze względu na wiek brano go coraz rzadziej? Potrzebował wstrząsu, przygody, gorących emocji. Może wtedy zakorkowane połączenia w jego świadomości odblokują się i będzie mógł tworzyć?

Nawet w najcięższych czasach ludzie nigdy całkowicie nie porzucali Nagatińskiej. Nie nadawała się zbyt do zamieszkania: nic tu nie rośło, a wyjścia na powierzchnię były zablokowane. Ale dla wielu ludzi stacja była przydatna, by na jakiś czas zniknąć ludziom z oczu, przeczekać czasową banicję, spotkać się z ukochaną.

Tym razem była pusta.

Hunter bez słowa wbiegł na peron po niepoprawnie skrzypiących schodach i stanął w miejscu. Homer ciężko dysząc poszedł w jego ślady, ostrożnie rozglądając się na boki.

Hol był ciemny, a w powietrzu wisiał kurz, iskrząc się srebrem w świetle latarek. Nieliczne sterty szmat i tektury, na których zwykle kładli się odwiedzający Nagatińską, były porozrzucane po posadzce.

Stary oparł się plecami o filar i powoli zsunął na ziemię. Kiedyś Nagatińska, z jej wytwornymi barwnymi mozaikami, wykonanymi z różnych odmian marmuru, była jedną z jego ulubionych stacji. Ale ciemna i nieżywa przypominała samą siebie sprzed lat nie bardziej niż porcelanowe zdjęcie na nagrobku przypomina tego człowieka, który fotografował się sto lat wcześniej do legitymacji, nie podejrzewając, że patrzy nie w obiektyw, a w wieczność.

- Ani żywej duszy - powiedział zakłopotany Homer.

- Jedna jest - zaproponował brygadier wskazując na niego palcem.

- Mam na myśli... - zaczął stary, ale Hunter powstrzymał go ruchem dłoni.

Na drugim końcu holu, tam gdzie kończył się rząd filarów i dokąd ledwo sięgało nawet światło reflektora brygadiera, coś powoli gramoliło się na peron...

Homer runął na bok i, opierając się rękami o posadzkę, ciężko się podniósł. Latarka Huntera zgasła, a sam brygadier wyparował. Pocąc się ze strachu, stary wymacał bezpiecznik i przycisnął do ramienia miotającą się jak szalona kolbę karabinu. W oddali stuknęły dwa ledwo słyszalne wystrzały. Homer nabrał odwagi i wysunął się zza filara, a potem pobiegł naprzód.

Pośrodku peronu stał wyprostowany Hunter, a u jego stóp widać niewyraźną postać, wątłą, żalosną. Składała się jakby z kartonu i łachmanów i mało przypominała człowieka, ale jednak nim właśnie była. Bez wyraźnego wieku i płci, tak brudny, że na twarzy można było rozróżnić tylko oczy, wydawał nieartykułowane jęki i próbował odczołgać się od wznoszącego się nad nim brygadiera. Wszystko wskazywało, że miał przestrelone obydwie nogi.

- Gdzie są ludzie? Dlaczego nikogo tu nie ma? - Hunter postawił but na wstędze porwanych szmat, które ciągnęły się za włóczęgą.

- Wszyscy poszli... Zostawili mnie. Zostałem sam - wycharczał, drapiąc paznokciami po

śliskim granicie, ale nie ruszając się z miejsca.

- Dokąd poszli?

- Na Tulska...

- Co tam się dzieje? - wtrącił się Homer, który tymczasem podszedł.

- Skąd mam wiedzieć? - skrzywił się bezdomny. - Kto tam poszedł, tam i zginął. Ich się pytaj. A ja już nie mam siły włożyć się po tunelach. Tutaj sobie umrę.

- Dlaczego stąd poszli? - nie ustępował brygadier.

- Strach ich obleciał, kierownika. Stacja robi się pusta. Chcieli się przebić. Nikt nie wrócił.

- Zupełnie nikt? - Hunter podniósł pistolet.

- Zupełnie. Oprócz jednego - poprawił się włóczęga widząc wycelowaną w siebie lufę i zwinął się jak mrówka przypalana lupą. - Szedł na Nagorną. Spałem. Może mi się wydawało.

- Kiedy?

- Nie mam zegarka - pokręcił głową tamten. - Może wczoraj, a może tydzień temu.

Pytania się skończyły, ale lufa pistoletu tak jak wcześniej zaglądała przesłuchiwanemu w oczy. Hunter milczał, jakby nagle skończyło mu się paliwo. I dziwnie ciężko oddychał, tak jakby rozmowa z włóczęgą zabrała mu zbyt wiele sił.

- Czy mogę... - zaczął bezdomny.

- Masz, zryj! - ryknął brygadier i zanim Homer zorientował się, co się dzieje, dwukrotnie nacisnął spust.

Czarna krew z przestrzelonego czoła zalała wytrzeszczone oczy nieszczęśnika i, przybity przez kule do ziemi, znów zamienił się w kupę szmat i tektury. Nie podnosząc wzroku Hunter uzupełnił magazynek stieczkina czterema nabojami i zeskoczył na tory.

- Niedługo sami się wszystkiego dowiemy - zawołał do starego.

Homer pochylił się nad ciałem zapominając o obrzydzeniu, wziął kawałek materiału i przykrył nim roztrzaskaną głowę bezdomnego. Ręce wciąż mu jeszcze drżały.

- Dlaczego go zabiłeś? - spytał słabym głosem.

- Sam sobie odpowiedz - głucho odparł Hunter.

Teraz, nawet kiedy wyteżył całą wolę, mógł tylko podnieść i opuścić powieki. Dziwne, że w ogóle się obudził... W czasie, kiedy był nieprzytomny, stracił czucie w całym ciele. Ale język przysechł mu do podniebienia, a piers miał jakby zmiażdżoną przez wielokilogramowy ciężar. Nie mógł się nawet pożegnać z córką, a była to przecież jedyna rzecz, dla której warto było odzyskiwać świadomość i nie doprowadzić do końca tamtej dawnej walki.

Sasza już się nie uśmiechała. Teraz śniło jej się coś przerażającego, zwinęła się w kłębek na swoim legowisku, objęła rękami i sposepniała. Ojciec od dziecka budził ją, kiedy widział, że córkę męczą koszmary, ale teraz sił starczało mu tylko, żeby powoli mrugać.

Potem i to stało się zbyt męczące.

Żeby doczekać chwili kiedy Sasza się obudzi, musiał kontynuować walkę. Nie przestawał walczyć już ponad dwadzieścia lat, każdego dnia, w każde minucie, i diabelnie się tym zmęczył. Był zmęczony walką, zmęczony ukrywaniem się, zmęczony polowaniem. Udowadnianiem, nadzieją, kłamstwami. Zmęczony zmaganiem.

W jego gasnącej świadomości pozostały tylko dwa pragnienia: chciał jeszcze choć raz spojrzeć Saszy w oczy i znaleźć spokój. Ale nie mógł... Przeplatając się z rzeczywistością, przed oczami znów zamigotały mu obrazy przeszłości. Trzeba było podjąć ostateczną decyzję. Złamać, albo zostać złamanym. Ukarać, albo się pokajać.

Gwardziści zwarli szeregi. Każdy z nich był mu osobiście oddany. Wszyscy byli teraz gotowi zarówno zginąć rozszarpani przez tłum, jak i strzelać do bezbronych ludzi. On był komendantem ostatniej niepokonanej stacji, prezydentem nieistniejącej już konfederacji. Dla nich jego autorytet był bezsprzeczny, a on sam nieomylny, i każdy jego rozkaz zostanie natychmiast i bez wahania wykonany. To on weźmie na siebie za wszystko odpowiedzialność, tak jak zawsze.

Jeśli teraz ustąpi, stację pochłonie anarchia, a potem zostanie przyłączona do rosnącego jak na drożdżach czerwonego imperium, które wylewało się ze swoich pierwotnych granic i zagarniało wciąż nowe terytoria. Jeśli rozkaże otworzyć ogień do demonstrantów, władza pozostanie w jego rękach na pewien czas. A jeśli nie zawaha się przed masowymi egzekucjami, przed torturami, to może i na zawsze.

Podniósł automat i w ułamku sekundy stojący w szyku oddział synchronicznie powtórzył jego ruch. Na przedłużeniu muszki i szczerbinki widział szalejący tłum, nie setki zebranych razem ludzi, a pozbawioną twarzy ludzką miazgę. Wyszczерzone zęby, wytrzeszczone oczy, zaciśnięte pięści.

Szczęknął bezpiecznikiem i oddział odpowiedział tym samym.

Nadszedł wreszcie czas, by wziąć los w swoje ręce.

Podniósł lufę do góry, nacisnął spust i z sufitu posypał się tynk. Tłum na chwilę ucichł, więc dał żołnierzom znak, by opuścili broń i zrobił krok do przodu. To był jego ostateczny wybór.

I pamięć w końcu go opuściła.

Sasza wciąż jeszcze spała. Zrobił ostatni wdech, chciał po raz ostatni na nią spojrzeć, ale nie dał już rady podnieść powiek. Jednak zamiast wiecznej, nieprzemijającej ciemności ujrzał przed sobą niewiarygodnie błękitne niebo - jasne i intensywne jak oczy jego córki.

- Stać!

Zaskoczony Homer o mało nie podskoczył i podniósł ręce do góry, ale zaraz się powstrzymał. Nosowy okrzyk z megafonu, który dobiegł ich z głębi tunelu był nieoczekiwany tylko dla niego. Brygadier wcale się nie zdziwił: sprężył się jak kobra przed skokiem i ledwo zauważalnie wyciągnął zza pleców ciężki automat.

Hunter nie tylko nie odpowiedział na jego pytanie, ale w ogóle przestał ze starym rozmawiać. Półtora kilometra dzielące Nagatińską od Tulskiej wydały się Homerowi długie jak droga na Golgotę. Wiedział, że ten tunel niemal na pewno doprowadzi go do śmierci, i zmusić się, by szybciej maszerować nie było łatwo.

W każdym razie był teraz czas, by się przygotować, i Homer zajął się wspomnieniami. Myślał o Helenie, chłostał się za swój egoizm, prosił ją o wybaczenie. Z uczuciem świetlistej tęsknoty wracał ten magiczny dzień na Twerskiej i delikatny letni deszcz. Żałował, że przed wyprawą nie rozporządził swoimi gazetami.

Przygotował się na śmierć: na to, że zostanie rozszarpany przez potwory, pożarty przez ogromne szczury, że zatruje się jakimiś wyziewami... Jak jeszcze mógł wyjaśnić fakt, że Tulaska zamieniła się w czarną dziurę, która zasysała wszystko z zewnątrz i niczego nie wypuszczała z powrotem?

I teraz, kiedy na podejściu do tajemniczej Tulskiej usłyszał zwyczajny ludzki głos, nie wiedział już, co myśleć. Zwyczajne przejście stacji? Ale kto mógł zetrzeć w pył kilka sewastopolskich oddziałów szturmowych, kto miał wybijać do nogi wszystkich włóczęgów, którzy ciągnęli na stację z tuneli, nie oszczędzając kobiet ani starców?

- Trzydzieści kroków do przodu! - dał się słyszeć daleki głos.

Był on uderzająco znajomy i gdyby Homer miał chwilę czasu, mógłby określić do kogo należy. To któryś z sewastopolczyków?!

Hunter kołysząc w rękach swojego kałasznikowa zaczął posłusznie odliczać kroki: na trzydzieści brygadiera przypadło dobre pięćdziesiąt starego. Przed nimi majaczyła niewyraźnie barykada, jakby spiętrzona z przypadkowych przedmiotów. Jej obrońcy z jakiegoś powodu nie używali światła...

- Zgasić latarki! - zakomenderował ktoś zza blokady. - Jeden z was dwóch - jeszcze

dwadzieścia kroków.

Hunter pstryknął wyłącznikiem i ruszył dalej. Homer, znów pozostawiony samotnie, nie odważył się nie usłuchać. W ciemności, która zapanowała przysiadł na ziemi, żeby nie kusić losu, ostrożnie wymacał ścianę i oparł się o nią.

Po przejściu odmierzonej odległości kroki brygadiera ucichły. Dały się słyszeć głosy: ktoś go niewyraźnie wypytywał, Hunter w odpowiedzi ostro go rugał. Sytuacja się zaogniała: opanowane, choć pełne napięcia głosy ustąpiły miejsca przekleństwom i groźbom. Jak się zdawało, Hunter żądał czegoś od niewidocznych strażników, a ci nie chcieli mu się podporządkować.

Teraz wrzeszczeli już na siebie prawie na cały głos, i Homer pomyślał, że jeszcze chwilę i znacznie rozróżniać słowa... Jednak usłyszał tylko jedno, ostatnie:

- Kara!

Lecz tu, zagłuszając ludzkie głosy, zabrzmiał automat, a w odpowiedzi ciężko zagrzmięła seria z wojskowego pieczenia. Staruszek rzucił się na ziemię odbezpieczając broń, nie wiedząc, czy ma strzelać, a jeśli tak, to do kogo. Ale wszystko było skończone jeszcze zanim zdążył wycelować.

Wypełniając krótkie pauzy w telegraficznym terkotaniu karabinów wewnątrz tunelu wydało przeciągły zgrzyt, którego Homer nie pomyliłby z niczym.

Dźwięk zamykanej hermetycznej zapory! I jako potwierdzenie jego domysłów z przodu dobiegł go metaliczny łoskot wpasowujących się w siebie wielu ton stali, jak nożem odcinający krzyki i huk wystrzałów.

Zamykając jedyne wejście do wielkiego metra.

Pozbawiając Sewastopolską ostatniej nadziei.

Rozdział 6

Z drugiej strony

Przez moment Homer był nawet gotów uwierzyć, że wszystko to mu się przyśniło: i niewyraźne kontury barykady u wylotu tunelu, i jakby znajomy głos zniekształcony przez stary megafon. W ślad za światłem zniknęły wszystkie dźwięki i teraz czuł się jak skazaniec, któremu przed egzekucją założono worek na głowę. W nieprzeniknionych ciemnościach i nagłej ciszy świat jakby zniknął. Homer na wszelki wypadek dotknął ręką twarzy, upewniając się, czy sam się jeszcze nie rozpuścił w tym kosmicznym mroku.

Potem spostrzegł się, włączył latarkę i poświecił drżącą smugą światła przed siebie - tam, gdzie kilka minut wcześniej doszło do niewidocznej potyczki.

Jakieś trzydzieści metrów od miejsca, w którym przeczekał starcie, tunel kończył się ślepą uliczką. Blokując przejście na całej jego wysokości i szerokości, niczym opadłe ostrze gilotyny, tunel przecinała ogromna stalowa brama.

Nie przesłyszał się: ktoś rzeczywiście uruchomił zaporę. Homer wiedział o jej istnieniu, ale nie sądził, że wciąż jeszcze można z niej korzystać. Okazało się, że tak.

Jego osłabione robotą papierkową oczy nie od razu dojrzały ludzką postać przyciśniętą do żelaznej ściany. Homer podniósł karabin uznawszy, że to któryś z ludzi z t a m t e j s t r o n y niechcący wypadł za burtę, ale potem rozpoznał Huntera.

Nie ruszał się. Oblewając się potem, stary pokuśtykał do brygadiera spodziewając się, że na rdzewiejącym metalu zobaczy krwawe zacieki... Ale nie. Chociaż uporczywie strzelano do niego z cekaemu w środku pustego tunelu, Hunter był nietknięty. Przycisnąwszy swoje poparzone ucho do metalu, wsłuchiwał się w słyszalne tylko dla niego dźwięki.

- Co tu się stało? - ostrożnie spytał Homer podchodząc bliżej.

Brygadier nie zwracał na niego uwagi. Coś szeptał - ale sam do siebie, powtarzając słowa wypowiedziane przez tych, co zostali za zamkniętą bramą. Minęło kilka minut zanim oderwał się od ściany i odwrócił do Homera.

- Wracamy.

- Co się stało? - powtórzył tamten.

- Tam są bandyci. Konieczne są posiłki.

- Bandyci? - spytał niepewnie stary. - Wydawało mi się, że słyszałem...

- Tulska została przejęta przez wroga. Trzeba ją odbić. Potrzebujemy ludzi z miotaczami płomieni.

- Dlaczego z miotaczami? - Homer już zupełnie się pogubił.

- Dla pewności. Wracamy - Hunter odwrócił się i poszedł.

Staruszek, zanim ruszył za nim, uważnie przyjrzał się zaporze i przyłgął do zimnej stali z nadzieją, że też podsłucha urywek rozmowy.

Cisza...

Homer złapał się na tym, że nie wierzy brygadierowi. Kimkolwiek był ten wróg, który zdobył stację, zachowywał się całkiem niewytłumaczalnie. Komu przysłoby do głowy zamknąć zaporę tylko po to, by obronić się przed dwoma ludźmi? Jacy bandyci wchodziliby w długie negocjacje z uzbrojonymi ludźmi na posterunku granicznym, zamiast zrobić z nich sito jeszcze na podejściu do stacji?

Wreszcie, co mogło znaczyć złowieszcze słowo „kara”, rzucone przez tajemniczych strażników?

Nie ma nic cenniejszego niż ludzkie życie, powiadał ojciec Saszy. Dla niego nie były to puste słowa, ani komunał. Kiedyś tak nie myślał, w końcu nie przypadkiem został najmłodszym dowódcą wojskowym na tej linii metra.

Kiedy masz dwadzieścia lat, do zabijania i do śmierci odnosisz się o wiele bardziej lekkomyślnie, a życie w ogóle wydaje ci się grą, którą, gdyby coś się stało, można zacząć od nowa. Nieprzypadkowo wszystkie armie świata rekrutowały się z wczorajszych uczniów. Bawiącymi się w wojnę chłopcami dowodził zaś ten, który umiał w tysiącach walczących i ginących ludzi widzieć niebieskie i czerwone strzałki na mapie. Ten, który umiał zapomnieć o urwanych nogach, o wyprutych wnętrznościach i roztrzaskiwanych czaszkach, kiedy podejmował decyzję, by poświęcić kompanię czy pułk.

Kiedyś jej ojciec odnosił się z pogardą do swoich wrogów i do siebie samego, i z porażającą dla wszystkich łatwością podejmował się zadań, które powinny były skończyć się dla niego śmiercią. Nie był nierozważny, każdemu jego działaniu towarzyszyła dokładna kalkulacja. Był mądry, staranny, a przy tym obojętnie podchodził do życia, nie odczuwał jego realności, nie myślał o skutkach swoich decyzji i nie ciążyło mu sumienie. Nie, nigdy nie strzelał do kobiet i dzieci, ale osobiście dokonywał egzekucji na dezertkach i pierwszy szturmował bunkry. Był też prawie niewrażliwy na ból. Tak naprawdę w ogóle wszystko było mu obojętne.

Dopóki nie spotkał matki Saszy.

Dotknęła go, człowieka nawykłego do zwycięstw, swoją obojętnością. Jego jedyna słabość, ambicja, która dotąd popychała go do szarżowania na karabiny maszynowe, teraz zmusiła go do nowego, rozpaczliwego szturmu, który nieoczekiwanie zmienił się w długie oblężenie.

W miłości nie były mu wcześniej potrzebne specjalne wysiłki: kobiety same kładły mu swe chorągwie u stóp. Zdemoralizowany ich uległością, zawsze zdążył się kolejną przyjaciółką nasycić, zanim się w niej zakochał, i już po pierwszej nocy tracił całe zainteresowanie uwiedzioną kobietą. Jego silna wola i sława przesłaniały dziewczynom oczy i mało która choćby próbowała posłużyć się starą, dobrą strategią: niech mężczyzna czeka, żeby był czas go lepiej poznać.

Ale dla niej był nudny. Nie zachwycaly jej nagrody, tytuły, wojenne i miłosne triumfy. Nie odpowiadała na jego względy, kręciła głową słysząc jego żarty. I zdobycie tej dziewczyny zaczęło mu się wydawać prawdziwym wyzwaniem. Poważniejszym, niż podporządkowanie sobie sąsiednich stacji.

Szybko zrozumiał, że zbliżenie z nią, które miało być dla niego tylko kolejnym nacięciem na kolbie, odsuwa się coraz dalej - i w czasie, i jeśli chodzi o istotność. Była tak niedostępna, że możliwość spędzania razem choćby godziny dziennie zdawała mu się osiągnięciem. I nawet na to godziła się tylko po to, żeby go pomęczyć. Wątpiła w jego zasługi i wyśmiewała jego zasady. Łajała za bezdusność. Nadszarpywała jego wiarę we własne siły i cele.

Znosił to wszystko cierpliwie. Nawet nie - jemu się to podobało. Przy niej zaczął się zastanawiać. Wahać. A potem i czuć: bezsilność - bo nie wiedział, jak się zbliżyć do tej dziewczyny, żal - tych chwil, które spędzał bez niej, a nawet strach - że ją straci jeszcze zanim ją zdobędzie. Miłość. I wtedy nagrodziła go znakiem: srebrną obrączką.

W końcu, kiedy zupełnie oduczył się bez niej żyć, uległa mu.

Rok później urodziła się Sasza. Teraz było już dwoje ludzi, których życia nie mógł lekceważyć, a i sam nie miał już prawa zginąć. Kiedy masz tylko dwadzieścia pięć lat i dowodzisz najsilniejszą armią w znanej ci części świata, trudno pozbyć się poczucia, że możesz nawet rozkazać Ziemi przestać się kręcić. Lecz żeby zabierać ludziom życie, nie trzeba wielkiej potęgi. Zaś przywrócić go umarłym nie potrafi nikt.

Miał okazję się o tym przekonać: jego żonę zabiła gruźlica, a on nie mógł jej uratować. Od tego czasu coś w nim pękło.

Sasza skończyła wtedy dopiero cztery latka, ale dobrze zapamiętała matkę. Pamiętała też straszną pustkę tunelu, która została po jej odejściu. Bliskość śmierci rozcięła bezdenną szczeliną jej mały światek i dziewczynka często w tę otchłań spoglądała. Brzegi przepaści

zrastały się bardzo powoli. Minęły dwa czy trzy lata zanim przestała wołać mamę we śnie.

Ojcu zdarzało się ją wołać do tej pory.

A może Homer podchodził do sprawy od złej strony? Jeśli bohater jego eposu nie chciał sam do niego przyjść, może trzeba było zacząć od jego przyszłej ukochanej? Znać go jej pięknem i świeżością?

Najpierw ostrożnie napisać jej kwestie i wtedy on sam wyjdzie z niebytu na jej spotkanie? Żeby ich miłość była spełniona będzie musiał idealnie dopełniać ją sobą, czyli w poemacie pojawi się już gotowy, kompletny.

Wygięciami swoich kształtów i myśli będą do siebie pasować jak odłamki rozbitych witraży na Nowosłobodskiej. Przecież one też tworzyły kiedyś jedną całość, i dlatego ich przeznaczeniem było znów się połączyć... Homer nie widział nic złego w tym, że ukradnie ten udany schemat od dawno zmarłych klasyków.

Jednak to rozwiązanie tylko wydawało się proste: ulepić z atramentu i papieru żywą dziewczynę okazało się dla Homera zbyt trudne. Wątpliwe też było, czy umiałby wiarygodnie opisywać uczucia.

Jego obecny związek z Heleną był pełen czułości starych ludzi, ale spotkali się zbyt późno, by kochać bez oglądania się w przeszłość. W tym wieku człowiek nie chce zaspokajać namiętności a uśmierzyć samotność.

Prawdziwa i jedyna miłość Nikołaja Iwanowicza była pogrzebana tam, na górze. Przez minione dekady wszystkie jej szczegóły poza jednym zatarły się i wyblakły, i nie mógłby jej już odmalować z natury. A poza tym w tej relacji i tak nie było żadnego heroizmu.

W dniu, w którym Moskwę przykrył nuklearny deszcz, Nikołajowi zaproponowano stanowisko maszynisty pociągu w miejsce Sierowa, który przeszedł na emeryturę. Pensja miała się prawie podwoić, a przed awansem miał dostać kilka dni urlopu. Zadzwoił do żony; ta powiedziała, że upiecze szarlotkę i wyszła do sklepu po szampana biorąc przy okazji dzieci na spacer.

Ale zmianę trzeba było dokończyć.

Nikołaj Iwanowicz wszedł do kabiny pociągu jako jego przyszły szef, szczęśliwie żonaty i znajdujący się na samym początku tunelu prowadzącego do cudownej świetlistej krainy. Przez następne pół godziny postarzał się o dwadzieścia lat. Kiedy przyjechał na stację końcową, Nikołaj był zdeptanym przez los nędzarzem. Może dlatego zawsze kiedy widział przed sobą cudem zachowany pociąg nachodziła go chęć, by zająć należne mu miejsce maszynisty, po gospodarsku obejrzyć panel sterowania, popatrzeć na pajęczynę tubingów

przez przednią szybę. Wyobrazić sobie, że pociąg można jeszcze doprowadzić do użytku.

Że można wrzucić wsteczny bieg.

Tak właśnie było, brygadier stwarzał wokół siebie specjalne pole, które odsuwało od niego wszystkie niebezpieczeństwa. I jak się zdawało, on o tym wiedział. Droga do Nagornej nie zajęła im nawet godziny. Linia nie okazywała mu żadnego sprzeciwu.

Homer zawsze to czuł: zwiadowcy i straganiarze z Sewastopolskiej, tak jak i wszyscy inni zwyczajni ludzie, którzy odważyli się wchodzić do tuneli, byli dla metra obcymi organizmami. Mikrobami, które dostały się do jego krwiobiegu. Wystarczyło, że postawili nogę poza granicą stacji, a powietrze wokół nich zaogniało się, w rzeczywistości tworzyła się szczelina i jakby znikąd pojawiały się niewyobrażalne stwory wystawiane przez metro przeciwko człowiekowi.

Lecz Hunter nie był obcym ciałem w ciemnych przejazdach, nie wzbudzał oburzenia Lewiatana, po którego naczyniach krwionośnych podróżował. Czasem wyłączał latarkę i sam stawał się częścią wypełniającej tunele ciemności. Wtedy porywały go jakby niewidzialne strumienie i niosły naprzód dwa razy szybciej. Homer, który biegł za brygadierem ze wszystkich sił, zostawał w tyle, wołał za nim, i ten jakby się opamiętywał, stawał i czekał na starego.

W drodze powrotnej pozwolono im nawet spokojnie przejść przez Nagorną. Mgła się rozwiła, stacja była pogrążona we śnie. Teraz było ją widać na wylot i nie można było sobie wyobrazić, gdzie mogły się tu pomieścić te gigantyczne widma. Zwykła porzucona stacyjka: solne narośle na suficie, miękki dywan kurzu wyściełający peron, nagryzmołone węglem bluzgi na zakopconych ścianach. I dopiero potem wzrok zatrzymywał się na dziwnych śladach na posadzce, pozostałych jakby po czyims gorączkowym tańcu, na zaschniętych brunatnych plamach na filarach, na poruszonych i rozbitych plafonach sklepienia, tak jakby coś się o nie otarło.

Nagorna przemknęła im przed oczami i została z tyłu: spieszyli dalej. Dopóki Homer nadążał za brygadierem, też był jakby wewnątrz magicznej bańki, która czyniła go nietykalnym. Staruszek dziwił się sam sobie: skąd bierze siły na taki długi, nieprzerwany marsz...

No, ale na rozmowy już nie starczało mu tchu. Zresztą Hunter nie zaszczycił go odpowiedziami na zadawane pytania. Który to już raz w ciągu tego długiego dnia Homer zapytał sam siebie, na co był w ogóle potrzebny milczącemu i bezlitosnemu brygadierowi, który cały czas szukał okazji by o nim zapomnieć.

Zakradł się i zaatakował ich odór Nachimowskiego Prospektu. Sam Homer przemknąłby przez tę stację jak najszybciej, zapominając o ostrożności, ale brygadier, przeciwnie, zwolnił kroku. Staruszek ledwo wytrzymał w swojej masce gazowej, a Hunter jeszcze węszył, jakby w ciężkim, duszącym smrodzie Nachimowskiego można było odróżnić jakieś osobne nuty.

Tym razem trupojady rozbiegały się przed nimi z respektem, porzucając nieobgryzione kości, upuszczając z pysków kawałki mięsa. Hunter doszedł dokładnie do środka peronu, wszedł na niewysoki wzgórek po kostki pogrążając się w padlinie i objął stację długim spojrzeniem. Potem, nieusatisfakcjonowany, zrezygnował z podejrzeń i ruszył dalej, nie zauważwszy tego, czego szukał.

Znalazł to jednak Homer.

Kiedy pośliznął się i upadł na kolana, spłoszył młodego trupojada, który patroszył właśnie przemokniętą kamizelkę kuloodporną. Zobaczył turlający się na bok hełm od sewastopolskiego munduru i oślepl od potu, którym błyskawicznie zaparowały mu od wewnątrz szkła maski przeciwgazowej.

Powstrzymując odruch wymiotny, Homer podszedł do kości i rozgarnął je, licząc że znajdzie żołnierski nieśmiertelnik. Lecz zamiast tego zauważył mały, uwalany krwią notesik. Otworzył go od razu na ostatniej stronie, na słowach: „w żadnym wypadku nie szturmować”.

Ojciec oduczył ją płakać, jeszcze kiedy była mała, ale teraz nie miała już jak inaczej poskarżyć się losowi. Łzy same ciekły jej po twarzy, z piersi wyrывał jej się cienki, pełen tęsknoty lament. Od razu zrozumiała, co się stało, ale już od kilku godzin nie mogła się zmusić, by się z tym zmierzyć.

Czy wołał ją na pomoc? Chciał jej powiedzieć coś ważnego przed śmiercią? Nie pamiętała chwili, kiedy zapadła w sen, i nie była do końca pewna, czy już się obudziła. Mógł przecież istnieć świat, w którym jej ojciec by nie umarł. Gdzie nie zabiłaby go swoim zapomnieniem, swoją słabością i egoizmem.

Sasza ścisnęła w dłoniach ostygłą, ale jeszcze miękką ojcowską rękę, jakby próbując go jeszcze ogrzać, i przekonywała - jego i siebie:

- Znajdziesz samochód. Wyjdziemy na górę, wsiądziemy do niego i odjedziemy. Będziesz się śmiał, jak tego dnia, kiedy przyniosłeś odtwarzacz z płytami kompaktowymi...

Z początku ojciec siedział, oparty plecami o filar i z brodą opuszczoną na pierś, tak że można było pomyśleć, że drzemie. Lecz potem jego ciało zaczęło się powoli zsuwać w dół, w kałużę gęstniejącej krwi, tak jakby sam zmęczył się udawaniem żywego i nie chciał już

oszukiwać Saszy.

Wiecznie przecinające ojcowską twarz zmarszczki prawie całkiem się wygładziły.

Puściła jego rękę i pomogła mu się wygodniej ułożyć, przykryła go razem z głową porwanym prześcieradłem. Nie miała innego sposobu, by go pogrzebać. Tak, chciałyby wynieść ojca na powierzchnię i zostawić go tam, żeby leżał patrząc w niebo, które kiedyś w końcu znów będzie czyste. Jednak znacznie wcześniej jego ciało padnie łupem grasujących tam wiecznie głodnych stworów.

A na ich stacji nikt go nie ruszy. Z martwych południowych tuneli nie należało się spodziewać zagrożenia - mogły w nich przeżyć co najwyżej latające karaluchy. Na północy tunel urywał się przy wjeździe na przerdzewiały i na wpół zawalony most z jedynym ocalałym torem.

Tam, za mostem, są ludzie, ale żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy, by przekroczyć go tylko z ciekawości. Wszyscy wiedzą, że po drugiej stronie zaczyna się wypalona pustynia, na skraju której stoi stacja-stróżówka z dwójką zesłańców.

Ojciec nie pozwoliłby zostać jej tu samej, zresztą przestało to już mieć jakikolwiek sens. A poza tym Sasza wiedziała, że choćby nie wiadomo jak daleko uciekła, nie wiadomo jak rozpaczliwie starała się wyrwać z tego lochu, do którego ją wtrącono, teraz nie uda jej się już uwolnić z niego tak jak trzeba.

- Tato... Przebacz mi, proszę - załkała, wiedząc, że na wybaczenie nie zasługuje.

Zdjęła mu z palca srebrną obrączkę i włożyła ją do kieszeni kombinezonu. Podniosła klatkę z przycichłym szczurem i ruszyła na północ zostawiając za sobą na zakurzonej granicy łańcuszek krwawych śladów.

Kiedy Sasza zeskoczyła na tory i weszła do tunelu, na pustej stacji przekształconej w łódź pogrzebową doszło do czegoś niewytłumaczalnego i symbolicznego. Z czeluści przeciwległego tunelu wysunął się długi język płomieni, próbując dotknąć ciała jej ojca. Nie dosięgnąwszy schował się z powrotem w ciemnych głębinach, niechętnie przyznając ojcu Saszy prawo do spokoju.

- Wracają! Oni wracają!

Istomin odsunął słuchawkę telefonu od ucha i spojrzał na nią z niedowierzaniem, jak gdyby była żywym stworzeniem i dopiero co opowiedziała mu jakąś głupią bajkę.

- Jacy oni?!

Denis Michajłowicz zerwał się z krzesła rozlewając herbatę i tworząc sobie na spodniach

wstydliwą ciemną plamę. Wysłał ją do wszystkich diabłów i powtórzył pytanie.

- Jacy oni? - mechanicznie powtórzył Istomin do telefonu.

- Brygadier i Homer - zasześciła słuchawka. - Ahmeda zabili.

Władimir Iwanowicz osuszył łysinę chustką do nosa i potarł skroń pod czarną gumką swojej pirackiej opaski na oko. Informowanie krewnych o śmierci żołnierzy należało do jego obowiązków.

Nie czekając na przełączenie rozmowy wyjrzał za drzwi i zawołał do adiutanta:

- Przeprowadzić obu do mnie! I każ nakryć do stołu!

Obszedł gabinet, nie wiadomo po co poprawił wiszące na ścianie fotografie, szepnął coś do siebie przy planie i odwrócił się do Denisa Michajłowicza. Ten siedział z rękami skrzyżowanymi na piersi i szczerze się śmiał.

- Wołodia, zachowujesz się jak panienka przed schadzką - mruknął pułkownik.

- Ty, jak widzę, też się denerwujesz - odgryził się naczelnik stacji, wskazując na przemoczone spodnie dowódcy.

- Niby czym? Ja jestem przygotowany. Są dwa oddziały szturmowe, mobilizacja w ciągu doby - Denis Michajłowicz pogładził pieśczołliwie leżący na stole błękitny beret, wstał i założył go sobie na głowę, przybierając oficjalny wygląd.

W pokoju przyjęć zaczęła się krzątanina, zadźwięczały sztuce, ordynans z pytającym spojrzeniem pokazał przez drzwi zapotniałą flaszkę wódki. Istomin machnął na niego ręką - potem, to wszystko potem! Wreszcie dał się słyszeć znajomy głuchy głos, drzwi się otworzyły i przejście zasłoniła barczysta postać. Za plecami brygadiera przestępował z nogi na nogę stary łgarz, którego ten z jakiegoś powodu włókł za sobą.

- Witam! - Istomin opadł na swoje krzesło, wstał i znów usiadł.

- No i co?! - wypalił pułkownik.

Brygadier przeniósł ciężkie spojrzenie z jednego na drugiego i zwrócił się do naczelnika.

- Tulska została przejęta przez koczowników. Wszystkich wybili.

- I wszystkich naszych? - podniósł krzaczaste brwi Denis Michajłowicz.

- Z tego, co wiem, tak. Doszliśmy do bram stacji, doszło do walki, i zamknęli zapore.

- Zamknęli służę? - Istomin podniósł się, wczepiwszy palcami w kraj stołu. - I co mamy teraz zrobić?

- Szturmować - zabrzmiały jednocześnie ostre głosy brygadiera i pułkownika.

- Nie wolno szturmować! - rozległ się nieoczekiwanie z drugiego pokoju głos Homera.

Trzeba było po prostu poczekać na umówioną godzinę. Jeśli nie pomyliła dnia, drezyna

powinna była wychynąć z wilgotnego mroku nocy całkiem niedługo. Każda zbędna minuta spędzona tu, na skarpie, gdzie otwarta żyła tunelu przebijała się spod warstwy ziemi, kosztowała ją dzień życia. Ale miała tylko jedno wyjście: czekać. Po tamtej stronie ciągnącego się w nieskończoność mostu zderzyłaby się z zaplombowaną hermetyczną bramą, która otwierała się tylko od wewnątrz - raz w tygodniu, w dzień targowy.

Dziś Sasza nie miała czym handlować, a kupić musiała więcej niż kiedykolwiek. Ale teraz było jej wszystko jedno o co poproszą ją ludzie z dreżyny w zamian za powtórne wejście do świata żywych. Grobowy chłód i pośmiertna nieczułość ojca udzieliły się także jej.

Ile razy Sasza marzyła o tym, że kiedyś jednak przedostaną się do innej stacji, gdzie będą otoczeni ludźmi, gdzie będzie mogła się z kimś zaprzyjaźnić, spotkać kogoś wyjątkowego... Wypytywała ojca o jego młodość nie tylko dlatego, że chciała znów pobyc w swoim rozświetlonym dzieciństwie, ale też dlatego, że w tajemnicy podstawiała w miejsce matki siebie, a w miejscu ojca mgliście widziała pięknego młodzieńca o wciąż zmieniających się rysach, i niezgrabnie wyobrażała sobie miłość. Martwiła się, że jeśli rzeczywiście wrócą do wielkiego metra, to nie będzie umiała znaleźć wspólnego języka z innymi. O czym mieliby z nią rozmawiać?

I oto do przybycia promu na drugą stronę zostały godziny, a może minuty, a ona miała innych ludzi gdzieś - i mężczyzn, i kobiety, i nawet myśli o powrocie do ludzkiej egzystencji wydawały jej się zdradą ojca. Nie wahając się ani sekundy zgodziłaby się teraz spędzić resztę życia na ich stacji, jeśli by to pomogło go uratować.

Ogarek świeczki w słoiku zatrzepotał w agonii, i Sasza przeniosła płomień na nowy knot. Podczas jednej z wypraw na powierzchnię ojciec znalazł całą skrzynkę woskowych świec i kilka z nich zawsze poniewierało się po przestronnych kieszeniach jej kombinezonu. Sasza chciała myśleć, że ich ciała były takim właśnie świeczkami i jakaś część ojca przeszła teraz do niej, kiedy zgasł.

Czy ludzie z dreżyny dojrzą jej znaki w tej mgle?

Do tej pory celowała tak, żeby ani przez chwilę nie być na zewnątrz bez potrzeby. Ojciec jej zabraniał, a i jego nabrzmiałe wole było samo w sobie dostatecznym ostrzeżeniem. Sasza zwykle czuła się na skarpie nieprzytulnie, jak schwytyany kret, rozglądała się niespokojnie i tylko z rzadka zbierała się na odwagę, by podejść do pierwszego przesła mostu, by zerknąć z niego na płynącą poniżej czarną rzekę.

Ale tym razem miała za dużo czasu. Garbiąc się i kuląc na przenikliwym jesiennym wietrze, Sasza zrobiła kilka kroków do przodu i zza ustępujących szkieletów drzew z półmroku wychynęły sypiące się grzbiety wielopiętrowych bloków. W oleistej lepkiej rzece

ciężko pluskało coś ogromnego, a z oddali dochodziły niemal ludzkie jęki nieznanymi potworów.

I nagle do ich lamentu dołączyło żalosne, smętne skrzywienie...

Sasza zerwała się na nogi wysoko podnosząc lampkę i z mostu odpowiedzieli - chytrą ukradkową smugą światła. Na jej spotkanie toczyła się stara, zmurszała drezyna, ledwo przebijając się przez gęstą niczym wata mgłę, klinem słabiutkiej latarki wciskając się w noc i rozcinając ją na pół. Dziewczyna cofnęła się: to była inna drezyna niż zwykle. Szła ciężko, jakby każdy obrót jej kół przychodził pracującym przy dźwigniach ludziom z wielkim trudem.

Wreszcie zatrzymała się jakieś dziesięć kroków od Saszy. Na żwir zeskoczył ciężko wysoki grubas w skafandrze z brezentu. W szklach maski przeciwgazowej odbijały się diabelskie ogniki skrywając przed Saszą jego oczy. Mężczyzna ścisnął w ręce starego wojskowego kałasznikowa z drewnianą kolbą.

- Chcę stąd wyjechać - podnosząc podbródek oznajmiła Sasza.

- Wyjechać - powtórzyła jak echo brezentowa kukła, ze zdziwieniem, a może szyderstwem przeciągając samogłoski. - A co masz na sprzedaż?

- Nic mi nie zostało - utkwiała wzrok w jego płonących, okolonych żelazem oczodołach.

- Od każdego można coś wziąć, szczególnie od kobiety - przewoźnik zarechotał, a potem się spostrzegł. - Zostawisz tatuśka?

- Nic mi nie zostało - powtórzyła Sasza opuszczając wzrok.

- A więc jednak zdechł - z ulgą, ale i rozczarowaniem przeciągle powiedziała maska. - I dobrze. To by mu się nie spodobało - lufa automatu wsunęła się pod pasek skafandra Saszy i niespiesznie powoli pociągnęła go w dół.

- Ani się waż! - krzyknęła ochryple i rzuciła się do tyłu. Słoik ze świeczką spadł na tory, prysnął odłamkami i ciemność natychmiast połknęła płomyczek.

- Stąd się nie wraca, nie rozumiesz tego? - kukła patrzyła na nią obojętnie zgasłymi, martwymi szklami. - Twojego ciała nie starczy nawet, żeby zapłacić za moją drogę w jedną stronę. Uznaj, że wezmę je jako spłatę długu twojego ojca.

Karabin obrócił się w jego rękach kolbą naprzód i miłosiernie pozbawiając przytomności uderzył ją w skroń.

Za Nachimowskim Prospektem Hunter z jakiegoś powodu trzymał Homera cały czas przy sobie, i ten nie miał szans porządnie przyjrzeć się notatnikowi. Brygadier zrobił się nagle podejrzliwy i czujny, starał się nie tylko nie zostawiać starego daleko w tyle, ale w ogóle

szedł z nim krok w krok, choć musiał przez to zwalniać. Parę razy zatrzymywał się, niby żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Ale kiedy się odwracał, smuga światła z jego reflektora nieodmiennie przemykała po twarzy Homera, sprawiając, że stary czuł się jak na przesłuchaniu. Klął, mrugał próbując dojść do siebie, i czuł, jak lepki wzrok brygadiera pełźnie po całym jego ciele w poszukiwaniu tego, co znalazł na Nachimowskim.

Brednie! Hunter oczywiście nie mógł niczego widzieć, w tamtej chwili był za daleko. Prędeż po prostu wychwytał zmianę nastroju Homera i zaczął go o coś podejrzewać. Lecz za każdym razem, gdy napotykał jego wzrok, starego oblewał pot. Tych paru słów, które zdążył podejrzeć w znalezionym notatniku, z nawiązką starczyło, żeby zacząć wątpić w brygadiera.

To był dziennik.

Część kartek skleiała się od zaschłej krwi, tych Homer nie ruszał: przestraszył się, że porwie je sztywnymi ze zdenerwowania palcami. Notatki na pierwszych stronach były chaotyczne, ich autor nie mógł utrzymać w ryzach nawet jednej litery, a jego myśli galopowały tak, że nie dało się za nimi nadążyć „Nagorną przeszliśmy bez strat” - oznajmiał notatnik, i od razu przeskakiwał: „Na Tulskiej chaos. Nie ma wyjścia do metra, Hanza zablokowała. Do domu też nie wolno”.

Homer przerzucił kilka kartek, zauważając kątem oka, że brygadier zszedł z kurhanu i idzie w jego stronę. Dziennik nie może wpaść w jego ręce, zrozumiał stary. Ale zanim notatnik zniknął w plecaku, Homer zdążył przeczytać: „Opanowaliśmy sytuację, stacja została otoczona, wyznaczyliśmy komendanta”, i od razu: „Kto zdechnie jako następny?”.

Poza tym: nad tym pytaniem widniała otoczona ramką data. Chociaż zaschnięte kartki notatnika sprawiały wrażenie, że wydarzenia opisane w dzienniku rozgrywały się wręcz w ubiegłej dekadzie, sądząc po tych cyfrach, zapisek został zrobiony zaledwie kilka dni wcześniej.

Coraz mniej sprawna mózgowica starego z dawno zapomnianą bystrością ułożyła w całość kawałki pełnej luk układanki: zagadkowego podróznego, który przywidział się nieszczęsnemu bezdomnemu na Nagatińskiej, jakby znajomy głos strażnika przy blokadzie, słowa „Nie wolno nam wracać do domu”...

Zaczynał się przed nim malować całościowy obraz. Czy te gryzmoły na sklejonych stronicach nie mogłyby nadać sensu wszystkim pozostałym dziwnym wydarzeniom?

Z całą pewnością nie było żadnego przejścia Tulskiej przez bandytów; działo się tam coś dużo bardziej skomplikowanego i tajemniczego. I Hunter, który przez kwadrans wypytywał wartowników u wejścia na stację, wiedział to wcale nie gorzej od Homera.

Właśnie dlatego nie można było pokazywać mu notatnika.

Właśnie dlatego Homer ośmielił się mu otwarcie sprzeciwić na zebraniu w gabinecie Istomina.

- Nie wolno - powiedział jeszcze raz.

Hunter powoli, jak okręt liniowy nakierowujący główne działo, odwrócił głowę w jego kierunku. Istomin odsunął się na krześle do tyłu i postanowił jednak wyjść zza biurka. Pułkownik skrzywił się ze znużeniem.

- Nie uda się wysadzić zapory, przecież tam dookoła są wody gruntowe, migiem zaleje całą linię. Zresztą cała Tulska trzyma się na słowo honoru, modlą się tam, żeby woda się nie wdarła. Równoległy tunel - sami wiecie, że już od dziesięciu lat... - ciągnął Homer.

- To co, będziemy pukać i czekać aż nam otworzą? - zainteresował się Denis Michajłowicz.

- No, zawsze jest droga okrężna - przypomniał Istomin.

Zaskoczony pułkownik zakaszłał, potem zaczął ostro się kłócić z naczelnikiem, oskarżając go, że zamierza okaleczyć i wykończyć jego najlepszych ludzi. I tu wystrzelił brygadier.

- Tulska należy oczyścić... Sytuacja jest taka, że konieczna jest pełna likwidacja wszystkich, którzy znajdują się na stacji. Tam nie został już żaden z waszych ludzi. Z nimi koniec. Jeśli nie chcecie jeszcze większych strat, to nie ma innego rozwiązania. Wiem, co mówię. Mam wiedzę.

Ostatnie słowa były wyraźnie skierowane do Homera. Stary poczuł się jak niegrzeczny szczeniak, którym potrząsa się za kark, żeby doprowadzić go do porządku.

- Biorąc pod uwagę, że tunel z naszej strony jest zamknięty - Istomin obciągnął bluzę munduru - jest tylko jeden sposób, by dostać się na Tulska. Z drugiej strony, przez Hanzę. Ale nie damy rady przetrząsnąć tamtędy uzbrojonych ludzi, to wykluczone.

- Znajdę ludzi - machnął ręką Hunter, i pułkownik drgnął.

- Nawet żeby po prostu dojść do Hanzy, trzeba przejść dwie stacje Linią Kachowską, do Kaszyrskiej... - naczelnik tajemniczo umilkł.

- I co? - brygadier skrzyżował ręce na piersi.

- W rejonie Kaszyrskiej w tunelach promieniowanie wychodzi poza skalę - wyjaśnił pułkownik. - Tam niedaleko spadł fragment głowicy atomowej. Nie wybuchło, ale i tak wystarczyło. Co drugi napromieniowany umiera w ciągu miesiąca. Do dzisiaj.

W pokoju zawisła nieprzyjemna cisza. Homer, korzystając z przerwy, dyskretnie zaczął odwrót - taktyczny, ma się rozumieć - z gabinetu Istomina. W końcu Władimir Iwanowicz,

bojąc się widocznie, że niesterowalny brygadier jednak pójdzie wysadzać zaporę na Tulskiej, wyznał:

- Są skafandry ochronne. Wszystkiego dwa. Możesz wziąć ze sobą najsilniejszego żołnierza, kogo chcesz. A my poczekamy - obejrzał się na Denisa Michajłowicza. - Co nam innego pozostaje?

- Pójdziemy do chłopaków - westchnął pułkownik. - Pogadamy, wybierzesz sobie towarzysza.

- Nie ma takiej potrzeby - pokręcił głową Hunter. - Wezmę Homera.

Rozdział 7

Przejście

Drezyna minęła szeroki pas namalowany jaskrawo żółtą farbą na ziemi i ścianach tunelu. Kierowca nie mógł już udawać, że nie słyszy coraz szybszego terkotania dozymetru. Wyhamował i przepraszącym tonem mruknął:

- Towarzyszu pułkowniku... Dalej nie można bez skafandra...

- Dawaj jeszcze chociaż ze sto metrów - miękko poprosił go Denis Michajłowicz obracając się w jego kierunku. - Będziesz miał tydzień wolnego od patroli, urlop zdrowotny. Dla nas to nic - dwie minuty, a oni będą się w tych skafandrach tłuc pół godziny.

- Ale to przecież końcowa granica, towarzyszu pułkowniku - marudził kierowca, nie decydując się, by zmniejszyć prędkość.

- Zatrzymaj się - rozkazał Hunter. - Dalej pójdziemy sami. To prawda, zaczyna się wysokie promieniowanie.

Zaskrzypiały klocki hamulcowe, zakołysał się zawieszony z przodu reflektor, i drezyna stanęła. Brygadier i stary, siedzący na jej skraju ze zwieszonymi nogami, zeszli na tory. Ciężkie kombinezony ochronne sporządzone z materiału pokrytego ołowiem rzeczywiście wyglądały jak prawdziwe skafandry. Niewiarygodnie drogie i rzadko spotykane - w całym metrze pewnie nie znalazłoby się więcej niż kilkadziesiąt - na Sewastopolskiej prawie nigdy nie były używane, czekając na swój czas. Taka zbroja była zdolna pochłoniąć najsilniejsze promieniowanie, ale nawet zwykły chód zamieniał się w nich w ciężkie do wykonania zadanie - przynajmniej dla Homera.

Denis Michajłowicz zostawił drezynę z tyłu i jeszcze przez parę minut kroczył razem z nimi przerzucając się z Hunterem frazami tak pourywanymi i uciętymi, żeby Homer nie mógł ich poskładać i zrozumieć.

- Skąd ich weźmiesz? - mruknął do brygadiera.

- Dadzą. Nigdzie się nie schowają - patrząc prosto przed siebie powiedział tamten.

- Od dawna nikt na ciebie nie czeka. Jesteś dla nich martwy. Martwy, rozumiesz?

Hunter na moment się zatrzymał i cicho, jakby zwracał się nie do komendanta, a sam do siebie, powiedział:

- Gdyby to wszystko było takie proste.

- A dezercja z Zakonu jest gorsza od śmierci! - zawołał Denis Michajłowicz.

Brygadier zamiast odpowiedzi zsalutował pułkownikowi, odcinając jednocześnie niewidzialną linię od kotwicy. Denis Michajłowicz uległ i został na pomoście, a brygadier i stary, powoli, jakby pokonując przeciwny prąd, odpłynęli od brzegu i wyruszyli w swój wielki rejs po morzach ciemności.

Opuściwszy rękę, pułkownik dał kierowcy znak, żeby uruchomił silnik. Czuł pustkę: nie miał już komu stawiać ultimatum, nie miał z kim się spierać. Jako komendant wojskowy wysepki zagubionej na jednym z tych mórz, mógł mieć teraz nadzieję tylko na to, że ta mała ekspedycja w nim nie utonie, lecz kiedyś wróci do domu - od drugiej strony, dowodząc tym samym, że Ziemia jest okrągła.

Ostatni posterunek mieścił się w tunelu od razu za Kachowską i był prawie pusty. O ile stary pamiętał, ze wschodu ani razu nikt sewastopolczyków nie atakował.

Żółta linia nie tyle dzieliła na umowne odcinki niekończącą się betonową kiszkę, co łączyła kosmiczną windą dwie planety, oddalone od siebie o setki lat świetlnych. Za nią zamieszкана ziemską przestrzeń niepostrzeżenie zmieniała się w martwy księżycowy krajobraz, i jakiegokolwiek ich podobieństwo było mylące. W skupieniu przestawiając nogi w kilkunastokilogramowych butach, słuchając swojego ciężkiego oddechu wtłoczonego w złożony system krutek i filtrów, Homer wydawał się sobie właśnie astronautą, który wylądował na satelicie odległej gwiazdy. Wybaczył sobie te dziecinne myśli: w ten sposób łatwiej mu było przyzwyczać się do ciężaru skafandra - można go było wytłumaczyć silną grawitacją - i do tego, że przez następne kilometry będą jedynymi żywymi stworzeniami.

Ani uczeni, ani fantaści nie umieli jak należy przewidywać przyszłości, myślał stary. Do 2034 roku człowiek dawno już powinien był zapanować jeśli nie nad połową Galaktyki, to przynajmniej Układu Słonecznego. Obiecywali to Homerowi jeszcze kiedy był dzieckiem. Lecz zarówno fantaści, jak i uczeni wychodzili z założenia, że ludzkość jest racjonalna i konsekwentna. Tak jakby nie składała się z kilku miliardów leniwych, lekkomyślnych, targanych emocjami jednostek, a była jakimś ułem obdarzonym zbiorowym umysłem i jedną wolą. Tak jakby biorąc się za zdobywanie kosmosu miała zamiar zająć się nim na poważnie, a nie rezygnować w pół drogi, kiedy nowa zabawka się znudziła, i przerzucić się na elektronikę, a z elektroniki na biotechnologię, w niczym w końcu nie osiągnąwszy zbyt imponujących rezultatów. Może oprócz fizyki jądrowej.

I oto on, bezskrzydły astronauta, niezdolny do życia bez swojego przyciężkiego skafandra, obcy na własnej planecie, eksploruje i podbija przejazd między Kachowską a

Kaszyską. I lepiej żeby on i inni ocalali zapomnieli o czymkolwiek więcej. Gwiazd stąd, tak czy inaczej, nie widać.

Dziwna rzecz: tutaj, za żółtą linią, jego ciało stękało pod półtora raza większą siłą ciężenia, ale dusza przebywała w stanie nieważkości. Dobę temu, kiedy zegnał się z Heleną przed wyprawą na Tulska, liczył jeszcze na to, że wróci. Lecz kiedy Hunter wymienił jego imię, drugi raz z rzędu wybierając Homera na swojego towarzysza, zrozumiał: nie będzie mógł okazać małoduszności. Tyle razy prosił, by go wypróbować, by go oświecić, że w końcu został wysłuchany, i próbować teraz się wymigać byłoby głupio i niegodnie.

Pojął, że dziełem całego życia nie można się zajmować na pół gwizdka. Nie ma co kokietować losu, obiecywać mu, że poddamy mu się troszkę później, następnym razem... Drugi raz może się nie zdarzyć, więc jeśli nie zdecyduje się teraz, to po co będzie potem żyć? Dożyje swoich dni jako Nikołaj Iwanowicz, miejski szaleniec, zaśliniony stary gaduła z nieobecnym uśmiechem?

Lecz żeby z karykatury Homera stać się Homerem prawdziwym, z mitomana - mitotwórcą, żeby powstać z popiołów odnowionym, trzeba było na początku spalić poprzedniego siebie. Zdawało mu się, że jeśli wciąż będzie wątpił, zacznie użalać się nad sobą w swojej tęsknocie za domem, kobietą, nieustannie oglądać się za siebie, to z pewnością przegapi coś bardzo ważnego przed sobą. Trzeba było ciąć.

Trudno mu będzie z tej nowej wyprawy wrócić całym, w ogóle trudno mu będzie wrócić i chociaż żal mu było Heleny, która z początku nie wierzyła, że Homer zjawił się na stacji po zaledwie dniu nieobecności i bez szwanku, a potem płakała i znów pakowała mu rzeczy na drogę donikąd, nie umiejąc mu jej wyperswadować, tym razem niczego jej nie obiecał. Tulił Helenę do siebie i za jej plecami patrzył na zegarek. Musiał iść. Homer to wiedział: dziesięciu lat życia nie da się łatwo amputować, na pewno będą o sobie przypominać bólami fantomowymi.

Myślał, że przez cały czas będzie czuł pokusę, by się obejrzeć, ale kiedy przekroczył grubą, żółtą kreskę, jakby naprawdę umarł, i jego dusza wzleciała wyrwawszy się z obu ciężkich, niezgrabnych powłok. Uwolnił się.

Hunterowi, jak się zdawało, kombinezon ochronny zupełnie nie ciążył. Obszerny strój wyolbrzymił jego muskularne wilcze kształty, robiąc z niego bezforemną bryłę, lecz nie pozbawiając go szybkości. Szedł równo z łapiącym zadyszkę starcem, ale tylko dlatego, że od Nachimowskiego zaczął go dokładnie pilnować.

Po tym, co zobaczył na Nagatińskiej, na Nagornej i na Tulskiej, Homerowi nie było łatwo

zgodzić się i kontynuować wędrówkę z Hunterem. Znalazł jednak sposób, by przekonać samego siebie: właśnie w obecności brygadiera rozpoczęła się w nim długo oczekiwana metamorfoza, zapowiedź przeobrażenia. I nieważne dlaczego Hunter ciągnie go z sobą dalej - żeby skierować starego na słuszną ścieżkę, czy w charakterze chodzących racji żywnościowych. Najważniejsze było teraz dla Homera, żeby nie zgubić tego stanu, zdążyć go wykorzystać, zdążyć wymyślić, zapisać...

I jeszcze jedno. Kiedy Hunter wybrał go na towarzysza, Homerowi wydało się, że on sam dokładnie tak samo potrzebuje jego. Nie, nie po to, by wskazywał mu drogę w tunelach i żeby ostrzegał go o zagrożeniach. Może będąc paliwem dla starego, brygadier sam brał od niego coś bez pytania? Ale czego mogło mu brakować?

Pozorna beznamiętność Huntera nie mogła już starego zmylić. Pod skorupą jego sparaliżowanej twarzy gotowała się magma, z rzadka wyrzucana przez kraterę niezamykających się, dymiących oczu. Był niespokojny.

On także czegoś szukał.

Właściwie Hunter pasował do roli epickiego bohatera przyszłej książki. Homer się zawahał, ale zaakceptował go po pierwszych próbach. Lecz wiele w postaci brygadiera, w jego pasji do uśmiercania tego, co żywe, w niedopowiedzianych słowach i skąpych gestach budziło w starym niepokój. Hunter przypominał tych morderców, którzy zostawiają wskazówki, by podrażnić śledecznych, chcąc by ich zdemaskowano. Stary nie wiedział, czy Hunter widzi w nim spowiednika, biografę czy krwiodawcę, ale czuł, że ta dziwna zależność jest wzajemna. Że jest silniejsza od strachu.

Homera nie opuszczało wrażenie, że Hunter odwleka jakąś bardzo ważną rozmowę. Czasem brygadier obracał się ku niemu, jakby zamierzając o coś spytać, ale w końcu nic nie mówił. Chociaż mogło być i tak, że stary po raz kolejny wziął swoje pragnienia za rzeczywistość, i Hunter po prostu wiódł go za sobą jak najgłębiej w tunele, aby tam skrócić niewygodnemu świadkowi kark.

Jego wzrok coraz częściej padał na plecak starego, na którego dnie leżał nieszczęsny dziennik. Nie mógł go widzieć, ale zupełnie jakby się domyślał, że w plecaku kryje się jakiś przedmiot, który przyciąga myśli Homera, wyczuwał je i stopniowo sam podchodził coraz bliżej i bliżej do notatnika. Staruszek starał się nie myśleć o dzienniku, ale na próżno.

Homer prawie nie miał czasu, by się zabrać za dziennik, i udało mu się zostać z nim sam na sam tylko na kilka minut. Nie starczyło ich, żeby namoczyć i rozkleić pokryte krwią kartki, lecz zdołał przelotnie przebiec wzrokiem przez pozostałe stronicę, usiane pisanymi we wszystkich kierunkach pospieszonymi, urywanymi zapiskami. Miały naruszoną chronologię,

tak jakby piszący z wielkim wysiłkiem chwycił wyslizgujące się słowa i kładł je na papier gdzie popadnie. Teraz, żeby nabrały sensu, staruszek musiał ustawić je w prawidłowej kolejności.

„Nie ma łączności. Telefon milczy. Być może sabotaż. Ktoś z wygnanych, żeby się zemścić? Jeszcze zanim przyszedliśmy”.

„Sytuacja bez wyjścia. Nie ma skąd oczekiwać pomocy. Prosząc Sewastopolską zgubimy przecież naszych. Pozostaje cierpliwie czekać... Jak długo?”

„Nie puszczają... Zwariowali. Jeśli nie ja, to kto? Uciekać!”

Było coś jeszcze. Zaraz po ostatnich słowach, wzywających, by nie szturmować Tulskiej, widniał podpis - niewyraźny, z brunatnym odciskiem zakrwawionego palca. Homer nie tylko słyszał to imię wcześniej, sam nierzadko je wymawiał. Dziennik należał do łącznościowca z karawany wysłanej na Tuską tydzień temu.

Minęli zjazd do zajezdni, którą z pewnością by rozgrabiono, gdyby nie tutejszy poziom promieniowania. Czarna, jakby uschnięta odnoga, która do niej prowadziła, była z jakiegoś powodu odgradzona zespawanymi prętami zbrojeniowymi, przy czym niezbyt umiejętnie i wyraźnie w pośpiechu. Z przywiązanej do nich drutem blaszanej tabliczki szczyrzył zęby rysunek czaszki i widniały ślady napisanego czerwoną farbą ostrzeżenia, zatartego jednak przez czas, lub zeskrobanego przez jakiegoś człowieka.

Zagłębiwszy wzrok w tej zakratowanej studni i ledwie go z niej wydostawszy, Homer pomyślał, że linia najwidoczniej nie zawsze była tak pozbawiona życia, jak uważano na Sewastopolskiej.

Minęli Warszawską - straszną, przeżartą rdzą i pleśnią, podobną do wyłowionego topielca. Z podzielonych na kwadraty kafelków ścian sączyła się mętna woda. Przez na wpół otwartą paszczę zapory do środka przenikał chłodny wiatr z powierzchni, tak jakby jakiś olbrzym przyłgnął do niej od góry i robił dawno zgniłej stacji sztuczne oddychanie. Liczniki terkotały histerycznie, żądając, by natychmiast się stąd wynosić.

Bliżej Kaszyrskiej jeden z mierników się rozstroił, cyfry na drugim doszły do samego końca wyświetlacza. Homer poczuł gorzki smak na języku.

- Gdzie jest epicentrum?

Głos brygadiera był słabo słyszalny, jak gdyby Homer zanurzył głowę w wannie pełnej wody. Zatrzymał się, korzystając z tej krótkiej chwili oddechu, i machnął rękawicą na południowy wschód.

- Przy Kantemirowskiej. Wydaje nam się, że przebiło dach pawilonu albo szyb wentylacyjny. Nikt dokładnie nie wie.

- Czyli co, Kantemirowska jest niezamieszкана?

- I zawsze była. Cała linia za Kołomieńską jest pusta.

- A mnie mówili... - zaczął już Hunter, ale umilkł, dając znak, żeby Homer też był cicho i nastrojając się do jakichś słabych fal. - Wiadomo, co z Kaszyrską? - spytał wreszcie.

- Niby skąd? - stary nie był pewny, czy udało mu się włożyć nutkę ironii w nosowe, przypominające dźwięk puzonu brzęczenie, które wydawał przez filtry oddechowe.

- Powiem ci coś. Tam jest takie promieniowanie, że przez minutę obaj spalimy się na stacji na popiół. Nic nie pomoże. Nie możemy tam iść. Zawracamy.

- Z powrotem? Na Sewastopolską?

- Tak. Wyjdę tam na powierzchnię, spróbuję przejść górą - odparł zamyślonym głosem Hunter, wytyczając już w głowie marszrutę.

- Chcesz iść sam? - zaniepokoił się Homer.

- Nie będę mógł cię ciągle ratować. Będę zajęty ochronieniem własnej skóry. Zresztą we dwójkę się tamtędy nie przejdzie. Nawet ja sam nie mam pewności.

- Nie rozumiesz, ja muszę iść z tobą, chcę... - Homer gorączkowo szukał powodu, punktu zaczepienia.

- Chcesz zdechnąć z sensem? - obojętnie skończył za niego Hunter.

Ale Homer świetnie wiedział: tak naprawdę to filtry maski przeciwgazowej odcinają wszelkie dodatki, przepuszczając do środka tylko bezwonne, sterylne powietrze, a na zewnątrz - mechaniczny, bezduszny głos.

Stary zmrużył na moment oczy, przypominając sobie wszystko, co wiedział o kusej Linii Kachowskiej, o dotkniętej promieniowaniem dolnej końcówce nitki Zamoskworieckiej, o drodze z Sewastopolskiej do Sierpuchowskiej... O wszystkim, co się dało, byle by nie iść z powrotem, nie wracać do swojego marnego życia, do kłamiwej brzemienności wielkimi powieściami i nieśmiertelnymi legendami.

- Chodź za mną! - wychrypiał nagle i z nieoczekiwaną nawet dla siebie samego szybkością pokuśtykał na wschód - w stronę Kaszyrskiej, w środek piekła.

Śniło jej się, że wodzi pilnikiem po bransolecie stalowych kajdan, którymi była przykuta do

ściany. Pilnik zgrzytał i ześlizgiwał się, i nawet kiedy zaczynało jej się wydawać, że jego powierzchnia na pół milimetra wgryzła się w stal, wystarczyło przerwać na chwilę pracę, by płytki, ledwo zauważalny rowek zamykał się w oczach.

Lecz Sasza nie traciła nadziei: znów łapała za narzędzie i zaciskając dłonie zabierała się do piłowania nieustępliwego metalu, wchodząc w ścisły, regularny rytm. Najważniejsze to nie tracić rytmu, nie odpuszczać, ani na moment nie przerywać pracy. Ściśnięte okowami kostki spuchły i zdrętwiały. Sasza zrozumiała, że nawet jeśli uda jej się wygrać z metalem, to tak czy owak nie uda jej się uciec, bo nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Ocknęła się, z trudem podniosła powieki.

Więzy jej się nie przyśniły: nadgarstki Saszy tkwiły w kajdankach. Leżała w ubłoconej skrzyni starej drezyny towarowej, która monotonicznie skrzypiąc powoli i ociężale toczyła się naprzód. Usta miała zatkane zatłuszczoną szmatą, skroń bolała i krwawiła.

„Nie zabił - pomyślała Sasza. - Dlaczego?”

Ze skrzyni widać było tylko kawałek sufitu. W nierównym urywku plamy światła migają spojenia metalowych pierścieni: drezyna jechała przez tunel. W czasie, gdy Sasza próbowała wyciągnąć skute ręce zza pleców, obręczę zastąpiła łuszcząca się biała farba. Saszę ogarnął niepokój: co to za stacja?

To nie było dobre miejsce: nie tyle ciche, co głucho, nie tyle bez ludzi, co bez życia, i pogrążone w całkowitej ciemności. Z jakiegoś powodu zawsze myślała, że tam, za mostem, każda stacja jest pełna ludzi i że wszędzie panuje gwar. Okazało się, że się myliła?

Sufit nad Saszą znieruchomiał. Jej porywacz, stękając i przeklinając, wdrapał się na peron, zachrząścił podkutymi obcasami, przechadzając się dookoła, jakby badał okolicę. Potem, widać po zdjęciu maski przeciwigazowej, powiedział zyczliwie niskim głosem:

- Proszę, jesteśmy. Kopę lat!

I głośno wypuściwszy powietrze z płuc, ciężko uderzył... nie, kopnął nogą... coś nieżywego i dużego, jakiś wypchany worek?

To, czego domyśliła się Sasza, sprawiło, że zacisnęła zęby na śmierdzącej szmatce i zaczęła beczeć, a jej ciało wygięło się w pałąk niczym w ataku tężca. Zrozumiała dokąd przywiózł ją grubas w brezencie i z kim tak rozmawiał.

Śmieszne byłoby choćby myśleć, że ucieknie Hunterowi. Ten dogonił starego w kilku lwich skokach, złapał go za ramię i boleśnie potrząsnął.

- Co z tobą?!

- Przejdźmy jeszcze kawałek... - wychrypiął Homer. - Przypomniało mi się! Tu jest

pochylnia, prowadzi prosto na Zamoskworiecką, jeszcze przed Kaszyrską. Wejdziemy tam, i od razu do tunelu, nie trzeba będzie wchodzić na stację. Ominiemy ją, wyjdziemy od razu na Kołomieńską. Powinno być niedaleko. Proszę...

Wybrał moment i próbował się wyrwać, ale zaplątał się w szerokie nogawki, upadł na tory, natychmiast się podniósł i znów rzucił się do przodu. Hunter z łatwością, jakby trzymał szczura na sznurku, zatrzymał starego w miejscu i obrócił go twarzą do siebie. Schylił się do niego tak, by wizjery ich masek przeciwgazowych były na tym samym poziomie. Zajrzał Homerowi w oczy i po upływie kilku sekund rozluźnił uścisk.

- W porządku.

Teraz już brygadier sam ciągnął go za sobą, nie zatrzymując się ani na chwilę. Łoskot krwi w uszach zagłuszał zapamiętałe terkotanie dozymetrów, nogi zeszywniały i prawie się go nie słuchały, zdawało się, że płuca pękały mu od wysiłku i strasznie piekły.

O mało nie przegapili czarnej plamy wąskiego wjazdu. Wcisnęli się w niego i biegli jeszcze przez kilka długich minut, póki nie spadli do kolejnego tunelu. Rozejrzawszy się szybko wokół, brygadier zajrzał z powrotem do pochylni i rzucił staremu:

- Dokąd mnie przyprowadziłeś?! Byłeś tu choć kiedyś?

Jakieś trzydzieści metrów w lewo od wjazdu, dokładnie tam, gdzie powinni byli iść, tunel był od góry do dołu gęsto zablokowany czymś podobnym do pajęczyny.

Homer, nie chcąc tracić oddechu na rozmowy, tylko pokręcił głową. Święta prawda, nigdy wcześniej go tu jeszcze nie przywiało. A tego, co słyszał o tych okolicach, lepiej było teraz Hunterowi nie opowiadać.

Brygadier przełożył automat do lewej ręki i wyciągnął z plecaka długi, prostokątny nóż przypominający własnej roboty maczetę, i przeciął lepką białawą koronkę. Zasuszone pancerzyki latających karaluchów uwięzionych w sieci zatrzęsły się i zaszeleściły niczym ochryple dzwoneczki. Rana natychmiast zamknęła brzegi, jakby zarastając. Brygadier odsunął półprzezroczysty welon pajęczyny, wsunął do środka latarkę i oświetlił boczny tunel. Na jego oczyszczenie trzeba by było wielu godzin: lepkie nici wielowarstwowymi splotami wypełniały tunel w całości, dokąd sięgało światło.

Hunter sprawdził wskazanie licznika, wydał dziwny gardłowy dźwięk i zaczął wściekle ciachać rozciągniętą między ścianami przędkę. Pajęczyna poddawała się powoli, zabierając im więcej czasu, niż mieli do dyspozycji. W ciągu dziesięciu minut zdołali przemieścić się zaledwie o jakieś trzydzieści metrów, a nici były splecione coraz gęściej, zatykając wacianym korkiem całe przejście.

W końcu, przy zarosłym szybie wentylacyjnym, pod którym na torach leżał potworny

dwugłowy szkielet, brygadier cisnął maczetę na ziemię. Uwięźli w pajęczynie zupełnie, jak karaluchy, i nawet jeśli stwór, który utkał te sieci sam dawno zdechł i po nich nie przyjdzie, to i tak bardzo szybko zginą od promieniowania.

W chwili, kiedy Hunter podejmował decyzję, stary przypomniał sobie coś jeszcze, co kiedyś usłyszał o tym tunelu. Przyklęknął na jedno kolano, wytrząsnął z zapasowego magazynka kilka naboju, rozkręcił jeden z nich za pomocą noża, i wysypał sobie proch na dłoń.

Hunter nie potrzebował więcej wyjaśnień. W ciągu paru minut, wracając do początku tunelu, usypali na wacianym podłożu szarą górkę ziarenek i zbliżyli do niej zapalniczkę.

Proch zafurczał, zadymił, i nagle stało się coś niesłychanego: płomień rozlał się od niego od razu we wszystkie strony, docierając do ścian, dosięgając do dalekiego sufitu, zajmując całą objętość tunelu. Wypalając pajęczynę, parł do przodu. Huczący krąg ognia, oświetlając pokryte sadzą tubingi i zostawiając za sobą tylko zwisające ze sklepienia rzadkie, osmalone strzępy, gwałtownie leciał naprzód. Szybko się zmniejszając, płomienna obręcz oddalała się w stronę Kołomieńskiej, zasysając powietrze niczym gigantyczny tłok. Potem tunel skręcił, i płomień zniknął za rogiem, ciągnąc za sobą płaszcz purpurowych rozbłysków.

I już gdzieś bardzo daleko, przez miarowe huczenie ognia przebił się jakby nieludzki, rozpaczliwy krzyk, połączony z ochryplym sykiem... Chociaż zahipnotyzowanemu tym widowiskiem Homerowi mogło się to tylko wydawać.

Hunter wsadził maczetę z powrotem do plecaka, wyjmując za to nowe, nierozpakowane nakrętki do maski przeciwgazowej.

- Oszczędzaj na drogę powrotną - zmienił sobie filtr, a drugi oddał Homerowi. - Przez ten pożar jest skażenie, jak po bombardowaniu.

Stary kiwnął głową. Płomienie wyrzuciły w górę i wprawiły w ruch radioaktywne cząstki, które przez lata osiadały na pajęczynie, wżerając się w jej nici. Czarna próżnia tunelu tak naprawdę była teraz wypełniona śmiertcionośnymi molekułami. Zawisły w pustce jak miliardy mikroskopijnych morskich min zasłaniając im farwater. Nie dało się ich ominąć.

Trzeba było iść na przebój.

- Gdyby cię teraz widział twój tata - skarcił ją szyderczo grubas.

Sasza siedziała dokładnie na wprost ojcowskiego ciała, obróconego na brzuch, twarzą we krwi. Oba rękawy kombinezonu miała już ściągnięte z ramion, co odsłoniło wytartą podkoszulkę z rysunkiem jakiegoś wesołego zwierzątka. Porywacz nie pozwolił jej zobaczyć jego twarzy, smagając ją po oczach jaskrawą smugą światła za każdym razem, gdy próbowała

je podnieść. Wyciągnął jej szmatkę z ust, ale Sasza i tak nie zamierzała o nic go prosić.

- Do matki nie jesteś niestety podobna. A taką miałem nadzieję...

Słoniowate nogi w wysokich gumowych botfortach, uwalanych już we krwi, znów zaczęły obchodzić filar, przy którym siedziała Sasza. Teraz jego głos dobiegał z za jej pleców.

- Twój tatko myślał pewnie, że z czasem wszystko zostanie zapomniane. Ale pewne zbrodnie nie ulegają przedawnieniu... Oszczerstwo. I zdrada.

Jego gruba sylwetka wyłoniła się z mroku z drugiej strony. Znieruchomiał nad ciałem ojca Saszy, deptając je butem, i obficie splunął.

- Szkoda, że staruszek odwalił kitę bez mojej pomocy - grubas przejechał światłem latarki po ponurej, pozbawionej wyrazu stacji, zawalonej kupami nieprzydatnego chłamu, i zatrzymał się na rowerze bez kół. - Milusio tu macie. Myślę, że gdyby nie ty, to tatko wolałby się powiesić.

Kiedy latarka nie była skierowana na nią, Sasza spróbowała odczołgać się na bok, ale już po chwili smuga światła znów wyłowiła ją z ciemności.

- Ale ja go rozumiem - jednym skokiem porywacz znalazł się obok niej. - Dziewczynka ma wszystko na swoim miejscu. Szkoda tylko, że nie podobna do mamy. On pewnie też się martwił. No, ale to nic - szpicem buta przewrócił ją na bok. - Nie jechałem tu przez całe metro na darmo.

Sasza szarpnęła się i pokręciła głową.

- Widzisz, Pietia, jak to nie da się niczego przewidzieć - znów zwrócił się do ojca Saszy. - Był czas, że oddawałeś swoich miłosnych rywali pod sąd. I dzięki ci wielkie, że nie wysyłałeś na szubienicę, a po prostu wyganiałeś na całe życie. A życie jest długie, i okoliczności się zmieniają. Przy czym nie zawsze na twoją korzyść. Wróciłem, choć zabrało mi to dziesięć lat więcej niż planowałem.

- Powroty nigdy nie bywają przypadkowe - szeptem powtórzyła Sasza za ojcem.

- Święte słowa - ocenił szyderczo grubas. - Hej, kto tam?!

Na przeciwległym końcu peronu zaszeleściło i upadło coś potężnego, potem dał się słyszeć jakby syk, skradające się kroki wielkiego zwierzęcia... Cisza, która znów zapadła, była fałszywa, rwana, i Sasza, podobnie jak jej porywacz, czuła, że z tunelu coś nadchodzi...

Grubas szcęknął bezpiecznikiem, przyklęknął na jedno kolano obok dziewczyny, przycisnął kolbę do ramienia i przesunął drżącą plamą światła po najbliższych filarach.

Usłyszeć, jak ozywają puste od dziesiątek lat południowe tunele było nie mniej przerażające, niż być świadkiem przebudzenia marmurowych posągów na którejś z centralnych stacji.

W odchodzącej już na bok smudze światła mignął zamazany cień, z pewnością nie należący do człowieka - ani ze względu na kształt, ani rozmiary... Lecz kiedy światło padło na miejsce, gdzie dopiero co znajdowało się tajemnicze stworzenie, nie było już tam po nim śladu. Chwilę później miotające się panicznie światło latarki znowu go złapało - tylko jakieś dwadzieścia kroków od nich.

- Niedźwiedź?! - szepnął z niedowierzaniem grubas naciskając spust.

Kule uderzyły w filary, zaczęły dziobać ściany, lecz zwierzę jakby rozpląnęło się w powietrzu i żaden strzał nie dosięgnął celu. A potem grubas nagle przerwał bezmyślną kanonadę, wypuścił automat z rąk, które przycisnął do brzucha. Jego latarka poturlała się na bok rzucając na posadzkę stożek światła i oświetlając od dołu jego ciężką, przygarbioną postać.

Z półmroku niespiesznie wyszedł człowiek - zadziwiająco miękko, prawie bezszelestnie stawiając ciężkie buty. W zbyt obszernym nawet dla takiego olbrzyma skafandrze ochronnym faktycznie można go było wziąć za niedźwiedzia. Nie miał maski przeciwgazowej; poorana bliznami wygolona na łyso głowa przypominała spalone pustkowie. Część jego twarzy - męskiej, twardej, o wyrazistych rysach - była całkiem ładna, ale wydawała się martwa, i patrząc na nią Sasza nie mogła powstrzymać dreszczy. Druga połowa była wprost potworna: skomplikowany splot blizn zmieniał ją w połowę maski baśniowego potwora, doskonałego w swej szpetocie. Ale mimo wszystko, gdyby nie oczy, jego powierzchowność raczej odpychała niż przerażała. Rozbiegany, na wpół szalony wzrok ożywiał nieruchomą twarz. Ożywiał, ale nie uduchawiał.

Grubas próbował wstać, ale natychmiast z okrzykiem bólu runął na ziemię z przestrelonymi kolanami. Potem człowiek ukucnął obok niego, przystawił mu długą lufę zwieńczoną tłumikiem do potylicy i nacisnął spust. Krzyk natychmiast się urwał, ale echo jeszcze przez kilka sekund błędziło pod sklepieniem stacji niczym zagubiona, pozbawiona ciała istota.

Wystrzał odchylił mu podbródek, i teraz człowiek, który porwał Saszę leżał odwrócony w jej kierunku... Zamiast twarzy w głowie ziała mu mokra czerwona dziura. Sasza wcisnęła głowę w ramiona i cicho zawyla ze strachu. Straszny człowiek powoli, w zamyśleniu skierował teraz lufę na nią.

Potem rozejrzał się i zmienił zdanie: pistolet zniknął w kaburze pod pachą, a on sam cofnął się, jakby odzegnując się od tego, co uczynił. Otworzył płaską manierkę i przyssał się

do niej.

Na małej scenie oświetlonej przez słabnące światło latarki zabitego grubasa pojawił się nowy aktor: ciężko dyszący, trzymający się za żebra staruszek.

Ubrany w taki sam ochronny skafander jak zabójca, wyglądał w nim kompletnie absurdalnie. Dogoniwszy swojego towarzysza, stary od razu ciężko zwałił się na ziemię, nie zauważając nawet, że wszystko dookoła zalane jest krwią. Dopiero potem, kiedy doszedł do siebie i otworzył oczy, zobaczył dwa oszpecone ciała i wciśniętą pomiędzy nie niemą, przerażoną dziewczynę.

Przycichłe już serce znów podskoczyło mu w piersi. Homer nie umiał jeszcze wyrazić tego słowami, ale wiedział już na pewno: znalazł ją. Po tylu nocach spędzonych na bezowocnych próbach, by wyobrazić sobie swoją przyszłą bohaterkę, wymyślić jej usta i nadgarstki, jej strój i zapach, ruchy i myśli, nagle spotkał żywego człowieka, który dokładnie odpowiadał jego pragnieniom. Nie, wcześniej wyobrażał ją sobie zupełnie inaczej... Bardziej elegancką, gładszą, a na pewno doroślejszą. Okazała się być o wiele bardziej szorstka, miała zbyt wiele ostrych kantów, i, zaglądając jej w twarz, zamiast ciepłego powłóczystego spojrzenia ciemnych oczu, staruszek napotkał dwa kawałki lodu. Była inna, lecz Homer to wiedział: to on zblądził, to on nie potrafił dobrze odgadnąć, jaka powinna być.

Jej zaszczyty wzrok, wykrzywiona strachem twarz, skute ręce intrygowały starego. Może i był mistrzem opowiadania bajek, ale umiejętność pisania tragedii, podobnych do tej, której musiała doświadczyć ta dziewczyna, nie była mu dana. Jej bezsilność, skazanie na zgubę, cudowne ocalenie i to, jak jej los wplótł się w ich historię, to wszystko znaczyło jedno: Homer jest na dobrej drodze.

I chociaż nie wyrzekła jeszcze ani słowa, był gotów z góry jej uwierzyć. Bo poza wszystkim innym, dziewczyna - ze swoimi białymi, rozczochranymi, byle jak przyciętymi włosami i subtelnymi uszkami, z pomazanymi sadzą policzkami i obnażonym kształtnym obojczykiem - zaskakująco białym, bezbronnym, ze swoją dziecięco nabrzmiałą, przygryzioną dolną wargą - była na swój sposób piękna.

Do jego ciekawości dołączył żal i nagła czułość.

Stary podszedł i ukucnął obok niej. Skuliła się i zmrużyła oczy. „Dzikuska” - pomyślał. Poklepał ją po ramieniu, nie wiedząc, co powiedzieć...

- Pora stąd iść - wtrącił się Hunter.

- A co z... - Homer pytająco skinął głową w stronę dziewczyny.

- Nic. Nie nasza sprawa.

- Nie można jej tu zostawić samej!

- To lepiej zastrzelić - uciął brygadier.

- Ja nie chcę z wami iść - nieoczekiwanie odważyła się powiedzieć dziewczyna. - Tylko zdejmijcie mi kajdanki. Tamten powinien mieć klucze - wskazała na zepsuty, pozbawiony twarzy manekin.

Hunter w trzech ruchach przeszukał trupa i z wewnętrznej kieszonki wyciągnął wiązkę blaszanych kluczyków. Rzucił je dziewczynie i obejrzał się na starego:

- Już?

Homer, wciąż jeszcze próbując opóźnić rozstanie, spytał ją:

- Co ten bydlak ci zrobił?

- Nic - odpowiedziała, majstrując przy zamku. - Nie zdążył. To nie bydlak. Zwyczajny człowiek. Okrutny, głupi, mściwy. Jak wszyscy.

- Nie wszyscy tacy są - zaprotestował stary bez specjalnego przekonania.

- Wszyscy - powiedziała z uporem dziewczyna, krzywiąc się, ale stając na zdrętwiałych nogach. - To nic. Pozostać człowiekiem też nie jest łatwo.

Jak szybko zapomniała o swoim strachu! Nie opuszczała już wzroku, patrzyła na mężczyzn poważnie, wyzywająco. Podeszła do jednego z trupów, ostrożnie odwróciła go twarzą do góry, ułożyła mu wykręcone ręce i pocałowała w czoło.

Potem wróciła do Huntera, zmrużyła oczy i kącik jej ust drgnął.

- Dziękuję.

Nie wzięła ze sobą żadnych rzeczy ani broni. Zeszła na tory i kulejąc ruszyła w stronę tunelu. Brygadier patrzył w ślad za nią nastroszony, ręka niezdecydowanie błędziła mu po pasku pomiędzy nożem i manierką. Wreszcie zdecydował, wyprostował się i zawołał do niej:

- Poczekaj!

Rozdział 8

Maski

Klatka leżała dokładnie tam, gdzie grubas wytrącił ją Saszy z rąk. Drzwiczki były uchylone: szczur uciekł..."A niech tam", pomyślała dziewczyna. Szczur też zasługiwał na wolność.

Nie było wyboru, Sasza musiała założyć maskę przeciwgazową swojego prześladowcy. Zachowała chyba resztki jego zatęchłego oddechu, ale Sasza mogła się tylko cieszyć, że grubas zdążył zdjąć maskę, nim został zastrzelony.

Bliżej środka mostu poziom promieniowania znów podskoczył.

Ogromny brezentowy kombinezon, w którym szamotała się jak poczwarka karalucha w kokonie, trzymał się na niej cudem. Ale maska przeciwgazowa, choć rozciągnięta na szerokiej, z obwisłymi wargami gębie grubasa, mocno przyłgnęła do jej twarzy. Sasza starała się jak najmocniej dmuchać, żeby wyrzucić przez rurki i filtry powietrze przeznaczone jeszcze dla zabitego. Ale patrząc dookoła przez zaparowane okrągłe szybki, nie mogła pozbyć się wrażenia, że nie weszła po prostu w czyjś skafander ochronny, lecz w cudze ciało. Niecałą godzinę temu wewnątrz był bezduszny demon, który po nią przyszedł. Teraz zaś, żeby przejść przez most, musiała tak jakby stać się nim, spojrzeć na świat jego oczami.

I oczami tych ludzi, którzy wygnali ją i ojca na Kołomieńską, którzy trzymali ich tam przy życiu przez te wszystkie lata tylko dlatego, że ich chciwość była silniejsza od nienawiści. Ciekawe, czy żeby zagubić się w tłumie takich ludzi, Sasza też będzie musiała nosić czarną gumową maskę udając kogoś innego, kogoś bez twarzy i bez uczuć? Gdyby to tylko pomogło zmienić jej się również w środku, wymazać wspomnienia... Szczerze uwierzyć, że nie przydarzyło jej się nic nieodwracalnego, że wszystko można jeszcze zacząć od nowa.

Sasza chciała wierzyć, że ci dwaj przygarnęli ją nieprzypadkowo, że wysłano ich na stację właśnie po nią, ale wiedziała, że to nie tak. Trudno jej było stwierdzić, po co wzięli ją ze sobą - dla rozrywki, z litości czy żeby coś sobie nawzajem udowodnić. Z tych niewielu słów rzuconych jej jak kość przez starego przebijało jakby współczucie, ale robił wszystko oglądając się na swojego towarzysza, trzymał język za zębami i jakby bał się, że zostanie przyłapanym na byciu ludzkim.

Drugi z nich, po tym jak pozwolił dziewczynie iść z nimi do najbliższej zamieszkaanej

stacji, nie spojrzął więcej w jej stronę. Sasza umyślnie zwolniła i puściła go przodem, żeby bez przeszkód obserwować choćby jego plecy. Wyraźnie wyczuł, że na niego patrzy - od razu się spiął, jego głowa drgnęła - ale nie obejrzał się, czy to okazując wyrozumiałość dziewczęcej ciekawości, czy to nie chcąc pokazać, że zwraca na nią uwagę.

Potężna budowa i zwierzęce zachowanie ostrzyżonego, które sprawiły, że grubas pomylił go z niedźwiedziem, zdradzały w nim żołnierza i samotnika. Rzecz była nie tylko w jego wzroście czy w szerokich barach. Biła od niego siła, która byłaby równie namacalna, gdyby był chudy i niewysoki. Taki człowiek będzie potrafił prawie każdego zmusić do uległości, a gdy ktoś nie posłucha, zlikwiduje go bez wahania.

I na długo zanim Sasza ostatecznie zapanowała nad lękiem przed tym człowiekiem, nim zaczęła próbować zrozumieć jego i siebie, nieznanym jeszcze głosem dopiero budzącej się w niej kobiety upewnił ją: ona też mu ulegnie.

Drezyna jechała naprzód nad podziw szybko. Homer nie czuł prawie oporu dźwigni: cały wysiłek brał na siebie brygadier. Stojący po drugiej stronie staruszek dla porządku też podnosił i opuszczał ręce, ale praca zupełnie nie zabierała mu sił.

Przysadzisty most metra jak gąsienica przekraczał w bród ciemną, gęstą rzekę. Betonowe mięso odchodziło od jego żelaznych kości, nogi się pod nim uginały, jeden z dwóch grzbietów zapadł się i zwałił do wody. Utylitarny, schematyczny i krótkowieczny, tak jak i otaczające go nowe budownictwo, jak całe odbite ze sztancy przedmieścia Moskwy, był całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek wdzięku. Lecz jadąc po nim i rozglądając się z zachwytem na boki, Homer wspominał o płynnych liniach magicznych mostów Petersburga, o ażurowym Krymskim Moście z oksydowanej stali.

Przez ponad dwadzieścia lat przeżytych w metrze stary zaledwie trzykrotnie wychodził na powierzchnię, i za każdym razem starał się zobaczyć coś więcej, niż to było możliwe na jego krótkiej przepustce. Ożywić wspomnienia, skierować na miasto mętniejące z wiekiem obiektywy oczu i puścić w ruch rdzewiejącą migawkę pamięci wzrokowej, zaczerpnąć wrażeń na później. Może już więcej nie będzie miał tego szczęścia, by znaleźć się na górze - na ulicy Kołomieńskiej, na Dworcu Rzecznym czy w Tiopłym Staniu³. W tych przepięknych miejscach, do których niegdyś, tak jak wielu mieszkańców Moskwy, odnosił się z pewnym - niesprawiedliwym - wstrętem.

Z każdym rokiem jego Moskwa starzała się, rozsypywała, wietrzała. Homer miał ochotę pogłaskać rozkładający się most, tak jak dziewczyna na Kołomieńskiej ostatni raz pogładziła

³ Tiopłyj Stan - dzielnica blokowisk na obrzeżach Moskwy (przyp. tłum.).

zalanego krwią mężczyznę. I most, i szare cypłe budynków fabrycznych, i osierocone ule domów mieszkalnych. Nacieszyć nimi wzrok. Dotknąć ich, żeby poczuć, że rzeczywiście jest wśród nich, a nie tylko ogląda to we śnie. I żeby na wszelki wypadek się z nimi pożegnać.

Widoczność była słaba, srebrzyste światło księżyca nie mogło przebić się przez filtr gęstych chmur, i stary musiał bardziej się domyślać, niż obserwować. Nie szkodzi, podmiana rzeczywistości fantazjami, to dla niego nie pierwszozna.

W pełni oddany kontemplacji Homer nie myślał teraz o niczym innym, zapomniał o legendach, które miał ułożyć, i o tajemniczym dzienniku, który przez poprzednie godziny nieustannie wypełniał mu myśli niepokojem. Zachowywał się zupełnie jak dziecko na wycieczce: gapiąc się na rozmyte sylwetki bloków wyginał szyję, mówił coś do siebie.

Pozostałym przejazd przez most nie sprawiał żadnej przyjemności. Brygadier, który zajął miejsce twarzą zwrócony do przodu, z rzadka tylko nieruchomiał i oglądał się w dół, skąd dochodziły jakieś hałasy. Poza tym cała jego uwaga była skupiona na tym dalekim, niewidocznym dla nikogo innego punkcie, gdzie tory znów zagłębiały się w ziemi. Dziewczyna siedziała za plecami Huntera, z jakiegoś powodu trzymając obiema rękami za zdobyczną maskę przeciwgazową.

Było jasne: na powierzchni czuje się nieswojo. Dopóki grupa przemieszczała się tunelem, dziewczyna zdawała się dość wysoka, lecz wystarczyło, że wyszli na zewnątrz, a skurczyła się, jakby wcisnęła do niewidzialnej skorupy, i nawet zdjęty z nieboszczyka brezentowy kitel, który był na nią koszmarnie za wielki, nie sprawiał, że wyglądała na większą. Na otwierające się z mostu piękne widoki była obojętna i patrzyła przeważnie w ziemię przed sobą.

Przejechali przez ruiny stacji Technopark, zbudowanej w pośpiechu tuż przed samą wojną i zniszczonej nawet nie przez bomby, a przez czas, aż w końcu zbliżyli się do tunelu.

W bladym mroku nocy wjazd do niego czerniał ciemnością absolutną. Teraz skafander był dla Homera najprawdziwszą zbroją, a on sam średniowiecznym rycerzem wjeżdżającym do baśniowej pieczary, siedziby smoka. Dźwięki nocnego miasta zostały na progu jego legowiska, tam gdzie Hunter kazał zostawić drezynę. Teraz słyhać było tylko bojaźliwy stukot kroków trzech wędrowców i ich skąpe słowa, rozbijane przez odbijające się od tubingów echo. Jednak w głosie tego tunelu było coś nietypowego. Nawet Homer jasno odczuwał, że przestrzeń była zamknięta, jakby przez szyjkę weszli do zamkniętej butelki.

- Tam jest zamknięte - potwierdził jego obawy Hunter.

Światło jego latarki jako pierwsze dotknęło dna: przed nimi ślepą ścianą majaczyła zamknięta zaporą. Urywające się przed bramą szyny słabo pobłyskiwały, z masywnych

zawiasów odchodził brunatny smar. Tu też były zwalone stare deski, połamane suche gałęzie i glownie, tak jakby ktoś niedawno palił tu ognisko. Brama była wyraźnie używana, ale widocznie tylko do wychodzenia - po tej stronie nie było ani dzwonka, ani żadnych innych urządzeń, by powiadomić o swoim przyjsciu.

Brygadier obejrzał się na dziewczynę.

- Zawsze tu tak jest?

- Czasem wychodzą. Przyjeżdżają do nas na tamten brzeg. Handlować. Myślałam, że to dziś...

Próbowała się jakby usprawiedliwić. Wiedziała, że wejścia nie ma, ale to skrywała?

Hunter załomotał w bramę ręką swojej maczety, jak w ogromny żelazny gong. Lecz stal była zbyt gruba, i zamiast dźwięcznego łoskotu zabrzmiało tylko apatyczne brzęknięcie. Raczej nie było go słycać po drugiej stronie, nawet gdyby okazało się, że ktoś tam jest.

Cud się nie zdarzył. Odpowiedź nie nastąpiła.

Sasza wbrew zdrowemu rozsądkowi miała nadzieję, że ci ludzi będą umieli otworzyć bramę. Bała się ich uprzedzić, że wejście do wielkiego metra jest zamknięte - jeszcze postanowią iść inną drogą, a ją porzucą, tam gdzie znaleźli?

Ale w wielkim metrze nikt na nich nie czekał, a do rozprucia zapory nie był zdolny żaden człowiek. Wygolony zbadał wrota próbując znaleźć słabe miejsce lub sekretny zamek, ale Sasza wiedziała: z tej strony żadnych zamków nie ma. Drzwi otwierają się tylko od środka.

- Poczekajcie tutaj. Pójdę na zwiady. Sprawdzę zapory w drugim tunelu, poszukam szybów wentylacyjnych - zaszczekał przez maskę gazową. Przez chwilę milczał i z jakiegoś powodu dodał: - Wrócę tu.

Powiedział i zniknął. Stary zebrał walające się wokoło gałęzie i deski, zapalił mizerne ognisko. Usiadł wprost na torach, wsadził ręce do plecaka i zaczął przekopywać się przez swój majątek. Sasza usiadła obok niego przyczajona i obserwowała. Staruszek rozgrywał dziwny spektakl - czy to dla niej, czy to dla siebie samego. Wyciągnął z plecaka podniszczony i poplamiony zeszytek, rzucił niespokojne spojrzenie Saszy, bokiem odsunął się od niej jak najdalej i pochylił się nad papierem. Wtem skoczył na równe nogi z podejrzaną jak na swoje lata zręcznością: sprawdzał, czy wygolony rzeczywiście poszedł. Podkraść się niezgrabnie jakieś dziesięć kroków w kierunku wyjścia z tunelu, nikogo tam nie znalazł i zdecydował, że te środki ostrożności wystarczą. Oparł się plecami o bramę, odgrodził się od Saszy plecakiem i cały pogrążył w lekturze.

Czytał niespokojnie: mówił coś niewyraźnie pod nosem, potem zdjął rękawiczki, wyjął

manierkę i z jakiegoś powodu zaczął spryskiwać swój zeszyt wodą. Poczytał jeszcze trochę i nagle zaczął wycierać ręce o nogawki, walnął się otwartą dłonią w czoło, nie wiadomo po co dotknął parę razy maski przeciwgazowej i wrócił do lektury. Zaraziwszy się jego zdenerwowaniem, Sasza oderwała się od swoich rozmyślań i podkradła bliżej; stary był zbyt pochłonięty, żeby dostrzec jej manewry.

Jego wyblakłe zielone oczy, pełne światła z ogniska, błyszczały gorączkowo nawet przez szybki maski przeciwgazowej. Od czasu do czasu z widocznym trudem wynurzał się z powrotem, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. Odrywał się od lektury, z niepokojem wpatrywał w daleki krążek nocnego nieba na końcu tunelu, ale ten był czysty: wygolony człowiek przepadł bez śladu. A wtedy zeszyt znów całkowicie go pochłaniał.

Teraz zrozumiała dlaczego polewał papier wodą: starał się odkleić zlepione stronice. Widocznie trudno się poddawały, za którymś razem krzyknął tak, jakby się zaciął: przypadkiem porwał jedną z kartek. Zaklął, zrugął sam siebie i wtedy dostrzegł, jak dziewczyna badawczo go obserwuje. Zmieszał się, znowu poprawił maskę przeciwgazową, ale nie zaczął z nią rozmawiać, dopóki nie doczytał wszystkiego do końca.

Potem doskoczył do ogniska i wrzucił do niego zeszyt. Nie patrzył na Saszę, a ta poczuła: teraz lepiej go o to nie pytać, skłamię albo przemilczy. Zresztą były rzeczy, które niepokoiły ją teraz o wiele bardziej. Minęła chyba godzina od czasu jak wygolony poszedł. Czy nie porzucił ich jak niepotrzebny ciężar? Sasza przysiadła się bliżej starego.

- Drugi tunel też jest zamknięty - powiedziała cicho. - I wszystkie najbliższe szyby są zamurowane. Jest tylko to wejście.

Stary spojrzał na nią roztargnionym wzrokiem, z wyraźnym wysiłkiem koncentrując się na tym, co usłyszał.

- Znajdź sposób, żeby dostać się do środka. Ma zmysł - umilkł, i po chwili, jakby nie chcąc być nieuprzejmy, spytał: - Jak się nazywasz?

- Aleksandra - przedstawiła się poważnie. - A ty?

- Nikołaj... - zaczął już, wyciągając do niej rękę, ale nagle jakby się rozmyślił i konwulsyjnie ją cofnął zanim Sasza zdążyła jej dotknąć - Homer. Nazywam się Homer.

- Dziwne przezwisko - powtórzywszy za starym przeciągle powiedziała Sasza.

- To imię - twardo rzekł Homer.

Ma mu wyjaśnić, że dopóki są z nią, drzwi się nie otworzą? Całkiem możliwe, że wrota okazałyby się rozwarte na oścież, gdyby ci dwaj przyszli tu sami. To Kołomińska nie chce wypuścić Saszy, karze ją za to, jak postąpiła z ojcem. Dziewczyna uciekła napinając łańcuch,

ale nie dała rady go zerwać. Stacja już raz kazała jej wrócić, zrobi to znowu...

Te myśli i obrazy, choćby nie wiadomo ile razy je odganiała, jak wysysające krew moskity odlatywały od niej na odległość wyciągniętej ręki, a potem wracały i krążyły, krążyły, wchodziły do uszu, do oczu.

Stary pytał jeszcze o coś Saszę, ale ta nie odpowiadała: całun łez pokrył jej oczy, a w uszach brzmiał głos ojca, powtarzający: „Nie ma nic cenniejszego niż ludzkie życie”. Nadeszła chwila, w której naprawdę to zrozumiała.

To, co działo się na Tulskiej, nie było już dla Homera zagadką. Wszystko okazało się prostsze i straszniejsze, niż sobie wyobrażał. Ale jeszcze bardziej przerażająca historia zaczynała się dopiero teraz, wraz z rozszyfrowaniem odnalezionego notatnika. Dziennik stał się dla Homera tym, czym czarna plama dla pirata, biletem w jedną stronę, i kiedy wziął go do ręki, nie mógł się go już pozbyć, choćby próbował go spalić.

Poza tym, jego podejrzenia co do Huntera potwierdzały się, były na to teraz mocne, jednoznaczne dowody, chociaż Homer nie miał zielonego pojęcia, co ma z nimi zrobić. Wszystko, co przeczytał w dzienniku całkowicie przeczyło twierdzeniom brygadiera. On po prostu kłamał, i to świadomie. Stary musiał się zorientować, po co było to kłamstwo, i czy był w nim jakiś sens. Od tego zależało również, czy zdecyduje się iść dalej za Hunterem, i czy jego przygoda zmieni się w heroiczny epos, czy w koszmarną, bezmyślną rzeźnię, po której nie zostaną żadni żywi świadkowie.

Pierwsze zapiski w notatniku były datowane na dzień, w którym karawana bez strat minęła Nagorną i weszła na Tuską nie napotykając żadnego oporu...

„Prawie do samej Tulskiej w tunelach spokojnie i pusto. Poruszamy się szybko, dobry znak. Dowódca liczy na to, że wrócimy nie później niż jutro” - referował poległy łącznościowiec. „Wejście na Tuską nie jest chronione. Wysłaliśmy zwiadowcę. Przepadł” - niepokoił się kilka godzin później. „Dowódca postanowił, że wejdziemy na stację wszyscy razem. Gotujemy się do szturmu”. I jeszcze po jakimś czasie: „Nie możemy zrozumieć, w czym rzecz... Rozmawiamy z miejscowymi. Kiepska sprawa. Jakaś choroba”. I wkrótce wyjaśnił: „Kilku ludzi na stacji czymś się zaraziło... Nieznana choroba...”. Najwidoczniej członkowie karawany próbowali pomóc chorym: „Felczer nie potrafił znaleźć lekarstwa. Według niego przypomina to wściekliznę... Czują potworny ból, robią się niepozycylni... Rzucają się na innych”. I od razu: „Osłabieni chorobą, nie mogą wyrządzić poważnej krzywdy. Problem w czym innym...” - tu stronicie, jak na złość, sklepiły się i Homer musiał polewać je wodą ze

swojej manierki. „Światłowstręt. Nudności. Krew w ustach. Kaszel. Potem obrzęk... Zmieniają się w...” - słowo zostało starannie zamalowane. „Nie wiadomo, jak się przenosi. Powietrze? Dotyk?” - to już następnego dnia. Oddział się zatrzymał.

„Dlaczego tego nie zameldowali” - zadał sobie pytanie stary i natychmiast sobie przypomniał, że gdzieś już widział odpowiedź. Przerzucił kilka kartek... „Nie ma łączności. Telefon milczy. Być może sabotaż. Któryś z wygnanych, żeby się zemścić? Jeszcze zanim przyszedliśmy, odkryli epidemię, wcześniej wyrzucali chorych do tuneli. To jeden z nich? Przeciął kabel?”

W tym miejscu Homer oderwał się od liter i niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w przestrzeń. Powiedzmy, że kabel został przecięty. To dlaczego nie wrócili na Sewastopolską?

„Gorzej. Zanim wystąpią objawy, mija tydzień. A jeśli więcej? Potem do śmierci - jeszcze tydzień, dwa. Nie wiadomo, kto jest chory, a kto zdrowy. Nic nie pomaga. Nie ma lekarstwa. Stuprocentowa śmiertelność”. Dzień później łącznościowiec zrobił jeszcze jeden zapisek, znany już Homerowi: „Na Tulskiej chaos. Nie ma wyjścia do metra, Hanza zablokowała. Do domu też nie wolno”. Na następnej stronie kontynuował: „Zdrowi strzelali do chorych, szczególnie do tych agresywnych. Zrobili zagrodę dla zarażonych... Nie zgadzają się, chcą wyjść”. A potem krótko, strasznie: „Gryzą się nawzajem...”.

Łącznościowiec też się bał, ale żelazna dyscyplina panująca w oddziale nie pozwalała, by strach zmienił się w panikę. Nawet w ognisku epidemii śmiertelnej gorączki sewastopolska brygada pozostawała sewastopolską brygadą... „Opanowaliśmy sytuację, stacja została otoczona, wyznaczaliśmy komendanta” - czytał Homer. „Wszyscy nasi w porządku, ale minęło za mało czasu”.

Oddział poszukiwawczy wysłany z Sewastopolskiej dotarł pomyślnie na Tulsą i, rzecz jasna, też na niej utknął. „Żeby nie narażać innych na niebezpieczeństwo, postanowiliśmy tu zostać, póki nie minie okres inkubacji... Albo na zawsze” - pisał z rezygnacją łącznościowiec. „Sytuacja bez wyjścia. Nie ma skąd oczekiwać pomocy. Prosząc Sewastopolską zgubimy przecież naszych. Pozostaje cierpliwie czekać... Jak długo?”

Czyli tajemnicza straż przy zaporze to byli sewastopolczycy? Ich głosy nieprzypadkowo wydały się Homerowi znajome: wartę pełnili ludzie, z którymi kilka dni wcześniej bronił przed upiorami tunelu od strony Czortanowskiej! Dobrowolnie rezygnując z powrotu, mieli nadzieję uchronić od zarażenia ojczystą stację...

„Najczęściej z człowieka na człowieka, ale widocznie jest też w powietrzu. Niektórzy są zdaje się odporni. Zaczęło się kilka tygodni temu, niewielu zachorowało... Ale martwych jest coraz więcej. Żyjemy w kostnicy” - snuł łącznościowiec „Kto zdechnie jako następny?” -

znów w jego słowach brzmiał histeryczny krzyk. Brał się w garść i kontynuował spokojnie: „Trzeba coś zrobić. Ostrzec. Chcę iść jako ochotnik. Nie na Sewastopolską - znaleźć miejsce, gdzie przerwano kabel. Dodzwonić, trzeba się dodzwonić”.

Minęła kolejna doba wypełniona niewidoczną walką z dowódcą karawany, niesłyszalnymi dyskusjami z pozostałymi żołnierzami i rosnącą rozpaczą. Wszystko, co łącznościowiec chciał im przekazać, wyluszczał w swoim dzienniku. „Nie rozumieją, jak to wygląda z Sewastopolskiej! Już od tygodnia jesteśmy zablokowani. Wyślą kolejnych trzech zwiadowców, którzy też nie będą mogli wrócić. Potem wyprawią dużą brygadę szturmową. Ogłoszą mobilizację. Wszyscy, którzy przyjdą na Tulska, są w grupie ryzyka. Ktoś się zarazi, ucieknij do domu. I już, koniec. Trzeba nie dopuścić do szturm! Oni nie rozumieją...”

Jeszcze jedna próba dotarcia do dowództwa - bezowocna, jak i wszystkie poprzednie... „Nie ustępują... Oszaleli. Jeśli nie ja, to kto? Trzeba uciekać”.

„Udaję, że się uspokoiłem, że zgadzam się czekać - informował następnego dnia. - Poszedłem na wartę przy zaporze. Zawołałem, że znajdę przerwę w kablu, pobiegłem. Strzelili mi w plecy. Jedna z kul trafiła”.

Homer przerzucił kilka kartek.

„Nie dla siebie. Dla Nataszy, dla Sierioży. Nawet nie myślałem, że sam ocaleję. Niech oni przeżyją. Żeby Sierioża...” - tu pióro zatańczyło w osłabłej dłoni; być może dopisał to już później, bo kończyło mu się miejsce lub dlatego, że było już wszystko jedno, gdzie się pisze. Potem naruszona chronologia powracała: „Przepuścili przez Nagorną, dziękuję. Brak już sił. Idę, idę. Mdleję. Długo spałem? Nie wiem. Mam krew w płucu? To kula czy zachorowałem? Nie...” - zygzak liter prostował się w płynną linię jak encefalogram umierającego. Ale potem jednak doszedł do siebie i zakończył: „...nie mogę znaleźć uszkodzenia”.

„Nachimowski. Doszedłem. Wiem, gdzie jest telefon. Ostrzegę... że nie wolno! Uratuj... Żona tęskni” - coraz bardziej bezładnie, razem z jasnoczerwonymi plamami wyrzucał swoje myśli na papier. „Dodzwoniłem się. Usłyszeli? Niedługo umrę. Dziwne. Zasnę. Nie mam naboju. Chcę zasnąć, zanim tamte... Stoją dookoła, czekają. Jeszcze żyję, uciekaj”.

Finał dziennika był, jak się zdawało, przygotowany wcześniej, wpisany uroczystym prostym pismem: wezwanie, by nie szturmować Tulskiej i imię tego, który oddał swoje życie za to, by do tego nie doszło.

Ale Homer czuł to: ostatnimi słowami, które zdążył nanieść łącznościowiec, zanim jego sygnał umilkł na zawsze, były: „Jeszcze żyję, uciekaj”.

Dwoje garnących się do ognia ludzi oblepiła ciężka cisza. Homer nie próbował już pocieszać

dziewczynę. W milczeniu grzebał kijem w popiele ogniska, gdzie w bólach, jak heretyk na stosie, umierał przemoknięty notatnik, i przeczekiwał burzę, która się w nim rozpętała.

Los z niego zadrwił. Jakże dążył do tego, by odkryć tajemnicę Tulskiej! Jakże był dumny, gdy odkrył dziennik, i pysznił się tym, że w pojedynkę zbliżył się do rozwiązania wszystkich wątków tej historii... I co? Teraz, kiedy znał odpowiedź na wszystkie pytania, przeklinał siebie za swoją ciekawość.

Tak, oddychał przez aparat tlenowy, kiedy zabierał dziennik na Nachimowskim Prospekcie, i teraz też był w pełnym skafandrze ochronnym. Ale przecież nikt nie wiedział, jak właściwie przenosi się choroba!

Jaki on był głupi, kiedy straszył sam siebie tym, że zostało mu już niewiele czasu! Tak, to go mobilizowało, pozwalało pokonać lenistwo i przezwyciężyć strach. Ale śmierć postępuje według własnego uznania i nie kocha tych, którzy próbują nią pomiatać. I oto dziennik wyznaczył mu już określony termin: kilka tygodni od dnia zarażenia do śmierci. Niech nawet będzie miesiąc! Jak wiele musiał zdążyć zrobić przez te żałosne trzydzieści dni...

Co robić? Przyznać się swoim towarzyszom, że jest chory, i odejść, by zdechnąć na Kołomińskiej - jeśli nie od choroby, to z głodu i napromieniowania? Ale jeśli został nosicielem tej strasznej choroby, to i Hunter, i dziewczyna, z którymi dzielił powietrze, na pewno już się zarazili. Szczególnie brygadier - przed wejściem na Tuską rozmawiał ze strażnikami podchodząc do nich zupełnie blisko.

Czy może mieć nadzieję, że choroba go ominie, zataić to i przeczekać? Rozumie się, nie tak po prostu, lecz żeby kontynuować podróż z Hunterem. Żeby wiatr wydarzeń, który porwał staruszka, go nie opuścił, i by mógł wciąż czerpać z niego natchnienie.

Przecież jeśli otwierając przekłęty dziennik Nikołaj Iwanowicz - podstarzały, niepotrzebny i nieudolny mieszkaniec Sewastopolskiej, były pomocnik maszynisty, przygnieciona ciężeniem ziemskim gąsienica - umierał, to Homer, kronikarz i twórca mitów, niczym jasny jednodniowy motyl dopiero przychodził na świat. Może była mu pisana tragedia warta pióra wielkich autorów, i teraz tylko od niego zależało, czy uda mu się przelać ją na papier w ciągu tych trzydziestu dni, które mu na to wyznaczono.

Czy miał prawo wzgardzić tą szansą? Czy miał prawo stać się pustelnikiem, zapomnieć o swojej legendzie, dobrowolnie odrzucić autentyczną nieśmiertelność i pozbawić jej wszystkich sobie współczesnych? Co będzie większą zbrodnią, większą głupotą: podpalić pochodnią dżumy pół metra, czy spalić swoje rękopisy, a razem z nimi i siebie?

Jako człowiek próżny i małoduszny, Homer dokonał już wyboru, i teraz tylko szukał argumentów na swoją korzyść. Co z tego, że zmumifikuje się za życia w grobowcu na

Kołomieńskiej w towarzystwie dwóch innych trupów? Nie jest stworzony do poświęceń. I jeśli sewastopolscy żołnierze na Tulskiej są gotowi na wszelki wypadek zaliczyć się do grona umarłych, to jest to ich wybór i ich prawo. Oni przynajmniej nie muszą umierać samotnie...

No i jaki będzie pożytek z tego, że Homer złoży się w ofierze? Huntera, tak czy owak, to nie zatrzyma. Stary roznosił zarazę nie wiedząc co robi, natomiast Hunter świetnie wszystko wiedział od spotkania na Tulskiej. Nie na darmo tak nastawał na całkowitą likwidację wszystkich jej mieszkańców, w tym nawet sewastopolskiej karawany. Nie na darmo wspominał o miotaczach płomieni...

A jeśli obaj byli chorzy, epidemia nieuchronnie ogarnie Sewastopolską. Najpierw zaś ludzi, w pobliżu których przebywali. Helenę... Naczelnika stacji. Dowódcę załogi. Ich adiutantów. To oznacza, że w ciągu trzech tygodni stacja najpierw zostanie pozbawiona władz, pograży się w chaosie, a potem pomór wybije wszystkich pozostałych.

Ale dlaczego sam Hunter liczył, że uniknął zarażenia? Dlaczego ruszył z powrotem na Sewastopolską, chociaż już wiedział, że choroba mogła przejść też na niego? Dla Homera było jasne, że brygadier nie działał w natchnieniu, ale krok po kroku realizował jakiś plan. Dopóki stary nie pokrzyżował mu szyków.

A więc Sewastopolska w każdym przypadku jest zgubiona, i cała ekspedycja traci sens? Ale nawet, aby wrócić do domu i cicho umrzeć obok Heleny, Homer musiałby swoją podróż dookoła świata doprowadzić do końca. Jednego odcinka od Kachowskiej do Kaszyrskiej starczyło, by maski przeciwgazowe się rozstroiły, a skafandrow, które przyjęły dziesiątki, jeśli nie setki, rentgenów, należało koniecznie jak najszybciej się pozbyć. Wrócić tą samą drogą już mu się nie uda. Co robić?

Dziewczyna spała zwinięta w kłębek. Ognisko w końcu strawiło zadżumiony dziennik, pochłonęło ostatnie gałęzie i zgasło. Żałując baterii swojej latarki, stary próbował ile się da posiedzieć w ciemności.

Nie, jest zmuszony iść dalej za brygadierem. Będzie unikać innych ludzi, żeby zmniejszyć ryzyko zarażenia, zostawi tu plecak z całym dobytkiem, zniszczy swoje ubranie... Będzie liczył na zmiłowanie, ale przy tym zacznie odliczać te trzydzieści dni. Będzie każdego dnia pracował nad swoją książką, bez odpoczynku. „Jakoś się to rozstrzygnie - powtarzał sobie stary. - Najważniejsze, to podążać za Hunterem, nie odstępować go na krok”.

Jeśli on się jeszcze pojawi.

Mijała już druga godzina, odkąd zginął w mętym prześwicie na końcu tunelu. Pociuszając dziewczynę Homer sam wcale nie był taki pewny, czy brygadier na pewno do nich wróci.

Im więcej stary się o nim dowiadywał, tym mniej go rozumiał. Wątpić w brygadiera było niemożliwością - taką samą niemożliwością, jak w niego wierzyć. Nie poddawał się poznaniu, nie dzielił się na typowe ludzkie emocje. Zaufać mu to tak, jak oddać się we władanie żywiołu. Homer już to zrobił; było bez sensu i za późno, by tego żałować.

W egipskich ciemnościach cisza już nie wydawała się tak absolutna. Jej gładką skorupę przekłuwały dziwne szepty, jakieś dalekie wycie, szelesty... W jednych dźwiękach stary słyszał pijacki chód ścierwojadów, w drugich - ślizgające się giganty z Nagornej, w trzecich - krzyki umierających. Nie minęło nawet dziesięć minut, jak się poddał.

Pstryknął włącznikiem i wzdrygnął się.

Dwa kroki od niego stał Hunter i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami wpatrywał się w śpiącą dziewczynę. Osłonił dłonią nieprzyzwyczajone do światła oczy i spokojnie powiedział:

- Zaraz otworzą.

Saszy śniło się, że znów jest sama na Kołomieńskiej i czeka na ojca wracającego ze „spaceru”. Ten się spóźnia, ale ona koniecznie musi na niego poczekać, pomóc mu zdjąć kombinezon, ściągnąć maskę przeciwgazową, nakarmić. Do obiadu już dawno nakryte i nie wie, czym ma się zająć. Ma ochotę odejść od bramy prowadzącej na powierzchnię, ale co jeśli wróci właśnie w tym momencie, kiedy jej nie będzie w pobliżu? Kto mu otworzy? Więc siedzi na zimnej posadzce przy wyjściu, mijają godziny, upływają dni, wciąż go nie ma, ale ona nie ruszy się z miejsca, dopóki brama się nie...

Obudził ją donośny szcęk otwieranych zasuw - dokładnie takich, jak na Kołomieńskiej. Obudziła się z uśmiechem na twarzy: ojciec wrócił. Rozejrzała się i wszystko sobie przypomniała.

Z całego tego gwałtownie ulatniającego się snu prawdą był tylko łoskot ciężkich zasuw w żelaznych wrotach. Chwilę później gigantyczna brama zatrzęsła się i powoli ruszyła z miejsca. Z poszerzającej się szczeliny bił snop światła i swąd diesla. Wejście do wielkiego metra...

Zapora miękko odsunęła się na bok i zatrzymała we wpuście, obnażając wnętrzości tunelu prowadzącego do Awtozawodzkiej i dalej do Linii Okrężnej. Na szynach, rycząc gotowym do startu silnikiem, stała duża drezyna spalinowa z reflektorem czołowym i kilkoma pasażerami. Na przecięciu linii celownika cekaemu ludzie z drezyny widzieli dwoje mrużących i zasłaniających oczy podróżnych.

- Ręce! - rozległ się rozkaz.

W ślad za starym Sasza posłusznie podniosła ręce. Tym razem drezyna była ta sama,

która wyjeżdżała na most w dni targowe. Jej załoga świetnie znała historię Saszy. No, i staruszek o dziwnym imieniu zaraz pożałuje, że wziął ze sobą skutą dziewczynę z pustej stacji nie zainteresowawszy się, jak się tam znalazła...

- Zdjąć maski przeciwgazowe, okazać dokumenty! - zakomenderowano z dreżyny.

Odsłaniając twarz, ganiła się za głupotę. Nikt nie był zdolny jej uwolnić i wyroku wydanego na ojca - i razem z nim na Saszę - nikt nie uchylił. Dlaczego uwierzyła w to, że tych dwóch będzie umiało wprowadzić ją do metra? Myślała, że na granicy jej nie zauważą?

- Ej, ty! Tobie tu nie wolno wchodzić! - natychmiast ją poznali. - Masz dziesięć sekund, żeby zniknąć. A to kto? To twój?...

- O co chodzi? - spytał zakłopotany staruszek.

- Ani się ważcie! Zostawcie go! To nie on! - zawołała Sasza.

- Wynocha! - zimnym jak lód tonem zakończył człowiek z karabinem. - Albo zaraz...
Strzelajcie żeby zabić...

- Do dziewczyny? - dał się słyszeć niepewny drugi głos.

- Powiedziałem coś!... - bezpiecznik automatu szczęknął jako zapowiedź.

Sasza cofnęła się i zacisnęła powieki, trzeci raz w ciągu kilku ostatnich godzin gotując się na spotkanie śmierci. Coś cichutko zaświergotało i zapadła cisza. Ostatni rozkaz nie zabrzmiał; nie dało się już dłużej czekać, i dziewczyna nieco otworzyła jedno oko.

Silnik cały czas dymił, sine kłęby przepływały przez biały strumień światła z reflektora, z jakiegoś powodu skierowany w sufit. Teraz, kiedy światło nie biło jej w oczy, Sasza widziała tych, którzy znajdowali się na dreżynie.

Wszyscy, niczym wypatroszone kukły, walali się na pojeździe i na szynach obok niego. Bezwolnie zwisające ręce, nienaturalnie wykręcone szyje, połamane ciała.

Sasza obejrzała się za siebie. Za jej plecami stał wygolony, z opuszczonym pistoletem uważnie obserwując dreżynę zmienioną w deskę do krojenia. Podniósł broń i jeszcze raz nacisnął spust.

- Teraz wszyscy - mruknął z zadowoleniem. - Zdejmijcie z nich mundury i maski przeciwgazowe.

- Po co? - skrzywił się stary.

- Przeberzemy się. Pojedziemy przez Awtozawodzką ich dreżyną.

Sasza zastygła patrząc w oszołomieniu na zabójcę; przestrach walczył w niej z zachwytem, obrzydzenie mieszało się z poczuciem wdzięczności. Dopiero co z łatwością uśmiercił za jednym zamachem trzech ludzi, naruszając główne ojcowskie przykazanie. Ale zrobił to, żeby uratować życie jej, no i staremu. Czy to przypadek, że ocalił ją drugi raz z

rzędu? Czy myli jej się twardość z okrucieństwem?

Jedno wiedziało na pewno: ten człowiek swoją odwagą sprawiał, że zapominało się, jak był potworny.

Wygolony podszedł do drezyny jako pierwszy i zaczął zdzierać gumowe skalpy z pokonanych przeciwników. I nagle z głuchym okrzykiem odsunął się od drezyny, cofnął się, jakby zobaczył samego diabła, wyciągając przed siebie obie ręce, powtarzając wciąż jedno słowo...

- Czarny!

Rozdział 9

Powietrze

Strach i przerażenie to zupełnie nie to samo. Strach popędza, zmusza do działania, tworzenia. Przerażenie paraliżuje ciało, blokuje myśli, pozbawia ludzi człowieczeństwa. Homer, mając swoje lata, widział już dostatecznie wiele, żeby znać między nimi różnicę.

Jego brygadier, nieobdarzony zdolnością odczuwania strachu, niespodziewanie okazał się podlegać przerażeniu. Lecz to, co doprowadziło Huntera do takiego stanu, zadziwiło starego jeszcze bardziej.

Trup, z którego zdążył ściągnąć maskę przeciwgazową, wyglądał nietypowo. Spod czarnej gumy wyjrzała ciemna, lśniąca skóra, wydatne wargi, szeroki spłaszczony nos. Homer nie widział Murzynów odkąd przestał działać telewizor z kanałami muzycznymi, czyli od ponad dwudziestu lat, ale nie było trudno poznać w zabitym człowieku innej rasy. Z pewnością to ciekawostka. Ale co w tym przerażającego?

Brygadier wziął się już jednak w garść, dziwny atak nie trwał nawet minuty. Oświetlił twarz z płaskim nosem, warknął coś niewyraźnie i zaczął brutalnie zdejmować ubranie z nieposłusznego ciała, przy czym Homer dałby głowę, że słyszy trzask łamanych palców.

- Natrzęsają się... Jeszcze raz mi przypominacie, co?... Czy to po ludzku?... Taka kara... - chrypiał do siebie na głos.

Pomylił go z kimś? Kaleczy nieboszczyka w odwecie za chwilowe poniżenie, czy jednak reguluje dawne i o wiele poważniejsze rachunki? Stary zerkał ukradkiem na brygadiera, z hamowanym wstrętem obdzierając drugiego, całkowicie zwyczajnego trupa.

Dziewczyna nie brała w tym udziału, a Hunter jej nie zmuszał. Odeszła, przysiadła na szynach i ukryła twarz w dłoniach. Homerowi wydało się, że płacze.

Hunter wywlókł trupy za bramę i zwałił na kupę. Nie minie doba, a nic z nich nie zostanie. W dzień władzę nad miastem przejmują takie stworzenia, że groźne nocne drapieżniki wciskają się głęboko w nory, potulnie czekając na swoją godzinę.

Na ciemnym mundurze cudza krew była niewidoczna, ale nie wyschła od razu. Zimna, kleiła się do brzucha, do piersi, jakby chciała wrócić do żywego ciała, przez co ohydnie swędziała i skóra, i umysł. Homer pytał sam siebie, czy ta cała maskarada rzeczywiście była nieunikniona, i pocieszał się tylko tym, że pomoże im to uniknąć nowych ofiar na

Awtozawodzkiej. Jeśli rachuby Huntera okażą się słuszne, bez przeszkód przepuszczą ich dalej, biorąc za swoich... Ale jeśli nie? I czy on dąży do tego, by ograniczać liczbę niepotrzebnych śmierci na swojej drodze?

Żądza krwi brygadiera nie tylko odstręczała, ale też intrygowała Homera. Samoobrona nie usprawiedliwiała nawet trzeciej części dokonanych przez niego zabójstw, ale było to coś więcej, niż pospolity sadyzm. Najważniejsze, czym zadręczał się stary - czy nie po to, by zwyczajnie zaspokoić swoje skłonności Hunter udawał się na Tulska?

Przypuśćmy, że nieszczęśnicy, którzy wpadli w pułapkę na tej stacji, nie mogli znaleźć lekarstwa na tajemniczą gorączkę. Wszak nie oznaczało to, że taki środek w ogóle nie istnieje! W podziemnym świecie pozostały jeszcze miejsca, gdzie wciąż tliła się myśl naukowa, gdzie prowadzono badania, opracowując nowe leki, przyrządzając surowice. Na przykład Polis - zbieg czterech arterii, serce metra, ostatnie miejsce przypominające prawdziwe miasto, położone w przejściach między Arbacką, Borowicką, Aleksandrowskim Sadem i Biblioteką im. Lenina, gdzie ulokowali się ocaleni lekarze i naukowcy. Albo ogromny bunkier w pobliżu Tagańskiej, tajne miasteczko naukowe będące własnością Hanzy...

Poza tym Tulska mogła nie być pierwszą stacją, na której wybuchła epidemia. A jeśli komuś już udawało się ją pokonać? „Czy można tak łatwo zrezygnować z nadziei na ocalenie?” - pytał sam siebie Homer. Staruszek, który nosił teraz w swoim ciele bombę zegarową choroby, miał w tym oczywiście własny interes. Rozumowo niemal się pogodził z rychłą śmiercią, ale jego instynkt buntował się i próbował znaleźć jakieś wyjście. Jeśli znajdzie sposób uratowania Tulskiej, ocali ojczystą stację i siebie samego...

Ale Hunter po prostu nie wierzył w lekarstwo na tę chorobę. Zaledwie po wymianie paru słów ze strażnikami na Tulskiej, skazał wszystkich jej mieszkańców na śmierć i sam zabrał się za wykonanie wyroku. Wprowadził w błąd dowództwo Sewastopolskiej bajkami o koczownikach, narzucił im swoją decyzję i teraz nieubłaganie zbliżał się do tego, by ją zrealizować, wydając Tulska na pastwę płomieni.

A może wiedział coś takiego o tym, co działo się na stacji, co znów wywracało wszystko do góry nogami? Coś, czego nie wiedział ani Homer, ani ten, który zostawił na Nachimowskim Prospekcie swój dziennik...

Kiedy skończył z trupami, brygadier zdjął z paska manierkę i wysał resztki jej zawartości. Co w niej było? Alkohol? Używał swojego napoju jako przyprawy, czy chciał zabić nieprzyjemny posmak? Smakował chwilę, czy próbował zapomnieć, a może miał nadzieję, że wódka zagłuszy coś w sobie?

Stara kopcząca drezyna stała się dla Saszy wehikułem czasu z baśni, którymi bawił ją czasem ojciec. Wiozła dziewczynę nie z Kołomieńskiej na Awtozawodzką, lecz przenosiła z prawdziwego świata w przeszłość. Chociaż nazwać prawdziwym światem tę kamienną przestrzeń, w której spędziła ostatnie lata, ten ślepy wyrostek przestrzeni i czasu, mogło przyjść do głowy tylko jej.

Dobrze pamiętała swoją drogę w drugą stronę: ojciec, skrupowany, z wiązaną czapką na oczach i kneblem w ustach, siedział obok niej, wówczas jeszcze małej dziewczynki. Przez cały czas płakała, i jeden z żołnierzy plutonu egzekucyjnego układając palce pokazywał jej cienie różnych zwierząt skaczące po małej, żółtej scenie, biegnącej po sklepieniu tunelu na wyścigi z drezyną.

Ojcu odczytano wyrok, kiedy już przekroczyli most: rewolucyjny trybunał go oszczędził, kara śmierci została zamieniona na dożywotnią zsyłkę. Zeskoczyli na tory, rzucili nóż, automat z jednym magazynkiem i starą maskę przeciwgazową, pomogli zejść Saszy. Żołnierz, który pokazywał jej konia i pieska, pomachał dziewczynce ręką.

Czy nie było go wśród tych, którzy dzisiaj zginęli?

Wrażenie, że oddycha czymś powietrzem, stało się jeszcze silniejsze, kiedy wcisnęła się w czarną maskę zdjętą przez wygolonego z jednego z ciał. Każdy, nawet najmniejszy odcinek jej drogi kosztował kogoś życie. Wygolony pewnie i tak by ich zastrzelił, ale teraz, kiedy obok była Sasza, stała się jego współniczką.

Jej ojciec nie chciał wracać do domu nie tylko dlatego, że zmęczył się walką. Mówił, że całe jego poniżenie i niedostatek waży mniej, niż choćby jedno ludzkie życie. Cierpiał sam, żeby nie dokładać cierpienia innym. Sasza wiedziała, że szala, na którą położono wszystkich, których pozbawił życia i tak jest już daleko w dole, i ojciec próbował po prostu przywrócić równowagę.

A przecież wygolony mógł się w to wmieszać wcześniej, mógł tylko przestraszyć ludzi z drezyny samym swoim pojawieniem się, obezwładnić ich bez jednego wystrzału. Sasza była tego całkowicie pewna. Żaden z zabitych nie był dla niego godnym przeciwnikiem.

Dlaczego to zrobił?

Stacja jej dzieciństwa okazała się być bliżej niż myślała: nie minęło nawet dziesięć minut, gdy z przodu zamigotały jej światła. Wjazd na Awtozawodzką nie był przez nikogo chroniony. Widocznie jej mieszkańcy zbyt polegali na zamykaniu zapory. Na pięćdziesiąt metrów przed początkiem peronu wygolony przełączył silnik na małe obroty, i nakazawszy Homerowi stanąć przy kierownicy, sam podszedł bliżej cekaemu.

Drezyna wtoczyła się na stację niemal bezgłośnie i bardzo wolno. Czy to może czas się zatrzymał dla Saszy, żeby zdążyła przez kilka krótkich chwil wszystko zobaczyć i wszystko sobie przypomnieć?

Tamtego dnia ojciec zostawił ją ze swoim ordynansem, polecając mu ukryć ją, aż wszystko się rozstrzygnie. Ten zabrał ją w głębokie podbrzusze stacji, do jednego z pomieszczeń służbowych. Lecz nawet stamtąd było słychać, jak jednocześnie ryknęła setka gardeł, i adiutant rzucił się z powrotem, żeby być obok dowódcy. Sasza w ślad za nim pobięła przez puste korytarze, wyskoczyła na peron...

Sunęli wzdłuż peronu i Sasza patrzyła na przestronne rodzinne namioty i przekształcone w biura wagony, grające w berka dzieciaki, plotkujących staruszków, ponurych mężczyzn czyszczących broń...

A widziała swojego ojca stojącego na czele cienkiego sznureczka gniewnych i przestraszonych ludzi, próbującego opanować i powstrzymać niezmierny kipiący tłum. Podbiegła do ojca, przytuliła się do jego pleców. Odwrócił się gorączkowo, strząsnął ją i wymierzył policzek adiutantowi, który właśnie się zjawił. Ale coś już zdążyło się z nim stać. Oddział, który zamarł ze wzniesionymi automatami w oczekiwaniu na rozkaz otwarcia ognia, został odwołany. Jedyne wystrzał był skierowany w powietrze: jej ojciec zaczynał negocjacje o pokojowym przekazaniu stacji rewolucjonistom.

Jej ojciec wierzył, że człowiek dostaje znaki.

Trzeba tylko umieć je dostrzegać i prawidłowo odczytywać.

Nie, czas zaczął płynąć wolniej nie tylko dlatego, by pozwolić jej jeszcze raz przenieść się do ostatniego dnia dzieciństwa. Uzbrojonych ludzi wstających na spotkanie drezynie zauważyła wcześniej od pozostałych. Widziała, jak ogolony nieuchwytnym, płynnym ruchem znalazł się przy spuście, jak zaczął przekręcać w stronę zdziwionych strażników grubą, oksydowaną lufę.

Przed staruszką usłyszała syczący rozkaz zatrzymania drezyny. I zrozumiała: zginie tu dziś tylu ludzi, że do końca życia będzie jej się wydawało, iż oddycha cudzym powietrzem. Lecz Sasza mogła jeszcze zapobiec krwawej rozprawie, uchronić przed czymś niewyrażalnie strasznym ich, siebie, i jeszcze jednego człowieka.

Strażnicy już odbezpieczali karabiny, ale zbytnio się z tym grzebali, odstając od wygolonego na kilka ruchów.

Zrobiła pierwsze, co przyszło jej do głowy.

Wstała i przyłgnęła do jego żelaznych, gruzłowatych pleców, objęła go i zacisnęła ręce na

nieruchomej, jakby nieoddychającej piersi. Wzdrygnął się, jakby smagnęła go batem, zawahał się... Speszyl się też gotujący do strzelaniny żołnierz.

Stary zrozumiał ją bez słów.

Drezyna wyrwała do przodu, wypuszczając chmury czarnego, gorzkiego dymu, i stacja Awtozawodzka uleciała w tył. W przeszłość.

Do samej Pawieleckiej nikt już nie wymówił słowa. Hunter uwolnił się z niechcianych objęć, rozwierając ręce dziewczyny, jakby odginał przeszkadzającą mu oddychać stalową obręcz. Przez jedyny posterunek przejechali na pełnej szybkości, posłany w ich kierunku wachlarz kul wbił się w sklepienie nad ich głowami. Brygadier zdążył wyciągnąć swój pistolet i odpowiedział trzema bezgłośnymi rozbłyskami. Jednego, zdaje się, położył, pozostali przycisnęli się do ścian, wsunęli w płytkie występy tubingów i w ten sposób ocalili.

„A jednak” - myślał Homer, zerkając na zmarkotniałą dziewczynę. Przewidywał, że wątek miłosny zawiąże się wkrótce po pojawieniu się bohaterki, lecz wszystko rozwijało się aż nazbyt gwałtownie. Szybciej niż nadażał nie tylko zapisywać, ale też rozumieć.

Kiedy wjechali na Pawielecką, zatrzymali się.

Staremu zdarzało się już bywać na tej stacji, przeniesionej tu z jakichś gotyckich legend. Zamiast pospolitych filarów, które podtrzymywały sklepienia na wszystkich okolicznych nowych stacjach moskiewskiego metra, Pawielecka wspierała się na szeregu lekkich, zaokrąglonych arkad, zbyt wysokich dla zwykłych ludzi. Jak często w takich legendach bywało, Pawielecka była dotknięta nietypową klątwą. Również o ósmej wieczorem dopiero co tętniąca życiem stacja wymierała, przeobrażała się we własnego ducha. Ze wszystkich energicznych i cwanych mieszkańców na peronie zostawało tylko kilku śmiałków. Wszyscy pozostali - z dziećmi, manatkami, wypchanymi towarami walizami, z ławeczkami i leżankami - znikali.

Chowali się w schronie - prawie kilometrowej długości przejściu na Linie Okrężną - i tam trzęśli całą długą noc, dopóki na powierzchni przy Dworcu Pawieleckim grasowały budzące się ze snu potwory. Znawcy mówili, że dworzec i przyległe tereny były pod ich niepodzielnym władaniem, i nawet kiedy spały, nie ważyły się tam zapuszczać żadne inne stwory. Mieszkańcy Pawieleckiej nie byli przed nimi chronieni: zasłon, które na innych stacjach odcinały schody ruchome, tu po prostu nie było, i wyjście na powierzchnię zawsze pozostawało otwarte.

Według Homera trudno było znaleźć gorsze miejsce na postój i nocleg. Ale Hunter uznał inaczej: dojechawszy do końca holu drezyna stanęła.

- Będziemy tu do rana. Rozlokujcie się - ściągnął maskę i obwiodł ręką stację.

I zostawił ich. Dziewczyna odprowadziła go wzrokiem, potem zwinęła się na szorstkiej podłodze drezwiny. Stary ułożył się jak najwygodniej i zamknął oczy, próbując zasnąć. Na próżno: znów obstały go myśli o dżumie, którą roznosi po wciąż zdrowych stacjach. Dziewczyna też nie mogła zasnąć.

- Dziękuję ci. Myślałam, że jesteś taki, jak on - odezwała się.

- Nie wydaje mi się, żeby byli tacy ludzie - odparł stary.

- Jesteście przyjaciółmi?

- Jak remora z rekinem - uśmiechnął się niewesoło, myśląc sobie, że tak właśnie jest: ludzi pożera Hunter, zaś krwawe strzępy ludzkiego mięsa przypadają też Homerowi.

- Jak to? - podniosła się na łokciu.

- Tam, gdzie on, tam i ja. Sądzę, że bez niego bym się nie obył, a on... Być może myśli, że go oczyszczę. Chociaż tak naprawdę nikt nie wie, co on myśli.

- A dlaczego nie możesz bez niego? - dziewczyna przysiadła się bliżej starego.

- Zdaje mi się, że dopóki jestem obok niego, natchnienie... mnie nie opuści... - spróbował wyjaśnić Homer.

- Natchnienie, to od słowa „tchnienie” - powiedziała Aleksandra, i nie było jasne, czy było to pytanie, czy twierdzenie. - Po co wdychasz coś takiego? Co ci to da?

Homer wzruszył ramionami.

- Nie chodzi o to, co wdychamy. Chodzi o to, co inni wydychają w nas - odpowiedział.

- Myślę, że kiedy oddychasz śmiercią, nikt nie dotknie twoich ust. Przestraszą się trupiego smrodu... - kreśliła coś palcem na brudnej posadzce.

- Kiedy widzisz śmierć, zaczynasz myśleć o wielu rzeczach - bronił się Homer.

- Nie masz prawa wołać jej za każdym razem, kiedy potrzebujesz pomyśleć - rzekła dziewczyna.

- Nie wołam jej, po prostu stoję obok, a poza tym, wcale nie chodzi o śmierć... Nie tylko o nią - zaprotestował stary. - Chciałem, żeby przydarzyła mi się historia, która wszystko zmieni. Chciałem, żeby zaczęło się nowe okrażenie. Żeby w moim życiu cokolwiek się wydarzyło. Żeby coś mną wstrząsnęło... I oczyściło mi głowę.

- Miałeś kiepskie życie? - spytała ze współczuciem dziewczyna.

- Nudne. Wiesz, kiedy jeden dzień jest podobny do drugiego, to lecą tak szybko, iż zdaje się, że ostatni z nich jest już całkiem blisko - spróbował wyjaśnić Homer. - Boisz się, że nie ze wszystkim zdążysz. I każdy z tych dni wypełnia tysiąc drobnych spraw, załatwiłem jedną, odpocząłem - czas brać się za następną. Nie zostaje ani sił, ani czasu na to, co rzeczywiście

ważne. Myślisz sobie: to nic, zacznę od jutra. A jutro nie nadchodzi, wciąż jest tylko jedno, niekończące się dzisiaj.

- Widziałeś dużo stacji? - dziewczyna, jak się zdawało, zupełnie nie śledziła tego, co opowiadał stary.

- Nie wiem - odparł z zakłopotaniem. - Pewnie wszystkie.

- A ja dwie - westchnęła dziewczyna. - Najpierw mieszkaliśmy z ojcem na Awtozawodzkiej, potem wygnali nas na Kołomieńską. Zawsze chciałam zobaczyć jeszcze chociaż jedną. Tu jest tak dziwnie - objęła wzrokiem rząd arkad. - Tak jakby tysiąc wejść, i nie ma nawet między nimi ścian. I wszystkie są dla mnie otwarte, a mnie już się nie chce tam wchodzić i boję się.

- Czyli to był twój ojciec? Ten drugi... - Homer się zawahał. - Zabili go?

Dziewczyna schowała się z powrotem w swojej skorupie i długo milczała, zanim odpowiedziała.

- Tak.

- Zostań z nami - nabralł stanowczości stary. - Porozmawiam z Hunterem, myślę że się zgodzi. Powiem mu, że jesteś mi potrzebna, żeby... - rozłożył ręce, nie wiedząc, jak wyjaśnić dziewczynie, że teraz to ona ma być dla niego natchnieniem.

- Powiedz, że jestem potrzebna jemu - Sasza wymówiła z naciskiem ostatnie słowo.

Zeskoczyła na peron i odeszła od drezyny, gładząc każdą kolumnę obok której przechodziła.

Nie było w niej żadnej kokieterii, nigdy nie grała. Wyglądało na to, że pogardzała nie tylko bronią palną, ale również typowym kobiecym arsenałem wzruszających i sympatycznych minek, trzepotania rzęsami zdolnego do rozpętania huraganu, i półuśmiechów, dla których można poświęcić swoje życie, albo zabrać cudze. A może po prostu jeszcze nie umiała się nim posługiwać?

Tak czy inaczej, arsenał ten nie był jej potrzebny. Jednym prostym spojrzeniem, niczym pchnięciem sprawiła, że Hunter zmienił swoją decyzję, jednym ruchem zarzuciła na niego sieć i powstrzymała go przed zabójstwem. Czyżby przebiła się przez zbroję, trafiła w ciało? A może była mu do czegoś potrzebna? Raczej to drugie: nawet podejrzenie, że brygadier miał miękkie miejsca, że można go było nie tyle zranić, co choćby drasnąć, było dla Homera czymś dziwnym.

Homer nie mógł zasnąć. Chociaż zamienił duszną czarną maskę przeciwgazową na lekki polowy aparat oddechowy, oddychało mu się równie ciężko, a obcęgi ściskające mu głowę

nie odpuszczają. Wszystkie swoje stare rzeczy Homer zostawił w tunelu. Kawalkiem szarego mydła oskrobał ręce, zmył błoto zapleśniałą wodą z kanistra i z własnej woli postanowił zawsze teraz nosić biały kaganiec. Co mógł jeszcze zrobić, żeby ochronić tych, z którymi się stykał?

Nic. Teraz już zupełnie nic, nie pomogłoby nawet, gdyby uciekł do tuneli i sam zmienił się w kupę porzuconych, zbutwiałych łachmanów. Lecz obecna bliskość śmierci nagle wróciła go ponad dwadzieścia lat w przeszłość, do czasów, kiedy dopiero co stracił wszystkich, których kochał. I to nadawało jego planom nowy, autentyczny sens.

Gdyby to zależało od Homera, wzniosłby im prawdziwy pomnik. Ale już na zwykły nagrobek zasłużyli na pewno. Urodzeni w odstępach dziesięcioleci, umarli jednego dnia: jego żona, jego dzieci, rodzice.

I jeszcze jego koledzy z klasy, i przyjaciele z uczelni. Ulubieni aktorzy filmowi i muzycy. I po prostu wszyscy ci ludzie, którzy tego dnia byli jeszcze w pracy, albo pojechali już do domu, albo utknęli w korkach gdzieś w połowie drogi.

I ci, którzy zginęli na miejscu, i ci, którzy próbowali jeszcze przez kilka długich dni przeżyć w skażonej, na wpół zburzonej stolicy, słabo drapiąc w zamknięte śluzy metra. Ci, którzy w ułamku sekundy rozpadli się na atomy, i ci, którzy rozpuszczali się i rozpadali żywcem, trawieni chorobą popromienną.

Zwiadowcy, którzy jako pierwsi wychodzili na powierzchnię, po powrocie przez wiele dni nie mogli zasnąć. Homerowi zdarzało się spotykać niektórych z nich przy ognisku na stacjach przesiadkowych, patrzył im w oczy i widział odcisnięte w nich na zawsze ulice przypominające stojące rzeki, pełne śniętych ryb. Tysiące zastygłych samochodów z martwymi pasażerami wypełniało bulwary i szosy prowadzące z Moskwy. Wszędzie były trupy. Dopóki do miasta nie przyszli nowi gospodarze, nie było komu ich grzebać.

W trosce o siebie, zwiadowcy starali się omijać z daleka szkoły i przedszkola. Lecz żeby oszaleć, wystarczyło przypadkiem uchwycić przez zakurzone szkło zamarłe spojrzenie z tylnego siedzenia rodzinnego samochodu.

Życie miliardów ludzi urwało się jednocześnie. Miliardy myśli pozostały niewypowiedziane, miliardy marzeń - niespełnione, miliardy krzywd - nie wybaczone. Młodszy syn Mikołaja wyprosił u niego duży komplet kolorowych flamastrów, córka bała się iść na łyżwiarstwo figurowe, żona malowała mu przed zaśnięciem obraz krótkiego urlopu, który spędzą we dwoje nad morzem.

Kiedy uświadomił sobie, że te drobne pragnienia i lęki były ostatnimi, nagle nabrały dla

niego niezwyklej wagi.

Homer chciałby wykuć epitafium dla każdego z nich. A już na jedno epitafium na swoim gigantycznym masowym grobie ludzkość z pewnością zasługiwała. I teraz, kiedy jemu samemu zostało tyle co nic, Homerowi wydało się, że będzie potrafił znaleźć dla niego właściwe słowa.

Nie wiedział jeszcze w jakiej kolejności je ułoży, czym je połączy, jak upiększy, ale już teraz to czuł: w historii, która rozwijała się na jego oczach, znajdzie się miejsce dla każdej niespokojnej duszy, dla każdego z uczuć, dla każdego ziarnka wiedzy, które tak żmudnie zbierał, i dla niego samego. Temat pasował do tego najlepiej, jak to tylko możliwe.

Kiedy na powierzchni zrobi się jasno, a na dole obudzą się stragany z towarami, koniecznie się wśród nich przejdzie, zdobędzie czysty zeszyt i długopis kulkowy. I musi się spieszyć: jeśli nie naniesie na papier zarysów przyszłej powieści, która jak miraż świeciła gdzieś przed nim w oddali, to może się ona rozpuścić i kto wie, jak długo będzie musiał siedzieć na szczycie wydmy, wpatrując się w dal, z nadzieją, że z najdrobniejszego piasku i gorącego powietrza znów zacznie się wznosić jego własna wieża z kości słoniowej?

Może nie starczyć czasu.

Cokolwiek by gadała dziewczyna, spojrzenie w puste oczodoły wieczności zmusza do działania, uśmiechnął się do siebie stary. Potem, myśląc o jej wygiętych brwiach - dwóch białych promykach na ciemnej umorusanej twarzy, o jej przygryzionej wardze, jej zmierzwionych niczym słoma włosach, uśmiechnął się jeszcze raz.

Jutro na targu trzeba będzie znaleźć jeszcze parę rzeczy, myślał Homer zasypiając

Noc na Pawieleckiej zawsze jest niespokojna. Na zakopconych marmurowych ścianach migają refleksy śmierdzących pochodni, nierówno oddychają tunele i ledwo słyszalnie rozmawiają ludzie siedzący u podnóża schodów ruchomych. Stacja udaje martwą w nadziei, że drapieżne stwory z powierzchni nie połączą się na padlinę.

Ale czasem najbardziej ciekawskie z nich odnajdują prowadzące głęboko pod ziemię wejście, węszą i rozpoznają zapach świeżego potu, słyszą uderzenia serc, czują tętniącą w żyłach krew. I zaczynają schodzić w dół.

Homer wreszcie się zdrzemnął i zaniepokojone głosy z drugiego końca peronu docierały do jego świadomości z oporami i zdeformowane. Ale wtem, od razu wyciągając go z odmętów półsnu, gruchnął cekaem. Stary podskoczył, wytrzeszczył oczy i zaczął obmacywać podłogę drezyny w poszukiwaniu broni.

Do ogłuszających serii z ciężkiego karabinu natychmiast dołączyło kilka automatów,

niepokój w okrzykach strażników zamienił się w prawdziwe przerażenie. Do czegokolwiek by oni teraz nie strzelali ze wszystkiego co mieli, nie robiło mu to najmniejszej krzywdy. Teraz nie było to już składne ostrzeliwanie ruchomego celu, a beładna strzelanina ludzi, którzy próbują ocalić chociaż własną skórę.

Karabin się znalazł, ale Homer w żaden sposób nie mógł się zdecydować, by wyjść na peron; całej jego woli starczało, by oprzeć się pokusie uruchomienia silnika i ucieczki ze stacji, dokądkolwiek. Nie opuszczając drezyny wyciągnął szyję, próbując dojrzeć arenę walki przez gęste rzędy kolumn.

Wrzaski i przekleństwa broniących się strażników zagłuszył przenikliwy skrzek - niespodziewanie blisko. Cekaem zachłysnął się, ktoś strasznie krzyknął i umilkł tak nagle, jakby coś urwało mu głowę. Znow uszy zaatakował terkot automatów, ale już zupełnie rozproszony i rzadki. Pisk się powtórzył, jak się zdawało, nieco dalej... I nagle stworzeniu, które go wydało, odpowiedziało drugie - całkiem blisko drezyny.

Homer doliczył do dziesięciu i trzęsącymi się rękoma włączył silnik: za chwilę, za chwilę jego towarzysze wrócą i od razu będą mogli ruszyć; to wszystko dla nich, nie dla siebie... Drezyna zawibrowała, zaczęła dymić i się rozgrzewać, i wtedy między kolumnami przemknęło coś z niepojętą szybkością... Rozmazując się i uciekając z pola widzenia szybciej, niż świadomość mogła przyswoić jego obraz.

Stary złapał za poręcz, postawił nogę na pedale gazu i zrobił głęboki wdech. Jeśli nie pojawią się w ciągu następnych dziesięciu sekund, rzuci wszystko i... I, sam nie rozumiejąc, po co to robi, Homer zrobił krok na peron, wystawiając przed siebie swój marny karabin. Po prostu żeby się upewnić, że nikomu ze swoich już nie pomoże.

Przyciskając się do kolumny, Homer zajrzał do holu...

Chciał krzyknąć, ale nie starczyło mu powietrza.

Sasza zawsze wiedziała, że świat nie ogranicza się do tych dwóch stacji, na których mieszkała, ale nigdy sobie nie wyobrażała, że gdzie indziej może być tak piękny Kołomieńska - płaska i przygnębiająca - była dla niej jednak przytulnym i znanym jak własna kieszeń domem. Awtozawodzka - dumna, przestronna, ale zimna - odwróciła się od niej i ojca, odrzuciła ich, i Sasza nie mogła jej tego zapomnieć.

Stosunki z Pawielecką można było zacząć od zera i z każdą spędzoną tu chwilą Sasza miała coraz większą ochotę zakochać się w tej stacji. W jej lekkich wachlarzowatych kolumnach, w ogromnych, przyzywających ją łukach, w tym szlachetnym marmurze z przyjemnymi dla oka żyłkami, które upodabniały ściany do czyjejs delikatnej skóry...

Kołomieńska była uboga, Awtozawodzka zbyt surowa, a ta stacja była jakby stworzona na podobieństwo kobiety: igrająca i lekkomyślna. Pawielecka nie chciała zapominać o swojej dawnej urodzie nawet po upływie kilkudziesięciu lat.

„Ludzie, którzy tu mieszkają nie mogą być okrutni i źli - myślała Sasza. - Czyżby wystarczyło, żeby pokonała z ojcem jedną wrogą stację, żeby znaleźć się w tym czarodziejskim kraju? Czyżby wystarczyło, by przeżył jeszcze jeden jedyny dzień, żeby uciec z katorgi i znów być wolnym? Potrafiłaby namówić wygolonego, żeby wziął ze sobą ich oboje...”

W oddali tańczyło oblepione strażnikami ognisko, smuga reflektora obmacywała wysokie sklepienie, ale Sasza nie miała ochoty tam iść. Ileż lat wydawało jej się, że kiedy tylko wyrwie się z Kołomieńskiej i spotka innych ludzi, będzie mogła być szczęśliwa! Ale teraz był jej niezbędny tylko jeden człowiek - żeby podzielić na dwoje swój zachwyty, zadziwienie tym, że świat naprawdę okazał się większy o jedną trzecią, i nadzieję na to, że wszystko jeszcze można naprawić. A sama pewnie w ogóle nikomu nie była potrzebna, cokolwiek by nie usiłowała wmówić samej sobie i staremu.

I dziewczyna ruszyła w przeciwną stronę, tam gdzie stał, do połowy zagłębiony w prawym tunelu, obdrapany pociąg z wybitymi szybami i otwartymi drzwiami. Weszła do środka i przeskakując wyrwy między wagonami, zbadała pierwszy, drugi, trzeci. W ostatnim Sasza odkryła cudem ocalałe siedzenie i weszła na nie z butami. Rozejrzała się dookoła i spróbowała wyobrazić sobie, że pociąg za moment ruszy i zawiezie ją dalej, ku nowym stacjom - jasnym, wypełnionym gwarem ludzkich głosów. Ale nie starczało jej ani wiary, ani fantazji, żeby ruszyć z miejsca tysiące ton żelaznego złomu. Z jej rowerem wszystko było o wiele łatwiejsze.

Nie udało jej się ukryć: mijając wagon za wagonem w ślad za Saszą, doścignęły ją wreszcie odgłosy rozpoczętej na Pawieleckiej walki.

Znowu?!

Opuściła nogi na ziemię i na łeb na szyję rzuciła się z powrotem na stację, jedyne miejsce, gdzie była jeszcze zdolna cokolwiek zrobić.

Porozrzucane ciała strażników walały się przy oszklonej budce ze znieruchomiałym reflektorem, pośrodku wygasłego ogniska i w samym centrum holu. Żołnierze zrezygnowali już z oporu i uciekali, żeby poprosić o azyl w schronie, ale śmierć dosięgła ich w połowie drogi.

Nad jednym z trupów pochylała się przedziwna, złowieszcza postać. Z takiej odległości była słabo widoczna, ale Homer widział gładką białą skórę, drgający potężny kark, niecierpliwie przestępujące nogi wygięte w nienaturalnie wielu stawach.

Walka była przegrana. Ale gdzie jest Hunter? Stary wyjrzał jeszcze raz i zamarł... Około dziesięciu kroków od niego, wystając zza kolumny dokładnie tak jak Homer, jakby się z nim drażniąc lub przedrzeźniając, z wysokości ponad dwóch metrów na starego patrzył koszmarny pysk. Z obwisłej dolnej wargi kapąła czerwona ciecz, potężne szczęki nieustannie się poruszały przeżuając coś strasznego, pod ściętym czołem było zupełnie pusto; jednak jak się zdawało, brak oczu zupełnie nie przeszkadzał stworowi w przemieszczaniu się i atakowaniu.

Homer odskoczył naciskając spust; automat milczał. Chimera wydała długi, ogłuszający krzyk i wyskoczyła na środek holu. Stary miotał się przy zaciętym zamku, rozumiejąc, że już nie zdąży...

Ale nagle potwór stracił całe nim zainteresowanie; teraz jego uwagę przykuł skraj peronu. Homer gwałtownie się odwrócił, szukając nie widzącym wzrokiem, i serce mu zamarło.

Rozglądając się z przestachem wokoło, stała tam dziewczyna.

- Biegnij! - wrzasnął Homer i jego głos natychmiast przeszedł w zdzierające gardło chrypienie.

Biała chimera skoczyła do przodu pokonując kilka metrów i znalazła się wprost przed dziewczyną. Ta wyciągnęła nóż, nadający się co najwyżej do kuchni, i zrobiła wyprzedzający wypad. Stwór machnął w odpowiedzi jedną z przednich łap, i dziewczyna padła na ziemię; ostrze poleciało kilka kroków dalej.

Stary był już na dreźnie. Ale nie myślał już więcej o ucieczce. Ciężko dysząc nakierowywał cekaem, starając się złapać w pajęczynę celownika tańczącą mu przed oczami białą sylwetkę. Nie udawało się: potwór skulił się nad dziewczyną. Homerowi wydawało się, że po tym, jak w ciągu minuty wybił strażników będących dla niego jednak jakimś zagrożeniem, stwór bawił się, zapędziwszy w ślepy róg dwie bezsilne ofiary i igra z nimi, zanim je dobije.

Potwór pochylił się nad Saszą, zasłaniając ją przed starym... Napoczął swoją ofiarę?

I nagle zatrząsł się, odskoczył, podrapał pazurami po rozlewającej się na jego plecach ciemnej plamie, i odwrócił z krzykiem, gotując się, by pożreć tego, który go zranił.

Niepewnie stawiając nogi, z automatem wyciągniętym w jednej ręce, na jego spotkanie szedł Hunter. Druga ręka zwisała mu martwo wzdłuż ciała i widać było z jakim trudem i cierpieniem przychodził mu każdy krok.

Brygadier trafił potwora kolejną serią, ale ten okazał się niesłychanie żywotny; lekko się

zachwiał, szybko odzyskał równowagę i rzucił się naprzód. Naboje się skończyły i Hunter, cudem unikając ciosu, nabił ogromne cielsko na ostrze swojej maczety. Chimera zwała się na niego z góry, przygniatając go, miażdżąc swoim ciężarem, łamiąc kości.

Zabijając ostatnią nadzieję, nadleciał drugi stwór. Zamarł nad wstrząsanym konwulsjami ciałem swojego pobratymcy, dotknął pazurem białej skóry, jakby próbował go obudzić, potem z wolna podniósł pozbawiony oczu pysk na starego...

I Homer nie przegapił swojej szansy. Pociski dużego kalibru rozerwały chimerze tułów, przebiły czaszkę i, kiedy już ją powaliły na ziemię, obracały jeszcze w pył marmurowe płyty za jej plecami. Staremu nie od razu udało się uspokoić i rozewrzeć gorączkowo zaciśnięte na spuście palce.

Potem zamknął oczy, zdjął aparat oddechowy i odetchnął mroźnym powietrzem przesyconym metalicznym zapachem świeżej krwi. Wszyscy bohaterowie polegli, na polu bitwy został tylko on.

Jego książka kończyła się, nim zdążyła się rozpocząć.

Rozdział 10

Po śmierci

Co zostaje po umarłych?

Co zostanie po każdym z nas?

Kamienie nagrobne zapadają się i porastają mchem, i zaledwie po kilkudziesięciu latach napisy na nich stają się nieczytelne.

Nawet w dawnych czasach, kiedy o groby miał kto dbać, cmentarną ziemię rozdzielano na nowo między kolejnych nieboszczyków. Zmarłych odwiedzały tylko ich dzieci lub rodzice, o wiele rzadziej wnuki, prawie nigdy prawnuki.

To, co przyjęło się nazywać wiecznym odpoczywaniem, w dużych miastach oznaczało zaledwie trwające pół stulecia odroczenie momentu, w którym kości będą niepokojone: może po to, by kopać groby jeszcze gęściej, może po to, by zaorać cmentarzyk i zbudować na jego miejscu osiedla mieszkaniowe. Ziemia stawała się zbyt ciasna i dla żywych, i dla umarłych.

Pół stulecia - to luksus, na który mogli sobie pozwolić tylko ci, którzy umarli przed końcem świata. A kto się zainteresuje jednym nieboszczykiem, gdy ginie cała planeta? Żaden z mieszkańców metra nie był godny pochówku i nie mógł mieć nadziei, że jego ciało nie zostanie pochłonięte przez szczury.

Kiedyś szczątki ludzkie miały prawo istnieć dokładnie tak długo, jak długo żywi pamiętali o tych, do których należały. Człowiek pamięta swoich krewnych, rówieśników, kolegów z pracy. Ale jego pamięci starcza tylko na trzy pokolenia. Właśnie na te nieco ponad pięćdziesiąt lat.

Z tą samą lekkością, z jaką każdy z nas wyrzuca z pamięci obraz swojego dziadka albo przyjaciela ze szkoły, ktoś kiedyś wyrzuci w absolutny niebyt i nas. Wspomnienie o człowieku może okazać się trwalsze od jego szkieletu, ale kiedy odejdzie ostatni z tych, którzy nas jeszcze pamiętali, razem z nim rozplyniemy się w czasie i my.

Zdjęcia? Kto dzisiaj jeszcze je robi? I jak długo się je przechowywało, kiedy fotografował każdy? Kiedyś na końcu każdego opasłego albumu rodzinnego było niewielkie miejsce zarezerwowane dla starych brązowych odbitek, ale mało kto z przeglądających umiał z całą pewnością stwierdzić, na którym ze zdjęć widniał ten, czy inny jego przodek. Tak czy

inaczej fotografii tych, którzy odeszli, można porównać do maski pośmiertnej zdjętej z ciała, ale w żadnym wypadku do wykonanego za życia odcisku duszy. A poza tym zdjęcia rozkładają się tylko nieco wolniej od ciał, których obraz utrwaliły.

Więc co pozostanie?

Dzieci?"

Homer dotknął palcem płomienia świecy. Łatwo mu było pisać; słowa Ahmeda wciąż go bolały. Skazany na bezdzietność, pozbawiony możliwości przedłużenia swojego rodu, stary mógł teraz tylko odrzucić możliwość takiej drogi do nieśmiertelności.

Znów chwycił za długopis.

„Mogą być do nas podobne. W ich rysach twarzy możemy widzieć odbicie naszych własnych rysów, w cudowny sposób zlane w jedno z rysami tych, których kochamy. W ich gestach, w wygięciu brwi, w minach, jakie robią, będziemy z rozrzewnieniem rozpoznawać siebie. Przyjaciele mogą nam mówić, że nasi synowie i córki to skóra zdjęta z nas, że są wycięci z tej samej sztancy. I to ma jakoby zapewniać nam jakieś przedłużenie nas samych po tym, jak przestaniemy istnieć. Ale przecież żaden z nas nie jest pierwotnym obrazem, na podstawie którego powstają kolejne kopie, lecz zaledwie chimerą, stworzoną po połowie z powierzchowności i wnętrza naszego ojca i naszej matki, dokładnie tak, jak z kolei oni składają się z połówek swoich rodziców. A więc nie ma w nas żadnej unikalności, a tylko niekończące się przetasowania maleńkich kawałków mozaiki, które istnieją same z siebie, składając się w miliardy przypadkowych, niemających specjalnej wartości i rozsypujących się na naszych oczach kompozycji?

Warto więc być tak dumnym, że u naszych dzieci widzimy wypukłość czy wklęsłość, którą przywykliśmy nazywać swoją, ale która tak naprawdę już od pół miliona lat wędruje po tysiącach ciał?

Czy zostanie coś właśnie po mnie?"

Homerowi było trudniej niż innym. Szczerze zazdrościł tym, którym wiara pozwalała mieć nadzieję na przepustkę do życia pozagrobowego; sam, kiedy słyszał o nim w rozmowie, od razu przenosił się myślami na Nachimowski Prospekt. Być może Homer składał się nie tylko z tkanek, które zostaną przeżute i strawione przez padlinożerców. Lecz nawet jeśli było w nim coś jeszcze, to owo coś nie było zdolne, by istnieć w oderwaniu od mięsa i kości.

„Co zostało po władcach Egiptu? Co po greckich herosach? Po artystach renesansu? Czy pozostało coś z nich - i czy to oni są w tym, co pozostało?

Ale jaka jeszcze nieśmiertelność pozostaje człowiekowi?"

Homer przeczytał to, co napisał, zastanowił się, potem ostrożnie wyrwał te strony z zeszytu, zmiął, położył na żelaznym talerzyku i podpalił. Chwilę później z pracy, której poświęcił ostatnie trzy godziny, została tylko garść popiołu.

Umarła.

Sasza zawsze tak właśnie wyobrażała sobie śmierć: gaśnie ostatni promień światła, milkną wszystkie głosy, ciało staje się bezwładne i pozostaje tylko odwieczna ciemność. Czerń i cisza, z których ludzie wychodzą i do których nieubłaganie powracają. Sasza słyszała opowieści o raju i piekle, ale królestwo Szatana zawsze wydawało jej się całkiem niewinne. Wieczność spędzona w pełnej ślepotcie, głuchocie i w całkowitej beczynności wydawała jej się stokroć straszniejsza od jakichkolwiek kotłów z gotującą się smołą.

A potem zamajaczył przed nią maleńki, drżący ognik. Sasza wyciągnęła do niego rękę, ale nie dało się go dosięgnąć: tańczący robaczek świętojański uciekał od niej, znów się zbliżał, żeby ją podrażnić, i znów rzucał się do ucieczki, wabiąc i igrając z nią. Widziała, co to było: tunelowy ognik.

Ojciec mówił, że kiedy człowiek umiera w metrze, jego dusza błąka się po pozbawionych światła poplątanych tunelach, z których każdy kończy się ślepo. Nie rozumie, że nie jest już połączona z ciałem, że jej ziemski byt się skończył. I będzie musiała błądzić, aż gdzieś daleko przed sobą zobaczy płomień małego widmowego ogniska. I kiedy go zobaczy, powinna biec do niego, bo został po tę duszę posłany i, cofając się, wskaże jej drogę tam, gdzie czekać ją będzie spokój. Zdarzało się jednak, że ognik się zmiłował i prowadził duszę z powrotem do utraconego ciała. O takich ludziach mówiło się szeptem, że wrócili z tamtego świata, chociaż właściwiej byłoby mówić, że wypuściła ich ciemność.

Ognik wołał ją do siebie, był natarczywy, i Sasza usłuchała. Nie czuła nóg, ale nie były jej potrzebne: żeby nadążyć za uciekającym świetlikiem wystarczyło po prostu nie tracić go z oczu. Patrzeć na niego uważnie, próbując go jakby uspokoić i oswoić.

Saszy udało się go złapać i ognik pociągnął dziewczynę przez nieprzenikniony mrok, przez labirynt tuneli, z którego sama nigdy nie znalazłaby wyjścia, do ostatniej stacji na linii jej życia. Przed nią zrobiło się nieco jaśniej: Saszy zdawało się teraz, że jej przewodnik nakreśla kontury jakiegoś dalekiego pomieszczenia, gdzie ktoś na nią czeka.

- Sasza! - zawołał głos, zadziwiająco znajomy, choć nie mogła sobie przypomnieć, do kogo należał.

- Tata? - spytała z niedowierzaniem, rozpoznając tkliwe ojcowskie nuty w cudzym tembrze głosu.

Dotarli. Widmowy tunelowy ognek zatrzymał się i, zmieniając się w zwykły płomień, wskoczył na knot topiącej się i rozlewającej świecy, moszcząc się na niej wygodnie niczym wracający ze spaceru kot.

Na jej ręce leżała czyjaś dłoń, chłodna i szorstka. Niezdecydowana, bojąc się, że znów pójdzie na dno, Sasza puściła ognek. Budząc się wraz z nią, przebił się ból w rozprutym przedramieniu, zaczęła doskwierać stłuczona skroń. Z ciemności wyłoniły się i zakołysały obok niej proste, banalne meble: para krzeseł, szafka nocna... Sasza zaś leżała na prawdziwym łóżku, tak miękkim, że nie czuła prawie pleców. Tak jakby jej ciało powracało po kawalku i niektórych kolej jeszcze nie nadeszła.

- Sasza? - powtórzył głos.

Przeniosła wzrok na mówiącego i cofnęła rękę. Przy jej łóżku siedział staruszek, z którym jechała dreżyną. W jego dotyku nie było żadnych podtekstów - nie palił Saszy, ani jej nie urażał. Zabrała dłoń, bo zawstydziała się, jak mogła pomylić głos obcego człowieka z ojcowskim, ale też z żalu, że tunelowy ognek zaprowadził ją nie tam, gdzie chciała.

Stary łagodnie się uśmiechnął; widocznie był wielce zadowolony nawet tylko z tego, że się ocknęła. Kiedy Sasza się przyjrzała, zauważyła w jego oczach ciepłe błyski, jakie do tej pory napotykała we wzroku tylko jednego człowieka. Nic dziwnego, że dała się oszukać. I nagle zrobiło jej się przed staruszkiem głupio.

- Przepraszam - powiedziała.

I przypominając sobie swoje ostatnie minuty na Pawieleckiej, natychmiast szarpnęła się do góry.

- A co z twoim przyjacielem?

Jak się zdawało, nie umiała ani płakać, ani się śmiać, a może nie starczało jej sił ani na jedno, ani na drugie. Szczęśliwie, ostre jak żyłki pazury ominęły dziewczynę: potwór uderzył ją jedyny raz na odlew. Ale i tego starczyło, żeby na całą dobę straciła przytomność. Teraz jej życiu nie groziło niebezpieczeństwo, zapewnił Homera lekarz. O własnych problemach stary z doktorem nie rozmawiał.

Sasza - stary przywykł tak ją nazywać, kiedy była nieprzytomna - zwiotczała i opadła na poduszkę, a Homer wrócił do stołu, gdzie czekał na niego otwarty zeszyt liczący już

dziewięćdziesiąt sześć stron. Zakręcił w palcach długopisem i kontynuował od tego miejsca, w którym porzucił rozpoczętą na nowo książkę, żeby podejść do jęczącej w malignie dziewczyny.

„...tym razem karawana się spóźniała. Spóźniała się tak bardzo, że było już jasne: stało się coś strasznego, nieprzewidzianego, przed czym nie obronili ani zaprawieni w bojach, ciężkozbrojni konwojenci, ani od lat dobrze się układające kontakty z Hanzą.

Sprawa nie byłaby tak poważna, gdyby działała łączność. Jednak z prowadzącym do Linii Okrężnej kablem telefonicznym coś się stało, komunikacja urwała się jeszcze w poniedziałek, a grupa wyprawiona na poszukiwania uszkodzenia wróciła z niczym."

Homer podniósł wzrok i wzdrygnął się: dziewczyna stała za jego plecami, przez ramię odcyfrowując jego kulfony. Na nogach trzymała ją chyba tylko ciekawość.

Stary zawstydził się i odwrócił zeszyt okładką do góry.

- To do tego ci potrzebne to natchnienie? - zapytała go.

- To dopiero sam początek - z jakiegoś powodu bardzo mruklawie odparł Homer.

- A co się stało z karawaną?

- Nie wiem - zaczął obrysowywać tytuł ramką. - Ta historia jeszcze się nie skończyła.

Położ się, musisz teraz odpoczywać - Ale przecież to od ciebie zależy, jak skończysz książkę - zaprotestowała nie ruszając się z miejsca.

- W tej książce nic nie zależy ode mnie - stary położył długopis na stole. - Ja jej nie wymyślam, po prostu zapisuję wszystko, co się ze mną dzieje.

- Czyli tym bardziej wszystko zależy od ciebie - zamyśliła się dziewczyna. - A ja w niej będę?

- Właśnie chciałem prosić cię o zgodę - uśmiechnął się Homer.

- Zastanowię się - odpowiedział poważnie. - A po co ją piszesz?

Stary wstał, żeby nie patrzeć na nią z dołu.

Już po swojej poprzedniej rozmowie z Saszą, stało się dla niego jasne, że jej młodość i brak doświadczenia tworzą mylące wrażenie; tak jakby na dziwnej stacji, z której ją zabrali, rok liczył się jako dwa. Miała zwyczaj odpowiadać nie na pytania, które zadawał na głos, a na te, które pozostawały niewypowiedziane. Sasza pytała za to Homera tylko o to, czego nie wiedział sam.

Pomyślał też, że jeśli chce liczyć na jej szczerą - a jak inaczej ma zostać jego bohaterką? - to sam też powinien być z nią szczery, nie cackać się i nic nie przemilczać, ale mówić jej nie mniej, niż powiedziałby samemu sobie.

- Chcę, żeby ludzie mnie zapamiętali. Mnie i tych, którzy byli mi bliscy. Żeby wiedzieli,

jaki był świat, który kochałem. Żeby dowiedzieli się najważniejszego z tego, co poznałem i zrozumiałem. Żeby moje życie nie poszło na marne. Żeby coś po mnie zostało.

- Wkładasz w książkę duszę? - przechyliła głowę na bok. - Ale to przecież zwykły zeszyt. Może się spalić, albo zgubić.

- Beznadziejny grobowiec dla duszy, co? - Homer westchnął. - Nie, zeszyt jest potrzebny tylko żeby ustawić wszystko we właściwej kolejności i żeby sam nie zapomniał niczego ważnego, póki historia się nie skończy. A potem wystarczy ją kilku ludziom opowiedzieć i jeśli wszystko się uda, to nie będzie mi już potrzebny papier ani ciało.

- No pewnie, widziałeś dużo rzeczy, o których żał zapomnieć na zawsze - dziewczyna wzruszyła ramionami. - A ja akurat nie mam czego zapisywać i nie powinnam być w tym zeszycie. Nie marnuj na mnie papieru.

- No, czeka cię jeszcze... - zaczął stary i tu się zaciął: nie będzie go już wtedy obok niej.

Dziewczyna nie odzywała się, i Homer przestraszył się, że teraz znów kompletnie zamknie się w sobie. Próbował znaleźć odpowiednie słowa, żeby wszystko odkręcić, ale tylko coraz bardziej się plątał we własnych wątpliwościach.

- A co było najpiękniejsze z tego, co pamiętasz? - spytała nagle. - Takie naj-naj?

Homer zawahał się. Dziwnie było dzielić się tym, co dla niego święte, z człowiekiem, którego znał od niecałych dwóch dni. Nie zwierzył się z tego nawet Helenie, i ta myślała, że na ścianie w ich pokoju wisi zwykły miejski pejzaż. I czy dziewczyna, która całe swoje życie spędziła pod ziemią, w ogóle potrafi zrozumieć to, co jej opowie?

- Letni deszcz - zdecydował się wreszcie.

- Co w tym pięknego? - zabawnie zmarszczyła nos.

- A widziałeś kiedyś deszcz?

- Nie - dziewczyna pokręciła głową. - Ojciec zabraniał wychodzić na zewnątrz. Tak czy owak wylazłam ze dwa razy, ale źle mi tam było. Strasznie jest, kiedy wokół nie ma żadnych ścian. Deszcz, to kiedy woda leje się z góry - uściśliła na wszelki wypadek.

Ale Homer już jej nie słyszał. Dla niego nagle znów nastał ten odległy dzień; niczym medium użyczające swojego ciała przywołanemu duchowi, wpatrzył się w pustkę i mówił, mówił...

- Cały miesiąc było sucho i bardzo gorąco. A moja żona była w ciąży, i tak trudno było jej oddychać, a tu takie piekło... Na porodówce był jeden wentylator na całą salę, cały czas żaliła się, jak jej duszno. I ja też przez to ledwo dyszałem. Strasznie to przeżywałem: staraliśmy się jak mogliśmy, ale przez kilka lat nic się nie udawało, potem lekarze straszili nas poronieniem. No i leży tam jak w przechowalni, a lepiej już by jej było w domu. Minął

już termin i nic się nie dzieje. Nie ma skurczów, a nie można codziennie zwalniać się u szefostwa. Do tego ktoś mi powiedział, że przy przenoszonej ciąży dziecko może się urodzić martwe. Nie mogę sobie znaleźć miejsca, jak tylko wychodzę z pracy, od razu biegnę pilnować pod okna. W tunelach telefon nie ma zasięgu, sprawdzam na każdej stacji, czy nie było nieodebranych połączeń. I wtedy dostaję wiadomość od lekarza: „Proszę natychmiast oddzwonić”. Zanim znalazłem ustronne miejsce, zdążyłem już, nieufny idiota, pochować i żonę i dziecko. Wybieram numer...

Homer umilkł wsłuchując się w sygnał telefonu, czekając aż ktoś odbierze. Dziewczyna mu nie przerywała, pytania zostawiła na później.

- Mówią mi: gratulujemy, urodził się panu syn. Teraz to tak prosto brzmi: urodził się syn. A wtedy żonę wrócili mi z martwych, i jeszcze ten cud... Wychodzę na górę - a tam deszcz. Rześki. Jakby miasto było przykryte zakurzoną folią i teraz ją zdjęto. Liście zajaśniały, niebo wreszcie się ruszyło, domy odmłodziły. Biegnę Twerską do kwaciarni, i też płaczę, i też ze szczęścia. Miałem parasol, ale go nie otwierałem, chciałem zmoknąć, chciałem to poczuć, ten deszcz. Teraz nie umiem tak tego przekazać... Tak jakby to nie syn mi się urodził, a ja sam na nowo, i patrzę na świat, jakbym widział go pierwszy raz. A ten świat też taki świeży, jakby i jemu dopiero co odcięli pępownię i pierwszy raz go obmywają. I wszystko teraz zacznie się od nowa, i wszystko, co było nie tak, co było złe, wszystko będzie można naprawić. Przecież teraz mam jakby dwa życia. Czego ja nie zdążę, zrobi mój syn. I wszystko jeszcze przed nami. I przed wszystkimi...

Staruszek ucichł, patrząc na unoszące się w różowej wieczornej mgielce stalinowskie dziesięciopiętrowce, zanurzając się w żywy zgiełk Twerskiej, wdychając słodkawe, pełne spalin powietrze, i zamknął oczy, wystawiając twarz na letnią ulewę. Kiedy doszedł do siebie, na policzkach i w kącikach oczu, na dowód tamtego spaceru, błyszczały mu jeszcze krople deszczu.

Szybko wytarł je rękawem.

- Wiesz co - dziewczyna wydawała się nie mniej speszona od Homera - deszcz pewnie jednak może być piękny. Ja nie mam takich wspomnień. Może będę pamiętał twoje? I jeśli chcesz - uśmiechnęła się do niego - to będę w twojej książce. W końcu od kogoś powinno zależeć, jak się to wszystko skończy.

- Teraz jest jeszcze za wcześnie - uciał doktor.

Sasza nie potrafiła wyjaśnić temu oschłemu człowiekowi, jak ważne było dla niej to, o co go prosiła. Nabrała powietrza, żeby jeszcze raz zaatakować, ale w końcu go nie wykorzystała, tylko machnęła zdrową ręką i odwróciła się.

- To nic, wytrzyma pani. A jak już pani jest na nogach i tak świetnie się czuje, to może pani powolutku spacerować - zebrał swoje instrumenty do wytartej plastikowej torebki i uścisnął rękę staremu. - Zajdę za parę godzin. Dowództwo kazało dbać. Sami rozumiecie, mamy u was dług wdzięczności.

Stary zarzucił Saszy na ramiona cętkowaną żołnierską bosmankę, i dziewczyna wyszła na zewnątrz, przechodząc w ślad za doktorem wzdłuż pozostałych izb lazaretu, przez szereg pokoi i pokoików, zastawionych stołami i łózkami, dwa piętra po schodach w górę i przez niepozorne, niskie drzwiczki do nieogarnionego podłużnego holu. Sasza zamarła na progu i długo nie mogła się ośmielić, żeby go przekroczyć. Nigdy dotąd nie spotkała tylu ludzi naraz; wcześniej nie umiała sobie nawet wyobrazić, że na świecie jest tylu żywych ludzi.

Tysiące twarzy, bez masek! Takich niepodobnych do siebie nawzajem... Byli tu zarówno zgrzybiali starcy, jak i niemowlęta. Wielka mnogość mężczyzn - brodatych, ogolonych, rosłych i karłowatych, wyniszczonych i wymoczków, muskularnych i tryskających zdrowiem. Oszepeconych w bojach albo szpetnych od urodzenia, niezwykle pięknych, bądź pociągających czymś nieuchwytnym, pomimo niepozornej powierzchowności. I tyle samo kobiet - handlarek o szerokich biodrach i czerwonych facjatakach, w chustkach i waciakach, i zgrabnych bladych dziewczyn w niewiarygodnie jaskrawych ubraniach i wymyślnej biżuterii.

Czy zauważą, że Sasza jest inna? Czy uda jej się zgubić w tłumie, udawać jedną z nich, czy zaraz rzucą się na nią i ją zagryzą, jak stado szczurów zagryza obcego-albinosa? Na początku wydawało jej się, że wszystkie oczy są skierowane tylko na nią, i po każdym przypadkowo uchwyconym spojrzeniu płonęły jej policzki. Nie minął kwadrans i się przyzwyczaiła: wśród patrzących na nią ludzi zdarzała się i wrogość, i ciekawość, i zbytnia natarczywość, ale większość była obojętna. Ledwo dotykając jej wzrokiem, przeciskali się dalej, zupełnie nie zwracając na Saszę uwagi.

Pomyślała, że te roztargnione, pozbawione ostrości spojrzenia niczym smar maszynowy oliwią koła zębate tych krzątających się ludzi. Gdyby interesowali się sobą nawzajem, tarcie byłoby zbyt duże i cały mechanizm zostałby unieruchomiony.

Żeby wtopić się w tłum, nie trzeba było się przebierać czy inaczej strzyć włosy. Wystarczyło, by zamiast zanurzać się w cudzych źrenicach, ledwo dotykać je spojrzeniem i chłodno się wycofywać. Chroniona warstwą udawanej obojętności, Sasza mogła prześlizgiwać się pomiędzy poruszającymi się i łączącymi mieszkańcami tej stacji, nie grzęznąć już na każdym kroku.

W pierwszej chwili jej nos podrażniła kipiąca mieszanka ludzkich zapachów, lecz wkrótce jej węch zaczął się przytępiać, ucząc się wyławiać z niej ważne składowe i pomijając

wszystkie pozostałe. Przez kwaśny odór nieświeżych ciał przebijały się ostre, drażniące aromaty młodości; z rzadka tłum omywały fale cudownych zapachów zadbanych kobiet. Mieszał się też z nimi aromat pieczonego mięsa i kloaczne wyziewy. Jednym słowem, dla Saszy przejście między dwiema stacjami Pawieleckimi pachniało życiem, i im dłużej chłonęła tę obezwładniającą woń, tym jej się zdawała słodsza.

By w całości zbadać ten bezkresny korytarz, potrzebowałaby pewnie całego miesiąca. Wszystko tu było zdumiewające...

Stragany z ozdobami splecionymi z dziesiątek żółtych metalowych krążków z tłoczonym wzorkiem, które chciało się przeglądać godzinami, i ogromne stoiska z książkami, mieszczące więcej tajemnej wiedzy, niż kiedykolwiek uda jej się zdobyć.

Naganiacz przy stoisku z napisem „Kwiaty” i bogatym zbiorem okolicznościowych pocztówek. Na kartkach widniały wyblakłe fotografie wszelkich możliwych ozdobnych bukietów. Kiedy Sasza była dzieckiem, dostała taką w prezencie, ale tu było ich tak dużo!

Niemowlęta przyciśnięte do matczynej piersi i starsze dzieci bawiące się z prawdziwymi kotkami. Pary dotykające się wzajemnie na razie tylko spojrzeniem, i takie, które dotykały się już palcami.

I jeszcze mężczyźni próbujący dotknąć ją.

Mogłaby wziąć ich uwagę i zainteresowanie za gościnność, lub chęć, by coś jej sprzedać, ale ich słowa, zabarwione jakimś specyficznym przydechem, wzbudzały w niej zakłopotanie i lekki wstręt. Do czego im była potrzebna? Czy mało mieli tutejszych kobiet? Trafiały się wśród nich prawdziwe piękności; barwne tkaniny, w które były ubrane upodabniały je do rozkwitających pąków z pocztówek. Z niej pewnie się tylko śmieją...

I czy ona w ogóle potrafi wzbudzić męskie zainteresowanie? Nagle ukłuły ją nieznanie wcześniej wątpliwości. Może rozumiała to wszystko opacznie? Ale czemu miałyby być inaczej? Poczula bolesną tęsknotę w środku - tam, gdzie pod trójkątnym łukiem stykających się żeber zaczynało się delikatne zagłębienie... Tylko głębiej. W tym samym miejscu, którego istnienie odkryła zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Próbując odegnać niepokój, przeciskała się wzdłuż straganów wypełnionych wszelkimi możliwymi towarami - bronią i świecidelkami, odzieżą i narzędziami - ale już jej tak nie ciekawiły. Okazało się, że jej wewnętrzny monolog może być głośniejszy od rozwrzeszczanego tłumu, a obrazy ludzi malowane przez pamięć bywają wyrazistsze od żywych ludzi.

Czy była warta tyle, co jego życie? Mogła go oceniać po tym, co się zdarzyło? I, co najważniejsze, jaki był teraz sens w jej głupich rozmyśleniach? Kiedy nie mogła już nic dla

niego zrobić...

I wtedy, zanim jeszcze Sasza zrozumiała, co się z nią dzieje, wątpliwości ustąpiły i serce przestało jej łomotać. Wsłuchiwała się w siebie i wyłapała echa jakiejś dalekiej melodii przesączającej się do niej z zewnątrz, płynącej wzdłuż mętnego potoku ludzkiego gwaru i nie mieszając się z nim.

Muzyka dla Saszy, jak i dla każdego człowieka, zaczęła się od matczynych kołysanek. Ale na nich się też zakończyła: ojciec był pozbawiony słuchu i nie lubił śpiewać, nie aprobował na Awtozawodzkiej wędrownych grajków i innych pajaców. Strażnicy chrypiący tęsknie przy ognisku smętno-dziarskie żołnierskie pieśni nie umieli sprawić, by porządnie zabrzmiały obwisłe struny gitar z dykty, ani czułe struny Saszy.

Ale to, co teraz słyszała, to nie było smętne gitarowe brzdąkanie... Prędzej delikatny, modulowany głos żywej dziewczyny, nawet dziewczynki, lecz nieosiągalnie wysoki dla ludzkiej krtani i przy tym niezwykle dla niej silny. Ale z czym innym Sasza miała porównać ten cudowny dźwięk?

Śpiew nieznanego instrumentu urzekał, chwycił zapatrzonych i unosił ich gdzieś nieskończenie daleko, do światów, których urodzeni w metrze nie mogli znać, ani nawet domyślać się możliwości ich istnienia. Sprawiał, że oddawali się marzeniom i wierzyli, że każde z nich może się spełnić. Budził niejasny ból i jednocześnie obiecywał jego ukojenie. Robiło się od niego dobrze, tak jakby zabłądziwszy na porzuconej stacji Sasza nagle znalazła latarkę i dzięki jej światłu odnalazła wyjście.

Stała przy namiocie zbrojmistrza, a na wprost niej znajdowała się płyta z dykty z przyczepionymi do niej różnorakimi nożami - od maleńkich składanych scyzoryków po zębate myśliwskie kordelasy Sasza znieruchomiła, patrząc jak zaczarowana na ich ostrza.

Dwie połowy jej osobowości starły się w śmiertelnej walce. Myśl, która przysła jej do głowy, była prosta i kusząca. Stary dał jej garść nabojów, i starczyłoby ich akurat na wyszczerbiony oksydowany nóż - szeroki, naostrzony, jak nic pasował do tego, co zaplanowała.

Po chwili Sasza jednak się zdecydowała i wygrała walkę z samą sobą. Zakupiony nóż schowała do kieszeni na piersi kombinezonu - blisko tego miejsca, które chciała opanować. Wracała do lazaretu nie czując ciężaru bosmanki i zapominając o dokuczliwym bólu w skroniach.

Tłum przewyższał dziewczynę o głowę, i daleki muzyk wygrywający przedziwne nuty

pozostał dla niej niewidoczny. Ale melodia wciąż próbowała ją dogonić, zawrócić, wyperswadować.

Na próżno.

Znów zabrzmiało pukanie do drzwi.

Homer stękając podniósł się z kolan i otarł usta rękawem, pociągnął za łańcuszek spluczki. Na brudnozielonym materiale waciaka została krótka brunatna smuga. Wymiotował już piąty raz w ciągu ostatniej doby, chociaż praktycznie niczego nie jadł.

Ta niemoc mogła mieć kilka powodów, pocieszał się stary. Dlaczego koniecznie musi to być przyspieszony przebieg choroby? Mogło też chodzić o...

- Długo jeszcze?! - pisnął niecierpliwie kobiecy falset.

O Boże! Czyżby tak się spieszył, że pomylił litery na drzwiach? Homer osuszył brudnym rękawem pot na twarzy, przybrał niewzruszoną minę i szcęknął zasuwką.

- Pijak! - wystrojona kobietka odepchnęła go i trzasnęła drzwiami.

Co tam, pomyślał stary. Niech już lepiej uważają go za opoja... Podszedł do lustra nad umywalką i oparł się o nie czołem. Chciał złapać oddech i spostrzegł się dopiero, widząc jak szkło pokrywa się parą: jego aparat oddechowy się zsunął i majtał mu pod brodą. Homer szybko nałożył maskę z powrotem i znów zamknął oczy. Nie - myśleć, że przekazuje śmierć każdemu człowiekowi, którego spotyka na swojej drodze, jest niemożliwością. Już za późno, by się wycofać: jeśli jest zarażony, jeśli nie pomylił objawów, cała stacja tak czy inaczej jest już zgubiona. Poczynając w pierwszym rzędzie od tej kobiety, która zawiniła tylko tym, że przypiliło ją w złym momencie. Co by zrobiła, gdyby powiedział jej teraz, że najpóźniej za miesiąc umrze?

To głupie, myślał Homer, tak bardzo głupie i tak nieudolne. Marzył przecież, że unieśmiertelni każdego, z kim stykał go los, a zamiast tego został wybrany aniołem śmierci - niezdarnym, wyłysiałym, słabym. Podcięto mu skrzydła i zaobrączkowano, wyznaczając termin za trzydzieści dni i tym samym popychając go do działania.

Czy to była kara za zadufanie, za pychę?

Nie, stary nie mógł już na ten temat milczeć. Lecz na świecie był tylko jeden człowiek, któremu mógłby się wypowiedzieć. Tak czy owak Homer nie da rady długo go oszukiwać, a o wiele prościej dla obu będzie grać w otwarte karty. Niepewnym krokiem ruszył w stronę pokojów dla chorych.

Właściwa sala znajdowała się na samym końcu korytarza i przy jej drzwiach zwykle siedziała dyżurna pielęgniarka, ale tym razem posterunek był porzucony, a przez szczelinę

drzwi ze środka dobiegał urywany ochryply głos. Składało się to mniej więcej w słowa, ale zbudować z nich sensowne zdania było zadaniem nie na siły nawet przyczajonego Homera.

- Mocniej... Walczyć... Muszę... Jeszcze jest sens... Opierać się... Pamiętać... Jeszcze można... Pomylili się... Potępili... Ale jeszcze...

Słowa zmieniły się w ryki, jakby ból stał się nie do wytrzymania i nie pozwalał już mówiącemu okiełznać wyrwijających się myśli. Homer wszedł do środka.

Hunter leżał nieprzytomny, rozpostarty na pomiętych mokrych prześcieradłach. Bandaże owijające głowę brygadiera zsuwały mu się na oczy, uwydatnione policzki były pokryte potem, zarośnięta dolna szczęka opadała bezsilnie. Szeroka klatka piersiowa unosiła się w dół i w górę ciężko, niczym miech kowalski, z trudem podtrzymując ogień w zbyt wielkim cieple. U wezłowia łóżka, tyłem do Homera, stała dziewczyna ze splecionymi za plecami chudymi rękoma. Nie od razu, dopiero kiedy się przypatrzył, stary dostrzegł zlewający się z tkaniną kombinezonu czarny nóż, którego rękojeść silnie obejmowała palcami.

Sygnał.

Jeszcze jeden sygnał. I jeszcze.

Tysiąc dwieście trzydziesty piąty. Tysiąc dwieście trzydziesty szósty. Tysiąc dwieście trzydziesty siódmy.

Artem liczył je nie po to, żeby meldować to dowódcy. To było konieczne, żeby czuć, że dokądś zmierza. I jeśli oddała się od punktu, przy którym zaczął liczyć, to znaczy, że z każdym sygnałem zbliża się do punktu, w którym to szaleństwo się skończy.

Oszukuje sam siebie? Niech będzie, że tak. Ale słuchać tego z myślą, że nigdy się nie połączą, było nie do zniesienia. Chociaż na początku, podczas swojej pierwszej zmiany, nawet mu się to podobało: sygnały jak metronom porządkowały kakofonię jego myśli, jego głowa stawała się pusta, szalejący puls poddawał się ich niespiesznemu rytmowi.

Lecz odmierzane nimi minuty stawały się identyczne i Artemowi zaczęło się wydawać, że tak właśnie jest, uwiązał w jakieś pętli czasowej i nie uda mu się z niej wydostać, dopóki sygnały się nie skończą. W średniowieczu była taka tortura: oskarżonego rozbierali do naga i sadzali pod beczką, z której na głowę, kropla po kropli, kapiała woda, stopniowo doprowadzając nieszczęśnika do szaleństwa. Tam gdzie nieskuteczne było łamanie kołem, zwykła woda dawała doskonałe rezultaty.

Uwiązany przez kabel, Artem nie miał prawa rozłączyć się ani na sekundę. Przez całą zmianę starał się nic nie pić, żeby potrzeba fizjologiczna nie odciągała go od nasłuchiwania

sygnałów. Poprzedniego dnia nie wytrzymał, wymknął się z pokoju, pomknął do ubikacji, i od razu z powrotem. Już na progu posłuchał i zrobiło mu się zimno: tempo było inne, sygnały były częste, porzucając zwykły miarowy rytm. Mogło się stać tylko jedno, i świetnie to rozumiał. Chwila, której tak wyczekiwał, nastąpiła, kiedy nie było go w pobliżu. Artem spojrzął z przestrachem na drzwi - czy nikt nie zauważył? - pospiesznie wybrał numer i przycisnął ucho do słuchawki.

Aparat szczęknął i sygnały wystartowały znów od zera w zwyczajnym rytmie. Odtąd już ani razu nie było zajęte, i nikt też nie podchodził do telefonu. Mimo to Artem nie śmiał odłożyć słuchawki, przekładał ją tylko od jednego rozgrzanego ucha do drugiego, zimnego, starając się nie pomylić w liczeniu.

Nie powiedział od razu dowództwu o tamtym wypadku, a teraz jakoś nie chciało mu się wierzyć, że sygnały mogłyby w ogóle brzmieć inaczej. Miał rozkaz: dodzwonić się, i oto mijał już tydzień odkąd żył tylko po to. Za złamanie rozkazu trafi pod sąd, dla którego przeoczenie niczym nie różni się od sabotażu.

Telefon podpowiadał mu też, ile zostawało do końca dyżuru. Artem nie miał własnego zegarka, ale w czasie obchodu sprawdził u dowódcy: sygnał powtarza się raz na pięć sekund. Dwanaście sygnałów: minuta. Siedemset dwadzieścia: godzina. Trzydzieści tysięcy sześćset osiemdziesiąt: zmiana. Ziarenkami piasku przesypywały się z jakiejś niezmierzonej szklanej kolby do drugiej, bez dna. A w wąskiej gardzieli między tymi dwoma niewidzialnymi naczyniami siedział Artem i nasłuchiwał czasu.

Decydował się nie odkładać słuchawki tylko dlatego, że dowódca mógł w każdej chwili wpaść z kontrolą. A tak... W tym, co robił, nie było żadnego sensu. Po drugiej stronie kabla z pewnością nie było już żywej duszy. Kiedy Artem zamykał oczy, znów pojawiał się przed nim ten obraz...

Widział zabarykadowany od wewnątrz gabinet naczelnika stacji i jego gospodarza z twarzą na stole, ściskającego w dłoni makarowa. Z przestrzelonymi na wylot uszami oczywiście nie usłyszy urywającego się telefonu. Tamci na zewnątrz nie dali w końcu rady wyważyć drzwi, lecz dziurki od klucza i różne szczeliny pozostają puste. I rozpaczliwe brzęczenie starego aparatu przenika przez nie, płynie nad pokrytym napuchłymi trupami peronem... Kiedyś dzwonek telefonu nie mógł się przebić przez nigdy nie milknący gwar tłumu, szuranie kroków, płacz dzieci, ale teraz zmarłych nie niepokoi żaden inny dźwięk. Migocze purpurowa łuna umierających awaryjnych akumulatorów.

Dzwonek.

Jeszcze jeden dzwonek.

Tysiąc pięćset sześćdziesiąty trzeci. Tysiąc pięćset sześćdziesiąty czwarty.
Nikt nie odbiera.

Rozdział 11

Dary

- Melduj!

Co jak co, ale brać z zaskoczenia potrafił doskonale. W garnizonie o dowódcy krążyły legendy: były najemnik słynął z mistrzostwa w posługiwaniu się bronią białą i ze zdolności znikania w ciemności. Kiedyś, zanim jeszcze osiadł na Sewastopolskiej, w pojedynkę wyrzynał całe posterunki przeciwnika, strażnikom wystarczyło tylko popełnić najmniejszy błąd.

Artem podskoczył, przyciskając słuchawkę ramieniem do ucha, zasalutował i z pewnym żalem przerwał odliczanie. Dowódca podszedł do listy dyżurów, sprawdził zegarek, przy dacie - trzeciego listopada - zanotował: dziewięta dwadzieścia dwie, podpisał się i odwrócił do Artema.

- Cisza. W sensie, nikogo nie ma.

- Milczą? - dowódca pomiędlił ustami; prostując mięśnie chrupnął stawami w szyi. - Nie wierzę.

- W co pan nie wierzy? - spytał ostrożnie Artem.

- W to, że Dobrynińską tak szybko nakryło. Czyli co, epidemia jest już w Hanzie? Wyobrażasz sobie, co się musiało rozpętać, jeśli zaatakowało Okrężną?

- Ale przecież nie wiemy - odparł niepewnie Artem - może i już się zaczęło. W końcu nie ma łączności.

- A jeśli przewody zostały przerwane? - dowódca schylił się, zabębnił palcami po stole.

- To byłoby tak, jak z bazą - Artem kiwnął głową w stronę tunelu biegnącego w stronę Sewastopolskiej. - Wykręcą numer - w ogóle głucho. A tutaj jest chociaż sygnał. Sprzęt działa.

- A w bazie nas, jak widać, nie potrzebują, jeśli nikt więcej nie podchodzi do bramy. Albo po prostu nie ma już żadnej bazy. I Dobrynińskiej też - powiedział gładko dowódca. - Słuchaj, Popow... A jeśli nikt tam nie został, to i my wkrótce pozdychamy. Nikt nam nie przyjdzie na pomoc i nasza kwarantanna też nie ma sensu. Może by rzucić ją w diabły, jak uważasz? - przeżuwał słowa.

- Absolutnie nie, kwarantanna jest konieczna - Artem odzegał się od takiej herezji,

przypominając sobie manierę dowódcy, który najpierw strzelał dezertrom w brzuch, a potem odczytywał im wyrok.

- Konieczna - powtórzył ten w zadumie. - Dziś zachorowało kolejnych trzech. Dwaj miejscowi i jeden nasz. Akopow. A Aksenow umarł.

- Aksenow? - Artem z trudem przełknął ślinę i zmrużył oczy.

- Rozwalił sobie głowę o szynę. Mówił, że bardzo go bolała - równie martwym głosem ciągnął dowódca. - I nie jest pierwszy. Taka głowa musi cholernie boleć, żeby pół godziny klęczeć i starać się ją rozbić, co?

- Jasne - Artemowi zrobiło się niedobrze.

- Nie mdli cię? Nie jest ci słabo? - spytał troskliwie dowódca kierując mu światło małej latarki w twarz. - Otwórz usta. Powiedz: „Aaa”. Zuch. Wiesz co, Popow, lepiej się dodzwoń. Dodzwoń się, Popow, na Dobrynińską i niech ci powiedzą, że w Hanzie mają szczepionkę i że ich brygady sanitarne zaraz tu będą. I że nas, zdrowych, uratują. A chorych wyleczą. I że nie zostaniemy w tym piekle na wieki wieków. I wrócimy do domu, do naszych żon. Ty wrócisz do swojej Galiny. A ja do Alony i Wiery. Zrozumiano, Popow?

- Jasne - kiwnął gorączkowo głową Artem.

- Spocznij.

Jego maczeta złamała się przy samej rękojeści, nie wytrzymała ciężaru spadającego na nią stwora. Ostrze weszło tak głęboko w ciało, że nie próbowali go nawet wyciągnąć. Sam wygolony, cały poharatany pazurami, już prawie trzy doby nie odzyskiwał przytomności.

Sasza w niczym nie mogła mu pomóc, ale i tak musiała go zobaczyć. Choćby po to, żeby powiedzieć mu dziękuję... Niechby nawet jej nie usłyszał. Ale lekarze nie wpuszczali dziewczyny do jego pokoju, mówiąc, że rannemu nie potrzeba nic oprócz spokoju.

Nie wiedziała na pewno, w imię czego wygolony zabił tych ludzi z drezyny. Ale jeśli strzelał, żeby ją ocalić, to Sasza mogłaby to usprawiedliwić. Szczerze starała się w to uwierzyć, ale jej się nie udawało. Bardziej prawdopodobne było drugie wyjaśnienie: zabijać jest mu łatwiej niż prosić.

Jednak na Pawieleckiej wszystko było zupełnie inaczej. Bez wątplenia: szedł właśnie za Saszą i był nawet gotowy za nią zginąć. To znaczy, że jednak się nie pomyliła i między nimi naprawdę zaczynała się tworzyć więź?

Kiedy zawołał ją tam, na Kołomieńskiej, oczekiwała strzału, a nie zaproszenia, by iść dalej razem. A kiedy posłusznie się odwróciła, od razu dostrzegła przemianę, jaka w nim zaszła, choć jego przerażająca twarz pozostawała tak samo beznamiętna. Rzecz była w

oczach: jakby przez otwór nieruchomych czarnych źrenic nagle wyrzwał ktoś inny. Ktoś, dla kogo Sasza była interesująca.

Ktoś, komu zawdzięczała teraz życie.

Zastanawiała się, czy nie oddać mu srebrnej obrączki, jako symbolu, tak jak kiedyś zrobiła jej matka. Ale przestraszyła się, że wygolony tego nie zrozumie. Ale jak jeszcze może mu się odwdzińczyć? Podarować mu nóż w zamian za ten, który złamał, kiedy jej bronił: to była najmniejsza rzecz, jaką Sasza mogła zrobić. Kiedy olśniona tą prostą myślą zastygła przed stoiskiem zbrojmistrza, wyobraziła sobie, jak wręczy wygolonemu jego nowy nóż, jak na nią popatrzy, co powie... Zapomniała nawet na moment, że zamierza kupić zabójcy broń, którą ten będzie podrzywać gardła i rozpruwać brzuchy.

W tamtej chwili był dla niej nie złoczyńcą, a bohaterem, nie mordercą, a wojownikiem; a przede wszystkim - mężczyzną. Po głowie chodziło jej coś jeszcze, niewypowiedzianego i nawet nie do końca pomyślanego: jego nóż został złamany, a on sam ranny i nie może się obudzić. Może jeśli jego nóż będzie cały... To jak amulet...

W każdym razie kupiła go.

I oto, stojąc przy jego łóżku, chowając prezent za plecami, Sasza czekała, aż ją zauważy, albo chociaż wyczuje bliskość ostrza. Wygolony szarpnął się, zachrypiał, zaczął wypluwać słowa, ale jednak się nie obudził: ciemność trzymała go zbyt mocno.

Do tej pory Sasza nigdy nie wymawiała jego imienia nie tylko na głos, ale nawet w duchu. Zanim zawołała go głośno, wyszeptala to imię, jakby na próbę, i wreszcie się zdecydowała:

- Hunter!

Wygolony ucichł, nasłuchując, jakby znajdowała się niewyobrażalnie daleko i jej głos dolatywał do niego ledwie uchwytnym echem, ale jednak nie odpowiedział. Sasza zawołała jeszcze raz - głośniejszym głosem, bardziej natarczywie. Nie zamierzała ustępować, dopóki nie otworzy oczu. Chciała się stać jego tunelowym ognikiem.

W korytarzu ktoś wydał zdziwiony okrzyk, zaszurały buty, i Sasza, żeby nie tracić czasu, ukucnęła i położyła nóż na szafce u wezgowia łóżka.

- To dla ciebie - powiedziała.

Stalowe palce zamknęły się wokół nadgarstka Saszy w uścisku zdolnym do zmiżdżenia jej kości. Ranny zdołał podnieść nieco powieki, lecz jego wzrok wędrował bezmyślnie dookoła, na niczym się nie zatrzymując.

- Dziękuję ci... - dziewczyna nie próbowała oswobodzić złapanej w potrzask ręki.

- Co pani tu robi?!

Doskoczył do niej rosły chłop w zatłuszczonym białym kitlu, użądlił wygolonego strzykawką, i ten od razu zwiotczał. Zerwawszy Saszę na nogi, sanitariusz syknął przez zaciśnięte zęby:

- Co z tobą, nie rozumiesz? Jest w takim stanie... Doktor zabronił...

- To ty nie rozumiesz! On musi się czegoś trzymać, a od waszych zastrzyków ręce mu puszczają...

Popchnął Saszę w kierunku wyjścia, ale ta, przeleciawszy kilka metrów, odwróciła się i uparcie popatrzyła na niego spode łba.

- Żebyś tu więcej nie widział! A to co znowu? - zauważył nóż.

- To jego... Przyniosłam mu - zająknęła się Sasza. - Gdyby nie on... te potwory rozerwałyby mnie na kawałki.

- A mnie doktor rozerwie na kawałki, jak się dowie - burknął sanitariusz. - Dobra, spadaj!

Ale Sasza zatrzymała się jeszcze na moment i, znów zwracając się do odurzonego lekarstwami Huntera, dokończyła:

- Dziękuję. Uratowałeś mnie.

Wyszła z pokoju i nagle usłyszała cichy zmęczony głos:

- Chciałem tylko go zabić... Potwora...

Drzwi zatrzasnęły jej się przed nosem, a w zamku zazgrzytał klucz.

Nóż był przeznaczony do czegoś innego, Homer od razu to pojął. Wystarczyło raz usłyszeć, jak dziewczyna woła miotającego się w głębokiej malignie brygadiera: tak stanowczo, i czule, i żałościwie. Gotowy już, by się wmieszać, stary zawstydzził się i odstąpił: nie trzeba tu było nikogo ratować. Pomóc mógł tylko w jeden sposób: jak najszybciej iść precz, żeby nie spłoszyć Saszy.

Skąd wiedzieć, czy miała rację? Przecież na Nagatińskiej Hunter kompletnie zapomniał o swoich towarzyszach, porzucił ich na pastwę widmowych gigantów. A tutaj... Czyżby dla brygadiera dziewczyna mogła coś znaczyć?

Zamyślony Homer ruszył korytarzem do swojego pokoju. Z naprzeciwnika, głośno tupiąc, wybiegł sanitariusz, potracił starego ramieniem, ale ten nawet nie zwrócił na niego uwagi. Pora dać Saszy drobiazg, który kupił jej na targu, powiedział do siebie Homer. Zdaje się, że wkrótce jej się przyda.

Z szuflady biurka wyjął torebkę, pokręcił nią w rękach. Dziewczyna wbiegła do pokoju kilka minut później - zdenerwowana, zmieszana i zła. Położyła się w butach na swoim łóżku, zapatrzyła w kąt pokoju. Homer czekał: rozpęta się burza, czy się uspokoi? Sasza milczała,

zaczęła tylko obgryzać paznokcie. Nadszedł czas zdecydowanych działań.

- Mam dla ciebie prezent - stary wstał zza stołu i położył zawiniątko na prześcieradle obok dziewczyny.

- Po co? - szczęknęła kleszczami nie wychodząc ze skorupy.

- A po co w ogóle ludzie dają sobie prezenty?

- Żeby odpłacić za coś dobrego - odparła z przekonaniem Sasza - co już ktoś dla nich zrobił, albo o co poproszą później.

- Więc uznajmy, że odpłacam ci za coś dobrego, co już dla mnie zrobiłaś - uśmiechnął się Homer. - Nie mam już o co cię prosić.

- Nic dla ciebie nie zrobiłam - zaprotestowała dziewczyna.

- Jak to, a moja książka? Już cię w niej umieściłem. Trzeba się rozliczyć, nie chcę być twoim dłużnikiem. Dobra, odpakuj - wszedł w ton żartobliwego rozdrażnienia.

- Ja też nie lubię być dłużna - powiedziała Sasza rozrywając opakowanie. - Co to? Och!

Trzymała w rękach czerwony plastikowy dysk, płaskie pudełeczko otwierające się na dwie połówki. Kiedyś była to taniutka podręczna puderniczka, lecz oba pojemniki - na puder i róż - dawno opustoszały. Za to lustro wstawione w wewnętrzną część pokrywki zachowało się doskonale.

- Tu widać więcej, niż w kałuży - Sasza śmiesznie wybałuszyła oczy badając swoje odbicie. - Po co mi to dałeś?

- Czasem przydaje się popatrzeć na siebie z boku - uśmiechnął się Homer. - Można wiele się o sobie dowiedzieć.

- I czego mam się o sobie dowiedzieć? - nastroszyła się.

- Są ludzie, którzy nigdy nie widzieli swojego odbicia i dlatego przez całe życie biorą siebie za kogoś innego. Z wewnątrz często się zdarza źle widzieć, a nie ma kto podpowiedzieć... I dopóki nie natkną się przypadkiem na lustro, nadal będą błędzić. A nawet kiedy popatrzą na swoje odbicie, często nie mogą uwierzyć, że widzą samych siebie.

- I kogo ja w nim widzę? - nalegała.

- Ty mi powiedz - skrzyżował ręce na piersi.

- Siebie. No... dziewczynkę - żeby się upewnić, obróciła się do lusterka jednym profilem, potem drugim.

- Dziewczynę - poprawił ją Homer. - I to dość niechlujną.

Pokręciła się jeszcze trochę, potem strzeliła w Homera oczami zamierzając o coś zapytać, rozmyśliła się, pomilczała, jednak wzięła oddech i wypaliła sprawiając, że stary się zachłusnął:

- Jestem brzydula?

- Trudno powiedzieć - ledwo powstrzymywał kącki ust od śmiechu. - Nie widać spod brudu.

- Czyli o to chodzi? - Sasza podniosła brwi. - To mężczyźni nie wyczuwają kobiecego piękna? Trzeba wam wszystko pokazywać i wyjaśniać?

- Niestety tak. I korzystając z tego, kobiety często nas oszukują - zaśmiał się Homer. - Makijaż potrafi robić z kobiecą twarzą prawdziwe cuda. Ale w twoim przypadku nie chodzi o odrestaurowanie portretu, prędzej o wykopaliska. Po wystającej z ziemi pięcie antycznego posągu trudno sądzić o jego pięknie. Chociaż prawie na pewno jest piękny - dodał łaskawie.

- Co to znaczy „antyczny”? - Sasza podejrzewała podstęp.

- Starożytny - bawił się dalej Homer.

- Mam dopiero siedemnaście lat! - zaprotestowała dziewczyna.

- To się wyjaśni dopiero później. Po odkopaniu - stary z niezmałym spokojem usiadł z powrotem przy stole, otworzył zeszyt na ostatniej zapisanej stronie i zaczął odczytywać tekst, stopniowo poważniejąc. Jeśli odkopią. I dziewczynę, i jego samego, i wszystkich pozostałych. Kiedyś zabawiał się takimi rozmyślaniami: co, jeśli za tysiące lat archeolodzy, badając ruiny starej Moskwy, po której nie zostanie już wtedy nawet nazwa, znajdą jedno z wejść do podziemnych labiryntów? Stwierdzą pewnie, że natknęli się na gigantyczny masowy grób - wątpliwe, czy komuś przyjdzie do głowy, że ludzie mogli żyć w tych ciemnych katakumbach. U schyłku swojego istnienia niegdyś wysoko rozwinięta kultura zdegenerowała się, pomyślą: przywódców pochowano w grobowcu razem z całym majątkiem, bronią, służbą i nałożnicami.

W jego zeszycie zostało jeszcze ponad osiemdziesiąt czystych kartek. Starczy, żeby pomieścić na nich oba światy: i ten, który leżał na powierzchni, i ten znajdujący się w metrze?

- Nie słyszysz mnie? - dziewczyna potrząsnęła go za ramię.

- Co? Wybacz, zamyśliłem się - powiedział pocierając czoło.

- A starożytne posągi są naprawdę piękne? No bo, czy to, co kiedyś wydawało się ludziom piękne, pozostaje pięknym i dziś?

- Tak - stary wzruszył ramionami.

- I jutro też będzie? - wciąż dopytywała Sasza.

- Na pewno. Jeśli będzie miał kto to ocenić.

Sasza popadła w zadumę i umilkła. Homer, wracając na tory swoich niewesołych rozmyślań, nie ponaglał dyskusji.

- To znaczy, że piękno bez człowieka nie istnieje? - spytała w końcu z zakłopotaniem.

- Z pewnością nie - odparł z roztargnieniem. - Jeśli nie ma kto go widzieć... Przecież zwierzęta nie są zdolne...

- A jeśli zwierzęta różnią się od ludzi tym, że nie widzą różnicy między pięknym a szkaradnym - zamyśliła się Sasza - to znaczy, że bez piękna człowiek nie może istnieć?

- Może, jak najbardziej - pokręcił głową stary. - Wielu ludzi zupełnie go nie potrzebuje.

Dziewczyna wsadziła rękę do kieszeni i wyciągnęła z niej dziwny przedmiot: pomalowany kwadracik czy to z polietylenu, czy to z plastiku. Nieśmiało, a jednocześnie dumnie, jak gdyby odkrywała przed kimś wielki skarb, Sasza wyciągnęła go w kierunku Homera.

- Co to? - spytał ten.

- Ty mi powiedz - uśmiechnęła się szelmowsko.

- No - ostrożnie wziął kwadracik do ręki, przeczytał napisy, zwrócił go dziewczynie - opakowanie po torebce herbaty. Z obrazkiem.

- Z obrazem - poprawiła go. - Z pięknym obrazem - dodała wyzywająco. - Gdyby nie on, byłabym... zwierzęciem.

Homer patrzył na nią, czując jak pieką go oczy, jak wzbierają łzy i trudniej mu oddychać. Sentymentalny głupiec, zrugął sam siebie. Odkasznął, westchnął.

- Nigdy nie wychodziłaś na górę, do miasta? Oprócz tamtego razu?

- A co? - Sasza schowała torebkę z powrotem. - Chcesz mi powiedzieć, że tam wszystko jest inne, niż na obrazie? Że takie widoki w ogóle nie istnieją? Sama to wszystko wiem. Wiem, jak wygląda miasto: domy, rzeka, most. Strasznie i pusto.

- Przeciwnie - odparł stary. - Nie widziałem nic piękniejszego od tego miasta. A ty... oceniasz całe metro po jednej szynie. Pewnie nawet nie będę potrafił ci tego opisać. Gmachy wyższe od największych skał. Aleje, kipiące niczym górskie potoki. Nigdy nie gasnące niebo, rozświetlona mgła... Miasto zadufane w sobie, żyjące chwilą - jak każdy z milionów jego mieszkańców. Obląkane, chaotyczne. Składające się w całości z połączeń tego, co nie da się połączyć, stworzone bez żadnego planu. Nie wieczne, gdyż wieczność jest zbyt zimna i nieruchoma. Lecz jakże żywe! - zacisnął pięści, potem machnął ręką. - Ty tego nie zrozumiesz. To trzeba samemu zobaczyć...

W tym momencie sam wierzył, że gdyby Sasza wyszła teraz na powierzchnię, jej też pokazałby się duch tego miasta; wierzył w to, zupełnie nie pamiętając, że w tym celu trzeba by było znać je za życia.

Staremu udało się jakoś dogadać, i przepuścili ją za kordon Hanzy - w asyście konwojentów, jak na rozstrzelanie, odprowadzili przez całą stacją do pomieszczeń służbowych, gdzie znajdowały się miejscowe łaźnie.

Wspólna dla dwóch stacji Pawieleckich była tylko nazwa, tak jakby dwie siostry rozłączono przy urodzeniu i jedna trafiła do bogatej rodziny, a druga wychowywała się na głodującej stacyjce, albo w ogóle w tunelach. Stacja linii promienistej zrobiła się brudnawa, pozbawiona skrupułów, ale lekka i przestronna. Ta na Linii Okrężnej - niska, krępa, świetnie oświetlona i wyczyszczona na błysk, od pierwszego wejrzenia zdradzała swój charakter - gospodarski i skąpy. O tej godzinie nie było tu zbyt wielu ludzi - widać wszyscy, którzy nie pracowali na stacji, woleli bałagan promienistej od solidności i surowości Okrężnej.

W przebieralni była tylko ona. Ściany, starannie wyłożone żółtymi kafelkami, posadzka z ciętych wielobocznych płytek, malowane żelazne szafki na buty i ubrania, żarówka elektryczna na kosmatym kablu, dwie obite pociętym sztucznym kauczukiem ławeczki... W środku wszystko w niej zamarło z zachwytu.

Wychudzona wąsata łaźiebna wydała jej ręcznik niewiarygodnie białego koloru i twardą cegiełkę szarego mydła, po czym pozwoliła zamknąć się na zasuwkę.

Kratki ręcznika i mdły zapach mydła - wszystko to należało do dalekiej, dalekiej przeszłości, kiedy to Sasza była kochaną i chronioną córeczką komendanta. Zdążyła zapomnieć, że gdzieś jeszcze te rzeczy istnieją.

Sasza rozpięła sztywny od błota kombinezon i jak najszybciej się z niego wydostała. Ściągnęła trykotową koszulkę, zrzuciła szorty i w podskokach podbiegła do pokrytej rdzą rury z chałupniczo zmalowanym przysznicem. Siłując się, ślizgając palcami po palącym żelaznym zaworze, puściła gorącą wodę... Ukrop! Przyciskając się do ściany, żeby uciec od parzących bryzgów wody, przekręciła drugi. W końcu zmieszała zimną i ciepłą we właściwych proporcjach, skończyła swój taniec i cała rozpłynęła się w wodzie.

A do pokrytego kratką odpływu razem ze spienioną wodą ściekał pył, sadza, olej maszynowy, krew - Saszy i innych ludzi, zmęczenie i rozpacz, poczucie winy, strach. Minęło niemało czasu, zanim woda zrobiła się jasna.

Sasza zastanawiała się, czy to wystarczy, żeby stary przestał ją podpuszczać, i przyglądała się, jakby należały do kogoś innego, swoim rozgrzanym różowym stopom, studiowała nienormalnie białe dłonie. Czy to wystarczy, żeby jej mężczyźni mogli dojrzeć jej piękno? Może Homer miał rację i zrobiła głupio przychodząc do rannego nie doprowadziwszy się do porządku? Takich rzeczy pewnie jeszcze będzie trzeba się nauczyć.

Czy on zauważy, jak Sasza się zmieniła? Zakręciła zawory, poczłapała do przebieralni,

otworzyła podarowane jej lustro... Nie, nie zwrócić na to uwagi byłoby niemożliwe.

Gorąca woda pozwoliła jej się odprężyć, pozbyć wątpliwości. Swoimi dziwnymi słowami o potworze wygolony nie chciał jej odepchnąć. Po prostu nie zdążył się jeszcze ocknąć i zwracał się nie do niej, a jedynie kontynuował zacięty spór prowadzony z kimś w swoim koszmarze. Musi tylko poczekać, aż przyjdzie do siebie, i w tej chwili znaleźć się obok niego, żeby zrozumiał. A co potem? Nie ma po co o tym myśleć. Jest dostatecznie doświadczony, żeby mogła mu we wszystkim zaufać.

Wspominając, jak wygolony rzucał się w gorączce, Sasza czuła, choć nie mogła tego wyjaśnić, że Hunter szukał jej, bo potrafiła go uspokoić, przynieść ulgę w gorączce, pomóc mu odzyskać równowagę. I im więcej o tym myślała, tym goręcej było jej samej.

Zatłuszczony kombinezon został zabrany z obietnicą wyprania, w zamian wręczyli jej cienkie jasnoniebieskie spodnie i dziurawy sweter z golfem. W nowym ubraniu było jej ciasno i nieprzytulnie. Do tego, kiedy prowadzili ją z powrotem przez posterunki graniczne do lazaretu, do tych spodni i swetra lepiły się prawie wszystkie męskie spojrzenia, i kiedy Sasza dotarła do swojego łóżka, znów miała ochotę iść pod prysznic.

Starego akurat nie było w pokoju, ale nie musiała nudzić się w samotności. Po paru minutach drzwi skrzypnęły i do środka zajrzał doktor.

- No więc gratuluję. Może go pani odwiedzić. Obudził się.

- Jaki dziś dzień?

Brygadier podniósł się na łokciu, ciężko powiódł głową i wpił się wzrokiem w Homera. Ten czemuś chwycił się za nadgarstek, chociaż zegarka nie nosił już od dawna, i rozłożył ręce.

- Drugi. Drugi listopada - podpowiedział sanitariusz.

- Trzy doby - Hunter opadł na poduszkę. - Przeleżałem trzy doby. Mamy opóźnienie. Trzeba iść.

- Daleko nie zajdziesz - sanitariusz spróbował przemówić mu do rozsądku. - Krwi w tobie prawie nie zostało.

- Trzeba iść - nie zwracając na niego uwagi powtórzył brygadier. - Czasu jest mało... Bandydzi... - i nagle urwał. - Po co ci aparat oddechowy?

Stary był przygotowany na to pytanie; miał całe trzy dni, żeby skonstruować linię obrony i zaplanować kontruderzenie. Śpiączka Huntera ratowała go przed nieprzyjemnymi wyznaniem: teraz można je było zastąpić zmyślnym kłamstwem.

- Nie ma żadnych bandytów - wyszeptał, schyliwszy się nad łóżkiem rannego. - Kiedy

byłeś w malignie... Cały czas mówiłeś. Wszystko wiem.

- Co wiesz?! - Hunter złapał go za kołnierz, pociągnął do siebie.

- O epidemii na Tulskiej... Wszystko w porządku - stary uspokajająco machnął ręką, powstrzymując sanitariusza, który już chciał się rzucić, by odciągnąć go od brygadiera. - Poradzę sobie. Musimy porozmawiać, mogę pana poprosić...

Sanitariusz niechętnie ustąpił, założył zatyczkę na igłę strzykawki i wyszedł z pokoju zostawiając ich w cztery oczy.

- O Tulskiej... - Hunter nadal nie spuszczał ze starego szalonego, rozpalonego wzroku, ale uścisk powolutku słabł. - Nic więcej?

- Tylko to. Że na stacji jest ognisko nieznannej infekcji. Że przenosi się w powietrzu... Że nasi ogłosili kwarantannę, czekają na pomoc.

- Tak jest. Tak... - brygadier zwolnił uścisk. - Tak. Epidemia. Boisz się, że się zarazisz?

- Strzeżonego pan Bóg strzeże - odparł ostrożnie Homer.

- No, tak. To nic... Blisko nie podchodziłem, przeciąg wiał w ich stronę... Nie powinno się nic stać.

- Po co była ta historia z bandytami? Co zamierzasz zrobić? - rozkręcił się stary.

- Najpierw iść na Dobrynińską, umówić się. Potem wyczyścić Tulska. Potrzebne są miotacze płomieni. Inaczej się nie da...

- Spalić żywcem wszystkich na stacji? A co z naszymi? - stary wciąż miał nadzieję, że słowa o miotaczach rzucone przez brygadiera były takim samym fortelem, jak i wszystko inne, o czym mówił dowództwu Sewastopolskiej.

- Dlaczego żywcem... Trupy. Nie ma wyjścia. Wszystkich zarażonych, wszystkich, którzy mieli kontakt. Całe powietrze. Słyszałem o tej chorobie... - Hunter zamknął oczy, oblizał spękane usta. - Nie ma na nią lekarstwa. Parę lat temu była epidemia... Dwa tysiące trupów.

- Ale przecież w końcu się zatrzymała?

- Blokada. Miotacze płomieni - brygadier odwrócił do starego swoją oszpeconą twarz. - Nie ma innego sposobu. Jeśli umknie... Choć jeden człowiek. Wszyscy będą skończeni. Tak, kłamałem o bandytach. Inaczej Istomin nie zdecydowałby się, żeby wszystkich wybić. Jest za miękki. A ja wezmę tam tych, którzy nie mają wątpliwości.

- A jeśli są ludzie, którzy są odporni? - zaczął nieśmiało Homer. - A jeśli są tam i zdrowi? Ja... Mówiłeś... A jeśli można ich jeszcze uratować?

- Nikt nie jest na to odporny. Wszyscy, którzy mieli kontakt, zostają zarażeni. Tam nie ma zdrowych ludzi, są tylko bardziej żywotni - uciał brygadier. - Oni mają jeszcze gorzej. Dłużej się będą męczyć. Wierz mi... Potrzebują tego, żebym ja... żeby ich skończono.

- No, a tobie to po co? - stary na wszelki wypadek odsunął się jak najdalej od łóżka.

Hunter opuścił zmęczone powieki - i Homer znów zauważył, że oko znajdujące się na oszpeconej połowie twarzy nie może całkowicie się zamknąć. Brygadier tak długo nie dawał odpowiedzi, że stary chciał już biec po doktora.

Ale potem, powoli, słowo po słowie, jakby przeniesiony przez hipnotyzera w nieskończenie daleką przeszłość do utraconych wspomnień, przez zaciśnięte zęby powiedział:

- Muszę. Chronić ludzi. Usuwać wszystkie zagrożenia. To tylko po to.

Czy znalazł nóż? Zrozumiał, że to od niej? A jeśli się nie domyśli, albo nie dojrzy w nim obietnicy? Pędziła korytarzem odganiając dokuczliwe myśli, nie wiedząc jeszcze, co mu teraz powie... Jaka szkoda, że odzyskał przytomność, zanim podeszła do jego łóżka!

Sasza podслуchała prawie całą rozmowę - stojąc na progu i odskakując, kiedy zaczęli mówić o zabijaniu. Oczywiście nie umiała wszystkiego rozszyfrować, ale nie było jej to do niczego potrzebne. Najważniejsze już usłyszała. Nie było już na co czekać, i Sasza głośno zapukała do drzwi.

Twarz starego, który podniósł się jej na spotkanie, była ściśnięta rozpaczą. Homer ledwo się ruszał, tak jakby on też otrzymał uspokajający zastrzyk i ktoś zgasił lampki w jego oczach. Odpowiedział Saszy bezwolnym skinieniem - jakby ktoś szarpnął sznurem wisielca.

Dziewczyna przysiadła na skraju wygrzanego stołka, przygryzła wargę i wstrzymała oddech, aby wkroczyć w nowy, niezbadany tunel.

- Spodobał ci się mój nóż?

- Nóż? - wygolony rozejrzał się, natrafił na czarną klingę i, nie dotykając go, spojrzał czujnie na Saszę. - A to co znowu?

- To dla ciebie - jakby twarz jej się zagotowała. - Twój się złamał. Wtedy, kiedy... Dziękuję...

- Dziwny prezent. Nie przyjąłbym takiego od nikogo - odezwał się po chwili ciężkiego milczenia.

Wydało jej się, że w jego słowach słyszy niewyraźną aluzję, wieloznaczne niedopowiedzenie, i podejmując grę, choć nie znała wszystkich reguł, zaczęła wybierać słowa na chybił trafił. Wychodziło to niezgrabnie, nieprawdziwie, ale Saszy język w ogóle słabo się nadawał, by opisać to, co działo się z nią w środku.

- Ty też czujesz, że we mnie jest kawałek ciebie? Ten kawałek, który z ciebie wyjęli... Którego szukałeś? Że mogę ci go zwrócić?

- Co ty bredzisz? - oblał ją lodowatym prysznicem.

- Ale ty to czujesz - jeżąc się upierała się Sasza. - Że ze mną staniesz się pełny. Że mogę i muszę z tobą być. Inaczej po co wziąłbyś mnie z sobą?

- Ustąpiłem koledze - jego głos był bezbarwny i pusty.

- Dlaczego obroniłeś mnie przed ludźmi na dreźnie?

- Zabiłbym ich w każdym przypadku.

- Więc dlaczego uratowałeś mnie przed tym stworem na stacji?!

- Trzeba było je zlikwidować.

- To już lepiej by mnie pożarł!

- Jesteś niezadowolona, że jeszcze żyjesz? - spytał nie rozumiejąc. - To wyjdź na górę po schodach, tam jest jeszcze dużo takich.

- Ja... Chcesz, żebym...

- Niczego od ciebie nie chcę.

- Pomogę ci się zatrzymać!

- Czepiasz się moich nogawek.

- Czy ty nie czujesz, że...

- Ja niczego nie czuję - jego słowa smakowały jak żelazista od rdzy woda.

Nawet straszne szpony bladego potwora nie mogły zranić jej tak głęboko. Sasza zerwała się z bólem i wybiegła z pokoju. Na szczęście jej pokój był pusty. Wcisnęła się do kąta i zwinęła w kłębek. Poszukała w kieszeni lusterka - chciała wyrzucić je precz - ale go nie znalazła; widocznie wypadło jej przy łóżku wygolonego.

Kiedy wyschły łzy, wiedziała już, co ma robić. Przygotowania nie zabrały jej wiele czasu. Stary wybaczy jej, że ukradła mu automat - pewnie wybaczyłby jej wszystko.

Brezentowy kombinezon ochronny, wyczyszczony i zdezynfekowany, czekał na nią w pomieszczeniu na tyłach, zwisając bezwładnie na haku. Zupełnie jakby jakiś czarnoksiężnik wypatroszył i przeklął zabitego grubasa, zmuszając go, by nawet po śmierci szedł wszędzie za Saszą i wypełniał jej wolę.

Weszła w niego, wypadła na korytarz, prześlizgnęła się przez przejście między stacjami, i wyszła na peron. Gdzieś po drodze otarł się o nią strumyczek czarodziejskiej muzyki, której źródła w końcu nie odkryła poprzednim razem. Teraz też nie było czasu na poszukiwania. Zatrzymawszy się tylko na sekundę, Sasza zwalczyła pokusę i ruszyła dalej do celu swojej wyprawy.

W ciągu dnia schodów ruchomych pilnował tylko jeden strażnik: kiedy było jasno, stwory z powierzchni nigdy nie niepokoiły stacji.

Wyjaśnienia nie trwały nawet pięciu minut: droga na górę była zawsze wolna, po schodach ruchomych nie można było tylko zejść. Zostawiając układowemu strażnikowi pół magazynka do automatu, Sasza postawiła stopę na pierwszy stopień schodów prowadzących wprost do nieba.

Podciągnęła opadające spodnie i ruszyła.



	Związek Stacji Linii Okrężnej (Hanza)		Zagrożenie promieniowaniem
	Linia Czerwona		Zagrożenie biologiczne
	Polis		Zagrożenie psychiczne
	Konfederacja Arbacka		Zagrożenie zawaleniem tunelu
	Konfederacja 1905 roku		Liczne niebezpieczeństwa
	Czwarta Rzesza		Spotkano wyznawców „Wielkiego Czerwia”
	Moskiewski Uniwersytet Państwowy (Smaragdowy Gród)		Niebezpieczne tunele
	Wspólnota Jaseniowska		Naziemne odcinki tuneli
	Stacje niezależne		Mosty
	Bazy trockistów		Techniczne przejścia i tunele
	Zorganizowana przestępczość		Położenie tuneli rządowych
	Stacje tranzytowe		
	Porzucone stacje		
	Zburzone stacje		
	Niezbadane stacje		
	Stacje zaatakowane przez epidemie		
	Stacje zajęte przez mutanty		
	Wyznawcy kultu „Wielkiego Czerwia”		

METRO
2034

Rozdział 12

Znaki

W domu, na Kołomińskiej, na powierzchnię było całkiem niedaleko - równo pięćdziesiąt sześć niskich stopni. Lecz Pawielecka ukryła się o wiele głębiej pod ziemią. Wdrapując się po skrzypiących, poharatanych seriami z karabinu schodach ruchomych, Sasza nie widziała końca tej wspinaczki. Jej latarka była tylko na tyle silna, by wyciągnąć z ciemności potłuczone szkło lamp i porzewiałe przechylone płyty z wizerunkami czyichś szarych twarzy i wielkimi literami układającymi się w bezsensowne słowa.

Po co iść na górę? Po co umierać?

Ale komu jest potrzebna tam, na dole? Naprawdę potrzebna, jak człowiek, nie jak bohaterka nienapisanej jeszcze książki?

Czy warto było dalej się oszukiwać?

Kiedy Sasza wychodziła z opustoszałej Kołomińskiej, zostawiając tam ciało swojego ojca, wydało jej się, że realizuje ich dawny plan ucieczki. Że zabiera jego część ze sobą, choćby w ten sposób pomagając mu się uwolnić. Ale od tej pory ani razu jej się nie przyśnił, a kiedy próbowała przywołać jego obraz w wyobraźni, by podzielić się z nim tym, co zobaczyła i przeżyła, był on niewyraźny i pozbawiony głosu. Ojciec nie mógł jej wybaczyć i nie chciał takiego ratunku.

Wśród zdobytych przez niego książek, które Sasza zdążyła przejrzeć, zanim wymieniała je na jedzenie i naboje, szczególnie zapadł jej w pamięć podręcznik botaniki. Ilustracje były w nim umowne: wyblakłe ze starości czarno-białe fotografie i rysunki ołówkiem. Ale w pozostałych książkach, które jej się trafiały, wcale nie było obrazków, i tę Sasza polubiła najbardziej. A najbardziej ze wszystkich roślin w podręczniku podobał jej się powój. Nawet nie tyle podobał - Sasza współczuła powojowi, rozpoznając w nim siebie. Przecież tak samo jak on potrzebowała podpory. Żeby rosnąć do góry. Żeby dostać się do promieni światła.

I teraz instynkt wymagał od niej, by znalazła potężny pień, do którego mogłaby przylgnąć, objąć go i obwinać. Nie po to, żeby karmić się sokami cudzego ciała, nie po to, żeby zabierać mu światło i ciepło. Po prostu dlatego, że bez niego była zbyt miękka, zbyt wiotka, pozbawiona kręgosłupa, który pozwoliłby jej ustać: w pojedynkę byłaby zawsze

skazana, by ścielić się po ziemi.

Ojciec mówił Saszy, że nie powinna od nikogo zależeć i na nikim polegać. W końcu oprócz niego, na ich zapomnianej stacyjce nie miała na kim się oprzeć, a on wiedział, że nie jest wieczny. Ojciec chciał, żeby wyrosła nie na bluszcz, a na sosnę, z jakiej robi się maszty, zapominając, że to zaprzeczenie kobiecej natury.

Sasza przeżyłaby bez niego. Przeżyłaby i bez Huntera. Lecz połączenie z drugim człowiekiem zdawało jej się jedynym powodem, by myśleć o przyszłości. Kiedy na pędzącej dreźnie objęła go rękami, wydało jej się, że jej życie zyskało nowy sens. Pamiętała, że ufać innym jest niebezpiecznie, a zależeć od nich - niegodnie, i, próbując wyznać swoje uczucia wygolonemu, działała przeciw sobie.

Sasza chciała przyłgnąć do niego, a on uznał, że czepia się jego butów. Pozostawiona bez podpory i wdeptana w ziemię, nie zamierzała pokornie kontynuować poszukiwań. Wygnał ją na powierzchnię - cóż, widać tak ma być. Jeśli na górze coś jej się stanie, wina będzie leżeć po jego stronie; tylko on jest w stanie temu zapobiec.

W końcu stopnie się skończyły. Sasza znalazła się na skraju obszernego marmurowego holu, którego karbowany żelazny sufit miejscami się zapadł. Przez dalekie otwory przebijały się ostre promienie zadziwiająco szaro-białego światła, i ich rozpryski docierały nawet do zakątka, w którym się znajdowała. Sasza zgasiła latarkę i wstrzymała oddech, po czym skradając się ruszyła naprzód.

Dziury po kulach i odłamkach na ścianach u szczytu schodów ruchomych świadczyły, że człowiek kiedyś pojawiał się w tych miejscach. Ale już kilkadziesiąt kroków dalej zaczynało się panowanie innych stworzeń. Sterty zaschniętych odchodów, porozrzucane wszędzie obgryzione kości i strzępy skór wskazywały na to, że Sasza znalazła się w sercu zwierzęcego legowiska.

Oslaniając oczy, żeby nie raziło ich światło, szła do wyjścia. I im bardziej zbliżała się do jego źródła, tym gęstsza stawała się ciemność w zacisznych kątach pomieszczeń, przez które kroczyła. Ucząc się patrzeć na światło, Sasza traciła zdolność widzenia w ciemności.

Wraki przewróconych budek, zwaly jakichś niewiarygodnych rupieci i szkielety rozwalonych sprzętów wypełniały kolejne sale. Teraz stało się dla niej jasne, że ludzie przekształcili położone na powierzchni pawilony Pawieleckiej w punkt przeładunkowy, do którego taszczyli wszystkie łupy z okolicy, dopóki nie przegoniły ich stąd silniejsze stworzenia.

Raz czy drugi, w ciemnych kątach, Saszy przywidział się ledwo zauważalny ruch, ale

zwalala to wszystko na swoja nasilajaca sie slepote. Panujacy tam mrok byl juz zbyt gesty, by mogla dostrzec w nim zlewajace sie z górami smieci szkaradne ksztalty spiacych potworow.

Monotonne jeczenie wiatru zagluszalo ich ciezkie sapanie i Sasza uslyszała je dopiero przechodzac kilka krokow od kołyszacej sie masywnej bryly. Przysluchala sie z niepokojem, potem znieruchomiala, przyjrzała sie konturom przewroconego kiosku, dostrzegajac w jego zalomach dziwny garb... I zamarla.

Kopiec, w którym byla zakopana budka, oddychal. Oddychaly tez prawie wszystkie pozostale wzgorzki, ktore ja otaczaly. Zeby sie upewnic, Sasza pstryknela wlacznikiem i skierowala latarke na jeden z nich.

Blada smuzka swiatla trafila na tluste fałdy bialej skory, pomknela dalej po niekonczacym sie cielsku i ulegla rozproszeniu nie siegajac jego krańca. Byl to jeden z pobratymcow chimery, ktora o malo nie zabila Saszy na Pawieleckiej, i to o wiele wiekszy niz tamten.

Potwory byly pograzone w dziwnym otepieniu i, jak sie zdawalo, nie zauwazaly jej. Lecz wtedy ten lezacy najblizej nagle zaryczal, glósno wciagnal powietrze przez ukošne szczeliny nozdrzy, poruszył sie... Spostrzegłszy sie, Sasza schowala latarke i szybko sie oddalila. Kazdy kolejny krok w tym strasnym legowisku przychodzil jej z coraz wiekszym trudem: im dalej byla od zejścia do metra, tym gesciej byly ulokowane chimery i tym trudniej bylo znalezc ściezke międy ich cialami.

Bylo za pozno, zeby wracac Saszy wcale teraz nie niepokoiło, jak uda jej sie wrócic do metra. Chciala przejść niezauwazona, nie wzbudzajac czujności zadnego z tych stworow, wyjść na zewnatrz, rozejrzec sie dookoła, zakosztowac... Oby tylko nie obudzily sie ze spiaczki, oby ja stąd wypuscily; a nie bedzie juz trzeba szukać drogi powrotnej.

Nie miala odwagi glębiej odetchnac, probowala nawet nie myslec - jeszcze uslysza - i powoli zblizala sie do wyjścia. Pod butami zdradziecko zachrzescila peknieta plytka. Jeszcze jeden zly krok, przypadkowy szmer, a obudza sie i w mig rozerwaja ja na kawalki.

I Sasza nie mogla sie uwolnic od mysli, ze całkiem niedawno - jeszcze wczoraj, czy nawet dzisiaj - przedzierala sie juz tak międy spiacymi potworami... W kazdym razie, to dziwne uczucie bylo jej skądś znajome.

Stanęła w miejscu.

Sasza wiedziala, ze obce spojrzenie mozna wycucz na karku. Ale te stwory nie mialy oczu, i to, czym badaly przestrzen dookoła siebie, bylo o wiele bardziej materialne i natarczywe od czyjegokolwiek wzroku.

Nie trzeba bylo sie odwracac, zeby zrozumiec: w jej plecy ciezko wpatruje sie stwór,

który przebudził się, pomimo całej jej ostrożności. Ale jednak się odwróciła.

Dziewczyna gdzieś zniknęła, ale Homer nie miał w tym momencie najmniejszej ochoty rzucać się na jej poszukiwania, tak jak i nie miał ochoty na nic innego.

Jeśli dziennik łącznościowca pozostawiał jeszcze staremu iskierkę nadziei, że choroba go ominie, to Hunter okazał się bezlitosny. Wszczynając z wybudzonym brygadierem starannie przygotowaną dyskusję, stary zgłaszał jakby apelację od swojego wyroku śmierci. Ale ten nie chciał go ułaskawić, a i nie mógł tego zrobić. Homer sam był winny temu, co na pewno się z nim stanie.

Tylko parę tygodni, albo jeszcze mniej. Tylko dziesięć zapisanych stron i wszystko to, co musi ścisnąć i pomieścić na czystych kartkach w zeszyte obłożonym ceratą. Oprócz chęci Homer miał też obowiązki, a wyczekiwana przerwa na odpoczynek zbliżała się już chyba ku końcowi.

Wyglądził papier, zamierzając kontynuować opowieść od miejsca, od którego ostatnim razem odciągnęły go krzyki lekarzy. Ale zamiast tego ręka sama napisała poprzednie: „Co po mnie zostanie?”.

A co zostanie po nieszczęśnikach zamkniętych na Tulskiej, myślał, być może pogrążonych w rozpacz, być może wciąż czekających na pomoc, ale tak czy inaczej skazanych na okrutny koniec? Pamięć? Lecz tak niewielu było ludzi, o których miał jeszcze kto pamiętać.

A przy tym wspomnienia to nietrwale mauzoleum. Wkrótce starego nie będzie, a razem z nim zginą wszyscy, których znał. W nicości pogrąży się też jego Moskwa.

Gdzie teraz jest, na Pawieleckiej? Ulica Sadowe Kolco jest teraz pusta i martwa: w ostatnich godzinach oczyściły ją i otoczyły wojskowe maszyny, aby umożliwić pracę służbom ratowniczym i przejazd kolumnom samochodów na sygnale. Spróchniałymi, wypadającymi zębami pałacyków szczerzą się przejazdy i uliczki... Stary bez trudu mógł sobie wyobrazić tutejszy pejzaż, chociaż nigdy nie wychodził z metra na tej stacji.

Natomiast przed wojną często zdarzało mu się tutaj bywać - umawiał się z przyszłą żoną na randki w kawiarni obok metra, potem szli do kina na wieczorny seans. I to właśnie tutaj, niedaleko, przechodził wyjątkowo niedbałe płatne badania lekarskie, kiedy postanowił zrobić prawo jazdy. Poza tym to na tym dworcu wsiadał w pociąg podmiejski, kiedy umawiał się w lecie z kolegami z pracy, że pojedą do lasu na szaszłyki z grilla...

Patrzył na podzielony na kratki papier i widział na nim plac przed dworcem skąpany w jesiennej mgle, dwa niktne w niej wieżowce: pretensjonalny nowy biurowiec na Sadowym

Kolcu - pracował w nim jeden jego przyjaciel, i, nieco dalej, spiralną iglicę drogiego hotelu przyklejonego do drogiej sali koncertowej. Kiedyś dowiadywał się o cenę biletów: kosztowały nieco więcej, niż Nikołaj zarabiał w dwa tygodnie.

Widział, a nawet słyszał dzwonki kanciastych biało-niebieskich tramwajów, pełnych niezadowolonych pasażerów, tak rozczulających w swoim rozdrażnieniu z powodu zupełnie nieszkodliwego tłoku. I samo Sadowe Kolco - odświeżone migoczące dziesiątkami tysięcy białych i czerwonych świateł samochodów, złączonych w jedną zamkniętą girlandę. I śnieg - nieśmiały, nie na miejscu, rozpuszczający się zanim opadł na czarny asfalt. I tłum - miriady naelektryzowanych cząstek, pobudzonych, zderzających się, zdawałoby się miotających się chaotycznie, a naprawdę - poruszających się każda po swojej zaplanowanej trasie.

Widział wąż przecinający stalinowskie bryły, z którego na plac leniwie wypływała wielka rzeka Sadowego. Setki i setki rozświetlających się okien-akwariów po jego obu stronach. I jeszcze neonowe rozbłyski szyldów i gigantyczne płachty reklam wstydliwie okrywające otwartą ranę, w którą wkrótce wszczepią wielopiętrową protezę...

Której już nigdy nie ukończą.

Patrzył i rozumiał, że słowami i tak nie odmaluje tego wspaniałego widoku. Czy z tego wszystkiego pozostaną tylko omszałe, zapadłe nagrobki centrum biznesowego i eleganckiego hotelu?

Nie pojawiła się ani po godzinie, ani po trzech. Zaniepokojony Homer obszedł całe przejście między stacjami, wypytał handlarzy i muzyków, porozmawiał z dowódcą hanzeatyckiego posterunku. Nic. Jakby zapadła się pod ziemię...

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, stary znów zapukał do drzwi pokoju, w którym leżał brygadier. Był to ostatni człowiek, którego można by się było poradzić w sprawie zniknięcia dziewczyny. Ale kto teraz Homerowi został? Kaszlnął i zajrzał do środka.

Hunter leżał ciężko oddychając, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Jego prawa ręka - cała - wystawała spod kołdry, a silnie zaciśnięta pięść musiała być całkiem niedawno skaleczona. Z niewielkich zadrapań sączyła się krew plamiąc pościel, ale brygadier tego nie zauważał.

- Kiedy będziesz gotowy, żeby iść? - spytał Homera nie odwracając się do niego.

- Ja mogę nawet teraz - zająknął się stary. - Ale jest taka sprawa... Nie mogę znaleźć dziewczyny. No, i jak ty pójdziesz? Cały przecież jesteś...

- Nie umrę - odparł brygadier. - A śmierć nie jest najgorsza. Zbieraj się. Będę na nogach w ciągu półtorej godziny. Pójdziemy na Dobrynińską.

- Starczy i godzina, ale muszę ją znaleźć, chcę, żeby ona z nami dalej... To dla mnie

bardzo ważne, rozumiesz? - zaczął szybko mówić Homer.

- Wychodzę za godzinę - uciął Hunter. - Z tobą albo bez ciebie... I bez niej.

- Pojąć nie mogę, gdzie ona mogła się podziać! - stary westchnął z przygnębieniem. - Gdybym wiedział...

- Ja wiem - obojętnym głosem powiedział brygadier. - Ale stamtąd na pewno jej nie wyciągniesz. Zbieraj się.

Homer cofnął się i zamrugał. Przywykł, że może polegać na nadnaturalnym zmyśle swojego towarzysza, ale teraz nie chciał mu wierzyć. A jeśli Hunter znów kłamie - tym razem po to, żeby pozbyć się własnego kłopotu?

- Powiedziała mi, że jej potrzebujesz...

- Potrzebuję ciebie - Hunter przekręcił lekko głowę w jego kierunku. - A ty mnie.

- Po co? - szepnął Homer, ale brygadier go usłyszał.

- Wiele od ciebie zależy - mrugnął powoli, ale staremu wydało się nagle, że bezduszny brygadier puścił mu oczko i oblał go zimny pot.

Łóżko przeciągle skrzypnęło: Hunter zacisnął zęby i usiadł.

- Wyjdź - poprosił starego. - I zbieraj się, jeśli chcesz zdążyć.

Ale przed wyjściem, Homer zatrzymał się jeszcze na chwilę, żeby podnieść walającą się żałośnie w kącie czerwoną plastikową puderniczkę. Po pokrywce biegły pęknięcia, zawiasy wygięły się i rozeszły.

Lusterko było rozbite na drobne kawałki.

Stary odwrócił się gwałtownie do brygadiera.

- Bez niej nie pójdę.

Była prawie dwukrotnie wyższa od Saszy; jej głowa dotykała sufitu, a szponiaste łapy zwisały do ziemi. Sasza widziała, jak błyskawicznie przemieszczają się te stwory, z jaką niedoścignioną szybkością atakują. Żeby dosięgnąć dziewczyny, żeby załatwić ją jednym ruchem, wystarczyłoby, żeby taki potwór wyrzucił do przodu łapę. Ale ten z jakiegoś powodu zwlekał.

Nie było sensu strzelać, poza tym Saszy nie starczyłoby czasu, żeby podnieść automat. Wtedy zrobiła niepewny krok do tyłu, w stronę wyjścia. Chimera cicho stęknęła, pochyliła się w stronę dziewczyny... Ale nic się nie wydarzyło. Potwór pozostawał na swoim miejscu nie spuszczając z Saszy uważnego, ślepego wzroku.

Odważyła się na jeszcze jeden krok. I kolejny. Nie odwracając się plecami do stwora, nie okazując mu swojego strachu, stopniowo zbliżała się do wyjścia. Stworzenie jak zakłętę

wlokło się za Saszą, tylko niewiele od niej odstając, jakby odprowadzając ją do drzwi.

I dopiero kiedy, będąc już tylko dziesięć metrów od nieznacznie rozświetlonego otworu drzwi, dziewczyna nie wytrzymała i rzuciła się do ucieczki, stwór ryknął i też skoczył naprzód. Sasza wybiegła na zewnątrz, zmrużyła oczy i nie widząc niczego wokół, biegła przed siebie, aż potknęła się i poturlała po twardej, chropowatej ziemi...

Spodziewała się, że chimera dopadnie ją i rozerwie na strzępy, ale jej prześladowca nie wiedzieć czemu pozwolił jej uciec. Minęła długa minuta, potem jeszcze jedna... Wokół panowała cisza.

Sasza nie otwierała oczu, dopóki nie wymacała w torbie kupionych u strażnika domowej roboty okularów - były to dwa denka od butelek z ciemnego szkła w blaszanych kółkach, przyczepione do kawałka opaski. Okulary naciągało się na wierzch maski przeciwgazowej, tak że przejrzyste zielone krążki wpasowywały się dokładnie w umieszczone w gumie wizjery.

Teraz mogła popatrzeć. I, powoli podnosząc powieki, najpierw nieufnie, spode łba, a potem coraz śmielej, Sasza przyglądała się dziwnemu miejscu, w którym się znalazła.

Nad jej głową było niebo. Prawdziwe niebo, jasne, ogromne. Dające więcej światła, niż jakikolwiek reflektor, całe równomiernie rozświetlone na zielono, gdzieniegdzie pokrywały je nisko zalegające obłoki, gdzie indziej otwierała się autentyczna otchłań.

Słońce! Zobaczyła je poprzez przetarte miejsce w tkaninie chmur: krążek rozmiarów kapsla, wyczyszczony do białości, tak jasny, że od patrzenia na niego mogłaby wypalić sobie dziurę w okularach. Z przestachem oderwała wzrok. Odczekała chwilę i mimo to znów zerknęła na nie ukradkiem. Było w nim jakby coś rozczarowującego: w końcu to tylko oślepiająca dziura w niebie, po co tak ją wychwalać; ale jednak nie, urzekało, przyciągało, poruszało. Otwór wyjścia z gniazda bestii, dla przyzwyczajonych do ciemności, świecił prawie równie mocno; a co, jeśli słońce - przemknęło Saszy przez głowę - jest właśnie takim wyjściem, prowadzącym do miejsca, gdzie w ogóle nigdy nie bywa ciemno... I gdyby do niego dolecieć, można by było wydostać się z Ziemi tak samo, jak właśnie wydostała się spod jej powierzchni? Do tego od słońca było słabe, ledwie wyczuwalne ciepło, tak jakby było żywe.

Sasza stała pośrodku kamiennego pustkowia, otoczonego na w pół zawałonymi starymi budynkami; czarne otwory okien piętrzyły się nawet na dziesięć poziomów w górę, tak wysokie były te domy. Budowli było nieskończenie wiele, tłoczyły się, zasłaniając się nawzajem przed Saszą, pchały się, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Zza wysokich budynków

wyglądały jeszcze wyższe, za nimi rysowały się sylwetki domów już wręcz gigantycznych.

Zadziwiające, że Sasza mogła je wszystkie zobaczyć! I nieważne, że miały głupekowato zielony odcień - tak jak i ziemia pod nogami, jak powietrze, jak obłąkane, świetliste, bezdenne niebo - za to odkrywały się teraz przed nią niewyobrażalne przestrzenie.

Choćby nie wiadomo jak długo Sasza przyzwyczajała swoje oczy do ciemności, nie były do niej stworzone. W nocy, ze skarpy przy moście były dla niej widoczne tylko ohydne budowle stojące w promieniu kilkuset metrów od wrót. Dalej ciemności stawały się zbyt gęste, i nawet urodzona pod ziemią Sasza nie umiała przebić ich wzrokiem.

Dziewczyna wcześniej nie zadawała sobie na poważnie pytania, jak wielki jest świat, w którym żyje. Ale myśląc o nim, Sasza zawsze wyobrażała sobie niewielki mroczny kokon: kilkaset metrów w każdą stronę, za którymi wszystko ostatecznie się urywało, kończył się wszechświat, zaczynała prawdziwa ciemność.

I chociaż wiedziała, że Ziemia tak naprawdę jest o wiele większa, wyobrazić sobie jej nie umiała. A teraz zrozumiała, że i tak by jej się to nie udało - po prostu dlatego, że gdy się nigdy czegoś takiego nie widziało, wyobrazić to sobie jest niemożliwością.

I co było dziwne: jakoś zupełnie nie czuła strachu stojąc pośród tej bezgranicznej pustki. Wcześniej, kiedy wyłaziła z tunelu nad skarpe, czuła się tak, jakby ktoś wyciągał ją z ochronnej muszli; teraz wydawała jej się skorupą, z której wreszcie się wykluła. W świetle dnia każde niebezpieczeństwo można było dostrzec z dużej odległości, i Sasza miała aż nadto czasu, żeby się schować lub przygotować do obrony. Było jeszcze jedno nieśmiałe, nieznanne jej dotąd uczucie: miała wrażenie, że wróciła do domu.

Wiatr przeganiał po pustkowiu kłęby kolczastych gałęzi, ponuro wyl w szczelinach między budynkami, popychał Saszę, nakłaniając ją, by była odważniejsza, każąc wyruszyć na eksplorację tego nowego świata.

W gruncie rzeczy nie miała wyboru: żeby zejść do metra, musiałaby znów wejść do budynku, gdzie kipiało od przerażających stworów; tyle, że teraz już nie spały. Od czasu do czasu w przypominających studnie przejściach pokazywały się na moment i natychmiast znikwały białawe cielska - widocznie światło dnia było im nieprzyjazne. Ale co będzie, gdy nadejdzie noc? Zanim to nastąpi, jeśli zamierza przed śmiercią zobaczyć cokolwiek z tego, co opisywał staruszek, musi wynieść się jak najdalej stąd.

I Sasza ruszyła naprzód.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak mała. Nie mogła uwierzyć, że te olbrzymie budynki budowali ludzie jej wzrostu: po co im to było? Widać ostatnie przedwojenne pokolenia zdegenerowały się i skurczyły... Natura przygotowywała je do surowego życia w ciasnocie

tuneli i stacji. A te budowle wznosili dumni przodkowie obecnych karłowatych ludzi - potężni, wysocy i postawni, jak domy, w których mieszkali.

Dotarła do szerokiego prześwitu: budynki się tu rozstępowały, a ziemia była pokryta podobną do kamienia szarą skorupą. Jednym skokiem świat stał się jeszcze większy: stąd rozpościerał się widok na taką odległość, że Saszy ścisnęło się serce i zakręciło się jej w głowie.

Przysiadła pod pokrytymi pleśnią i mchem ścianami zamku z tępo zakończoną wieżą zegarową, która sięgała chmur. Sasza próbowała sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać to miasto zanim opuściło je życie...

Drogą - a to niewątpliwie była droga - kroczyli wysocy, piękni ludzie w kolorowych strojach, przy których najszykowniejsze ubrania mieszkańców Pawieleckiej wydałyby się ubogie i głupie. W barwnym tłumie sunęły samochody, jak dwie krople wody podobne do wagonów metra, tylko w miniaturze, mieszczące tylko czterech pasażerów.

Domy nie były tak ponure. Otwory okien nie ziały czarnymi dziurami, lecz błyszcząły czystym szkłem. I Sasza z jakiegoś powodu wyobrażała sobie lekkie mostki przerzucone tu i tam między przeciwległymi domami na najróżniejszych poziomach.

A niebo nie było takie puste - niespiesznie przepływały po nim niesłychanych rozmiarów samoloty, o mało co nie zahaczając brzuchami o dachy... Ojciec wyjaśniał jej jakoś, że aby latać wcale nie musiały niczym machać, ale jej ukazywały się jako wielkie, leniwe bryły ze skrzydłami ważek - migotliwymi, prawie niewidocznymi, ledwie mieniącymi się w zielonkawych promieniach słońca.

I do tego padał deszcz.

Niby tylko woda spadała z nieba, ale sprawiało to naprawdę niezwykle wrażenie. Zmywała nie tylko brud i zmęczenie - do tego były też zdolne gorące strugi z porzewiałego prysznica; woda z nieba oczyszczała ludzi od środka, udzielała im przebaczenia za popełnione błędy. Czarodziejские oczyszczenie zmywało gorycz z serca, odnawiało i odmładzało, dawało chęć, by dalej żyć, i siły, by tego dokonać. Wszystko tak, jak mówił stary...

Sasza tak mocno uwierzyła w ten świat, że pod wpływem jej dziecinnych zaklęć zaczął naprawdę wyrastać dookoła niej. Oto słyszała już i lekki trzepot przejrzystych skrzydeł w górze, i wesoły szczebiot tłumu, i miarowy stukot kół, i szum ciepłego deszczu. Sama z siebie przypomniała się jej i wplotła w ten seans spirytystyczny usłyszana dzień wcześniej melodia... Coś boleśnie ukłuło ją w piersi.

Zerwała się i pobiegła samym środkiem drogi naprzeciw rzece ludzi, omijając uwięzione w tłoku urocze wagoniki samochodów, wystawiając twarz na ciężkie krople. Stary miał rację:

tu rzeczywiście było dobrze, bajkowo, niewiarygodnie pięknie. Trzeba było tylko zdrapać patynę i pleśń czasu, i przeszłość zaczynała lśnić jak barwna mozaika i panneau z brązu na porzuconych stacjach.

Zatrzymała się na nabrzeżu zielonej rzeki; przerzucony przez nią niegdyś most urywał się tuż przy początku; w żaden sposób nie mogła dostać się na drugi brzeg. Magia się wyczerpała. Obraz, który wydawał się tak realny, tak malowniczy jeszcze chwilę wcześniej, zbladł i zgasł. Ushłe i czerstwe ze starości puste domy, popękana skóra ulic okolonych dwumetrowymi burzanami, i dzika, nieprzenikniona gęstwina, która pochłonęła resztki nabrzeża wszędzie jak okiem sięgnąć - to było wszystko, co w ciągu sekundy zostało z tego przepięknego, widmowego świata.

I nagle Saszy zrobiło się tak przykro, że nigdy nie zobaczy go na własne oczy, że jej wybór to śmierć albo powrót do metra i że nigdzie na Ziemi nie ostał się żaden piękny olbrzym w kolorowym stroju... Że oprócz niej na szerokiej drodze wiodącej w dalekie miejsce, w którym niebo łączyło się z porzuconym miastem, nie było żywej duszy.

Pogodę miała wspaniałą. Nie padało.

Saszy nie chciało się nawet płakać. Teraz najlepiej by było po prostu umrzeć.

I, jakby słysząc jej życzenie, wysoko nad jej głową rozpostarł skrzydła ogromny czarny cień.

Co robić, jeśli będzie musiał wybierać? Opuścić brygadiera i porzucić swoją książkę, zostać na stacji, aż odszuka zaginioną dziewczynę? Czy zapomnieć o niej na zawsze i iść za Hunterem, wymazać Saszę ze swojej powieści i przycząć się jak pajak w oczekiwaniu na nowe bohaterki?

Rozsądek zabraniał staremu odłączać się od brygadiera. Inaczej, w imię czego byłaby cała ta wyprawa, w imię czego śmiertelne niebezpieczeństwo, na które naraził siebie i całe metro? Po prostu nie ma prawa ryzykować swojej pracy - jedynej rzeczy, która usprawiedliwiała wszystkie ofiary - i te już poniesione, i przyszłe.

Ale w momencie, kiedy podniósł z podłogi rozbite lustro, Homer pojął, że odejść z Pawieleckiej nie poznawszy losu dziewczyny będzie prawdziwą zdradą. A zdrada wcześniej czy później zatruje również jego i jego powieść. Saszy ze swojej pamięci nie wymaże już nigdy.

Cokolwiek mówił mu Hunter, Homer musiał zrobić wszystko, żeby znaleźć dziewczynę, lub chociaż upewnić się, że już nie ma jej wśród żywych. I stary ze zdwojonymi wysiłkami przystąpił do poszukiwań, raz po raz pytając przechodniów która godzina.

Linia Okrężna była wykluczona - sama, bez dokumentów, nie dostałaby się do Hanzy. Galeria pokoi i sal pod przejściem? Stary przetrząsnął ją od góry do dołu, dopytując się każdej napotkanej osoby, czy nie widziała dziewczyny. Wreszcie ktoś niepewnie odpowiedział, że jakoby zetknął się z nią ubraną w brezentowy skafander ochronny... Od tego momentu Homer, nie wierząc oczom i uszom, prześledził drogę Saszy do stanowiska strzeleckiego u stóp schodów ruchomych.

- A co mnie to? Jak chce, to niech idzie. Okulary jej fajne opchnąłem - powiedział ospale strażnik w budce. - Ciebie nie puszczę. I tak już oberwałem od rozprowadzającego. Tam na górze jest gniazdo Przyjezdnych. Nikt tam nie chodzi. Nawet mnie to rozśmieszyło, jak poprosiła - jego wielkie jak otwory luf pistoletów źrenice, latały z miejsca w miejsce, nigdy nie napotykając wzroku starego. - Wróciłbyś do przejścia, dziadku. Niedługo się ściemni.

Hunter wiedział! Ale co miał na myśli mówiąc, że stary nie da rady zawrócić dziewczyny? Może ona wciąż żyje?

Potykając się ze zdenerwowania, Homer pospieszył z powrotem do pokoju brygadiera. Dał nura pod niską framugę tajemnych drzwiczek, pokuśtykał po wąskich schodach, bez pukania otworzył drzwi...

Pokój był pusty: ani Huntera, ani jego broni, tylko porzrzućane po podłodze wstęgi brunatnych od zaschłej krwi bandaży oraz samotna pusta menażka. Z zaplecza zniknął też jako tako wyczyszczony skafander.

Brygadier po prostu porzucił starego jak uprzykrzonego psa, karząc go za jego upór.

Jej ojciec zawsze był przekonany: człowiek dostaje znaki. Trzeba tylko umieć je dostrzegać i odczytywać.

Sasza spojrzała w górę i zamarła porażona. Jeśli ktoś chciał jej teraz wysłać znak, nie dało się wymyślić nic bardziej wymownego.

Niedaleko zawałonego mostu z ciemnych zarośli wyłaniała się okrągła wieża z wymyślnym czubkiem - najwyższy ze wszystkich okolicznych budynków. Lata nie wyszły jej na dobre: na ścianach wiły się głębokie pęknięcia, a sama wieża niebezpiecznie się przechyliła. Dawno już by się zawałiła, gdyby nie cud. Jak mogła nie zwrócić na to wcześniej uwagi?

Budowlę opasywał gigantycznych rozmiarów powój. Jego pień był oczywiście wiele razy cieńszy od wieży, lecz jego grubości i siły aż nadto starczało, żeby podtrzymywać rozpadającą się na kawałki konstrukcję. Zadziwiająca roślina spiralnie owijała wieżę; od głównego pnia odchodziły cieńsze łodygi, od nich - jeszcze cieńsze, i wszystkie pospołu

tworzyły sieć, która nie pozwalała, by budynek się rozsypał.

Powój był pewnie kiedyś równie słaby i giętki, jak najdelikatniejsze i najmłodsze z jego pędów dziś. Kiedyś musiał się czepiać występów i balkonów wieży, która zdawała się wieczna i niezniszczalna. Gdyby nie była tak wysoka, i on tak by nie wyrósł.

Sasza patrzyła jak urzeczona na powój, na ocalony przez niego budynek. Wszystko znów nabierało dla niej sensu, wracała jej wola walki. To dziwne, przecież w jej życiu nic się nie zmieniło. Po prostu nagle znów, wbrew wszystkiemu, przez szarą korę rezygnacji jak maleńki pęd tego powoju, w jej duszy przebiła się i zazieleniła nadzieja.

Niechby były rzeczy, których nigdy nie naprawi, czyny, których nie da się odwrócić, i słowa, których się nie cofnie. Ale w tej historii było jeszcze mnóstwo rzeczy, które mogła zmienić, choć na razie nie wiedziała jak. Najważniejsze, że znów miała siłę.

Teraz Saszy wydało się, że odgadła też powód, dla którego bezlitosna chimera pozwoliła jej ujść bez szwanku: ktoś niewidzialny trzymał potwora na uwięzi, aby dać dziewczynie jeszcze jedną szansę.

I była za to wdzięczna. Była gotowa wybaczyć, gotowa znów coś udowodniać i walczyć; a od Huntera wystarczyłaby jej najślabsza aluzja. Jeszcze jeden znak.

Zachodzące słońce nagle zgasło, ale natychmiast znów się wyłoniło. Sasza zadarła do góry brodę i kątem oka zdołała uchwycić szybki czarny kształt, który przemknął jej nad głową, na moment zasłaniając źródło światła, i od razu ginąc z pola widzenia.

Powietrze przeciął świst i przeszywający wizg - myśląc się o włos, z nieba runęła na Saszę jak kamień ogromna machina. W ostatniej chwili instynkt podpowiedział dziewczynie, by rzucić się na ziemię i tylko to ją uratowało. Poszybowałszy tuż nad ziemią na rozpostartych skórzastych skrzydłach, przedziwny potwór silnym machnięciem nabrał wysokości i zaczął opisywać półokrąg, ruszając do kolejnego ataku.

Sasza chwyciła za automat, ale od razu odrzuciła ten bezsensowny pomysł. Nawet seria wystrzelona z najbliższej odległości nie dałaby rady zmienić kierunku lotu takiego cielska; nie było nawet co myśleć o tym, żeby je powalić. A przecież trzeba było jeszcze w nie trafić! I dziewczyna rzuciła się z powrotem ku pustej przestrzeni, z której wyruszyła w swoją krótką wędrówkę, nie myśląc o tym, jak zejść do metra.

Latający potwór wydał okrzyk bojowy i znów runął na nią. Płacząc się w nie swoich spodniach, Sasza padła plackiem na drogę, ale odwróciła się i odgryzła krótką serią. Kule odstraszyły stwora, chociaż nie zrobiły mu żadnej krzywdy. W ciągu zyskanych kilku sekund dziewczyna zdołała wstać i rzuciła się w kierunku pobliskich domów, zbyt późno zdając sobie

sprawę, jak powinna ukryć się przed drapieżnikiem.

Na niebie krążyły już teraz dwa cienie, utrzymując się w powietrzu ciężko machając szerokimi, błoniastymi skrzydłami. Pomysł Saszy był prosty: przycisnąć się do ściany jakiegokolwiek budynku. Latające potwory były zbyt wielkie i niezwrotne, by ją tam dosięgnąć; a potem... I tak nie ma dokąd uciekać.

Zdążyła! Przyłgnęła do ściany w nadziei, że stwory odpuszczą ją sobie. Jednak nie: zdarzało im się ścigać i bardziej pomysłową zwierzynę. Koszmarne stworzenia - najpierw jedno, potem drugie - wylądowały na ziemi dwadzieścia kroków od dziewczyny i, wlokąc za sobą złożone skrzydła, niespiesznie ruszyły w jej kierunku.

Seria z karabinu nie przstraszyła ich, a jedynie rozgniewała; kule jakby więzły w zbitej, gęstej sierści nie dosięgając ciała. Stwór, który był bliżej Saszy złośliwie się wyszczerzył: pod zadartym pyskiem i wywróconą czarną wargą pokazały się krzywe, ostre jak gwoździe zęby.

- Na ziemię!

Sasza nawet się nie zastanawiała, skąd dobiegł ten daleki głos, po prostu padła plackiem na chodnik. Całkiem blisko niej rozległ się wybuch; zatrzęsała nią fala palącego powietrza. Za chwilę drugi, po nim rozwścieczony zwierzęcy krzyk i oddalający się łopot skrzydeł.

Nieśmiało podniosła głowę, odkaszlnęła pozbywając się pyłu z płuc, rozejrzała się. Niedaleko niej ulica była wyszczerbiona świeżym lejem i zbryzgana ciemną, oleistą krwią. Obok walało się wyrwane z korzeniami osmalone skórzaste skrzydło i kilka zwęglonych bezforemnych strzępów.

Przez kamienne pustkowie, w kierunku Saszy, spokojnym krokiem, wyprostowany szedł potężnie zbudowany człowiek w ciężkim skafandrze ochronnym.

Hunter!

Rozdział 13

Pewna historia

Wziął ją za rękę, pomagając się podnieść i pociągnął za sobą. Potem jakby się opamiętał i puścił ją. Jego oczy, skryte za specjalną przydymioną szybką, były dla Saszy niewidoczne.

- Nie zwalnij kroku! Szybko się ściemnia, trzeba się stąd wynieść póki czas - powiedział nosowym, przepuszczonym przez filtry głosem.

I, nie spojrzawszy już na nią więcej, ruszył żwawo naprzód.

- Hunter! - zawołała do niego dziewczyna, usiłując przez zaparowane szkła swojej maski przeciwgazowej rozpoznać swojego wybawcę.

Ten udał, że jej nie słyszy, i Saszy nie pozostało nic innego, jak biec za nim ze wszystkich sił. Oczywiście, jest na nią zły: trzeci raz z rzędu ratować głupią dziewczuchę. Ale jednak tu przyszedł, przyszedł dla Saszy, jakie mogła mieć teraz wątpliwości...

Wygolony nie zamierzał nawet zbliżyć się do legowiska potworów, które posłużyło Saszy za wyjście z metra, znał inne ścieżki. Skręcił z głównej drogi w prawo i dał nura w bramę, minął zardzewiałe żelazne szkielety płaskich pojemników podobnych do kiosków dla karzełków, odstraszył wystrzałem niewyraźny cień i zatrzymał się przy niewielkiej ceglanej budce z gęsto okratowanymi oknami. Przekręcił klucz w masywnej kłódce. Schron? Nie, budka okazała się zmyłką: za drzwiami w dół prowadziły zygzakami betonowe schody.

Zawiesiwszy kłódkę od środka, zapalił latarkę i ruszył w dół. Pomalowane na białą i zielono, łuszczące się ze starości ściany, były usiane imionami i datami: wejście-wyjście, wejście-wyjście... Wybawca Saszy też napisał coś niewyraźnego. Widocznie każdy, kto korzystał z tajemnego wyjścia, by wydostać się na powierzchnię, musiał tu zapisać, kiedy wyszedł i kiedy wrócił. Tyle, że pod wieloma imionami daty powrotu nie było.

Zejście skończyło się wcześniej niż Sasza się spodziewała: chociaż stopnie prowadziły dalej w dół, wygolony zatrzymał się przy niepozornych żelaznych drzwiach, załomotał w nie pięścią, i po kilku chwilach z drugiej strony dał się słyszeć zgrzyt zasuw. Otworzył im rozczochrany człowiek z rzadką bródką, w granatowych spodniach z wypchanymi kolanami.

- A to kto? - spytał zmieszany.

- Zgarnąłem z Sadowego - zadudnił Hunter. - Ptaki o mało nie zeżarły, ledwo zdążyłem z

granatnikiem. Hej, dzieciaku, skąd się tam wzięłeś?

Ściągnął kaptur i zdjął maskę przeciwigazową...

Przed Saszą stał nieznajomy mężczyzna: obcięte na jeża blond włosy, bladoszare oczy, spłaszczony, jakby złamany nos. A ona wciąż nie chciała wierzyć, przekonywała samą siebie, kiedy wydało jej się, że jest zbyt szybki jak na rannego, że nie ma tych zwierzęcych ruchów, że skafander ma jakby inny...

Zrobiło jej się duszno i też zerwała maskę.

Kwadrans później Sasza była już za linią hanzeatyckiej granicy.

- Wybacz, nie mogę cię tu zostawić bez dokumentów - przez głos jej wybawcy przebiegał szczerzy żal. - Może dziś wieczorem, tak będzie najlepiej... To co, w przejściu?

Pokiwała milcząco głową i uśmiechnęła się.

Dokąd teraz?

Do niego? Zdąży!

Sasza nie mogła mieć żalu do Huntera, że tym razem to nie on ją uratował... Była jeszcze jedna sprawa, której nie chciała odkładać na później.

Delikatne i wabiące dźwięki cudownej muzyki znalazły do niej drogę poprzez ludzki gwar, poprzez szuranie butów i okrzyki handlarzy. To chyba była ta sama melodia, która oczarowała ją dzień wcześniej. Idąc jej na spotkanie, Sasza tak jakby znów przeciskała się ku wyjściu promieniejącemu niezmiernym blaskiem... Tylko dokąd ono tym razem prowadziło?

Muzyk był otoczony ścisłym kręgiem dziesiątków słuchaczy. Sasza musiała się przepychać, aż tłum wypluł ją w pustą przestrzeń pośrodku. Melodia jednocześnie przyciągała tych ludzi i trzymała na dystans, tak jakby oni też lecieli do światła, ale bali się spalić.

Sasza się nie bała.

Był młody, smukły i zadziwiająco przystojny. Nieco może wąty, ale jego zadbana twarz nie zdradzała słabości, a zielone oczy nie wydawały się naiwne. Ciemne włosy, choć nieprzystrzyżone, układały się równo. Niezbyt rzucające się w oczy ubranie wyróżniało go jednak w ludzkim morzu Pawieleckiej nietutejszą czystością.

Instrument, na którym grał, przypominał nieco dziecięcą fujarkę, jakie robi się z plastikowych rurek izolacyjnych, ale był większy, czarny, z mosiężnymi klawiszami, poważny i ewidentnie bardzo drogi. Dźwięki, które muzyk z niego wydobywał należały z pewnością do jakiegoś innego świata, innego czasu. Tak jak i sam instrument... Jak i jego właściciel.

Pochwyił spojrzenie Saszy od razu na samym początku, przesunął wzrok dalej i

natychmiast znów do niej wrócił. Speszyło ją to: choć jego zainteresowanie nie było dla niej nieprzyjemne, przysłała tu dla jego muzyki.

- Chwała Bogu! Znalazłem cię...

Przecisnął się do niej Homer - zdyszany, spocony.

- Co z nim? - od razu spytała Sasza.

- Czyli... - zaczął ten, zatrzymał się i skończył inaczej. - Zniknął.

- Jak to? Gdzie?! - jakby czyjaś pięść zacisnęła się na sercu Saszy.

- Poszedł. Zabrał wszystkie swoje rzeczy i poszedł. Sądzę, że na Dobrynińską...

- Nic nie zostawił? - upewniła się nieśmiało, odgadując, jaką usłyszy odpowiedź.

- Wziął wszystko - kiwnął głową stary.

Ozwały się gniewne syknięcia i Homer ucichł, wsłuchując się w melodię i jednocześnie zerkając podejrzliwie to na muzyka, to na dziewczynę. Niepotrzebnie: ta myślała zupełnie o czymś innym.

Może i Hunter wygnał ją i od razu uciekł. Ale Sasza zaczęła już pojmować dziwne reguły, według których działał. Jeśli wygolony naprawdę zabrał wszystkie swoje rzeczy, zupełnie wszystkie... To znaczy, że po prostu chce, by była bardziej wytrwała, żeby nie zbaczała z drogi, chce, żeby go odszukała. I ona to robi, jednak to robi. Jeśli tylko...

- A nóż? - szepnęła staremu. - Wziął ze sobą mój nóż? Ten czarny?

- W pokoju go nie ma - wzruszył ramionami Homer.

- Czyli wziął!

Saszy całkowicie wystarczył i ten skromny znak.

Flecista był niewątpliwie utalentowany i do tego wspaniale panował nad wykonaniem, zupełnie jakby dopiero co wczoraj grał w konserwatorium. W futerale jego instrumentu, przygotowanym na datki, starczyłoby naboju, żeby wykarmić niewielką stację - lub żeby co do głowy wystrzelać jej mieszkańców. To się nazywa uznanie, ze smutnym uśmiechem pomyślał Homer.

Melodia wydawała się staremu niejasno znajoma, ale choćby nie wiem ile się starał przypomnieć sobie, gdzie mógł ją słyszeć - w starym kinie? W radiu? - nie udało mu się. W melodii było coś niezwykłego - gdy ktoś przypadkiem nastroił się na jej fale, nie dało się już uciec; chciał koniecznie wysłuchać jej do końca, a potem bić brawo muzykowi, aż ten znów zabierze się do grania.

Prokofiew? Szostakowicz? Wiedza Homera o muzyce była tak czy inaczej zbyt skąpa, by

na poważnie starać się odgadnąć kompozytora. Lecz ktokolwiek napisał te nuty, flecista ich po prostu nie odgrywał, on nasycił je nowym brzmieniem i nowym sensem, ożywił je. Talent. Talent, ze względu na który Homer był gotów wybaczyć chłopcu drażniące spojrzenia, które ten tymczasem rzucał Saszy, podobnie jak drażni się kociaka rzucając mu papierową kulkę.

Nadszedł jednak czas, żeby odciągnąć od niego dziewczynę.

Stary poczekał aż muzyka ucichnie, a flecistę zacznie oklaskiwać publiczność, schwycił Saszę za wilgotny, pachnący jeszcze chlorem skafander i wyciągnął ją na zewnątrz.

- Rzeczy mam spakowane. Idę za nim - zrobił pauzę.

- Ja też - szybko powiedziała dziewczyna.

- Czy rozumiesz, w co się wplątujesz? - cicho spytał Homer.

- Wiem wszystko. Podśluchałam was - spojrzała na niego wyzywająco. - Epidemia, tak? I on zamierza wszystkich spalić i martwych, i żywych. Całą stację - Sasza nie opuszczała wzroku.

- I po co chcesz iść za takim człowiekiem? - dla starego to było naprawdę ciekawe.

Sasza nie odpowiadała, i przez jakiś czas kroczyli obok siebie w milczeniu, dopóki nie dotarli do zupełnie pustego zakątka holu.

- Ojciec mi umarł. Przeze mnie. To moja wina. I już nic nie mogę zrobić, żeby znów żył. A tam są ludzie, którzy jeszcze żyją. Których jeszcze można uratować. I muszę spróbować. Jestem mu to winna - powiedziała wreszcie powoli i niezgrabnie.

- Przed kim uratować? Przed czym? Choroba jest nieuleczalna, słyszałaś - gorzko odparł stary.

- Przed twoim przyjacielem. On jest straszniejszy od wszystkich chorób. Bardziej śmiertelny - dziewczyna westchnęła. - Choroby chociaż zostawiają nadzieję. Ktoś zawsze wyzdrowieje. Jeden na tysiąc.

- W jaki sposób? Dlaczego myślisz, że ci się uda? - Homer popatrzył na nią uważnie.

- Już mi się udawało - odparła bez przekonania.

Czy dziewczyna nie przecenia swoich sił? Nie oszukuje się przypisując oschłemu i bezlitosnemu brygadierowi odwzajemnienie jej uczuć? Homer nie chciał zniechęcać Saszy, ale lepiej było ją uprzedzić już teraz.

- Wiesz, co znalazłem w jego pokoju? - stary ostrożnie wyjął z kieszeni połamaną puderniczkę i dał ją Saszy. - Ty to zrobiłaś?

- Nie - pokręciła głową.

- Czyli to Hunter...

Dziewczyna powoli otworzyła pudełeczko, znalazła swoje odbicie w jednym ze szklanych odłamków. Zamyśliła się, wspomniała swoją ostatnią rozmowę z wygolonym i słowa, które mówił na wpół nieprzytomny, kiedy przyszła podarować mu nóż. Przypomniała też sobie twarz Huntera, kiedy kroczył ociężałe w jej kierunku, cały zakrwawiony, żeby podnosząca już szpony do ciosu chimera porzuciła Saszę i zabiła jego samego...

- To nie przeze mnie. To przez lustro - powiedziała stanowczo.

- A co ono ma do tego? - podniósł brwi stary.

- Sam mówiłeś - Sasza zatrzasnęła wieczko. - Czasem przydaje się popatrzeć na siebie z boku. Można wiele się o sobie dowiedzieć - przedrzeźniała mentorski ton starego.

- Uważasz, że Hunter nie wie, kim jest? Albo że do tej pory przeżywa swój wygląd? I dlatego je rozbił? - Homer chrząknął pobłaźliwie.

- Nie chodzi o wygląd zewnętrzny - dziewczyna oparła się plecami o filar.

- Hunter doskonale wie, kim jest. I najwidoczniej po prostu nie lubi, jak mu się o tym przypomina - odpowiedział sam sobie stary.

- A może sam o tym zapomniał? - zaprotestowała. - Mnie się czasem wydaje, że on przez cały czas stara się coś sobie przypomnieć. Albo... że przykuto go łańcuchem do ciężkiego wagonu, który zjeżdża w dół, w ciemność, i nikt nie pomoże mu go zatrzymać. Nie umiem tego wyjaśnić. Po prostu patrzę na niego i tak czuję - Sasza spochmurniała. - Nikt tego nie widzi, a ja widzę. Dlatego wtedy ci powiedziałam, że on mnie potrzebuje.

- I dlatego cię zostawił - wytknął jej okrutnie Homer.

- To ja jego zostawiłam - uparła się zasępiąca dziewczyna. - A teraz muszę go dogonić, póki nie jest za późno. Oni wszyscy jeszcze żyją. Można ich jeszcze uratować - powtórzyła jak nakręcona. - I jego też jeszcze można uratować.

- A jego to przed kim chcesz ratować? - Homer poderwał brodę do góry.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem - czyżby staruszek nadal niczego nie zrozumiał, pomimo jej wysiłków? I niewiarygodnie poważnie odpowiedziała mu:

- Przed człowiekiem w lustrze.

- Zajęte?

Sasza, która w roztargnieniu dziobała widelcem potrawkę z grzybów, wzdrygnęła się. Obok niej z tacą w rękach stał zielonooki muzyk. Stary gdzieś poszedł i jego miejsce było akurat puste.

- Tak.

- Zawsze można coś poradzić! - postawił swoją tacę i szybko złapał za wolny stółek

stojący przy sąsiednim stoliku, po czym usiadł po lewej stronie Saszy, zanim ta zdążyła zaprotestować.

- Jakby co, to ja cię nie zapraszałam - uprzedziła go.

- Dziadek nakrzyczy? - mrugnął do niej ze zrozumieniem muzyk. - Pani pozwoli, że się przedstawię. Leonid.

- To nie jest mój dziadek - Sasza poczuła jak krew napływa jej do policzków.

- Aż tak? - Leonid napchał sobie usta jedzeniem i wygiął brew w podziwie.

- Jesteś bezczelny - zauważyła dziewczyna.

- Jestem wytrwały - wzniosł widelec w górę, jakby ją pouczał.

- Za bardzo jesteś pewny siebie - Sasza się uśmiechnęła.

- W ogóle wierzę w ludzi, no a w siebie to w szczególności - wymamrotał niewyraźnie przeżuając.

Wrócił stary, postął za plecami intruza, zrobił niezadowoloną minę, ale usiadł na swoim stołku.

- Sasza, nie jest ci ciasno? - spytał ostro omijając muzyka wzrokiem.

- Sasza! - powtórzył ten uroczyście, odrywając się od miski. - Bardzo mi miło. Ja, przypomnę, nazywam się Leonid.

- Nikołaj Iwanowicz - zerkając na niego z ukosa ponuro powiedział Homer. - A co pan za melodię dzisiaj wykonywał? Zdawała się znajoma...

- Nic dziwnego, już trzeci dzień ją tutaj wykonuję - odparł ten z naciskiem na ostatnie słowo. - A to w ogóle kompozycja własna.

- Twoja? - Sasza odłożyła sztucce. - A jak się nazywa?

- Nie nazywa się - Leonid wrzucił ramionami. - Jakoś nie myślałem nad tytułem. A poza tym jak mam to ująć w słowach? No i po co?

- Bardzo ładne - przyznała dziewczyna. - Wprost przepiękne.

- A więc mogę dać tytuł na twoją cześć - odparł niezmiśniony muzyk. - Zaslugujesz na to.

- Nie trzeba - pokręciła głową. - Niech już lepiej będzie bez tytułu. Jest w tym sens.

- W tym, żeby poświęcić ją tobie też jest pewien sens - chciał się roześmiać, ale udławił się i zakasłał.

- No, gotowa? - stary wziął tacę Saszy i wstał. - Już czas. Proszę nam wybaczyć, młody człowieku...

- Nie szkodzi! Już podjadłem. Pozwoli pan, że odprowadzę panienkę kawalek?

- Wyjeżdżamy - ostro powiedział Homer.

- Super! Ja też. Na Dobrynińską - muzyk przybrał niewinną minę. - Wam nie po drodze?

- Po drodze - nieoczekiwanie dla samej siebie odparła Sasza, starając się nie patrzeć w stronę Homera i wciąż przeskakując wzrokiem na Leonida.

Była w nim jakaś lekkość, dobroduszny humor. Niczym chłopczyk fechtujący patykiem, wyprowadzał lekkie nieszkodliwe ciosy, za które nie umiał się poważnie gniewać nawet starszek. A swoje aluzje kierował do Saszy w tak udawany i żartobliwy sposób, że nie myślała nawet, by brać je na serio... A co złego w tym, że mu się podoba?

Poza tym, w jego muzyce zakochała się na długo przedtem, zanim poznała jego samego. A pokusa, by wziąć ze sobą w drogę tę magię była zbyt wielka.

Cała rzecz w muzyce, nie inaczej. Diabelski smarkacz niczym szczurołap z Hameln mamił niewinne duszyczki, grając na swoim odpicowanym flecie i wykorzystywał swój dar, by psuć wszystkie kobiety wokół siebie. A więc próbował się też dobrać do Aleksandry, a Homer nawet nie wiedział, co z tym zrobić!

Przełykanie jego grubych żartów przychodziło starem z wielkim trudem, i bardzo szybko stanęły mu kością w gardle. Drażniło też Homera to, jak szybko Leonid potrafił się dogadać z nieugiętymi władzami Hanzy, żeby całej trójce pozwolili przejść po Linii Okrężnej jedną stację do Dobrynińskiej, i to bez dokumentów! Do rezydencji naczelnika stacji, starego, łysego modnisia z wąsami jak u karalucha, muzyk wszedł z futerałem pełnym naboju, a wyszedł z uśmiechem i bez balastu.

Homer był zmuszony przyznać, że jego zdolności dyplomatyczne im się przydały: motodrezyna, na której przybyli na Pawielecką przepadła razem z Hunterem, a droga naokoło mogłaby zająć nawet tydzień.

Ale przede wszystkim starego zdenerwowała ta łatwość, z jaką grajek urwał się z dochodowej stacji i rozstał z całym zarobkiem, tylko po to, żeby wyprawić się do tuneli za jego Saszą. W innym wypadku taka łatwość wskazywałaby na zakochanie, ale tu stary widział tylko niepoważne zamiary i przyzwyczajenie do szybkich podbojów.

Tak, Homer powolutku zamieniał się w zrzędliwą guwernantkę... Ale miał podstawy, by być czujnym, i miał powód do zazdrości. Tylko tego mu teraz brakowało - żeby jego znowu cudem ocalała muza uciekła z wędrownym grajkiem! Z całkowicie, trzeba przyznać, zbędną postacią, dla której w jego powieści nie było miejsca, a która przyniosła własny stołek i po chamsku usiadła w samym środku.

- Czy na całej Ziemi nikt nie ocalał?

Ich trójka szła już w stronę Dobrynińskiej w asyście trzech wartowników: robiąc

właściwy użytek z nabożów można było spełnić najśmielsze marzenia.

Dziewczyna, która dopiero co zachłystywała się opowieścią o swojej wyprawie na powierzchnię, teraz zacięła się i posmutniała. Homer wymienił spojrzenia z muzykiem: kto pierwszy rzuci się do pocieszania?

- Czy istnieje życie poza obwodnicą Moskwy? - mruknął stary. - Młode pokolenie też zadaje sobie to pytanie?

- Oczywiście, że istnieje - powiedział z przekonaniem Leonid - Rzecz nie w tym, że nikt inny nie przeżył, po prostu nie ma łączności!

- No, ja na przykład słyszałem, że gdzieś za Tagańską jest tajemny korytarz, który prowadzi do pewnego ciekawego tunelu - zaczął stary. - Niby zwyczajny tunel, sześć metrów średnicy, tylko bez szyn. Leży głęboko, na jakichś czterdziestu metrach, może nawet pięćdziesięciu. Ciągnie się daleko na wschód...

- To nie jest ten tunel, który prowadzi do uralskich bunkrów? - przerwał mu Leonid. - To jest ta historia o człowieku, który trafił do niego przypadkiem, a potem wrócił z zapasem jedzenia i...

- Szedł tydzień z krótkimi przerwami, potem zaczął mu się kończyć prowiant, i musiał wracać. Tunelowi nie było widać końca - zakończył pośpiesznie Homer, rezygnując z baśniowego stylu opowiadania. - Tak, mówi się, że do uralskich bunkrów. Gdzie mógł jeszcze zostać ktoś przy życiu.

- Wątpliwe - ziewnął muzyk.

- Opowiadał mi też kiedyś znajomy w Polis o tym, że jeden z tamtejszych radiooperatorów połączył się z załogą czołgu, który zdążyli zamknąć na głucho i pojechać w taką głośzę, że nikomu nawet by do głowy nie przyszło ją bombardować... - demonstracyjnie zwracając się do Saszy, kontynuował stary.

- No, tak - pokiwał głową Leonid. - Też znana historia. Kiedy skończyła im się ropa, wkopali czołg w ziemię na wzgórzu, a dookoła stworzyli całą osadę. I jeszcze przez kilka lat rozmawiali wieczorami przez radio z Polis.

- Aż zepsuł się odbiornik - dopowiedział z rozdrażnieniem Homer.

- No, a o łodzi podwodnej? - pociągnął jego rywal. - O okręcie atomowym, który był akurat w rejsie na pełnym zanurzeniu i kiedy zaczęła się wymiana uderzeń jądrowych, po prostu nie zdążył wyjść na pozycję bojową. A kiedy wypłynął, było już dawno po wszystkim. I wtedy załoga zacumowała ją na zawsze niedaleko Władywostoku...

- I jego reaktor po dziś dzień zasila całą osadę - wtrącił stary. - Pół roku temu spotkałem człowieka, który zapewniał, że jest pierwszym pomocnikiem kapitana tego okrętu. Mówił, że

przejechał wszerz cały kraj na rowerze i w końcu dotarł do Moskwy. Trzy lata jechał.

- Sam pan z nim rozmawiał? - zdziwił się uprzejmie Leonid.

- Sam - odciął się Homer.

Legendy zawsze były jego konikiem, i po prostu nie mógł pozwolić, by ten arogancki smarkacz go przyćmił. W zapasie pozostała mu jeszcze jedna historia, jego najskrytszy sekret. Zamierzał opowiedzieć ją przy całkiem innej okazji, a nie tracić ją po próżnicy w bezsensownym sporze... Ale widząc, jak Sasza śmieje się z kolejnego żartu tego cwaniaka, jednak się zdecydował.

- A o Polarnych Zoriach pan nie słyszał?

- O zorzach? - odwrócił się do niego muzyk.

- No, jak to? - uśmiechnął się powściągliwie stary. - Daleka Północ, Półwysep Kolski, miasto Polarnyje Zori. Miejsce zapomniane przez Boga. Do Moskwy z półtora tysiąca kilometrów, do Petersburga co najmniej tysiąc. Bliżej jest co najwyżej Murmańsk z jego bazami morskimi, ale i do niego jest kawałek.

- Jednym słowem, zapadła dziura - popędził go Leonid.

- Z dala od wielkich miast, od tajnych zakładów i baz wojennych. Z dala od wszystkich głównych celów. Te miasta, których nie mogła ochronić nasza obrona przeciwrakietowa, zostały starte w pył i popiół. Te, nad którymi była tarcza, gdzie zdążyły zadziałać rakiety przechwytyjące - stary popatrzył w górę - sam pan wie. Ale były przecież i miejsca, w które nikt nie celował... Bo nie stanowiły żadnego zagrożenia. Polarnyje Zori, na przykład.

- One i teraz nikogo nie obchodzą - odezwał się muzyk.

- I niesłusznie - odciął się stary. - Dlatego że obok miasta Polarnyje Zori znajdowała się Kolska Elektrownia Atomowa. Była jedną z najsilniejszych w kraju. Zaopatrywała w energię prawie całą Północ. Miliony ludzi. Setki przedsiębiorstw. Przecież sam stamtąd jestem, z Obwodu Archangielskiego. Wiem, co mówię. I bywałem w tej elektrowni, jeszcze w szkole, na wycieczkach. Istna twierdza, państwo w państwie. Prywatna mini-armia, własne poletka, gospodarstwa pomocnicze. Mogli istnieć autonomicznie. Choćby przyszła wojna atomowa - w ich życiu nic by się nie zmieniło - uśmiechnął się niewesoło.

- I chce pan powiedzieć...

- Petersburg przepadł, Murmańsk przepadł, Archangielsk też. Miliony ludzi zginęły, fabryki - razem z miastami... Kamień na kamieniu. A miasto Polarnyje Zori ocalało. I Kolska Elektrociepłownia Atomowa nie ucierpiała. Wokół w promieniu tysięcy kilometrów jest tylko śnieg, śnieg i pola lodowe, wilki i białe niedźwiedzie. Łączności z centrum nie ma. A oni mają wystarczająco dużo paliwa, żeby zaopatrywać duże miasto nie rok i nie dwa. A im

samym, nawet razem z Polarnymi Zoriami, starczy i na sto lat. Spokojnie przezimują.

- Toż to prawdziwa arka... - wyszeptał Leonid. - I kiedy potop się skończy i wody opadną, ze szczytu góry Ararat...

- Właśnie - potwierdził stary.

- Skąd pan o tym wie? - w głosie muzyka nie było już ironii ani znudzenia.

- Wypadło i mnie pracować kiedyś jako radiooperator - odparł wymijająco Homer. - Bardzo chciałem znaleźć choć jednego żywego człowieka w rodzinnych okolicach.

- Długo tam pociągną, na Północy?

- Na pewno. Ostatni raz, co prawda, łączyłem się z nimi ze dwa lata temu. Ale wyobraża pan sobie, co to znaczy - mieć elektryczność jeszcze przez całe stulecie? W ciepłe? Ze sprzętem medycznym, z komputerami, z bibliotekami elektronicznymi na twardych dyskach? Pan to już nie ma skąd o tym wiedzieć... W całym metrze komputerów są dwie sztuki, a i te są tylko jak zabawki. A to jest stolica - uśmiechnął się gorzko stary. - A jeśli gdzieś jeszcze uratowali się ludzie - nie chodzi mi o jednostki, a chociażby jakieś wioseczki... U nich przecież już dawno wrócił siedemnasty wiek, i to w najlepszym wypadku, a tak w ogóle to era kamienia łupanego. Pochodnie, zezwierzęcenie, czarna magia, co trzecie dziecko umiera przy porodzie. Liczydła, gramoty na korze brzoźowej. I oprócz dwóch najbliższych chutorów, nic więcej na świecie nie ma. Bezludna głusza. Wilki, niedźwiedzie, mutanty. W końcu cała współczesna cywilizacja - stary kaszlnął rozglądając się dookoła - jest zbudowana na elektryczności. Gdy zniknie energia, zgniją stacje i koniec. Przez stulecia miliardy ludzi budowało ten gmach cegiełka po cegiełce, i wszystko na nic. Zaczynaj od nowa. A czy się uda? A tam mają jeszcze sto lat zapasu! Słusznie pan powiedział, to arka Noego. Prawie nieograniczony zapas energii! Ropę przecież trzeba wydobywać i przetwarzać, gaz - odwierty i rurociągi mające tysiące kilometrów! Czyli co, z powrotem do silników parowych? Albo jeszcze wcześniej? Powiem ci - wziął Saszę za rękę. - Ludziom nic nie grozi. Ludzie są żywotni jak karaluchy. Ale cywilizacja... Żeby ją się dało zachować.

- A u nich to ta cywilizacja się zachowała?

- Niech pan będzie spokojny. Inżynierowie jądrowi, inteligencja techniczna. A warunki to już na pewno mają lepsze od naszych tutaj. W ciągu dwudziestu lat Polarnyje Zori pięknie się rozwinęły. Nastawili nadajnik radiowy na ciągłe powtarzanie: „Do wszystkich ocalałych...” i współrzędne. Mówią, że do tej pory ludzie się schodzą...

- Dlaczego nigdy o tym nie słyszałem? - wymamrotał muzyk.

- Mało kto słyszał. Stąd trudno złapać ich sygnał. Ale niech pan kiedyś popróbuje, jak znajdzie pan akurat parę wolnych lat - stary uśmiechnął się ironicznie. - Sygnał wywoławczy:

„Ostatnia przystań”.

- Wiedziałbym o tym - poważnie pokręcił głową ten. - Zbieram takie przypadki... I co, niby cały czas mieli spokój?

- Jakby to powiedzieć... Wokół pustkowie, jeśli były jakieś wsie i miasteczka, to szybko zdziczały. Zdarzało się, że napadali ich barbarzyńcy. No, i oczywiście zwierzęta, jeśli można tak je nazwać. Ale arsenał mieli wystarczający. Pierścień obronny, strefa buforowa. Druk kolczasty pod napięciem, wieże strażnicze. Mówiłem, istna twierdza. A przez pierwsze, najgorsze dziesięć lat udało im się postawić jeszcze jeden mur, częstokół z pali. Zbadali wszystko dookoła... Doszli do Murmańska, dwieście kilometrów. Z Murmańska został wypalony lej. Zamierzali nawet zorganizować ekspedycję na południe, do Moskwy... Odradzałem im. Po co odcinać pępowinę? Zmniejszy się promieniowanie, będzie można zagospodarować nowe tereny - wtedy tak... A na razie nie ma tu nic do roboty. Jeden wielki cmentarz - westchnął Homer.

- To będzie zabawne - rzekł nagle Leonid - jeśli ludzkość, która sama się unicestwiła atomem, dzięki niemu też ocaleje.

- Mało to zabawne - spojrzał na niego surowo stary.

- To jak ogień wykradzony przez Prometeusza - wyjaśnił tamten. - Bogowie zabronili mu przekazywać ogień ludziom. A on chciał wyciągnąć człowieka z błota, ciemności i zwierzęcej wegetacji...

- Czytałem, czytałem - przerwał mu szyderczo Homer. - „Mity i legendy starożytnej Grecji”.

- Proroczy mit - zauważył Leonid. - Nie na darmo bogowie byli temu przeciwni. Wiedzieli, czym to się wszystko skończy.

- Ale to właśnie ogień uczynił człowieka człowiekiem - zaproponował stary.

- Uważa pan, że bez prądu znów zamieni się w zwierzę? - spytał muzyk.

- Uważam, że bez niego cofnęliśmy się o dwieście lat. A biorąc pod uwagę, że przeżył jeden na tysiąc i że wszystko trzeba od nowa budować, opanowywać, badać - to o pięćset. A może nigdy już tego nie nadrobimy. Co, nie zgadza się pan?

- Zgadza - odparł Leonid. - Ale czy rzeczywiście rzecz tylko w elektryczności?

- A jak pan myśli? - w ferworze klasnął w ręce Homer.

Muzyk zmierzył go dziwnym, przeciągłym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

Milczenie się przeciągało. Taki koniec rozmowy Homer mógł w pełni uznać za swoje zwycięstwo: dziewczyna wreszcie przestała pożerać bezczelnego chłopaka wzrokiem i

pogrzyżyła się w swoich myślach. Ale kiedy do stacji było już całkiem blisko, Leonid nieoczekiwanie się odezwał:

- No cóż. To teraz ja wam opowiem pewną historię.

Stary najlepiej jak umiał okazał zdumienie, ale odpowiedział łaskawym skinieniem.

- Mówi się, że gdzieś za stacją Sportiwną i przed zniszczonym Mostem Sokolniczeskim od głównego tunelu ostro w dół odchodzi ślepa odnoga. Kończy się ona kratą, za którą jest zamknięta na głucho zapora. Wrota nie raz próbowano otworzyć, ale nigdy do niczego to nie doprowadziło. A jeśli wyprawiali się tam samotni wędrowcy, prawie nigdy już nie wracali, a ich ciała odnajdywano w zupełnie innych krańcach metra.

- Szmaragdowy Gród? - skrzywił się Homer.

- Wszystkim wiadomo - nie zwracając na niego uwagi kontynuował Leonid - że Sokolniczeski Most Kolejowy runął od razu pierwszego dnia i wszystkie stacje za nim zostały odcięte od metra. Przyjęło się uważać, że nikt z tych, którzy zostali po tamtej stronie mostu, się nie uratował, chociaż nie ma na to żadnych dowodów.

- Szmaragdowy Gród - niecierpliwie machnął ręką Homer.

- Wszystkim także wiadomo, że Uniwersytet Moskiewski został zbudowany na grząskim gruncie. Ogromny budynek trzymał się na nim tylko dzięki temu, że w jego piwnicach pracowały potężne chłodziarki, które zamrażały podmokłą glebę. Bez nich gmach dawno spłynąłby do rzeki.

- Wyświechtany argument - widząc, do czego tamten zmierza, zdążył wtrącić stary.

- Minęło już ponad dwadzieścia lat, jednak porzucony budynek z jakiegoś powodu wciąż stoi tam, gdzie stał...

- A z takiego, że to bujda!

- Chodzą słuchy, że pod Uniwersytetem jest nie jakaś tam piwnica, a wielki strategiczny schron przeciwlotniczy głęboki na dziesięć pięter, w którym były nie tylko chłodziarki, ale też własny reaktor atomowy i pomieszczenia mieszkalne, oraz połączenia z najbliższymi stacjami metra, a nawet z Metrem-2 - Leonid mówiąc do Saszy zrobił straszne oczy, sprawiając, że się uśmiechnęła.

- Nic nowego na razie nie usłyszałem - zaatakował go z pogardą Homer.

- Mówią, że jest tam prawdziwe podziemne miasto - ciągnął z rozmarzeniem muzyk. - Miasto, którego mieszkańcy - bo oni, rzecz jasna, wcale nie zginęli - poświęcili się zbieraniu ziarnko do ziarnka utraconej wiedzy i służbie pięknu. Nie żałując środków wysyłają ekspedycje do ocalałych galerii malarstwa, muzeów i bibliotek. A swoje dzieci wychowują tak, żeby nie zatraciły poczucia piękna. Panuje tam pokój i harmonia, nie ma tam innych

ideologii oprócz oświecenia, i innych religii oprócz sztuki. Nie ma tam nędznych ścian pomalowanych farbą olejną na dwa prostackie kolory - wszystkie są pokryte cudownymi freskami. Z głośników zamiast szczekaczki rozkazów i syren alarmowych dochodzi Berlioz, Haydn i Czajkowski. I każdy, niech pan sobie wyobrazi, potrafi z pamięci cytować Dantego. I to właśnie tym ludziom udało się pozostać takimi, jak wcześniej. Nawet nie, nie jak w dwudziestym pierwszym wieku, a tacy jak w antyku... No, ale przecież czytał pan w „Mitach i legendach”... - muzyk uśmiechnął się do starego jak do przygłupa. - Wolni, odważni, mądrzy i piękni. Sprawiedliwi. Szlachetni.

- Nigdy nic podobnego nie słyszałem! - Homer miał tylko nadzieję, że ten podstępny diabeł nie nabierze na to dziewczyny.

- W metrze - Leonid spojrzał uważnie na starego - nazywają to miejsce Szmaragdowym Grodem. Ale mówi się, że jego mieszkańcy wolą inną nazwę.

- Niby jaką?! - wybuchnął Homer.

- Arka.

- Bzdura! Kompletna bzdura! - stary prychnął i odwrócił się.

- Bzdura, rozumie się - flegmatycznie odparł muzyk. - Przecież to bajka.

Dobrynińska była pogrążona w chaosie.

Homer ze zdziwieniem i przestachem rozglądał się dookoła: czy mu się wydaje? Coś takiego może się dziać na jednej ze spokojnych stacji Linii Okrężnej? Zaczął mieć wrażenie, że w ciągu ostatniej godziny Hanzie ktoś zdążył wypowiedzieć wojnę.

Z równoległego tunelu wystawała dreźyna towarowa, na której jak popadło zwalono trupy. Wojskowi sanitariusze w fartuchach przenosili zabitych na peron, kładli ich na brezencie: u jednego głowa była oddzielona od ciała, drugi nie miał na twarzy jednego nietkniętego miejsca, trzeci miał wnętrzności na wierzchu...

Homer zasłonił Saszy oczy. Leonid nabrał powietrza i odwrócił się od tego widoku.

- Co się stało? - spytał z przestachem sanitariuszy jeden z przydzielonych ich trojgu wartowników.

- Nasz posterunek z dużego skrzyżowania, na głównej SSP. Wszyscy tu są, co do jednego. Nikt nie ocalał. I nie wiadomo, kto to zrobił - sanitariusz wytarł dłonie o fartuch. - Bracie, dałbyś zapalić, co? Ręce się człowiekowi trzęsą...

Główna SSP. Linia-pająk, zaczynała się za Pawielecką promienistą i łączyła jednocześnie cztery nitki - Okrężną, szarą, pomarańczową i zieloną. Homer zakładał, że Hunter wybierze właśnie tę drogę, najkrótszą, lecz chronioną przez wzmocnione patrole Hanzy.

Po co taki rozlew krwi?! Otworzyli do niego ogień jako pierwsi, czy nawet nie zdążyli go dostrzec w mrokach tunelu? I gdzie on teraz jest? o Boże, jeszcze jedna głowa... Jak on mógł coś takiego zrobić?

Homer przypomniał sobie stłuczone lustro i słowa Saszy. Czyżby miała rację? Może brygadier walczył ze sobą, starając się powstrzymać od niepotrzebnego zadawania śmierci, ale nie umiał się pohamować? I rozbijając lustro rzeczywiście chciał uderzyć tego strasznego, szkaradnego człowieka, w którego stopniowo się przeobrażał...

Nie. Hunter nie zobaczył w nim człowieka, a prawdziwego potwora. I to jego chciał ugodzić. Ale potłukł tylko szkło, z jednego odbicia stworzył ich dziesiątki.

A może... Stary obserwował drogę sanitariuszy od drezyny do peronu... Ósmy, ostatni. Może to właśnie z lustra wciąż jeszcze smutno patrzył człowiek? Dawny Hunter?

A tamten... Drugi... był już na zewnątrz?

Rozdział 14

Co jeszcze

I rzeczywiście, co czyni człowieka człowiekiem?

Błąka się po ziemi już ponad milion lat, lecz magiczna transformacja, która przemieniła zmyślne zwierzę w coś zupełnie innego, niesłychanego, dokonała się w nim jakieś dziesięć tysięcy lat temu. Pomyśleć tylko, dziewięćdziesiąt dziewięć setnych swojej historii gnieździł się w jaskiniach i żuł surowe mięso, nie potrafiąc się ogrzać, skonstruować narzędzi i porządnej broni, nie umiejac nawet tak naprawdę mówić! Również uczuciami, których był zdolny doznawać, człowiek nie różnił się od małp czy wilków: głód, strach, przywiązanie, troska, zadowolenie...

Jak to się stało, że nagle, w ciągu tych niewielu stuleci, nauczył się wymyślać, układać i zapisywać twory swojego umysłu, przetwarzać otaczającą go materię i dokonywać wynalazków, skąd mu się wzięła chęć rysowania i jak odkrył muzykę? Jak udało mu się opanować cały świat i przerobić go na własne potrzeby? Co dziesięć tysięcy lat temu zostało dodane do tego zwierzęcia?

Ogień? Dano człowiekowi możliwość oswojenia światła i ciepła, zabrania ich ze sobą do niezamieszkałych zimnych krain, pieczenia zdobyczy nad ogniskiem, dogadzając w ten sposób własnemu brzuchowi? Ale co to zmieniło? Pozwoliło mu tylko rozszerzyć swoje panowanie. Ale szczury i bez ognia potrafiły zapełnić całą planetę, pozostając wciąż tym, czym były pierwotnie - sprytnymi stadnymi ssakami.

Nie, to jednak nie był ogień; w każdym razie nie tylko ogień - muzyk miał rację. Coś jeszcze... Co?

Język? Tak, to niewątpliwie odróżnia człowieka od pozostałych zwierząt. Szlifowanie nieoczyszczonych myśli w brylanty słów, które mogą stać się wspólną monetą, trafić do wszystkich. Umiejętność nawet nie tyle wyrażania tego, co powstaje w głowie, a porządkowania; wlewanie niestałych, płynnych jak roztopiony metal obrazów w sztywne formy. Jasność i trzeźwość umysłu, możliwość, by ściśle i jednoznacznie przekazywać z ust do ust polecenia i wiedzę. Stąd zdolność do organizowania się i podporządkowywania, zwoływania armii i tworzenia państw.

Lecz mrówki obywają się bez słów, na swoim, niezauważalnym dla człowieka poziomie tworząc prawdziwe metropolie, odnajdując swoje miejsce w najbardziej skomplikowanych hierarchiach, wymieniając między sobą dokładne informacje i komendy, powołując tysiące tysięcy do nieustraszonych legionów z żelazną dyscypliną, które ścierają się w niesłyszalnych, lecz bezlitosnych wojnach między ich kieszonkowymi imperiami.

Więc może pismo?

Litery, bez których nie byłoby możliwości gromadzenia wiedzy? Te właśnie cegły, z których była zbudowana sięgająca nieba babilońska wieża globalnej cywilizacji? Bez których niewypalona glina mądrości zdobytej przez jedno pokolenie rozmywałaby się i roztrzaskiwała, zapadała i rozsypywała w pył, nie wytrzymując własnego ciężaru? Bez nich każda kolejna generacja zaczynałaby budować wielką wieżę od początku, grzebałaby się całe życie w ruinach poprzedniej budowli, aż zdechłaby nie kończąc następnego piętra.

Litery, umiejętność pisania, pozwoliły człowiekowi, by wyniósłszy zdobytą wiedzę poza granice swojej ciasnej czaszki, zapisywał ją w niezmienionej formie dla swoich potomków, wybawiając ich od konieczności ponownego odkrywania tego, co dawno odkryte, pozwalając im budować to, co ich własne, na solidnym fundamencie otrzymanym od przodków.

Ale przecież to nie tylko litery...

Czy gdyby wilki umiały pisać, ich cywilizacja przypominałaby ludzką? Czy miałyby cywilizację?

Wilk, kiedy jest syty, popada w błogą apatię, spędzając czas na pieszczotach i zabawie, dopóki klucie w brzuchu nie popędzi go dalej. Kiedy człowiek jest syty, budzi się w nim tęsknota innego rodzaju. Nieuchwytna, niepojęta - ta sama, która sprawia, że godzinami patrzy w gwiazdy, szoruje ochrą po ścianach swojej jaskini, ozdabia rzeźbionymi figurami dziób swojej łodzi wojennej, przez całe stulecia garbi się pod ciężarem, by wznosić kamienne kolosy, zamiast wzmocnić ściany twierdz, i traci życie na cyzelowanie sztuki posługiwania się słowem, zamiast doskonalić się w sztuce władania mieczem. Ta sama, która sprawia, że były pomocnik maszynisty poświęca swoje ostatnie lata na poszukiwania, poszukiwania i próby napisania czegoś... Czegoś takiego... Tęsknota, którą próbuje ukoić brudny i nędzny tłum, kiedy uważnie słucha wędrownych skrzypków, król, kiedy przygarnia trubadurów i rozacza mecenat nad malarzami, a urodzona w podziemiach dziewczyna długo przypatruje się pomalowanemu byle jak opakowaniu po herbacie. Niejasny, lecz potężny zew, który zdolny był nawet zagłuszyć głód - to miał tylko człowiek.

Czy to nie on poszerza dostępną pozostałym zwierzętom gamę uczuć, dając też człowiekowi umiejętność snucia marzeń, i zuchwałość posiadania nadziei, i odwagę

okazywania litości? Miłość i współczucie, które człowiek często uważa za cechę, która go wyróżnia, nie są jego odkryciem. Pies jest zdolny i do miłości, i do współodczuwania: kiedy choruje jego pan, on nie odchodzi od niego na krok i skomle. Pies może nawet tęsknić i widzieć sens swojego życia w innym stworzeniu: jeśli umrze jego pan, on czasem jest gotów zdechnąć tylko po to, żeby z nim zostać. Ale marzyć jednak nie potrafi.

A więc tęsknota za pięknem i umiejętność jego uznawania? Zdziwiająca zdolność do rozkoszowania się połączeniami barw, szeregami dźwięków, załomów linii i wdziękiem słownych konstrukcji? Do wydobywania z nich słodkiego i chwytającego za serce duchowego tonu? Który porusza każdą duszę - i zalaną tłuszczem, i pokrytą odciskami, i poharataną, i pomaga im oczyścić się z narośli?

Być może. Ale nie tylko ona.

Żeby zagłuszyć serie z automatów i rozpaczliwe krzyki związanych nagich ludzi, innym zdarzało się puszczać na pełnej głośności wspaniałe Wagnerowskie symfonie. Nie było w tym sprzeczności: jedno tylko podkreślało drugie.

A więc co jeszcze?

I nawet jeśli człowiek przetrwa w tym obecnym piekle jako gatunek biologiczny, to czy zachowa tę kruchą, prawie nieświadomioną, lecz niewątpliwie realną część swojej istoty? Tę iskrę, która dziesięć tysięcy lat wcześniej przekształciła na wpół głodne zwierzę z mętnym wzrokiem w istotę innego porządku? W stworzenie targane duchowym głodem silniej niż głodem cielesnym? Stworzenie miotające się, wiecznie miotające się między duchową wielkością a małością, między niezrozumiałym miłosierdziem, niedopuszczalnym u drapieżników, i nieusprawiedliwionym okrucieństwem, z którym nie mógł się równać nawet bezduszny świat owadów? Wznoszące wspaniałe pałace i malujące niewiarygodne malowidła, dorównując Stwórcy w umiejętności syntezy czystego piękna - i konstruujące komory gazowe i bomby wodorowe, by unicestwić wszystko, co samo stworzyło i jak najmniejszym kosztem tępić sobie podobnych? Starannie stawiające na plaży zamki z piasku i namiętnie je burzące? Iskrę, która przekształciła je w istotę nie znającą granic w niczym, trwożliwą i niespożytą, która nie umie zaspokoić swego dziwnego głodu, ale poświęca całe życie na takie próby? W człowieka?

Czy to w nim zostanie? Czy zostanie po nim?

Czy też ten krótki wyskok na wykresie historii zniknie w przeszłości człowieka, wpychając go po tym dziwnym, trwającym jeden procent czasu jego istnienia odchyleniu z powrotem w odwieczne otępienie, w beczas, do którego przywykł, gdzie zmieniają się niezliczone pokolenia przeżywające coś bez odrywania oczu od ziemi, i gdzie sto, pięćset,

tysiąc lat mija jednakowo niepostrzeżenie?

Co jeszcze?"

- To prawda?

- Co konkretnie? - uśmiechnął się do niej Leonid.

- O Szmaragdowym Grodzie? O Arce? Że jest w metrze takie miejsce? - spytała w zamyśleniu Sasza, patrząc pod nogi.

- Chodzą takie słuchy - odparł wymijająco.

- Fajnie by było kiedyś tam trafić - ciągnęła. - Wiesz, kiedy spacerowałam tam, na górze, to było mi tak szkoda ludzi. Tego, że jeden raz się pomylili... I już nie dadzą rady przywrócić wszystkiego, tak jak było. A tam było tak dobrze... Tak myślę.

- Pomyłka? Nie, to najcięższa ze zbrodni - odpowiedział jej poważnie muzyk. - Zniszczyć cały świat, uśmiercić sześć miliardów ludzi to pomyłka?

- Wszystko jedno... A czy ty i ja nie zasługujemy na przebaczenie? Każdy zasługuje. Każdemu trzeba dać szansę zmienić siebie i wszystko, spróbować od nowa, jeszcze jeden raz, choćby ostatni - umilkła. - Tak bym chciała zobaczyć, jak to wszystko naprawdę wyglądało... Kiedyś mnie to nie interesowało. Kiedyś po prostu się bałam, i wszystko zdawało mi się tam brzydkie. A okazało się, że po prostu wychodziłam na górę w niewłaściwym miejscu. To takie głupie... To miasto nad nami - to jak moje wcześniejsze życie. Żadnej przyszłości. Tylko wspomnienia, i to cudze... Tylko upiory. I kiedy tam byłam zrozumiałam coś bardzo ważnego, wiesz... - Sasza się zacięła. - Nadzieja to jak krew. Dopóki płynie w twoich żyłach, żyjesz. Chcę mieć nadzieję.

- A po co chcesz iść do Szmaragdowego Grodu? - zapytał muzyk.

- Chcę zobaczyć, poczuć, jak to było żyć wtedy... Przecież sam mówiłeś... Tam ludzie pewnie rzeczywiście muszą być zupełnie inni. Ludzie, którzy nie zapomnieli, jak było wczoraj, i którzy mają pewność jutra, muszą być całkiem, całkiem inni...

Włoczyli się niespiesznie po holu Dobrynińskiej, uważnie obserwowani przez wartowników. Homer z wyraźną niechęcią zostawił ich we dwoje, idąc na rozmowę z naczelnikiem stacji, który teraz z jakiegoś powodu się spóźniał. Hunter zaś do tej pory się nie pojawił.

W wystroju marmurowego holu Dobrynińskiej Sasza dostrzegła aluzję: wyłożone kamieniem duże łuki prowadzące do torów przeplatały się tu z małymi, ślepymi. Duży, mały, znów duży, znów mały. Jak trzymający się za ręce mężczyzna i kobieta, mężczyzna i kobieta... I raptem jej też zachciało się włożyć rękę w szeroką i silną męską dłoń. Schować się

w niej choć na chwilę.

- Tu też można budować nowe życie - powiedział Leonid, puszczając oko do dziewczyny.

- Niekoniecznie trzeba gdzieś chodzić, czegoś szukać... Bywa, że wystarczy rozejrzeć się dookoła.

- I co zobaczę?

- Mnie - spuścił wzrok z udawaną skromnością.

- Ciebie już widziałam. I słyszałam - Sasza w końcu odpowiedziała na jego uśmiech. - Bardzo mi się podoba jak grasz, tak jak i wszystkim innym... Nie są ci potrzebne twoje naboje? Tyle ich oddałeś, żeby nas tu wpuscili.

- Są potrzebne tylko po to, żeby starczało na jedzenie. A zawsze starcza. Głupio grać dla pieniędzy.

- W takim razie po co grasz?

- Dla muzyki - roześmiał się. - Dla ludzi. Nawet nie, to nie tak. Dla tego, co muzyka robi z ludźmi.

- A co ona z nimi robi?

- Mówiąc ogólnie - wszystko, co się chce - Leonid znowu spowaźniał. - Znam taką, która sprawia, że się kocha, i taką, która sprawia, że się płacze.

- A to, co grałeś poprzednim razem - Sasza spojrzała na niego podejrzliwie. - Ten utwór bez tytułu. Co on robi z ludźmi?

- Ten? - zagwizdał wstęp. - Nic nie robi. Po prostu usuwa ból.

- Ej, ty!

Homer zamknął zeszyt i zmienił pozycję na niewygodnej drewnianej ławce. Dyżurny siedział za niewielkim biurkiem, którego prawie całą powierzchnię zajmowały trzy stare czarne telefony bez przycisków i tarcz. W jednym z aparatów nastrojowo migiała czerwona lampka.

- Andriej Andriejewicz jest już wolny. Ma dla ciebie dwie minuty, jak wejdiesz, to nie mamlaj, tylko od razu do rzeczy - surowo instruował starego dyżurny.

- Dwie minuty nie wystarczą - westchnął Homer.

- Uprzedzałem cię - wzruszył ramionami tamten.

Nie starczyło i pięciu: stary nie bardzo wiedział, ani od czego zacząć, ani czym zakończyć, ani o co pytać, ani o co prosić, a oprócz naczelnika Dobrynińskiej nie miał się teraz do kogo zwrócić.

Jednak Andriej Andriejewicz - mokry ze złości potężny grubas w niedopasowanym

mundurze - nie słuchał starego długo.

- Czy ty nie rozumiesz?! Mam tu stan wyjątkowy, ośmiu ludzi poległo, a ty mi tu o jakichś epidemiach! Nic nie dostaniesz! Koniec, jeszcze mi będzie czas zabierać! Albo sam się stąd wyniesiesz...

Niczym wyskakujący z wody kaszalot, naczelnik podrzucił swoje cielsko w górę, o mało nie przewracając biurka, za którym siedział. Do gabinetu zajrzał z pytającą miną dyżurny. Homer, zmieszany, też podniósł się z twardego niskiego krzesła.

- Idę. Ale w takim razie po co wysłaliście wojsko na Sierpuchowską?

- A co ci do tego?!

- Mówią na stacji...

- Co mówią? Co mówią?! Wiesz co... Żebyś ty mi tu paniki nie wywołał... Pasza, weź go zamknij w małpiarni!

W mgnieniu oka Homer został wyrzucony do poczekalni. Na przemian przekonując go słownie i waląc w zęby, ochroniarz zaciągnął zapierającego się staruszka do wąskiego bocznego korytarza.

Między ciosami Homer zgubił aparat oddechowy; chciał spróbować powstrzymać oddech, ale od razu dostał w splot słoneczny i chrząknął z wysiłkiem. Kaszalot wynurzył się z gabinetu i stanął na progu wypełniając cały otwór drzwi.

- Puść go na razie, potem zrobimy z nim porządek... A ty to kto? Byłeś zapisany? - ryknął na następnego interesanta.

Homer zdążył jeszcze się do niego odwrócić.

Trzy kroki od niego, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zastygł nieruchomo Hunter. Ubrany w ciasny, nie swój mundur, z twarzą skrytą w cieniu podniesionej przyłbicy hełmu, jak się zdawało nie poznawał starego i nie zamierzał interweniować. Homer spodziewał się, że niczym rzeźnik będzie uwalany we krwi, ale jedyna purpurowa plama na ubraniu brygadiera pochodziła od jego własnej rany. Przerzuciwszy kamienny wzrok na naczelnika stacji, Hunter nagle ruszył powoli w jego kierunku, jakby zamierzając wejść do gabinetu wprost przez jego ciało.

Ten speszył się, wymamrotał coś i cofnął, zwalniając przejście. Ochroniarz trzymający Homera zamarł w oczekiwaniu. Hunter przecisnął się do środka w ślad za wycofującym się grubasem, jednym lwim rykiem sprawił, że ten spokorniał i zamilkł. Potem przeszedł na władczy szept.

Dyżurny puścił starego, podszedł do drzwi i przekroczył próg. W ciągu sekundy wyrzucił

go stamtąd potok rysztokowych przekleństw; głos naczelnika stacji przechodził w pisk.

- I wypuść tego prowokatora! - krzyknął pod koniec, jakby powtarzał w hipnozie rozkaz kogoś innego.

Zaczerwieniony dyżurny wyskoczył jak oparzony, zamknął za sobą drzwi, powlókł się na swoje miejsce przy wejściu i wetknął nos w ulotkę z wiadomościami wydrukowaną na papierze pakowym. Kiedy Homer ruszył zdecydowanie obok jego biurka w stronę gabinetu naczelnika, ten przysunął swoją gazetkę jeszcze bliżej do twarzy, pokazując, że odtąd to co się dzieje zupełnie go nie dotyczy.

I dopiero teraz, patrząc triumfalnie na ochroniarza zakrywającego swoją hańbę gazetą, Homer zdołał przyjrzeć się jak należy jego telefonom. Na tym, który cały czas migał, był naklejony kawałek brudnobiałego plastra, na którym ktoś niebieskim długopisem napisał niewyraźnie jedno słowo... „Tulska”.

- Jesteśmy w kontakcie z Zakonem - spocony naczelnik Dobrynińskiej chrząścił stawami palców, ale nie odważył się podnieść oczu na brygadiera. - I nikt nas o tej operacji nie informował. Sam nie mogę podjąć takiej decyzji.

- Więc niech pan dzwoni do Centralnej - powiedział ten. - Macie czas na wydanie zgody. Ale mało.

- Oni tego nie poprą. To wystawi na niebezpieczeństwo stabilność Hanzy... Czy nie wie pan, że dla Hanzy nie ma nic ważniejszego? A my wszystko mamy pod kontrolą.

- Jaka do cholery stabilność?! Jeśli nie podejmie się odpowiednich środków...

- Sytuacja jest stabilna, nie rozumiem, co panu nie odpowiada - Andriej Andriejewicz pokręcił z uporem swoją ciężką głową. - Wszystkie wyjścia mamy na celowniku. Mysz się nie prześliznie. Lepiej poczekajmy, aż wszystko rozwiąże się samo.

- Nic się samo nie rozwiąże! - ryknął Hunter. - Doczekacie się tylko tego, że ktoś wyjdzie i przebiegnie górą albo znajdzie okrężną drogę. Stację należy oczyścić! Według wszystkich instrukcji! Nie rozumiem, dlaczego sami tego do tej pory nie zrobiliście!

- Ale tam przecież mogą być zdrowi ludzie. Jak pan to sobie wyobraża? Żeby rozkazał swoim chłopcom wystrzelać i spalić całą Tulska? I pociąg z sekciarzami? I może od razu Sierpuchowską? Bo połowa tam dziwki sobie wzięła i dzieci mają z nieprawego łoża... Nie, wie pan co! My nie faszyści. Wojna wojną, ale to... Wyrzynać chorych... Nawet kiedy na Białoruskiej była przyszczycza, to świnie po jednej roznosili w różne kąty - żeby chora zdechła, a zdrowa żyła, a nie od razu wszystkie zabijając.

- Bo tam były świnie, a tu są ludzie - bezbarwnym głosem powiedział brygadier.

- Nie, nie - naczelnik znów potrząsnął głową strząsając kropelki potu. - Nie mogę tego zrobić. To nieludzkie... Będę to miał na sumieniu. A ja... Po co mi coś takiego? Żeby mi się potem śniło po nocach?

- Sam pan nie będzie tego robił. Po to są ludzie, którym nie śnią się sny. Wystarczy, że przepuścicie nas przez swoje stacje. I koniec.

- Wyprawilem gońców do Polis, żeby dowiedzieli się o szczepionkę - Andriej Andriejewicz otarł pot rękawem. - Jest nadzieja, że...

- Nie ma żadnej szczepionki. Nie ma żadnej nadziei! Wystarczy chowania głowy w piasek! Dlaczego nie widzę tu oddziałów sanitarnych z Centralnej?! Dlaczego nie zgadza się pan, by tam zadzwonić i poprosić o zielone światło dla przejścia kohorty Zakonu?

Naczelnik uparcie milczał; nie wiadomo po co spróbował pozapinać guziki w swoim mundurze, pogrzebał przy nich śliskimi palcami i dał spokój. Podszedł do obdrapanego kredensu, nalał sobie do kieliszka aromatycznej nalewki, wypił duszkiem.

- A więc pan ich nie poinformował... - domyślił się Hunter. - Oni do tej pory o niczym nie wiedzą. Macie na sąsiedniej stacji epidemię, a oni nie mają o tym pojęcia...

- Odpowiadam za takie rzeczy głową - odparł ochryple tamten. - Epidemia na przyległej stacji oznacza dymisję. Dopuściłem... Nie zapobiegłem... Spowodowałem zagrożenie dla stabilności Hanzy.

- Na przyległej? Na Sierpuchowskiej?!

- Na razie jest tam spokój, ale za późno się zorientowałem... Nie zareagowałem na czas. Skąd wiadomo...

- I jak pan to im wszystkim wyjaśnił? Wojska na niezależnej stacji? Zablockowanie tuneli?

- Bandyci... Buntownicy. To się zdarza wszędzie. Nic szczególnego.

- A teraz już za późno, żeby się przyznać... - kiwnął głową brygadier.

- Teraz to już nie dymisja - Andriej Andriejewicz nalał sobie i natychmiast wychylił drugi kieliszek. - To już najwyższy wymiar kary.

- I co teraz?

- Czekam - naczelnik opuścił tyłek na swoje krzesło. - Czekam. A nuż?

- A czemu nie odbieracie ich telefonów? - wtrącił Homer. - Bez przerwy dzwoni - to z Tulskiej. A nuż...

- Nie dzwoni - stłumionym głosem odparł tamten. - Wyłączyłem dźwięk. Tylko lampka się pali. Póki się pali, to jeszcze żyją.

- Czemu pan nie odbiera?! - powtórzył ze złością stary.

- A co mam im powiedzieć? Żeby cierpliwie czekali? Żeby jak najszybciej wyzdrowieli?

Że nadchodzi pomoc?! Żeby strzelili sobie w łeb?! Starczyło mi jednej rozmowy z uciekinierami! - rozwścieczył się naczelnik.

- Natychmiast stul pysk - nakazał mu cichym głosem Hunter. - I słuchaj. Wrócę tu z oddziałem w ciągu doby. Mamy być bez przeszkód przepuszczeni na wszystkich posterunkach. Sierpuchowską będziesz trzymał zamkniętą. Pójdziemy na Tulską i oczyścimy ją. Jeśli będzie trzeba, oczyścimy też Sierpuchowską. Odegramy małą wojnę. Centralnej możesz nie informować. W ogóle nic nie będziesz musiał robić. Ja sam... Przywrócę stabilność.

Naczelnik, osłabły, sflaczały jak podziurawiona dętka od roweru, skinął ociężale. Nalał sobie jeszcze nalewki, powąchał, i przed wypiciem cicho spytał:

- Będziesz miał ręce po łokcie we krwi. Nie przeraża cię to?
- Krew łatwo się zmywa zimną wodą - oznajmił brygadier.

Kiedy wychodzili z gabinetu, Andriej Andriejewicz nabrał powietrza w płuca i tubalnym głosem wezwał do siebie dyżurnego. Ten wsunął się do środka i drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem. Zostawszy w tyle za Hunterem, stary pochylił się nad kontuarem, podniósł czarną słuchawkę z tajnego telefonu, przycisnął ją do ucha.

- Halo! Halo! Słyszę was! - wyszeptał do sitka mikrofonu.

Cisza. Nie głucha, jak przy przerwaniu przewodzie, a dźwięczna, jak gdyby po tamtej stronie była podniesiona słuchawka, ale po prostu nie miał kto Homerowi odpowiedzieć. Tak jakby ktoś bardzo długo tam czekał, aż ktoś podejdzie do telefonu, ale w końcu się nie doczekał. Tak jakby ta druga słuchawka charczała teraz zniekształconym głosem starego w ucho nieboszczyka.

Hunter rzucił Homerowi niedobre spojrzenie od progu, i ten położył wszystko ostrożnie na swoim miejscu i posłusznie poszedł za nim.

- Popow! Popow! Pobudka! Wstawaj szybko!

Przebijając powieki i przez źrenice zalewając ogniem mózg, poraziło go światło mocnej latarki dowódcy. Silna ręka potrzęsła jego ramię, potem czyjaś dłoń uderzyła na odlew w jego nieogolony policzek. Z trudem otwierając oczy i masując palący policzek, Artem ześlizgnął się z koi i wyprostował się salutując.

- Gdzie masz broń? Bierz automat i za mną, żywo!

Spali oczywiście w portkach i w ogóle w pełnym umundurowaniu. Odwinąwszy gałgany, w które na noc zawijał służącego mu za poduszkę kałasznikowa, Artem, wciąż jeszcze się chwiejąc, podreptał za dowódcą. Ile udało mu się przespać? Godzinę? Dwie? W głowie mu

huczało, miał sucho w gardle.

- Zaczyna się... - dowódca zionął mu przez ramię alkoholem w twarz.

- Co się zaczyna? - spytał ten z niepokojem.

- Zaraz zobaczysz... Weź jeszcze magazynek. Przyda ci się.

Tulska - przestronna, pozbawiona filarów i wydająca się po prostu górną połową jednego niesamowicie szerokiego tunelu, była prawie w całości pogrążona w ciemnościach. W niektórych miejscach miały się konwulsyjnie słabe strużki światła; w ich ruchach nie było żadnego systemu, żadnego sensu, zupełnie jakby latarki znalazły się w rękach całkiem małych dzieci albo małp. Tylko skąd by tu się wzięły małpy...

Natychmiast się budząc, gorączkowo sprawdzając karabin, Artem szybko zrozumiał, co się stało. Nie powstrzymali ich! A może nie jest jeszcze za późno?

Wyskoczyli z budki wartowniczej i przyłączyli się do nich jeszcze dwaj żołnierze, opuchnięci i zachrypli od snu. Dowódca wygarnął po drodze wszystkie rezerwy, wszystkich, którzy mogli stać na nogach i trzymać broń. Nawet tych, którzy już pokasływali.

W ciężkim, pozbawionym tlenu powietrzu niosło się dziwne, złowieszcze wołanie. Nie krzyk, nie lament, nie komendy... Wydany przez setki gardeł jęk - zdarty, pełen rozpacz, przerażenia. Jęk, okolony ascetycznym żelaznym pobrzękiwaniem i zgrzytaniem dochodzącym jednocześnie z dwóch, trzech, dziesięciu miejsc.

Peron był zawalony porwanymi i obwisłymi namiotami, powywracanymi budkami mieszkalnymi z arkuszy blachy i fragmentów poszycia wagonów, straganami z dykty, czyimiś porzuconymi manatkami... Dowódca, roztrącając sterty rupieci, niczym lodołamacz spiętrzone kry, kroczył z przodu, zaś w jego kilwaterze dreptali Artem i pozostała dwójka.

Z ciemności wyłonił się stojący na prawym torze ucięty pociąg: światło w obu wagonach było zgaszone, otwarte drzwi były jak zakratowane kawałkami przenośnych zasieków, a w środku... Za ciemnymi szybami kotłowała się, wrzała straszna ludzka masa. Dziesiątki rąk, chwyciwszy za pręty wątlego ogrodzenia kołysały nim, chwiały, łomotały. Rozstawieni przy każdym z przejść uzbrojeni ludzie w maskach przeciwgazowych od czasu do czasu przyskakiwali do czerniejących jak rozwarte paszcze otworów drzwiowych, zamierzali się kolbami, ale nie mieli odwagi ani bić, ani tym bardziej strzelać. W innych miejscach odwrotnie, wartownicy próbowali przekonać, uspokoić wzburzone ludzkie morze, wciśnięte do żelaznego pudełka.

Ale czy ludzie w wagonach cokolwiek jeszcze rozumieli?

Zagnano ich do pociągu dlatego, że zaczęli się rozbiegać ze specjalnych zagród w tunelach, i dlatego, że było ich już zbyt wielu, więcej niż strażników.

Dowódca minął pierwszy, drugi wagon i wtedy Artem w końcu zobaczył, dokąd tak się spieszyli. Ostatnie drzwi - to tam pękł wrzód. Z wagonu na zewnątrz wylały się dziwne stworzenia - z trudem trzymające się na nogach, nie do poznania oszpecone obrzękiem na twarzach, z napuchniętymi, okropnie pogrubionymi rękami i nogami. Na razie nikt nie zdążył uciec: do drzwi ściągali wszyscy wolni żołnierze.

Przerywając okrzykiem, dowódca wyszedł naprzód - Nakazuję wszystkim pacjentom natychmiast wrócić na swoje miejsca! - z oficerskiej kabury przypiętej do pasa wyciągnął stieczkina.

Zarażony, który stał najbliżej niego, po kilku próbach podniósł opuchniętą, ciężką głowę, oblizwał spękane usta.

- Dlaczego nas tak traktujecie?

- Wiecie, że zaatakował was nieznany wirus. Szukamy lekarstwa... Musicie tylko poczekać - Szukacie lekarstwa - powtórzył za nim chory. - To śmieszne.

- Natychmiast wracajcie do wagonu - dowódca dźwięcznie szczerknął bezpiecznikiem. - Liczę do dziesięciu, potem otwieram ogień, żeby zabić. Jeden...

- Po prostu nie chcecie zabierać nam nadziei, żeby jakkolwiek nami rządzić. Dopóki wszyscy sami nie zdechniemy...

- Dwa.

- Już całą dobę nie dostajemy wody. Po co dawać pić skazanym na śmierć...

- Wartownicy boją się podchodzić do krat. Dwóch się w ten sposób zaraziło. Trzy.

- W wagonach jest już pełno trupów. Depczemy po ludzkich twarzach. Wiesz jak chrzęści nos, kiedy go nadepnąć? Jeśli to nos dziecka, to...

- Nie ma co z nimi zrobić! Nie możemy ich spalić. Cztery.

- A w sąsiednim wagonie jest tak ciasno, że martwi wciąż stoją obok żywych, ramię w ramię.

- Pięć.

- Boże, więc mnie zastrzelcie! Wiem przecież, że nie ma lekarstwa. Szybko umrę. Nie będę już czuć, że ktoś wszystkie moje wnętrzności traktuje grubym szmergłem, a potem polewa spirytusem...

- Sześć.

- I podpala. Że w mojej głowie są robaki, które od środka wyzerają po kawałku nie tylko mój mózg, ale i duszę... Am, am, chrup, chrup, chrup...

- Siedem!

- Idioto! Wypuść nas stąd! Daj nam umrzeć po ludzku! Dlaczego uważasz, że masz prawo

tak nas męczyć? Przecież wiesz, że sam też już pewnie...

- Osiem! To wszystko dla bezpieczeństwa. Żeby pozostali przeżyli. Sam jestem gotów zdechnąć, ale żaden z was, zadżumione skurczybyki, stąd nie wyjdzie. Przygotować się!

Artem podniósł automat, wziął na cel najbliższego chorego... Boże, zdaje się, kobieta... Pod koszulką, zaschłą w brunatny strup, sterczały rozdęte piersi. Zamrugał i przeniósł celownik na chwiejącego się staruszka. Tłum pokrak zaszemrał, z początku wycofał się próbując wcisnąć z powrotem w drzwi, ale już nie mógł - z wagonu niczym świeża ropa z rany wypływali coraz to nowi zarażeni, z jękiem, z płaczem.

- Sadysta... Co ty robisz?! Będziesz teraz do żywych ludzi... Nie jesteśmy zombie!

- Dziewięć! - głos dowódcy był matowy i bez życia.

- Po prostu nas wypuść! - zawołał z wysiłkiem chory i wyciągnął do niego ręce, niczym dyrygent, sprawiając, że cały tłum zakołysał się i pochylił naprzód w ślad za ruchem jego palców.

- Pal!

Ludzie zaczęli do niego napływać od razu, Leonidowi wystarczyło tylko przytknąć usta do swojego instrumentu. Starczyły już pierwsze dźwięki, jeszcze próbne, nieoczyszczone, które wydobywały się z jego fletu, żeby zebrani zaczęli się uśmiechać z aprobatą, klaskać na zachętę, a kiedy jego głos okrzepł, twarze słuchaczy ulegały przemianie. Jakby schodził z nich brud.

Saszy tym razem przypadło w udziale specjalne miejsce - obok muzyka. Dziesiątki oczu były teraz skierowane nie tylko na Leonida, część zachwyconych spojrzeń padała też na nią. Z początku dziewczyna czuła się niezręcznie - przecież nie zasługiwała na ich uwagę ani ich wdzięczność, ale potem melodia uniosła ją z granitowej posadzki i zabrała ze sobą, odrywając od tego, co ją otaczało, tak jak potrafi oderwać i sprawić, że zapomina się o wszystkim dobra książka czy opowiedziana przez kogoś historia.

Znów płynęła ta sama melodia - jego własna, bez tytułu; Leonid zaczynał i kończył nią każdy występ. Potrafiła wyglądać bruzdy na twarzach, strząsać kurz z pozbawionych wyrazu oczu i zapalać maleńkie lampki po drugiej ich stronie. Chociaż Sasza już ją знаła, Leonid otwierał w niej tajemne drzwi, znajdował nowe harmonie, i muzyka zaczynała brzmieć inaczej... Zupełnie jakby długo, nieprzerwanie patrzyła w niebo, i nagle, w prześwitach między białymi obłokami, na sekundę odkrywała się nieskończona, łagodnie zielona dal.

Tu coś ją ukłuło. Speszona, powracając przed czasem pod ziemię, Sasza poruszyła się

niespokojnie. Tam jest... Przewyższając o głowę tłum, nieco z tyłu za pozostałymi słuchaczami stał z podniesionym podbródkiem Hunter. Jego wzrok, ostry jak drzazga, był utkwiony w niej, i kiedy na moment rozluźniał uścisk, to tylko po to, by wbić go również w muzyka. Ten nie zwracał uwagi na wygolonego, w każdym razie nie było po nim widać, że ktokolwiek przeszkadza mu w grze.

O dziwo, Hunter nie odchodził i nie próbował zabrać ją ze sobą, czy też przerwać występu. I dopiero gdy doczekał do ostatnich pasażerów, wycofał się i zniknął. Sasza od razu zostawiła Leonida i wślizgnęła się w tłum, żeby nie zgubić wygolonego.

Ten stanął nieopodal, przy ławce, na której, ze zwieszoną głową, siedział Homer.

- Wszystko słyszałeś - wychrypiął brygadier. - Idę stąd. Pójdziesz ze mną?

- Dokąd? - stary uśmiechnął się słabo do dziewczyny, która tymczasem podeszła. - Ona wszystko wie - wyjaśnił wygolonemu.

Hunter jeszcze raz przeszył Saszę spojrzeniem, potem skinął głową, nie odzywając się jednak do niej słowem.

- To niedaleko stąd - powiódł głową zwracając się do starego. - Ale ja... Nie chcę zostawać sam.

- Weź mnie ze sobą - zaproponowała Sasza.

Wygolony głośno westchnął, zacisnął i rozluźnił palce.

- Dziękuję za nóż - odezwał się w końcu. - Bardzo mi się przydał.

Dziewczyna cofnęła się, dotknęła, ale od razu znów nabrała odwagi.

- To ty decydujesz, co zrobić z nożem - stwierdziła.

- Nie miałem wyboru.

- Teraz go masz - przygryzła dolną wargę i spochmurniała.

- Teraz też nie. Jeśli wszystko wiesz, to powinnaś zrozumieć. Jeśli rzeczywiście...

- Co zrozumieć?!

- Jakże to ważne, żeby dostać się na Tuską. Jakże to dla mnie ważne... Jak najszybciej...

Sasza widziała, jak lekko trzęsą mu się palce, jak na ramieniu rośnie mu ciemna plama. Coraz bardziej bała się tego człowieka, a jeszcze bardziej bała się o niego.

- Musisz się zatrzymać - poprosiła go miękko.

- Wykluczone - uciął. - Nieważne, kto to robi. Dlaczego nie ja?

- Dlatego, że cię to zgubi - dziewczyna ostrożnie dotknęła jego ręki i ten drgnął jak ukąszony.

- Muszę to zrobić. Tutaj i tak wszystkie decyzje podejmują tchórze. Jeśli będę zwlekał, zginie całe metro.

- A co, gdyby znalazła się inna możliwość? Gdyby było lekarstwo? Gdybyś już nie musiał?

- Ile razy mam powtarzać... Nie ma żadnego lekarstwa na tę gorączkę! Czy inaczej bym... Czy bym...

- Co byś wybrał? - Sasza nie puszczała jego ręki.

- Nie ma z czego wybierać! - wygolony strząsnął jej dłoń. - Idziemy! - krzyknął do starego.

- Dlaczego nie chcesz wziąć mnie ze sobą?! - zawołała.

- Bo się boję - powiedział to zupełnie cicho, prawie szeptem, tak żeby oprócz Saszy nikt go nie usłyszał.

Odwrócił się i odszedł, burknąwszy tylko staremu na koniec, że ma dziesięć minut do wyjścia.

- Myle się, czy ktoś tu jest w gorączce? - rozległ się głos za plecami Saszy.

- Co?! - obróciła się i wpadła na Leonida.

- Wydawało mi się, że mówiliście o gorączce - uśmiechnął się niewinnie.

- Wydawało ci się - nie miała teraz zamiaru o niczym z nim dyskutować.

- A ja myślałem, że plotki jednak się potwierdzają - powiedział w zadumie, jakby do siebie, muzyk.

- Jakie plotki? - Sasza spochmurniała.

- O kwarantannie na Sierpuchowskiej. O jakoby nieuleczalnej chorobie. O epidemii... - patrzył na nią uważnie, wyłapując każdy ruch jej ust, brwi.

- I długo tu podsłuchiwałeś?! - oblała się rumieńcem dziewczyna.

- Nigdy nie robię tego specjalnie. Po prostu mam słuch muzyka - rozłożył ręce.

- To mój przyjaciel - nie wiedzieć czemu wyjaśniła Leonidowi, wskazując w stronę Huntera.

- Elegancik - odparł mgliście tamten.

- Dlaczego powiedziałeś „jakoby” nieuleczalna?

- Sasza! - Homer wstał z ławki, nie spuszczać podejrzliwego wzroku z muzyka. - Mogę cię poprosić? Musimy porozmawiać, jak dalej...

- Pozwoli pan jeszcze na chwilkę? - chłopak zbył starego uprzejmym uśmiechem, odszedł na bok i przywołał dziewczynę do siebie.

Sasza podeszła do niego bez przekonania; nie opuszczało jej uczucie, że starcie z wygolonym jeszcze nie jest przegrane, że jeśli się teraz nie podda, Hunterowi nie starczy

odwagi, by znów ją odegnąć. Że jeszcze uda jej się mu pomóc, choćby nie miała zielonego pojęcia, jak to zrobić.

- A może słyszałem o epidemii o wiele wcześniej od ciebie? - szepnął jej Leonid - A może to nie pierwszy wybuch takiej choroby? I pomagają na nią jakieś czarodziejskie tabletki? - muzyk popatrzył jej w oczy.

- Ale on mówi, że nie ma lekarstwa... Że trzeba będzie wszystkich... - mamrotała Sasza.

- Zlikwidować? - skończył za nią Leonid. - On... Czyli ten twój cudowny przyjaciel? Jakoś mnie to nie dziwi. To słowa nie chłopczyka, a dyplomowanego lekarza.

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć - muzyk położył Saszy rękę na ramieniu, nachylił się do niej i delikatnie szepnął jej w ucho - że tę chorobę można wyleczyć. Jest lekarstwo.

Rozdział 15

We dwoje

Stary najpierw zakaszłał z rozdrażnieniem, potem zrobił w ich kierunku duży krok.

- Sasza! Muszę z tobą porozmawiać!

Leonid mrugnął do dziewczyny, odsunął się od niej i z udawaną pokorą przekazując Saszę w ręce Homera, odszedł na bok. Ale ta nie mogła już myśleć o niczym innym. I przez cały czas, kiedy stary coś jej tłumaczył, przekonywał, że Huntera jeszcze można złamać, coś proponował i o coś ją prosił, dziewczyna patrzyła ponad jego ramieniem na muzyka. Ten nie odpowiadał na jej spojrzenie, ale przelotny uśmiezek, który błędził po jego ustach, mówił Saszy: on wszystko widzi, wszystko rozumie. Przytakiwała Homerowi, gotowa zgodzić się na wszystko, żeby tylko jeszcze na chwilę znaleźć się sam na sam z muzykiem, dosłuchać go do końca. Żeby tylko samej uwierzyć, że lekarstwo istnieje.

- Zaraz wrócę - nie mogąc wytrzymać, przerwała staremu w pół słowa, wymknęła się i podbiegła do Leonida.

- Przyszłaś po dokładkę? - przywitał ją.

- Musisz mi powiedzieć! - nie chciała już z nim grać. - Jak?!

- Z tym jest trudniej. Wiem, że choroba jest uleczalna. Znam ludzi, którzy sobie z nią radzili. I mogę cię do nich zaprowadzić.

- Ale mówiłaś, że potrafisz ją leczyć...

- Źle mnie zrozumiałaś - wzruszył ramionami. - Skąd miałbym potrafić? Jestem zwykłym flicistą. Wędrownym grajkiem.

- Co to za ludzie?

- Jeśli cię to interesuje, to cię z nimi poznam. Co prawda, będzie trzeba kawałek się przespacerować.

- Na jakiej są stacji?

- Niezbyt daleko stąd. Sama wszystkiego się dowiesz. Jeśli zechcesz.

- Nie wierzę ci.

- Ale przecież chcesz wierzyć - zauważył. - Ja też na razie ci nie wierzę, i dlatego nie mogę ci powiedzieć wszystkiego.

- Co ci to da, że z tobą pójde? - zmrużyła oczy Sasza.

- Mnie? - potrząsnął głową. - Mnie jest wszystko jedno. To ty musisz. Ja nie muszę i nie umiem nikogo ratować. W każdym razie nie w ten sposób.

- Obiecujesz, że zaprowadzisz mnie do tych ludzi? Obiecujesz, że będą potrafili pomóc? - spytała po chwili wahania.

- Zaprowadzę - odparł stanowczo Leonid.

- I jak postanowiłaś? - znów przerwał im nie dający się zbyć stary.

- Nie pójdę z wami - Sasza skubała ramię swojego kombinezonu. - On mówi, że na gorączkę jest lekarstwo - odwróciła się do muzyka.

- Kłamie - powiedział niepewnie Homer.

- Widzę, że orientuje się pan w wirusach o wiele lepiej ode mnie - powiedział z szacunkiem Leonid. - To ze studiów? Czy z własnego doświadczenia? Czyli pan też uważa, że wybicie wszystkich do nogi to najlepszy sposób walki z infekcją?

- Skąd? - spieszył się stary. - Czy ty mu... - obejrzał się na Saszę.

- A oto nadchodzi wasz dyplomowany przyjaciel - widząc zbliżającego się Huntera, muzyk zapobiegawczo zrobił krok w tył. - A więc brygada ratunkowa w pełnym składzie, zaczynam się czuć niepotrzebny.

- Poczekaj - poprosiła dziewczyna.

- On kłamie! Po prostu chce z tobą... A nawet jeśli to prawda - szeptał jej z zapalem Homer - i tak nie zdążycie nic zrobić. Hunter przyprowadzi tu posiłki najpóźniej w ciągu doby. Jeśli zostaniesz z nami, to może uda ci się go przekonać... A ten...

- Nic mi się nie uda - ponuro odrzekła Sasza. - Nikt go teraz nie zatrzyma, czuję to. Trzeba mu dać wybór. Żeby go rozbić...

- Rozbić? - Homer podniósł brwi.

- Będę tu przed upływem doby - przyrzekła odchodząc.

Czemu ją puścił?

Dlaczego okazał słabość, pozwolił narwanemu włóczędze porwać swoją bohaterkę, swoją żonę, swoją córkę? Bo im uważniej stary przyglądał się Leonidowi, tym mniej mu się podobał. Jego duże zielone oczy potrafiły posyłać zaskakująco pożądlive spojrzenia, a po jego anielskiej twarzy, kiedy chłopak myślał, że nikt nie patrzy, przemykały niespokojne cienie...

Po co grajkowi dziewczyna? W najlepszym wypadku ten koneser piękna nabije jej niewinność na szpilkę i zasuszy w swojej pamięci - zgniecioną, bez osypującego się niczym pyłek oczarowania młodości, którego nie można ani zapamiętać, ani nawet sfotografować.

Uwiedziona, wykorzystana dziewczyna otrząśnie się, wyleczy, lecz nie uda jej się szybko oczyścić i zapomnieć, tym bardziej, że ten przeklęty błazen chce ją zdobyć przez oszustwo.

Więc czemu ją puścił?

A dlatego, że jest tchórzem. Bo Homer nie ośmielał się nie tylko spierać z Hunterem, ale i zadawać mu pytań, które rzeczywiście starego niepokoiły. Bo Saszy, jako zakochanej, można było wybaczyć i jej śmiałość, i brak rozważli. Czy w stosunku do niego brygadier przejawiałby tę samą pobłażliwość?

Homer wciąż nazywał go w myślach brygadierem, częściowo z przyzwyczajenia, ale częściowo również dlatego, że go to uspokajało: nie ma się czego bać, to nic szczególnego, to cały czas ten sam dowódca północnego posterunku z Sewastopolskiej... Ale nie. Teraz ramię w ramię z Homerem nie kroczył już dawny mrukowaty żołnierz. Stary zaczynał rozumieć: jego towarzysz przeobrażał się na jego oczach... Działo się z nim coś strasznego, i głupotą byłoby temu przeczyć, nie było sensu wmawiać sobie, że jest inaczej...

Hunter znów wziął go z sobą - tym razem, żeby pokazać mu krwawe rozwiązanie całego dramatu? Teraz był gotów unicestwić już nie tylko Tuską, ale i gnieźdzących się w tunelach sekciarzy, i za jednym zamachem Sierpuchowską ze wszystkimi jej mieszkańcami i żołnierzami rozmieszczonego tam hanzeatyckiego garnizonu - podejrzewając tylko, że któryś z nich mógł się zarazić. To może też czekać Sewastopolską.

Nie zabijał już wyłącznie kiedy musiał, szukał tylko powodów.

Homer znajdował w sobie siły jedynie, by wlec się za nim w urzeczeniu, jak koszmarny sen obserwując i dokumentując wszystkie jego zbrodnie. Usprawiedliwiając się tym, że są dokonywane w imię ocalenia, zapewniając sam siebie, że to mniejsze zło. Bezlitosny brygadier zdawał mu się wcieleniem Molocha, a Homer nigdy nie próbował walczyć z przeznaczeniem.

Ale dziewczyna najwyraźniej nie chciała się z nim pogodzić i jeśli stary w głębi duszy pogodził się już z tym, że Tuską i Sierpuchowską spotka los Sodomy i Gomory, to Sasza wciąż chwytła się najmniejszych okruczeń nadziei. Homer przestał sam siebie przekonywać, że mogą się jeszcze znaleźć pigułki, szczepionka, surowica zanim Hunter powstrzyma epidemię ogniem i ołowiem. Sasza była gotowa szukać lekarstwa do samego końca.

Homer nie był ani wojownikiem, ani lekarzem, a przede wszystkim był za stary, żeby wierzyć w cuda. Lecz mimo to część jego duszy namiętnie pragnęła cudu, marzyła o ocaleniu. Wyrwał i odrzucił od siebie tę cząstkę - razem z Saszą.

Po prostu zrzucił na dziewczynę to, czego nie odważył się zrobić sam.

I w tej beznadziei znalazł swój spokój.

W ciągu doby będzie po wszystkim. A potem stary zdezerteruje ze służby, znajdzie sobie celę i dokończy swoją książkę. Teraz już wiedział, o czym będzie.

O tym, jak sprytnie zwierzę znalazło czarodziejską upadłą gwiazdę, iskrę z nieba, połknęło ją i stało się człowiekiem. O tym, jak wykradłszy bogom ogień, człowiek nie dał sobie z nim rady i do szczętu spalił świat. I o tym, jak za karę, po upływie równo stu wieków, ta właśnie iskra człowieczeństwa została mu odjęta; lecz bez niej nie stał się znowu zwierzęciem, a zamienił się w coś o wiele straszniejszego, co nie ma nawet imienia.

Dowódca oddziału przesypał garść naboju do kieszeni i poświadczył umowę z muzykiem mocnym uściskiem dłoni.

- Za symboliczną dopłatą mogę was wsadzić do tramwaju - oznajmił.

- Wolę romantyczne przechadzki - odparł Leonid.

- Słuchaj, no. Nie mogę was zostawić we dwoje w naszym tunelu - próbował przemówić mu do rozsądku dowódca. - Więc i tak pójdziecie z ochroną. Twoja panna nie ma dokumentów... A tak, to wuuu - pojechałbyś ekspresem gdzie trzeba i został tam z nią sam na sam - szepnął mu głośno.

- Nie musimy być wcale sam na sam! - stwierdziła Sasza zdecydowanie.

- Uznamy to za honorową eskortę. Jakbyśmy byli księciem i księżniczką Monako na promenadzie - muzyk uklonił się przed dziewczyną.

- Jaką księżniczką? - nie wytrzymała Sasza.

- Monako. Było kiedyś takie księstwo. Na samym Lazurowym Wybrzeżu...

- Słuchaj - przerwał mu dowódca. - Jeśli chcesz iść piechotą, to zbieraj się szybko. Magazynek magazynkiem, ale chłopaki muszą wieczorem wrócić do bazy. Ej, Kostur! - wezwał do siebie żołnierza. - Odprowadźcie tych dwoje do Kijewskiej, patrolom mówcie, że to - powiedzmy - deportacja. Wysadźcie ich na stacji promienistej i z powrotem. Wszystko się zgadza? - obrócił się do Leonida.

- Jak najbardziej - ten żartobliwie zasalutował.

- Wpadnijcie jeszcze kiedyś! - mrugnął do niego dowódca.

Jakże terytorium Hanzy różniło się jednak od całej reszty metra! Przez całą drogę z Pawieleckiej do Oktiabrskiej Sasza nie widziała ani jednego miejsca, gdzie byłoby naprawdę ciemno. Co pięćdziesiąt kroków, na biegnącym wzdłuż ściany przewodzie tkwiły elektryczne żarówki. Światła każdej z nich starczało akurat, żeby dojść do następnej. Nawet odnogi zapasowych i tajnych tuneli odchodzących w bok od głównego były dobrze oświetlone, i nie było w nich już nic przerażającego.

Gdyby to zależało od Saszy, rzuciłaby się naprzód biegiem, aby tylko zaoszczędzić cenne minuty, ale Leonid zapewnił ją, że nie ma się po co spieszyć. Zdecydowanie odmówił wyjaśnień, dokąd pójda z Kijewskiej. Szedł niespiesznie i wyglądał na znudzonego: widać nawet w zamkniętych dla zwykłych mieszkańców metra tunelach nierzadko bywał.

- Cieszę się, że twój przyjaciel ma do wszystkiego własne podejście - zaczął mówić.

- O czym mówisz? - Sasza spochmurniała.

- Gdyby tak mocno jak ty chciał ocalić ludność cywilną, trzeba by było brać go ze sobą. A tak, podzieliliśmy się na pary, i każdy będzie się zajmował tym, na co ma ochotę. On będzie zabijać, ty leczyć...

- On nie chce nikogo zabijać! - ostro i głośniejsz niż to było konieczne powiedziała dziewczyna.

- No tak, po prostu taka praca... - westchnął. - I kim ja jestem, żeby go oceniać?

- A co ty będziesz robił? - z nieskrywaną drwiną spytała Sasza. - Grać?

- A ja po prostu będę przy tobie - uśmiechnął się Leonid - Czego jeszcze trzeba do szczęścia?

- Tylko tak mówisz - pokręciła głową Sasza. - Zupełnie mnie nie znasz. Jak ja cię mogę uszczęśliwić?

- Są sposoby. Na piękną dziewczynę wystarczy popatrzeć i już się nastrój poprawia. A już...

- Uważasz, że znasz się na pięknie? - spojrzała na niego z ukosa.

- To jedyne, na czym się znam - pokiwał głową z powagą.

- I co we mnie jest takiego? - zmarszczki w końcu się wygładziły.

- Cała promieniejesz!

Jego głos brzmiał niby poważnie; ale po chwili muzyk został krok z tyłu i powiódł po niej wzrokiem.

- Szkoda tylko, że lubisz takie grube ubrania - dodał.

- A co w nim nie tak? - też zwolniła kroku, żeby pozbyć się z pleców jego łaskoczącego wzroku.

- Nie przepuszcza światła. A ja jestem jak ćma... Zawsze lecę do ognia - z umyślnie głupawą miną zamachał dłońmi.

- Boisz się ciemności? - słabo się uśmiechnęła, podejmując grę.

- Samotności! - przybierając smutny wyraz twarzy, Leonid złożył dłonie na piersi.

I źle zrobił. Gdy naciągał struny, nie napotkał oporu, i ta najcieńsza, najdelikatniejsza, która

już prawie zaśpiewała, brzęknęła i pękła.

Lekki tunelowy przeciąg, który rozwiał poważne myśli i sprawił, że Sasza zaczęła żonglować z muzykiem zabawnymi aluzjami, raptem ucichł. Otrzeźwiała i karciała teraz siebie za to, że mu się poddała. Czyżby to po to porzuciła Huntera, zostawiła staruszka?

- Tak jakbyś wiedział, co to znaczy - ucieła Sasza i odwróciła się.

Sierpuchowska, cała bladoszara ze strachu, rozplynęła się w ciemności.

Uzbrojeni ludzie w wojskowych maskach przeciwigazowych z obu stron odcięli ją od tuneli, zablokowali przejście na Linie Okrężną, i stacja, przeczuwając coś niedobrego, brzęczała jak zaniepokojony rój owadów. Huntera i Homera prowadzono przez hol z ochroną, jak wyższe władze, i każdy mieszkaniec Sierpuchowskiej starał się zajrzeć im w oczy: zobaczyć, czy nie wiedzą, co się tak naprawdę dzieje, czy jego los nie jest już przesądzony? Homer utkwiał wzrok w posadzce, nie chciał zapamiętywać tych twarzy.

Brygadier nie opowiadał mu, dokąd zamierza dalej iść, ale stary sam się domyślił. Przed nimi była Polis. Cztery stacje metra połączone pieszymi korytarzami, prawdziwe miasto z tysiącami mieszkańców. Nieoficjalna stolica metra, rozdrobnionego na dziesiątki wojujących feudalnych księstw. Ostoja nauki i kultury. Świętość, na którą nie ośmielał się targnąć nikt.

Nikt, oprócz starego Homera, pomyłonego, zadżumionego posłańca?

W ciągu ostatniej doby jednak mu się polepszyło. Duszności ustąpiły i suchotniczy kaszel, przez który musiał czyścić z krwi maskę przeciwigazową, osłabł. Może jego organizm sam poradził sobie z niemocą? A może w ogóle się nie zaraził? Jest po prostu zbyt podejrzliwy; zawsze to wiedział, ale i tak się przestraszył...

Odcinek za Sierpuchowską - ciemny, głuchy - cieszył się złą sławą. O ile Homer wiedział, do samej Polis nie powinni byli spotkać żywej duszy, ale stacyjka pośrednia między zamieszkałymi Sierpuchowską i Borowicką mogła być dla podróżnych niespodzianką. O Poliance krążyło w metrze немало legend; jeśli im wierzyć, stacja rzadko porywała się na życie tych, którzy ją mijali, natomiast mogła zaszkodzić ich zdrowiu psychicznemu.

Staremu zdarzyło się bywać tu kilka razy, ale z niczym szczególnym się nie stykał. Legendy i na to miały wyjaśnienie, Homer znał je wszystkie. I teraz miał wielką nadzieję, że stacja również tym razem pozostanie tak samo martwa i porzucona, jak poprzednio.

Jakieś sto metrów przed Polianką, zaczął się czuć nieswojo. Już od pierwszych dalekich błysków białego elektrycznego światła na marmurze ścian, od pierwszych, zniekształconych przez echo, odgłosów dochodzących ze stacji, stary zaczął mieć złe przeczucia. Wyraźnie

słyszał ludzkie głosy... A to było całkowicie niemożliwe. Co gorsza, Hunter, który na setki kroków nie wiadomo jak wyczuwał obecność wszystkich żywych stworzeń, teraz pozostawał na to zupełnie głuchy i obojętny.

Nie odpowiadał staremu na jego pełne niepokoju spojrzenia, był całkowicie zatopiony w swoich myślach, jakby nie widział tego, co otwierało się teraz przed Homerem... Stacja była zamieszkała! Kiedy zdążyli ją skolonizować? Kiedyś Homer dość często się zastanawiał, dlaczego, pomimo całej ciasnoty, mieszkańcy Polis nigdy nie próbowali zagospodarować i przyłączyć pustej Polianki. Przeszkodą mogły być tylko zabobony. Ale widać był to dostatecznie ważki powód, by zostawić dziwną stacyjkę w spokoju.

Póki nie znalazł się ktoś, kto przewyciężył strach i założył tu miasteczko namiotowe, podłączył oświetlenie... Boże, jak oni tu rozrzutnie obchodzili się z elektrycznością! Jeszcze przed wyjściem z tunelu na peron stary musiał osłaniać oczy dłonią, żeby nie oślepnąć: pod sufitem stacji lśniły najjaśniejsze lampy rtęciowe.

Niesamowite... Nawet Polis nie wyglądała tak czysto i uroczyście. Na ścianach nie zostało ani śladu pyłu czy sadzy, i marmurowe płyty aż się iskrzyły, zaś posadzka zdawała się wybielona dosłownie poprzedniego dnia. Przez prześwity między filarami Homerowi nie udało się wypatrzeć ani jednego namiotu: jeszcze nie zdążyli rozstawić? A może zrobią tu muzeum? Po tych dziwakach rządzących Polis można się wszystkiego spodziewać...

Peron stopniowo zapełniał się ludźmi. Zupełnie ich nie interesował ani obwieszony bronią byk w tytanowym hełmie, ani kuśtykający obok niego umorusany staruszek. Kiedy im się przyjrzał, Homer poczuł, że nie da rady zrobić ani kroku: nogi odmówiły mu posłuszeństwa...

Każdy, kto podchodził do skraju peronu był wystrojony tak, jakby na Poliance kręcono film o latach dwutysięcznych. Palta i płaszcze jak spod igły, pstrokate kurtki puchówki, lazurówoniebieskie dzinsy... Gdzie się podziały waciaki, gdzie podarte świńskie skóry, gdzie nieodłączny brunatny kolor metra, grób wszystkich kolorów? Skąd tu takie bogactwo?!

A twarze... To były twarze ludzi, którym nie zdarzyło się, że w ułamku sekundy stracili całą rodzinę. Twarze tych, którzy jeszcze dziś widzieli słońce i którzy, wreszcie, po prostu zaczęli dzień od gorącego prysznica. Stary był gotów ręczyć za to głową. I jeszcze... Wielu z nich zdawało się Homerowi nieuchwytnie znajomych.

Tych zadziwiających ludzi było coraz więcej i więcej, tłoczyli się na skraju peronu, ale nie schodzili na tory. Po chwili już całą stację od jednego tunelu do drugiego wypełniał wystrojony tłum. Na Homera, tak jak wcześniej, nikt nie patrzył. Na wszystkie strony - w ścianę, w gazetę, ukradkiem na siebie nawzajem, maślanym wzrokiem, albo z ciekawością, ze

wstrętem albo współczuciem, ale nigdy na starego, jakby był duchem.

Ale po co się tu zebrali? Na co czekają?

Homer w końcu przyszedł do siebie. Gdzie jest brygadier? Jak on wyjaśni to, czego wyjaśnić się nie da? Dlaczego do tej pory nic nie powiedział?

Hunter zatrzymał się nieco dalej. Zupełnie nie interesowała go stacja zatłoczona ludźmi zdjętymi ze zdjęcia sprzed czterdziestu lat. Wbił ciężki wzrok w przestrzeń przed sobą, jakby natrafił na jakąś przeszkodę, jakby kilka kroków przed nim zawisło coś w powietrzu... Stary zbliżył się do brygadiera, zajrzał z niepokojem pod przyłbicę hełmu...

I wtedy Hunter uderzył.

Zaciśnięta pięść przecięła powietrze, dziwną trajektorią przeleciała z lewej na prawą, tak jakby brygadier chciał ciąć nieistniejącym nożem kogoś niewidzialnego. Homer, którego ten o mało nie zahaczył, odskoczył w bok, a Hunter kontynuował starcie. Bił, cofał się broniąc się przed ciosami, próbował przytrzymać kogoś w stalowym chwycie, a sekundę później sam charczał, jakby ktoś go dusił, ledwo się uwalniał i rzucał się do ataku. Walka przychodziła mu coraz trudniej, niewidzialny przeciwnik przeważał. Hunterowi było coraz ciężiej podnosić się z ziemi po niesłyszalnych, lecz druzgocących uderzeniach; jego ruchy były coraz powolniejsze i mniej pewne.

Starego nie opuszczało wrażenie, że widział już coś podobnego, i to całkiem niedawno. Gdzie i kiedy? I co u licha działo się z brygadierem? Homer próbował go zawołać, ale dotrzeć krzykiem do opętanego było niemożliwością.

A ludzie na peronie nie zwracali na Huntera najmniejszej uwagi; nie istniał dla nich dokładnie tak, jak oni nie istnieli dla niego. Wyraźnie troszczyli się o co innego: z coraz większym niepokojem spoglądali na zegarki na rękach, z niezadowoleniem nadymali policzki, wymieniali uwagi z sąsiadami i porównywali czas pokazywany przez czerwone cyfry elektronicznego zegara nad gardzielą tunelu.

Mrużąc oczy, Homer popatrzył na niego w ślad za innymi... Był to licznik, odmierzający czas od momentu odjazdu poprzedniego pociągu. Lecz jego wyświetlacz zdawał się nienormalnie wydłużony, dziesięciocyfrowy: osiem cyfr przed migającym dwukropkiem i jeszcze dwie - sekundnik - po nim. Szeregi czerwonych kropek wiły się, odliczając mijające sekundy, zmieniała się ostatnia cyfra niewiarygodnie długiej liczby: dwanaście milionów z kawałkiem.

Rozległ się krzyk... I płacz.

Stary oderwał się od zagadkowego zegara. Hunter leżał nieruchomo na torach twarzą do

ziemi. Homer rzucił się do niego i ledwo obrócił ciężkie martwe ciało twarzą do góry. Nie, brygadier oddychał, choć nierówno, nie było też na nim widać ran, choć oczy uciekły mu w głąb, jakby nie żył. Prawa ręka była wciąż zaciśnięta; dopiero teraz stary odkrył, że Hunter nie był jednak nieuzbrojony w tym dziwnym pojedynku. Z jego dłoni wystawała rękojeść czarnego noża.

Homer spoliczkował kilka razy brygadiera, i ten, jęcząc jakby był wstawiony, obrzucił starego mętym wzrokiem. Potem jednym ruchem skoczył na równe nogi i otrząsnął się.

Wizja się rozviała: ludzie w płaszczach i kolorowych kurtkach zginęli bez śladu, zgasło oślepiające światło, i kurz dziesięcioleci znów osiadł na ścianach. Stacja była czarna, pusta i martwa: dokładnie taka, jaką Homer pamiętał ją ze swoich poprzednich podróży.

Do samej Oktiabrskiej nikt już nie wymówił ani słowa, słychać było tylko oddechy i szepty przydzielonych im wartowników. Sasza była zła, ale nawet nie na muzyka, a na samą siebie. On... Niby co? Zachowywał się tak, jak powinien był się zachowywać. W końcu poczuła się nawet niezręcznie - czy nie była w stosunku do Leonida zbyt szorstka?

I oto na Oktiabrskiej wiatr się zmienił.

Było to całkiem naturalne. Po prostu, gdy Sasza zobaczyła tę stację, zapomniała o całym bożym świecie. W ostatnich dniach miała okazję bywać w miejscach, w których istnienie wcześniej nawet by nie uwierzyła. Ale Oktiabrka przyćmiewała swym przepychem każde z nich. Granitowe posadzki były usłane dywanami, które zdążyły solidnie wyłysieć, ale wciąż zachowywały dawne wzory. Lamy odlane w formie pochodni, wyczyszczone na wysoki połysk, zalewały hol równomiernym mlecznym światłem. Przy rozstawionych tu i tam stołach siedzieli ludzie o lśniących twarzach zajęci przerzucaniem się między sobą słowami i papierami.

- Tu jest tak... bogato - powiedziała z zakłopotaniem Sasza, o mało nie zwichnąwszy sobie szyi.

- Mnie stacje okrężne przypominają kawałki wieprzowego szaszłyka nabite na rożen - szepnął jej Leonid. - Tak samo opływają tłuszczem... A propos! Może coś przekąsimy?

- Nie ma czasu - pokręciła głową w nadziei, że tamten nie usłyszy zapraszającego burczenia w jej brzuchu.

- Daj spokój - muzyk pociągnął ją za rękę. - Jest tu jedno miejsce... Nie ma żadnego porównania z niczym, co jadłaś wcześniej... Chłopaki, nie macie nic przeciwko, żeby iść na obiad? - włączył do rozmowy strażników. - Nie denerwuj się, za parę godzin będziemy na

miejscu. Nie przypadkiem wspomniałem o wieprzowym szaszłyku. Tutaj robią takie...

Wpadając prawie w poezję opowiedział o mięsie, Sasza drgnęła i się poddała. Jeśli do celu są zaledwie dwie godziny, to półgodzinny obiad niczego nie zmieni... W zapasie miała jeszcze prawie całą dobę, a kto wie, kiedy uda jej się następnym razem coś zjeść?

Szaszłyk okazał się godny poematów. Ale na nim się nie skończyło. Leonid poprosił jeszcze o butelkę domowego piwa. Sasza nie wytrzymała, wypła z ciekawości kieliszek, resztę muzyk wypił z ochroniarzami. Potem opamiętała się, zerwała na coraz miększe nogi i surowo nakazała Leonidowi wstawać. Tym surowiej, że kiedy jedli, zmorzona przez ciepłe piwo zagapiła się i z pewnym opóźnieniem strząsnęła z kolana jego palce. Lekkie, delikatne. Impertynenckie. Ten od razu podniósł ręce do góry - „Poddaję się!” - ale jej skóra zapamiętała ten dotyk. Czemu go tak szybko odpędziłam, zadała sobie pytanie Sasza, i za karę sama się uszczypnęła.

Teraz trzeba było wymazać tę słodko-kwaśną scenę obiadową z pamięci, zagadać ją czymś bezsensownym, przykryć słowami.

- Ludzie tu są dziwni - powiedziała do Leonida.

- W czym? - duszkiem wychylił szklankę i wreszcie wstał zza stołu.

- W ich oczach czegoś brakuje...

- Głodu - stwierdził muzyk.

- Nie, nie tylko... Tak jakby niczego więcej nie potrzebowali.

- To dlatego, że niczego więcej nie potrzebują - mruknął Leonid. - Są syci. Caryca Hanza karmi. A oczy? Normalne osowiałe oczy...

- Kiedy mieszkałam z ojcem - Sasza spoważniała - to, czego dziś nie dojedliśmy, starczyłoby nam na trzy dni... Może trzeba to było wziąć, oddać komuś?

- Nie szkodzi, nakarmią tym psy - odparł muzyk. - Żebraków tu nie trzymają.

- Ale przecież można by to było oddać sąsiednim stacjom! Gdzie jest głód...

- Hanza nie zajmuje się filantropią - włączył się do rozmowy jeden z wartowników, ten, na którego mówili Kostur. - Niech sami zasuważą. Jeszcze czego, żeby nierobów utrzymywać!

- A ty sam jesteś rodowitym mieszkańcem Okrężnej? - zainteresował się Leonid.

- Od zawsze tu żyłem! Odkąd pamiętam!

- To pewnie mi nie uwierzysz, ale ci, co nie urodzili się na Okrężnej, też muszą zreć - poinformował go muzyk.

- To niech się żrą nawzajem! Może lepiej będzie nam wszystko zabrać i podzielić po równo, jak u czerwonych?! - naciskał żołnierz.

- No, jeśli wszystko będzie dalej szło w tym kierunku... - zaczął Leonid.

- To co? Lepiej bądź cicho, ówoku, bo to, co nagadałeś, już starczy do deportacji!

- Tyle to nagadałem już wcześniej - odparł flegmatycznie muzyk. - Właśnie do tej deportacji zmierzamy - Ja cię jeszcze mogę wydać komu trzeba! Jako czerwonego szpiega! - rozgorączkował się wartownik.

- A ja ciebie za picie na służbie...

- O, ty... Przecież ty nam sam... To ty...

- Nie! Niech pan nam wybaczy... On nie chciał niczego takiego powiedzieć - wmieszała się Sasza, chwyciła muzyka za rękaw i odciągnęła go od ciężko dyszącego Kostura.

Prawie siłą wywlekła Leonida na tory, popatrzyła na stacyjny zegar i jęknęła. Obiad i dyskusje na stacji zajęły prawie dwie godziny. Hunter, któremu zamierzała dorównać w szybkości, na pewno nie zatrzymał się ani na chwilę...

Muzyk zaśmiał się pijacko za jej plecami.

Przez całą drogę do Parku Kultury wartownicy nie przestawali niezyczliwie szemrać. Leonid co chwila zbierał się, żeby im odpowiedzieć, i Sasza musiała to odciągać muzyka, to przekonywać go, by się uspokoił. Alkohol ciągle nie mógł wywietrzeć mu z głowy, dodając mu zarówno odwagi, jak i bezczelności; dziewczyna ledwo się wywijala, by pozostać poza zasięgiem jego rozbieganych rąk.

- Wcale ci się nie podobam? - obrażał się. - Nie twój typ, tak? Bo ty nie takich lubisz, ciebie kręcą mięśnie... Szraaamy... To czemu ze mną poszłaś?

- Dlatego, że mi obiecałeś! - odepchnęła od siebie Leonida. - A nie po to...

- Ja nie jestem taaaka! - westchnął ze smutkiem. - Wiecznie to samo. Gdybym ja wiedział, że jesteś taka niedotykańska...

- Jak możesz?! Przecież tam są ludzie... Żywi... Jeśli nie zdążymy, wszyscy umrą!

- A co ja poradzę? Ledwo nogi podnoszę. Wiesz, jakie ciężkie? Masz, dotknij... A ludzie... I tak umrą. Jutro, czy za dziesięć lat. I ja, i ty. I co?

- Czyli kłamałeś? Kłamałeś! Homer mi mówił... Uprzedzał mnie... Dokąd my idziemy?

- Nie, nie kłamałem! Przysięgnę, że nie kłamałem, chcesz? Sama zobaczysz. Jeszcze będziesz przepraszać! I niech ci będzie wstyd, i powiesz mi: Leonid! Tak mi głuupio... - zmarszczył nos.

- Dokąd idziemy?!

- Cel nasz oraz truud... To Szmaragdowy Gróóód. Coś tam tam ram-pam-pam... Nietatwa droga to - dyrygując palcem wskazującym zaśpiewał muzyk; potem upuścił futerał z

fletem, zaklął, schylił się, żeby go podnieść iomal sam się nie przewrócił.

- Ej, wy, pijaczyno! Dojdziecie w ogóle do Kijewskiej o własnych siłach? - zawołał do nich jeden ze strażników.

- Na waszym dobrym słowie! - ukłonił mu się muzyk. - I Elli⁴ znów do domu... - śpiewał dalej - i Elli znów do domu... Z Totoszką...⁵ Hau! Hau! Wróci wnet...

Homer nigdy nie wierzył w opowieści o Poliance, i teraz ta postanowiła dać mu lekcję.

Niektórzy nazywali ją Stacją Przeznaczenia i czcili jak wyrocznie.

Niektórzy wierzyli, że przybycie tu w przełomowym momencie swojego życia może uchylić zasłony skrywającej przyszłość, podpowiedzieć i dać klucz, przepowiedzieć i przesądzić o dalszej drodze.

Niektórzy... Ale wszyscy rozsądni ludzie wiedzieli, że na stacji zdarzają się emisje trujących podziemnych gazów rozpalających wyobraźnię i wywołujących halucynacje.

Do diabła ze sceptykami!

Co mogła oznaczać jego wizja? Staremu zdawało się, że jest o krok od rozwiązania, ale potem jego myśli zbaczały z toru, plątały się. I przed oczyma znów stawał mu Hunter, tnący powietrze czarnym ostrzem. Homer oddałby wiele, żeby dowiedzieć się, co pokazało się brygadierowi, z kim walczył, co to za pojedynek zakończył się jego porażką, jeśli nie śmiercią...

- O czym myślisz?

Zaskoczenie aż skręciło mu wnętrzności. Hunter ani razu wcześniej nie zaczynał z nim rozmawiać bez ważnej przyczyny. Szczekliwe rozkazy, niezadowolone warknięcia skąpych odpowiedzi... Jak spodziewać się rozmowy od serca z kimś, kto serca nie ma?

- Tak... O niczym - jękał się Homer.

- Myślisz. Czuję to - powiedział nieruchomym głosem Hunter. - O mnie. Boisz się?

- Teraz nie - skłamał stary.

- Nie bój się. Ciebie nie ruszę. Ty mi... przypominasz.

- Kogo? - spytał ostrożnie Homer po pół minucie milczenia.

- Przypominasz mi coś o mnie. Zapomniałem, że coś takiego we mnie jest, a ty mi to przypominasz - wyciągając z siebie ciężkie słowa i wykładając je jedno za drugim, tamten patrzył przed siebie, w czerń.

⁴ Elli - Imię bohaterki książek A. Wołkova opartych na cyklu L.F. Bauma o Krainie Oz, odpowiednik Dorotki (przyp. Tłum.).

⁵ Totoszka - piesek głównej bohaterki, odpowiednik Toto (przyp. Tłum.).

- Czyli po to mnie z sobą wzięłeś? - Homer był jednocześnie rozczarowany i zaintrygowany; spodziewał się jednak czegoś...

- To dla mnie ważne, żeby mieć to w głowie. Bardzo ważne - odezwał się brygadier. - I dla pozostałych to też jest ważne, żebym... Inaczej może być... Tak jak już kiedyś było.

- Masz coś z pamięcią? - stary mówił, jakby skradał się przez pole minowe. - Coś się z tobą stało?

- Wszystko doskonale pamiętam! - odpowiedział żywo tamten. - Tylko samego siebie zapominam. I boję się, że całkiem zapomnę. Będziesz mi przypominać, dobrze?

- Dobrze - Homer skinął mu głową, choć Hunter nie mógł teraz tego zobaczyć - Kiedyś wszystko miało sens - mówił z trudem brygadier. - Wszystko, co robiłem. Chroniłem metro, ludzi. Ludzi. Było konkretne zadanie: usuwać wszelkie zagrożenia. Likwidować. To miało sens, miało!

- I teraz też...

- Teraz? Nie wiem, co teraz. Chcę, żeby znów wszystko było takie jasne. Przecież ja tego nie robię ot tak, nie jestem bandytą. Nie jestem mordercą! Robię to dla ludzi. Próbowałem żyć bez ludzi, żeby ich uchronić... Ale to się stało straszne. Bardzo szybko zapomniałem samego siebie... Musiałem iść do ludzi. Bronić ich, pomagać... Pamiętać. I wtedy Sewastopolska... Tam mnie przyjęli. Tam jest moja nora. Stację trzeba ocalić, trzeba im pomóc. Niezależnie od ceny, jaką trzeba zapłacić. Zdaje mi się, że jeśli to zrobię... Kiedy usunę zagrożenie... To duża rzecz, prawdziwa. Może wtedy sobie przypomnę. Powinienem. Dlatego muszę iść jak najszybciej, bo to coś... teraz to postępuje coraz szybciej i szybciej. W ciągu doby koniecznie muszę zdążyć. Ze wszystkim: dojść do Polis, zebrać oddział i z powrotem... A na razie będziesz mi przypominał, dobra?

Homer, obezwładniony, kiwnął głową. Strach było nawet wyobrazić sobie, co zacznie się dziać, kiedy brygadier ostatecznie się zapomni. Kto pozostanie w jego ciele, kiedy dawny Hunter zaśnie na zawsze? Czy nie ten... Czy nie to coś, co pokonało go dziś w iluzorycznej walce?

Polianka została daleko za nimi: Hunter wyrwał ku Polis, jak spuszczonego z łańcucha chart, który wyczuł zdobycz. A może jak uciekający przed pogonią wilk?

Na końcu tunelu pokazało się światło.

W końcu wyłonili się jakoś z tunelu na stacji Park Kultury. Leonid próbował jeszcze pogodzić się z ochroną, zapraszał wszystkich do „jednej prześlicznej restauracji”, ale teraz

strażnicy mieli się na baczności. Nawet wyprosić pozwolenie, by iść do wygodki, przyszło mu z wielkim trudem. Jeden z członków eskorty stanął na warcie, drugi wymienił szeptem kilka słów i zniknął.

- Zostały ci jeszcze pieniądze? - spytał obcesowo muzyka ten, który pilnował pod drzwiami.

- Co nieco - ten wysunął rozczapierzoną dłoń z pięcioma nabojami.

- Dawaj je tu. Kostur chce was wydać. Myśli, że jesteś prowokatorem czerwonych. Jeśli zgadł, to tu jest przejście na waszą linię, zresztą powinienś o nim wiedzieć. Jeśli nie, możesz tu poczekać, aż przyjdzie po ciebie kontrwywiad, a z nimi to już sam się będziesz targował.

- Zdemaskowaliście mnie, tak? - Leonid próbował powstrzymać czkawkę. - Dobra! Puszczaj... Jeszcze tu wrócimy! Dziękuję za służbę! - podniósł rękę w geście nieznanego pozdrowienia. - Słuchaj... Chrzańcie to przejście! Mogliście nas doprowadzić do tunelu.

Złapawszy Saszę za rękę, muzyk zaskakująco żwawo, choć potykając się, pokuśtykał przodem.

- Też mi coś! - burczał do siebie pod nosem. - Tu jest przejście na waszą linię... Nie chce ci się iść do góry? Czterdzieści metrów głębokości. Jakby nie wiedział, że wszystko tam dawno zablokowali...

- Dokąd idziemy? - Sasza nic już nie rozumiała.

- Jak to dokąd... Na Linię Czerwoną! Przecież słyszałaś: jestem prowokator, złapali, zdemaskowali... - mamrotał Leonid.

- Jesteś czerwony?!

- Dzie-wczy-no ma! Nie pytaj mnie teraz o nic! Ja mogę albo myśleć, albo uciekać. Ucieczka bardziej nam się przyda... Nasz przyjaciel zaraz ogłosi alarm... Jeszcze człowieka postrzeli przy aresztowaniu... Bo pieniądze nie wystarczą, trzeba jeszcze medal od dowództwa...

Dali nura do tunelu, zostawiając wartownika na zewnątrz. Przyciskając się do ściany, pobiegli naprzód, w stronę Kijewskiej. I tak nie zdążą dotrzeć do stacji, zrozumiała Sasza. Jeśli muzyk ma rację i drugi strażnik sam teraz pokazuje, gdzie pobiegli uciekinierzy...

I nagle Leonid skręcił w lewo, w jasny boczny korytarz - tak pewnie, jakby szedł do siebie do domu. Jeszcze kilka minut i w oddali ukazały się flagi, kraty, gniazda cekaemów z worków z piaskiem, dało się słyszeć szczekanie psów. Posterunek graniczny? Uprzedzili ich już o ucieczce? Jak on zamierza się stąd wyrwać? I czyje terytorium zaczyna się po drugiej stronie barykady?

- Ja od Alberta Michajłowicza - muzyk podetknął pod nos żołnierzowi, który tymczasem podbiegł, dziwnie wyglądający dokument. - Chciałbym na tamten brzeg.

- Według zwykłej taryfy - stwierdził tamten po tym, jak zajrzał do książeczki. - A panienska gdzie ma papiery?

- Dobra, to ja zapłacę podwójnie. - Leonid wywrócił kieszenie wygrzebując ostatnie naboje. - A panienki tu nie było, dobra?

- Żadne „dobra” - spoważniał pogranicznik. - Czy to jest bazar? Tu jest państwo prawa!

- Co wy! - zawołał z udawanym przestachem muzyk. - Po prostu pomyślałem, że jak już gospodarka rynkowa, to można się potargować... Nie wiedziałem, że jest różnica...

Pięć minut później i Saszę, i Leonida, potarganego i wymiętego, z rozciętym policzkiem i krwią leącą z nosa, wrzucili do mikroskopijnego pokoiku z kafelkami na ścianach.

Zazgrzytały żelazne drzwi.

Zapadła ciemność.

Rozdział 16

W klatce

W całkowitej ciemności pozostałe człowiekowi zmysły wyostają się. Zapachy stają się bardziej wyraziste, dźwięki głośniejsze i bardziej złożone. W karczerze było słycać tylko, jak ktoś skrobie w podłogę, i nie do wytrzymania śmierdziało stęchłym moczem.

Ale muzyk, po tym co wypił, nie czuł chyba nawet bólu. Przez jakiś czas coś jeszcze burczał do siebie pod nosem, potem przestał się odzywać i zasnął. Nie przerażało go, że teraz na pewno dojdzie ich pogoń. Nie niepokoiło go, co się stanie z Saszą, która bez papierów i potwierdzeń próbowała przekroczyć granicę Hanzy. I, oczywiście, był zupełnie obojętny na los Tulskiej.

- Nienawidzę - powiedziała cicho Sasza.

To też było mu obojętne.

Wkrótce w mroku wypełniającym celę dała się zauważyć dziurka - szklany wizjer w drzwiach. Wszystko inne pozostało niewidoczne, ale i ta szczelina wystarczyła Saszy: ostrożnie macając drogę w ciemności wokół, podpełzła do drzwi i opuściła na nie swoje słabe piąstki. Drzwi odpowiedziały hurgotem, ale jak tylko Sasza zostawiła je w spokoju, powróciła cisza. Straż nie chciała słyszeć ani łomotu, ani jej krzyków.

Lepki czas powoli płynął naprzód.

Ile będą ich trzymać w niewoli? A może Leonid specjalnie ją tu przyprowadził? Chciał odłączyć ją od staruszka, od Huntera? Wyrwać z grupy, zwabić w pułapkę? I wszystko tylko po to, żeby...

Sasza zaszlochała wetknąwszy twarz w rękaw, który pochłaniał i wilgoć, i dźwięki.

- Widziałaś kiedyś gwiazdy? - dał się słyszeć wciąż jeszcze nietrzeźwy głos.

Nie odpowiedziała.

- Ja też tylko na zdjęciach - powiedział jej muzyk. - Nawet słońce ledwo się przebija przez pył i chmury, gwiazdy nie mają na to sił. A teraz obudził mnie twój płacz i pomyślałem, że nagle zobaczyłem najprawdziwszą gwiazdę.

- To wizjer w drzwiach - odpowiedziała przełknąwszy łzy.

- Wiem. Ale wiesz, co jest ciekawe... - Leonid kaszlnął. - Kto w takim razie na nas kiedyś

patrzył tym tysiącem oczu? I dlaczego przestał?

- Tam nigdy nikogo nie było - Sasza potrząsnęła głową.

- A ja zawsze chciałem wierzyć, że ktoś nas pilnuje - powiedział w zadumie muzyk.

- Nawet w tej celi nikogo nie obchodzimy! - oczy znów wezbrały jej łzami. - Uknuleś to, prawda? Żebyśmy nie zdążyli? - znów załomotała w drzwi.

- Jeśli uważasz, że nikogo tam nie ma, to po co stukać? - spytał Leonid.

- Plujesz na to, czy wszyscy chorzy zginą!

- Więc takie robię wrażenie, tak? Przykro mi - westchnął. - Ale według mnie ty też nie do chorych się wyrywasz. Boisz się, że jeśli twój ukochany zacznie ich wyrzynać, to sam się zarazi, a lekarstwa przecież nie ma...

- Nieprawda! - Sasza ledwo się powstrzymała przed uderzeniem go.

- Prawda, prawda... - przedrzeźniał ją piskliwie Leonid - A co takiego w nim jest?

Sasza nie miała ochoty niczego mu wyjaśniać, w ogóle nie miała ochoty z nim rozmawiać. Ale nie mogła wytrzymać.

- Jestem mu potrzebna! Rzeczywiście potrzebna, beze mnie przepadnie. A tobie nie. Ty po prostu nie masz z kim się bawić!

- No, załóżmy, że jesteś mu potrzebna. Nie to, żeby jakoś bardzo, ale nie będę się kłócił... A tobie on po co, ten twój specjalista od odstrzału sanitarnego? Ciągnie cię do niegrzecznych chłopców? Czy chcesz zbawić zabłąkaną duszę?

Sasza umilkła. Dotknęło ją to, z jaką łatwością muzyk odczytywał jej uczucia. Może nie było w nich niczego szczególnego? Czy to dlatego, że nie umiała ich ukryć? To coś subtelnego, nienamacalnego, czego nie udawało jej się w ogóle ubrać w słowa, w jego ustach brzmiało zwyczajnie, a nawet trywialnie.

- Nienawidzę - powiedziała w końcu.

- To nic, ja też za sobą nie przepadam - uśmiechnął się Leonid.

Sasza usiadła na ziemi. Znów pociekły jej łzy - najpierw ze złości, potem z bezsilności. Póki coś od niej zależało, nie zamierzała się poddawać. Ale teraz, w głuchym karczerze i z głuchym towarzyszem nie miała już szans, by ktoś ją usłyszał. Krzyki nie miały sensu. Łomotanie w drzwi nie miało sensu. Nie było kogo przekonywać. Nic nie miało sensu. A potem na moment znów ukazał jej się widok: wysokie domy, zielone niebo, płynące po nim obłoki, śmiejący się ludzie. I gorące krople na policzkach wydały jej się kropelkami tego samego letniego deszczu, o którym opowiadał staruszek. Jeszcze sekunda i miraż zniknął, pozostawiając po sobie tylko lekki, magiczny nastrój.

- Chcę, żeby stał się cud - z uporem, zagryzając usta, powiedziała do siebie Sasza.

I właśnie wtedy w korytarzu głośno szczęknął włącznik, a komórkę zalało nieznośnie ostre światło.

Już na dziesiątki metrów przed wejściem do świętej stolicy metra, tego marmurowego grobowca cywilizacji, wraz z białym światłem lamp rtęciowych rozciągała się błoga aura spokoju i rozkwitu. W Polis nie oszczędzano światła, ponieważ wierzono w jego magię. Obfitość światła przypominała ludziom o ich dawnym życiu, o tych odległych czasach, kiedy człowiek nie był jeszcze zwierzęciem nocnym, nie był drapieżnikiem. I nawet barbarzyńcy z peryferii kontrolowali tutaj swoje zachowanie.

Posterunek na granicy Polis bardziej niż umocnienia przypominał przejściowy pokój w sowieckim ministerstwie: stół, krzesło, dwaj oficerowie w czystych mundurach sztabowych i czapkach. Sprawdzanie dokumentów, przeglądanie rzeczy osobistych. Stary wymacał w kieszeni paszport. Wizy niby zniesiono, więc nie powinno być trudności. Wyciągnąwszy do oficera zieloną książeczkę, spojrzał kątem oka na brygadiera.

Pogrążony w sobie, zdawało się, nie słyszał pytania pogranicznika. I czy on w ogóle miał paszport - zaczął wątpić Homer. Ale jeśli nie miał, to na co liczył, kiedy tak się tu spieszył?

- Powtarzam po raz ostatni - oficer położył rękę na lśniącej kaburze - proszę okazać dokumenty, albo natychmiast opuścić terytorium Polis!

Homer był pewny: brygadier w ogóle nie zrozumiał, czego od niego chcą, i zareagował tylko na ruch palców sunących ku zapięciu kabury. W ułamku sekundy wychodząc ze swojego dziwnego stuporu, Hunter błyskawicznie wyciągnął do przodu rozczapierzoną dłoń i ścisnął posterunkowemu gardło. Ten, sapiąc, rżąc, runął na wznak razem z krzesłem; drugi rzucił się do ucieczki, ale stary wiedział: nie zdąży. W ręce Huntera, niczym as z rękawa u szulera, pojawił się okrutny oksydowany pistolet, i...

- Stój!

Brygadier na moment się zatrzymał, i uciekającemu żołnierzowi wystarczyło to, by wdrapać się na peron, przeturlać dalej i skryć przed kulami.

- Zostaw ich! Musimy iść na Tulską! Musisz... Prosiłeś, żeby ci przypominać... Stój! - zachłystywał się stary, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Na Tulską... - tępo powtórzył Hunter. - Tak. Lepiej wytrzymać do Tulskiej. Masz rację.

Opadł ciężko na stół, położył z boku swój wielki pistolet, zwiesił głowę. Wybrawszy najlepszy moment, Homer podniósł ręce do góry, pobiegł naprzód, naprzeciw wyskakującym pomiędzy filarów strażnikom.

- Nie strzelajcie! On się poddaje! Nie strzelajcie! Na miłość boską...

Ale tak czy owak związali go, ściągnęli mu w pośpiechu aparat oddechowy, i dopiero wtedy pozwolili się wytłumaczyć. Brygadier, który znów wpadł w swoje dziwne otępienie, nie mieszał się do tego. Pozwolił, by go rozbrojono, i pokornie poszedł do małpiarni. Usiadł na pryczy, podniósł głowę, odnalazł starego i wypuścił powietrze z płuc:

- Musisz tu odszukać pewnego człowieka. Mówią na niego Młynarz. Przyrowadź go tutaj. Ja poczekam...

Tamten kiwnął głową, gorączkowo się przygotował, zaczął przeciskać się między tłoczącymi się przy wejściu wartownikami i gapiami, aż dosięgnął go okrzyk.

- Homer!

Stary zastygł porażony: nigdy wcześniej Hunter nie zwracał się do niego po imieniu. Wrócił pod przegrodę z prętów zbrojeniowych, tworzących nie budzącą zaufania kratę, spojrzał pytająco na Huntera, który objął się swoimi olbrzymimi łapskami, jakby miał dreszcze. A ten martwym, głuchym głosem ponaglił go:

- Wracaj szybko.

Drzwi otworzyły się i do środka nieśmiało zajrzał żołnierz - ten sam, który kilka godzin wcześniej walił muzyka po twarzy. Nastąpił kopniak i żołnierz wleciał do celi, wywracając się prawie na ziemię, wyprostował się i obejrzał niepewnie za siebie.

W wejściu stał chudy wojskowy w okularach. Pagony na kurtce jego munduru były pełne gwiazdek, rzadkie jasne włosy miał zaczesane do tyłu.

- No, bydlaku... - wycedził.

- Ja... Mnie... - zabezczał pogranicznik.

- Nie wstyďte się - zachęcił go oficer.

- Przepraszam za to, co zrobiłem. I... ty... wy... nie mogę.

- Dodatkowo dziesięć dni.

- Uderz mnie - powiedział żołnierz Leonidowi, nie wiedząc gdzie podziąć oczy.

- A... Albert Michajłowicz! - mrużąc oczy muzyk uśmiechnął się do oficera. - Naczekałem się na was.

- Dobry wieczór - tamten też uniósł kącik ust. - Właśnie przyszedłem przywrócić sprawiedliwość. Mały rewanż?

- Muszę oszczędzać ręce - muzyk wstał, rozprostował plecy. - Sami go ukarzą, jak sądzę.

- Z całą surowością - kiwnął głową Albert Michajłowicz. - Miesiąc karceru. A ja, rzecz jasna, przyłączam się do przeprosin tego bałwana.

- No, przecież to nie było specjalnie - Leonid potarł zraniony policzek.
- Czyli to pozostanie między nami? - metaliczny głos oficera zaskrzypiał, zdradzając go.
- Ja tu, widzicie, przewożę kontrabandę - muzyk machnął głową w stronę Saszy. -

Zróbcie dla nas wyjątek?

- Załatwimy formalności - obiecał Albert Michajłowicz.

Winnego pogranicznika zostawili od razu w celi; opuściwszy zasuwę, oficer poprowadził ich wąskim korytarzem.

- Dalej z tobą nie pójdę - głośno powiedziała Sasza do muzyka.

- A jeśli ci powiem, że naprawdę idziemy do tego właśnie Szmaragdowego Grodu? - po chwili wahania ledwie słyszalnie zapytał ją Leonid - Jeśli powiem, że nieprzypadkowo wiem o nim więcej, niż twój dziadek? Że sam go widziałem, i nie tylko widziałem? Że bywałem tam, i nie po prostu bywałem...

- Kłamiesz.

- I że tamten - ciągnął niewzruszonym głosem muzyk, wskazując głową krocącego przed nimi oficera - nie bez powodu tak mi nadskakuje: wie, skąd jestem, wie i boi się. I że w Szmaragdowym Grodzie to już na pewno znajdzie się twoje lekarstwo. I że do jego wrót zostały jeszcze tylko trzy stacje...

- Kłamiesz!

- Wiesz co? - powiedział jej ze złością Leonid - Kiedy prosisz o cud, musisz być gotowa w niego uwierzyć. Bo możesz przegapić.

- Trzeba jeszcze umieć odróżniać cuda od sztuczek - odgryzła się Sasza. - I to od ciebie się tego nauczyłam.

- Od samego początku wiedziałem, że nas wypuszczą - odpowiedział. - Po prostu... Nie chciałem przyspieszać wydarzeń.

- Po prostu chciałeś to wszystko przedłużyć!
- Ale nie oszukiwałem cię! Środek na tę chorobę istnieje!

Podeszli do posterunku. Oficer, który z rzadka oglądał się na nich z ciekawością, wręczył muzykantowi jego manatki, oddał naboje i dokumenty - Więc jak będzie, Leonidzie Nikolajewiczu - zasalutował - kontrabandę zabieramy ze sobą, czy zostawiamy do oclenia?

- Zabieramy - zjeżyła się Sasza.

- W takim razie, wszystkiego dobrego na nowej drodze życia - pobłogosławił ich Albert Michajłowicz, przeprowadzając obok potrójnych szeregów strzeleckich, obok zrywających się ze swoich miejsc żołnierzy z obsługi cekaemów, obok krat i kolczastych zapór z pospawanych szyn. - Z importem, jak sądzę, nie będzie kłopotu?

- Przebijemy się - uśmiechnął się do niego Leonid. - Nie powinienem wam tego mówić, ale uczciwi urzędnicy w naturze nie występują, a im surowszy reżim, tym niższa opłata. Trzeba tylko wiedzieć, komu dać.

- Wam, jak sądzę, wystarczy czarodziejskie słowo - mruknął oficer.

- Na razie nie na wszystkich działa - Leonid znów dotknął policzka. - Jak by to powiedzieć, nie jestem czarodziejem, dopiero się uczę.

- Miło będzie z wami mieć do czynienia... Kiedy skończycie naukę - Albert Michajłowicz skinął głową, odwrócił się i poszedł z powrotem.

Ostatni żołnierz otworzył przed nimi furtkę w grubych kratkach, które od góry do dołu przecinały tunel. Za nią zaczynał się pusty, przepięknie oświetlony przejazd, którego ściany były gdzieś wypalone i poszczerbione, jakby po długiej wymianie ognia, a na samym końcu widniały kolejne rzędy umocnień i rozpostarte od ziemi do sufitu płachty flag.

Od tego widoku Saszy zaczęło walić serce.

- Czyj to posterunek? - zatrzymując się nagle, spytała muzyka.

- Jak to czyj? - ten spojrział na nią ze zdziwieniem. - Linii Czerwonej, naturalnie.

Ach, jakże długo Homer marzył, by znów tutaj trafić, jakże długo nie był w tych cudownych miejscach...

Na inteligenckiej Borowickiej, słodko pachnącej smołą drzewną, z jej przytulnymi mieszkankami, urządzonymi wprost w arkadach, i czytelnią dla mnichów-braminów pośrodku holu - zavalone książkami długie stoły z desek, nisko zwisające lampy z tkanymi abażurami; z jej zdumiewająco wiernie oddanym duchem rozdyktowanych kuchni lat kryzysu i przedwojnia...

Na carskiej Arbackiej, wystrojonej w biel i brąz, prawie jak w komnatach Kremla, z jej srogimi porządkami, z rzeczowymi wojskowymi, którzy dalej nadymali policzki, tak jakby nie mieli nic wspólnego z Apokalipsą...

Na starej, prastarej stacji Biblioteka im. Lenina, której nie zdążyli zmienić nazwy, kiedy to jeszcze miało jakiś sens, która była stara jak świat już kiedy Kola pierwszy raz wszedł do metra, jako mały chłopczyk, na Bibliotece z jej romantycznym kapitańskim mostkiem dla przechodzących równo w połowie peronu, z jej pilnie, ale nieumiejętnie odtworzoną sztukaterią na przeciekającym suficie...

I na Aleksandrowskim Sadzie, wiecznie pograżonym w półmroku, tyczkowanym i żyłastym, przypominającym ślepnącego emeryta z podagrą, który wciąż wspomina swoją

młodość w Komsomole.

Homer zawsze był ciekaw, czy stacje są podobne do swoich pigmalionów. Czy można je uważać za autoportrety tych, którzy je projektowali? Czy wchłonęły w siebie cząstkę tych, którzy je budowali? Jedno wiedział na pewno: stacja wywierała piętno na swoich mieszkańcach, dzieląc z nimi charakter, zarażając własnym nastrojem i chorobami.

Lecz przy tym sam Homer, ze swoim typem umysłu, ze swoimi wiecznymi rozmyślaniami, ze swoją nieuleczalną nostalgią, przynależał, oczywiście, nie do surowej Sewastopolskiej, a do świetlistej niczym sama przeszłość Polis.

Życie zdecydowało inaczej.

I nawet teraz, kiedy wreszcie tu trafił, nie dano mu wolnej chwili, by przejść się po tych rozbrzmiewających echem salach, pozachwycać się sztukaterią i płaskorzeźbami, pofantazjować... Musiał biec.

Hunterowi z trudem udało się okiełznać i uwięzić kogoś wewnątrz siebie, tę straszną istotę, którą od czasu do czasu dokarmiał ludzkim mięsem. Ale gdy tylko rozegnie ona pręty tej wewnętrznej klatki, w ciągu sekundy nic nie zostanie i z tych wątych krat, które były na zewnątrz. Trzeba się spieszyć.

Prosił, żeby znaleźć Młynarza... Co to jest: imię, przezwisko? A może hasło? Wypowiedziane na głos podziałało na wartowników w niezrozumiały sposób: rozmowy o sędzie nad schwytanym brygadierem ucichły, a kajdanki, które już prawie zamknęły się na nadgarstkach Homera, wylądowały z powrotem w szufladzie biurka. Brzuchaty naczelnik straży postanowił osobiście odprowadzić starego.

Homer i jego przewodnik weszli po schodach, poszli korytarzem, dotarli do Arbackiej. Zatrzymali się przed drzwiami, których pilnowało dwóch ludzi po cywilnemu, których twarze zdradzały zawodowych zabójców. Za ich plecami otwierał się szereg pokoików służbowych. Brzuchaty poprosił Homera, żeby poczekał, a sam podreptał korytarzem naprzód. Nie minęły nawet trzy minuty, jak wrócił, przyjrzał się ze zdziwieniem staremu i zaprosił go do środka.

Wąski korytarz prowadził do nieoczekiwanie przestronnego pokoju, którego ściany były w całości udekorowane mapami, schematami, obrosły notatkami i szyframi, fotografiami i rysunkami. Przy szerokim dębowym stole siedział niemłody kościsty człowiek z tak szerokimi barkami, jakby miał na sobie kaukaską burkę. Spod narzuconej na plecy kurtki munduru wystawała tylko jedna, lewa ręka, i, przyjrząwszy się, Homer pojął w czym rzecz: prawa była prawie w całości amputowana. Gospodarz gabinetu był wzrostu olbrzyma - jego oczy znajdowały się prawie na równi ze wzrokiem stojącego starego.

- Dziękuję - zwolnił brzuchatego, i ten z zauważalnym żalem zamknął drzwi z drugiej

strony. - Kim pan jest?

- Nikolaj Iwanowicz Nikolajew - spieszył się stary.

- Skończ pan ten cyrk. Jeśli przychodzi pan do mnie mówiąc, że jest z panem mój najbliższy towarzysz, którego pochowałem rok temu, to musi pan mieć powód. Kim pan jest?

- Nikim... - Homer nie próbował go zwodzić. - Ale nie chodzi o mnie. On żyje, to prawda. Po prostu musi pan ze mną pójść, i to jak najszybciej.

- Zastanawiam się właśnie, czy to pułapka, głupi dowcip, czy po prostu pomyłka - Młynarz zapalił papierosa i wypuścił dym staremu w twarz. - Jeśli zna pan jego imię i przyszedł pan z tym właśnie do mnie, to powinien pan znać jego historię. Powinien pan wiedzieć, że szukaliśmy go dzień po dniu przez ponad rok. Że straciliśmy przez to kilku ludzi. Powinien pan wiedzieć, niech pana szlag, jak wiele on dla nas znaczył. Może również to, że był moją prawą ręką - uśmiechnął się krzywo.

- Nie, niczego takiego... On o niczym nie opowiada - stary schował głowę w ramiona. - Proszę, chodźmy od razu na Borowicką. Mamy mało czasu...

- Nie, nigdzie nie będę biegać. I mam ku temu ważny powód.

Młynarz opuścił rękę za stół, wykonał nią dziwny ruch i w niezwykle sposób przesunął się do przodu nie wstając z miejsca. Dopiero po kilku sekundach Homer uświadomił sobie, że tamten siedzi na wózku inwalidzkim.

- Tak więc porozmawiajmy na spokojnie. Chciałbym zrozumieć, jaki jest sens pańskiego przybycia.

- Boże - stary stracił już nadzieję, że cokolwiek trafi do tego bałwana - niech pan mi po prostu uwierzy. On żyje. I siedzi w małpiarni na Borowickiej. A przynajmniej mam nadzieję, że nadal tam jest...

- Chciałbym panu uwierzyć - Młynarz zamilkł, zaciągnął się głęboko, i stary usłyszał, jak trzaska, skręcając się i paląc, bibułka papierosa. - Tyle, że cuda się nie zdarzają. Jątrzy pan starą ranę... W porządku. Mam swoje wersje tego, czyja to gierka. Ale weryfikować je będą specjalnie do tego szkoleni ludzie... - sięgnął do telefonu.

- Dlaczego on tak boi się czarnych? - nieoczekiwanie dla samego siebie zapytał Homer.

Młynarz ostrożnie odłożył słuchawkę, nie powiedziawszy w końcu do niej ani słowa. Jednym zaciągnięciem się skończył całego papierosa, wypuścił krótki niedopałek do popielniczki.

- A niech cię licho, pobujam się na tę Borowicką - powiedział.

- Ja tam nie pójde! Puść mnie! Już wolę zostać tutaj...

Sasza nie żartowała, to nie była kokieteria. Trudno było powiedzieć, czy jej ojciec nienawidził kogoś bardziej niż czerwonych. Pozbawili go władzy, przetręcili mu kręgosłup, i zamiast po prostu go dobić, z litości bądź pięknoduchostwa skazali go jeszcze na długie lata poniżeń i męczarni. Ojciec nie mógł wybaczyć ludziom, którzy zbuntowali się przeciw niemu. Nie mógł wybaczyć tym, którzy inspirowali i podjudzali zdrajców, tym, którzy dostarczali im broni i ulotek. Sam kolor czerwony wywoływał u niego napady wściekłości. I chociaż pod koniec życia mówił, że nikomu nie ma nic za złe i nie chce się mścić, to Saszy zdawało się, że po prostu usprawiedliwia własną bezsilność.

- To jedyna droga - powiedział zakłopotany Leonid.

- Szliśmy na Kijewską! Nie tutaj mnie prowadziłeś!

- Hanza od dziesięcioleci jest w stanie wojny z Linią Czerwoną, nie mogłem przecież przyznawać się pierwszej napotkanej osobie, że idziemy do komunistów... Trzeba było trochę skłamać - Nie potrafisz bez tego żyć!

- Wejście znajduje się za Sportiwną, tak jak mówiłem. Sportiwna to ostatnia stacja Linii Czerwonej przed zawalonym mostem kolejowym, więc nic na to nie poradzę.

- Jak tam się dostaniemy? Nie mam paszportu - nie spuszczała z muzyka rozeźlonego wzroku.

- Zaufaj mi - uśmiechnął się. - Człowiek z człowiekiem zawsze się dogada. Chwała korupcji!

Nie słuchając jej protestów, złapał Saszę za przegub i pociągnął za sobą. Reflektory drugiej linii obrony rozpały zwisające z sufitu ogromne karmazynowe flagi, tunelowy przeciąg sprawiał, że falowały, i dziewczynie zdawało się, że widzi przed sobą dwa migoczące czerwone wodospady. Znak?

Sądząc po tym, co słyszała o linii, powinni byli zostać podziurawieni jak sito jeszcze na podejściu... Jednak Leonid spokojnie szedł naprzód, a pewny siebie uśmiech nie schodził z jego ust. Jakies trzydzieści metrów przed posterunkiem na jego pierś padła gruba smuga światła z reflektora. Muzyk postawił tylko futerał z instrumentem na ziemię i spokojnie podniósł ręce do góry. Sasza zrobiła to samo.

Podeszli do nich sprawdzający - zaspani, zdziwieni. Prawdopodobnie w ogóle nie zdarzało im się spotykać kogokolwiek z drugiej strony granicy. Tym razem muzyk zdążył poprosić dowódcę na bok, zanim ten spytał Saszę o dokumenty. Szepnął mu coś przymilnie do ucha, ledwo słyszalnie brzęknął mosiądzem, i tamten wrócił oczarowany, w stanie błogości. Dowódca warty osobiście przeprowadził ich przez wszystkie posterunki, a nawet posadził na oczekującą ich ręczną drezynę, nakazując żołnierzom jechać do Frunzeńskiej.

Ci złapali za dźwignie i sapiąc ruszyli dreżynę z miejsca. Zasepiona Sasza przyglądała się ubraniom i twarzom tych, których ojciec nauczył ją nazywać wrogami... Nic szczególnego. Waciaki, wytarte plamiste czapki cyklistówki z przypiętymi gwiazdami, wydatne kości policzkowe, zapadłe policzki... Tak, nie błyszczeli jak strażnicy w Hanzie, ale człowieczeństwa mieli w sobie dokładnie tyle samo. A w oczach migąła im całkiem chłopięca ciekawość, która tym, którzy żyli na Linii Okrężnej, była chyba zupełnie nieznaną. Wątpliwe, żeby ta dwójka w ogóle słyszała o tym, co wydarzyło się na Awtozawodskiej prawie dziesięć lat wcześniej. Czy to są wrogowie Saszy? Czy w ogóle można szczerze, nie tylko formalnie, nienawidzić nieznanym ludzi?

Żołnierze nie decydowali się na rozmowy z pasażerami, miarowo postękiwali napierając na dźwignie.

- Jak ci się to udało? - zapytała Sasza.

- Hipnoza - mrugnął do niej Leonid.

- A co ty za dokumenty im pokazujesz? - popatrzyła podejrzliwie na muzyka. - Jak to możliwe, że wszędzie cię z nimi przepuszczają?

- Różne paszporty na różne okazje - odparł wymijająco.

- Kim ty jesteś? - żeby nikt już jej nie usłyszał, Sasza musiała usiąść tuż przy Leonidzie.

- Obserwatorem - poruszył bezgłośnie ustami.

Gdyby Sasza nie zatkała sobie ust, pytania po prostu by z niej trysnęły; jednak żołnierze aż nazbyt wyraźnie próbowali już zrozumieć treść ich rozmowy, starając się nawet ciszej skrzypiec dźwigniami.

Trzeba było poczekać, aż dojadą do stacji Frunzeńska - wyschłej, wyblakłej, poblądłej z makijażem w postaci czerwonych flag. Wyszczerbiona mozaika na ścianach, nadgryzione zębem czasu filary... Ciemne odmęty sklepień - wątłe lampy zwisały z przeciągniętych między filarami kabli tylko nieco powyżej głów tutejszych niewysokich mieszkańców, tak by nie zmarnować ani promyczka drogiego światła. Było tu zadziwiająco czysto: po peronie uwijało się kilka niespokojnych sprzątarek naraz. Stacja była ludna, ale jedno było dziwne: w którąkolwiek stronę popatrzyła. Sasza, pod jej spojrzeniem wszystko zaczynało ożywać, miotać się gorączkowo, a za jej plecami raptem zamierało i zaczynało szemrać przytłumionymi głosami. Lecz wystarczyło, żeby się odwróciła, a szepty ucichały, a ludzie wracali do swoich spraw. I nikt nie chciał jej spojrzeć w oczy, jakby to było nieprzyzwoite.

- Nieczęsto bywają tu obcy? - popatrzyła na Leonida.

- Sam tu jestem obcy - muzyk wzruszył ramionami.

- To gdzie jesteś u siebie?

- W miejscu, gdzie ludzie nie są tak śmiertelnie poważni... - uśmiechnął się. - Gdzie rozumieją, że samo żarcie człowieka nie zbawi. Gdzie nie chcą zapominać o tym, co było wczoraj, choć te wspomnienia zadają im ból.

- Opowiedz mi o Szmaragdowym Grodzie - poprosił cichutko Sasza. - Dlaczego oni... Dlaczego się chowacie?

- Władcy Grodu nie ufają mieszkańcom metra.

Leonid przerwał, żeby porozmawiać z wartownikami pilnującymi wejścia do tunelu, a potem, pograżając się razem z Saszą w gęstym mroku, przeniósł płomyczek z żelaznej zapalniczki na knot lampki olejowej i ciągnął dalej.

- Nie ufają dlatego, że ludzie w metrze stopniowo tracą ludzkie oblicze. I dlatego, że wśród nich do tej pory są ci, którzy rozpoczęli tę straszną wojnę, chociaż boją się do tego przyznać nawet przed przyjaciółmi. Dlatego, że ludzie w metrze są nie do naprawienia. Można ich się tylko bać, tylko unikać i obserwować. Jeśli dowiedzą się o Szmaragdowym Grodzie, to go zezrą i wyrzycą, tak jak zrą wszystko, czego dosięgną. Spłoną płótna wielkich malarzy. Spłonie papier i wszystko, co na nim było. Wyniszczony zostanie jedyne społeczeństwo, które osiągnęło sprawiedliwość i harmonię. Runie wykrwawiony gmach Uniwersytetu. Zatonie wielka Arka. I nic więcej nie pozostanie. Wandale...

- Dlaczego uważacie, że nie będziemy umieli się zmienić? - Sasza poczuła się dotknięta.

- Nie wszyscy tak uważają - Leonid rzucił jej spojrzenie kątem oka. - Niektórzy próbują coś zrobić.

- Ale nie bardzo się starają - westchnęła Sasza - jeśli nawet mój staruszek o nich nie słyszał.

- Za to parę osób słyszało ich samych - rzucił wieloznacznie Leonid.

- Mówisz o... muzyce? - domyśliła się Sasza. - Jesteś jednym z tych, którzy mają nadzieję nas zmienić? Ale jak?

- Przymuszając do piękna - zażartował muzyk.

Wózek pchał adiutant, a stary kroczył obok, ledwo nadążając, oglądając się co jakiś czas na przydzielonego mu rosłego strażnika.

- Jeśli naprawdę nie zna pan całej historii - mówił Młynarz - jestem gotów ją panu opowiedzieć. Będzie pan miał jak rozerwać współwięźniów, jeśli na Borowickiej zobaczę kogoś innego... Hunter był jednym z najlepszych żołnierzy Zakonu, prawdziwym myśliwym. Miał wprost zwierzęce zmysły, i był całkowicie oddany sprawie. To on jakieś półtora roku temu zwęszył tych czarnych... Na WOGN-ie. Czyżby nic pan o tym nie słyszał?

- Na WOGN-ie... - stary powtórzył za nim z roztargnieniem. - No tak, niezniszczalne mutanty, które czytały w myślach i potrafiły stawać się niewidzialne... Myślałem, że mówili na nie Ciemni?

- Nieważne - uciął Młynarz. - On jako pierwszy wygrzebał te pogłoski, zaczął bić na alarm, ale nie mieliśmy wtedy ani sił, ani czasu... Odmówiłem mu. Byłem zajęty innymi sprawami - powiódł dokoła kikutem. - Hunter wyprawił się tam w pojedynkę. Ostatnim razem, kiedy się ze mną kontaktował, mówił, że te stwory dławią wolę, wzbudzają przerażenie wszędzie, gdzie się pojawiają. A żołnierzem Hunter był wprost niewiarygodnym, był do tego stworzony, on jeden był wart tyle, co cały pluton...

- Wiem - mruknął Homer.

- I nigdy niczego się nie bał. Wysłał do nas chłopaczka z notatką, że wychodzi na górę zorientować się, jak to jest z czarnymi. Jeśli przypadnie, to znaczy, że zagrożenie jest poważniejsze, niż myślał. Przepadł. Zginął. Mamy swój system powiadomień. Każdy, kto żyje, ma obowiązek zgłosić się raz w tygodniu. Obowiązek! On milczy już od ponad roku.

- A co z czarnymi?

- Przewalcowaliśmy pięknie całą okolicę rakietami „Smiercz”. Od tej pory czarni w ogóle się nie pokazują - uśmiechnął się Młynarz. - Nie napiszą, nie zadzwonią... Wyjścia na WOGN-ie zamknięto, życie wróciło tam do normy. Tylko temu chłopczkowi trochę odbiło, ale, z tego co wiem, wyszedł z tego. Żyje sobie zwykłym ludzkim życiem, ożenił się. Natomiast Hunter... Mam go na sumieniu.

Zjechał ze schodów po stalowej pochylni, rozpędzając zebranych na dole mnichów-czytelników książek, odwrócił się, poczekał na zdyszanego starego i dodał:

- O tym ostatnim lepiej współwięźniom nie opowiadaj.

Po kolejnej minucie cała procesja dotarła w końcu do izolatki. Młynarz nie zamierzał otwierać drzwi; oparł się na adiutancie, zacisnął zęby i podniósł się, przylgnął do wizjera. Wystarczył mu ułamek sekundy.

Z wyczerpaniem, jakby przy swoim kalectwie całą drogę z Arbackiej pokonał na piechotę, Młynarz opadł na wózek, prześlizgnął się po starym zgasłym wzrokiem i ogłosił wyrok:

- To nie on.

- Nie uważam, że moja muzyka należy do mnie - zaskakująco poważnie powiedział Leonid. - Nie rozumiem, skąd bierze się w mojej głowie. Wydaje mi się, że jestem po prostu

łożyskiem... Narzędziem. Właśnie tak, jak podnoszę do ust swój flet, tak ktoś inny podnosi do swoich ust mnie - i powstaje melodia...

- Natchnienie - wyszeptała Sasza.

- Możesz tak to nazwać - rozłożył ręce. - Jakkolwiek jest, to nie należy do mnie, to przychodzi z zewnątrz. I nie mam prawa tego w sobie trzymać. To... wędruje po ludziach. Zaczynam grać i widzę, jak wokół mnie zbierają się wszyscy ci bogacze i nędzarze, pokryci krostami i świecący się od tłuszczu, i źli, i kalecy, i wielcy. Wszyscy. I moja muzyka robi z nimi coś, od czego dostrajają się do jednej tonacji. Jestem jak kamerton... Mogę ich przywieść do harmonii, choć na chwilę. I będą brzmieć tak czysto... Będą śpiewać. Jak to wytłumaczyć?

- Dobrze tłumaczysz - powiedziała w zadumie Sasza. - Sama się tak czułam.

- Muszę próbować w nich to zasiać - dodał Leonid - W jednym człowieku zginie, w innym wyrośnie. Nikogo nie ratuję. Nie jestem upoważniony.

- Ale dlaczego inni mieszkańcy Grodu nie chcą nam pomóc? Dlaczego nawet ty boisz się przyznać, że to robisz?

Milczał... I zachował milczenie, aż tunel skończył się na stacji Sportivna, tak samo wynędzniałej, wyblakłej, poważnej i zbolątej jednocześnie, ale do tego niskiej, ciasnej jak bandaże na głowie i przygniatającej. Pachniało tu dymem i potem, nędzą i dumą. Do Saszy i Leonida został natychmiast przydzielony szpicel, który krążył bez celu równo dziesięć kroków od nich, dokądkolwiek poszli. Dziewczyna chciała od razu ruszyć dalej, ale muzyk ją zatrzymał.

- Teraz nie można. Trzeba będzie poczekać - przysiadł na kamiennej ławce dla gości, szczerknął zamkami futerału.

- Dlaczego?

- Wrota mogą być otwierane tylko w konkretnych godzinach - Leonid unikał jej wzroku.

- Kiedy? - Sasza znalazła wzrokiem zegar; jeśli pokazywał właściwą godzinę, pozostała już mniej niż połowa odmierzonego przez nią czasu.

- Powiem ci.

- Znowu wszystko przeciągasz! - rozzłościła się, odsunęła się od niego. - To obiecujesz pomoc, to znów starasz się mnie zatrzymać!

- Tak - zebrał się na odwagę i pochwycił jej spojrzenie - chcę cię zatrzymać.

- Dlaczego?! W jakim celu?

- Nie prowadzę z tobą gierki. Uwierz mi, znalazłbym sobie kogoś do zabawy i mało kto by odmówił. Myślę, że się zakochałem. Niesamowite, jak to koślawo brzmi...

- Myślisz... Ty tak nawet nie myślisz! Ty tak mówisz, ot i wszystko.

- Jest sposób na odróżnienie miłości od gry - powiedział poważnie.
- Kiedy oszukujesz człowieka, żeby go zdobyć - to ma być miłość?
- Prawdziwa miłość łamie całe twoje życie, nie obchodzą jej okoliczności. A grę zawsze można do nich dostosować...

- Dla mnie to wszystko jest prostsze - Sasza patrzyła na niego spode łba. - Ja nie miałam żadnego życia. Prowadź mnie do wrót.

Leonid wbił ciężki wzrok w dziewczynę, oparł się o filar, odgrodził się od Saszy skrzyżowanymi na piersi rękami. Kilka razy nabierał powietrza, jakby zamierzał dać jej odpowiedź, ale wypuszczał je nie wypowiadając w końcu ani słowa. Potem zgasł, oczy mu ściemniały i wyznał:

- Nie mogę z tobą iść. Nie wpuszczą mnie z powrotem.

- Co to znaczy? - spytała z niedowierzaniem Sasza.

- Nie mogę wrócić do Arki. Wagnano mnie.

- Wagnano? Za co?

- Za pewną sprawę - odwrócił się i zaczął mówić bardzo cicho, tak że nawet stojąc o krok od niego Sasza nie wszystko rozumiała. - Ja... zostałem znieważony przez pewnego człowieka. Nadzorcę biblioteki. Poniżył mnie przy świadkach. Tej samej nocy upiłem się i spaliłem bibliotekę. Nadzorca spłonął razem z całą rodziną. Szkoda, że nie ma u nas kary śmierci... Zasłużyłem na nią. Po prostu mnie wagnano. Dożywotnio. Nie ma dla mnie drogi powrotnej.

- Więc dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?! - Sasza zacisnęła pięści. - Dlaczego puściłeś z dymem też mój czas?!

- Możesz spróbować się do nich dokołatać - wymamrotał Leonid - W bocznym tunelu, dwadzieścia metrów od wrót, jest znak namalowany białą farbą. Dokładnie pod nią, na poziomie podłogi, jest gumowa osłona, pod która znajduje się przycisk dzwonka. Trzeba nacisnąć trzy razy krótko, trzy długo, trzy krótko, to umówiony sygnał dla wracających obserwatorów...

I rzeczywiście został na stacji - pomógł tylko Saszy przejść przez wszystkie trzy posterunki i powlókł się z powrotem. Na pożegnanie próbował wcisnąć jej stary karabin, o który zdążył już gdzieś się wystarać, ale Sasza odmówiła. Trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie... Oto wszystko, co może jej się teraz przydać. I jeszcze latarka.

Za Sportiwną tunele zaczynały się robić mroczne, głuche. Stacja była uważana za ostatnią zamieszkałą na całej linii, i każdy posterunek, przez który przeprowadzał ją muzyk,

przypominał raczej małą twierdzę. Ale Sasza zupełnie się nie bała. Myślała tylko o tym, że za godzinę czy półtorej znajdzie się na progu Szmaragdowego Grodu.

A jeśli Gród nie istnieje, to strach nie miałby w ogóle sensu.

Boczny tunel okazał się być dokładnie tam, gdzie obiecał Leonid. Odgradzony połamanym ogrodzeniem, w którym Sasza bez trudu znalazła dostatecznie szeroką szczelinę, po kilkuset krokach rzeczywiście kończył się stalową ścianą hermetycznej zapory - wiecznej, nieugiętej.

Sasza starannie odmierzyła od niej czterdzieści swoich drobnych kroków i wydobyła z ciemności biały znaczek na mokrej, jakby spoconej ścianie. Osłonę też znalazła od razu. Odgięła gumkę, wymacała dzwonek, sprawdziła zegarek, który dał jej muzyk. Zdążyła! Zdążyła! Ledwo wytrzymawszy kilkuminutowe oczekiwanie, zamknęła oczy...

Trzy krótkie.

Trzy długie.

Trzy krótkie.

Rozdział 17

Kto mówi?

Artem opuścił dymiącą lufę. Chciał grzbietem dłoni otrzeć pot i łzy, ale ręka nie mogła dotrzeć do oczu. Maskę przeszkadzała. Może zdjąć ją w cholerę? Rzeczywiście, jaka to teraz różnica...

Wycie zarażonych było chyba głośniejsze od serii z automatów. Inaczej dlaczego wciąż nowi i nowi chorzy wyrwali się z wagonu, by zderzyć się z gradem ołowiu? Czyżby nie słyszeli huku, czyżby nie rozumieli, że wystrzelają ich jak kaczki? Na co liczyli? Czy może dla nich też nie było już różnicy?

W promieniu kilku metrów wokół otwartego wyjścia z wagonu peron był zavalony nabrzmiałymi ciałami. Niektóre jeszcze drgały, a z głębi tej sterty dobiegał czyjś jęk. Przecięty wrzód rozwartych drzwi wyciekł do końca: ci, którzy zostali w wagonie ścisnęli się w przerażeniu jeszcze ciaśniej, kryjąc przed kulami.

Artem powiódł wzrokiem po pozostałych strzelcach: czy tylko jemu drżą teraz ręce i trzęsą się kolana? Żaden z nich nie powiedział słowa. Z początku milczał nawet dowódca. Słyszał tylko, jak chrypi, starając się powstrzymać krwawy kaszel, przepelniony pociąg i jak wypluwa przekleństwa ostatni umierający pod zwałami trupów.

- Bydlaki... Swołocze... Przecież ja jeszcze żyję... Jak ciężko...

Dowódca jednak go wypatrzył, przykucnął obok i władował w nieszczęśnika resztę magazynka: trzymał wciśnięty spust, aż dały się słyszeć głucho trzaski. Podniósł się, spojrzął na swój pistolet, nie wiedząc czemu wytarł go o spodnie.

- Zachowajcie spokój! - zawołał ochryple. - Próby opuszczenia lazaretu bez pozwolenia będą karane i odtąd...

- Co zrobić z trupami? - padło pytanie.

- Z powrotem do pociągu. Iwanienko, Aksenow, zajmijcie się tym!

Porządek został przywrócony. Artem mógł wracać na swoje miejsce, spróbować zasnąć: do pobudki pozostało jeszcze parę godzin. Przespać choć godzinę, żeby nie paść na twarz na porannej służbie...

Stało się inaczej.

Iwanienko zrobił krok do tyłu, pokręcił głową odmawiając dotknięcia gnijących, rozpadających się ciał. Dowódca wyciągnął do niego rękę z pistoletem, zapominając, że skończyły mu się naboje, gniewnie syknął, a potem od razu szczęknął iglicą, bez skutku. Iwanienko zaskowytał i rzucił się do ucieczki.

I wtedy jeden z pokaszujących żołnierzy krzywo wbił dowódcy w plecy swój bagnet. Dowódca nie upadł, a utrzymał się na nogach i powoli odwrócił się przez ramię do tego, który to zrobił.

- Za co to, sukinsynu? - powiedział cicho ze zdziwieniem.

- Zaraz wszystkich nas tak sprzątniesz... Tu na stacji zdrowych nie ma! Dzisiaj my ich, a jutro ty nas zagonisz do tych wagonów... - wrzeszczał do niego ten, który go pchnął, próbując wyciągnąć z dowódcy swój automat, ale z jakiegoś powodu nie strzelając.

Nikt się do tego nie mieszał. Nawet Artem, który zrobił już krok w kierunku tej dwójki, zastygł w oczekiwaniu. W końcu bagnet wyszedł z pleców. Dowódca, jakby próbując się podrapać, sięgnął do rany, potem padł na kolana, oparł się dłońmi o śliską podłogę, potrząsnął głową. Chciał dojść do siebie? Czy się obudzić?

Nikt nie decydował się, by dobić dowódcę. Nawet buntownik, który ciął go bagnetem, cofnął się z przestachem, a potem zerwał z twarzy maskę przeciwgazową i krzyknął na całą stację:

- Brachy! Wystarczy tych tortur! Dajcie im spokój! I tak muszą zdechnąć! I my też! Co my, nie ludzie?!

- Niech nikt nie śmie... - chrypiał niesłyszalnie dowódca, klęcząc.

Ludzie z karabinami zaszemrali, zaczęli się naradzać. W jednym miejscu z drzwi wagonu wyrwano kratę, i w kolejnym... Potem ktoś strzelił podżegaczowi w twarz, i ten fiknął kozła do tyłu, padając na pozostałe trupy. Ale było już za późno: zarażeni z triumfalnym rykiem wylewali się z pociągu na peron, biegli niezgrabnie na swoich grubych nogach, wrywali przelęknionym wartownikom automaty, rozpierzchali się każdy w swoją stronę. Strażnicy też się zawahali: ktoś jeszcze strzelał do chorych, a inni mieszały się z nimi, uciekali ze stacji do wszystkich tuneli: jedni - na północ, do Sierpuchowskiej, drudzy - na południe, do Nagatińskiej.

Artem stał w miejscu, patrząc tępo na dowódcę. Ten nie chciał umierać. Na początku szedł naprzód na czworakach, potem, ślizgając się, wstał i zaczął gdzieś iść.

- A ja mam dla was niespodziankę... Myśleliście, że się nie przygotowuję... - mamrotał.

Jego błędzący wzrok napotkał Artema. Dowódca na chwilę zamarł i nagle warknął swoim zwyczajnym, niecierpiącym sprzeciwu głosem:

- Popow! Zaprowadź mnie do radiokabiny! Trzeba rozkazać północnemu posterunkowi zamknąć zaporę...

Artem podstawił mu ramię i zaczęli ciężko brnąć, mijając opustoszały pociąg, mijając walczących ludzi, góry rupieci - do kabiny, gdzie był telefon. Rana dowódcy najwidoczniej nie była śmiertelna, ale tracił mnóstwo krwi. Zanim doszli, siły całkiem go opuściły i popadł w omdlenie.

Zastawiwszy drzwi stołem, Artem chwycił mikrofon lokalnej centrali telefonicznej i wezwał północny posterunek. Aparat poszczełkiwał, charczał, jakby dysząc urywanym oddechem, i milczał, przerażająco milczał.

Jeśli jest za późno, by odciąć tę drogę, to Artem powinien uprzedzić choćby Dobrynińską! Rzucił się do telefonu, nacisnął jeden z dwóch przycisków na pulpicie, poczekał kilka sekund... Aparat jeszcze pracował. Z początku w słuchawce szeptało tylko echo, potem dało się słyszeć terkotanie, i w końcu sygnały.

Jeden... Dwa... Trzy... Cztery... Pięć... Sześć...

Boże, niech oni odbiorą. Jeśli wciąż żyją, jeśli do tej pory się nie zarazili, to niech odbiorą, niech dadzą mu szansę. Niech się odezwą zanim chorzy dotrą do granic stacji. Teraz Artem był gotów sprzedać duszę, żeby tylko na drugim końcu przewodu ktokolwiek podniósł słuchawkę!

I tu nastąpiło coś niemożliwego. Siódmy dzwonek urwał się w połowie, dało się słyszeć charkotanie, dalekie przekleństwa, i poprzez szumy przebił się zdyszany, drżący ze zdenerwowania głos.

- Dobrynińska, słucham!

Klatka była pogrążona w półmroku. Lecz Homerowi starczyło i tego skąpego światła, by zobaczyć: sylwetka więźnia była zbyt mizerna, zbyt martwa, by należeć do brygadiera. Tak jakby za kratą siedziała kukła - bezwolna, obwisła. Chyba strażnik... Nieżywy. Ale gdzie jest Hunter?!

- Dziękuję. Myślałem, że już się nie doczekam - rozległ się niski głuchy głos. - Było mi tam... ciasno.

Młynarz zakręcił się na swoim wózku prędzej, niż zdążył się odwrócić Homer. W przejściu, odcinając im drogę na stację, stał brygadier. Ręce miał mocno splecione, tak jakby jedna nie ufała drugiej i bała się ją wypuścić. Był do nich odwrócony swoją oszpeconą połówą.

- To... ty? - Młynarzowi zadrgała szczeka.

- Na razie jeszcze tak - Hunter dziwnie kaszlnął; gdyby Homer nie wiedział, że nie umie się śmiać, mógłby dać się nabrać i wziąć ten dźwięk za śmiech.

- Co z tobą? Co z twoją twarzą?

Młynarz chciał z pewnością spytać go o coś zupełnie innego; machnięciem ręki kazał strażnikom się wynieść Homer został.

- Ty też nie jesteś w najlepszej formie - brygadier znów kaszlnął.

- Głupstwo - skrzywił się Młynarz. - Szkoda tylko, że nie mogę cię objąć. Niech cię diabli... Gdzie ty... Ile myśmy cię szukali!

- Wiem. Musiałem... pobyć sam - urywanymi zdaniem powiedział Hunter. - Ja... nie chciałem iść do ludzi. Chciałem odejść na zawsze. Ale się wystraszyłem...

- A co się stało wtedy, z czarnymi? To oni to zrobili? - Młynarz wskazał na fioletowe blizny.

- To nic. Nie udało mi się ich zlikwidować - brygadier dotknął szramy. - Nie dałem rady. Oni mnie... Złamali.

- Ale okazało się, że miałeś rację - nieoczekiwanie gorąco odezwał się Młynarz. - Wybacz mi, na początku nie zwróciłem na to uwagi, nie uwierzyłem. Mieliśmy wtedy... Sam wiesz... Ale znaleźliśmy ich, wypaliliśmy wszystko do czysta. Myśleliśmy, że już po tobie. Że oni cię... To przez ciebie ich tak... Za ciebie. Wszystkich, co do jednego!

- Wiem - zerwanym, ochrypłym głosem powiedział Hunter. - I oni wiedzieli, że tak się stanie, przeze mnie. Oni wszyscy wiedzieli. Umieją czytać ludzi, i los każdego z nich. Nawet nie wiesz, na kogo podnieśliśmy rękę... On uśmiechnął się do nas ostatni raz... Posłał ich... A my... Ja ich skazałem, a wy wykonaliście wyrok. Bo tacy jesteśmy. Bo jesteśmy potworami...

- Co...

- Kiedy do nich przyszedłem... Pokazali mi, kim jestem. Tak jakbym patrzył w lustro i widział wszystko tak, jak jest. I dowiedziałem się wszystkiego o sobie o ludziach. Dlaczego tak skończyliśmy...

- O czym ty mówisz?! - Młynarz wpatrywał się w swojego towarzysza z przerażeniem, zerknął przelotnie na drzwi: czyżby pożałował, że zbyt pośpiesznie odesłał strażę?

- Mówię ci. Ujrzałem siebie ich oczami, jak w lustrze. Nie z zewnątrz, a od środka... To, co jest za fasadą... Wywabili go na światło dzienne, do lustra, żeby mi go pokazać Ludojada. Potwora. A człowieka w nim nie zobaczyłem. Przestraszyłem się sam siebie. To coś się przebudziło. Wcześniej się okłamywałem... Mówiłem, że bronie, ratuję... Kłamstwa. Po prostu głodne zwierzę, które przegryza gardła. Gorzej niż zwierzę. Lustro zniknęło, a ono... to coś... zostało. Przebudziło się i już nie chciało spać. Myśleli, że po czymś takim się zabiję. Po

co miałbym żyć... A ja się nie dałem. Musiałem walczyć. Najpierw w pojedynkę... Żeby nikt nie widział. Jak najdalej od ludzi. Myślałem, że mogę sam siebie ukarać, żeby nie robili tego oni. Myślałem, że wypędzę to z siebie zadając sobie ból... - dotknął blizn. - Potem zrozumiałem, że bez ludzi ono zwycięży. Zapominałem o sobie. I wróciłem.

- Oni ci zrobili pranie mózgu! - powiedział ciężko Młynarz.

- To nic. Już wszystko mi przeszło - brygadier odsunął rękę od blizn, i jego głos się zmienił: znów stał się głuchy i martwy. - Prawie wszystko. Ta historia jest już dawno skończona, co się stało, to się stało. Jesteśmy tu teraz sami. Trzeba jakoś się z tego wywinąć. Nie w tej sprawie przyszedłem. Na Tulskiej jest epidemia. Może się przenieść i na Sewastopolską, i na Okrężną. Gorączka wietrzna. Ta sama, śmiertelna.

- Nie meldowali mi - Młynarz spojrzał na niego podejrzliwie.

- Nikomu nie meldowali. Tchórzą. Kłamią. Ukrywają to. Nie wiedzą, co robić.

- Czego ode mnie chcesz? - tamten wyprostował się na wózku.

- Sam wiesz. Zagrożenie należy wyeliminować. Daj mi żeton. Daj ludzi. Miotacze płomieni. Trzeba zamknąć i wyczyścić Tulską. Z konieczności również Sierpuchowską i Sewastopolską. Mam nadzieję, że dalej to nie zaszło.

- Wyróżnić trzy stacje na wszelki wypadek? - zapytał Młynarz.

- Żeby ocalić pozostałych.

- Po takiej rzezi wszyscy znienawidzą Zakon...

- Nikt się o niczym nie dowie. Nie pozostawimy nikogo, kto mógłby się zarazić... i zobaczyć.

- Za taką cenę?!

- Nie rozumiesz? Jeśli będziemy dalej zwlekać, to nie będzie już kogo ratować. Za późno dowiedzieliśmy się o epidemii. Innej możliwości, by ją zatrzymać, już nie będzie. Za dwa tygodnie całe metro będzie jednym wielkim zadżumionym barakiem, za miesiąc - cmentarzem.

- Muszę sam się przekonać...

- Nie wierzysz mi, tak? Sądzisz, że zwariowałem? Nie wierzyłeś wtedy i teraz też wątpisz. Chrzanić to. Pójdę sam. Jak zwykle. Przynajmniej moje sumienie będzie czyste.

Obrócił się, odepchnął osłupiałego Homera, ruszył do wyjścia. Lecz rzucone przez niego słowa, wbiły się w Młynarza jak harpun i pociągnęły go w ślad za brygadierem.

- Stój! Weź żeton! - zaczął gorączkowo szukać pod mundurem i wyciągnął w kierunku zastygłego Huntera niczym się nie wyróżniającą blaszkę. - Ja... zezwalam.

Brygadier zgarnął żeton z jego kościstej dłoni, wsunął do kieszeni, skinął w milczeniu

głową, obrzucając Młynarza długim, nieruchomym spojrzeniem.

- Wracaj - odezwał się ten. - Jestem zmęczony.

- A ja przeciwnie... pełen sił - kaszlnął Hunter.

I zniknął.

Sasza długo nie ośmielała się zadzwonić jeszcze raz: nie ma po co nękać straży Szmaragdowego Grodu. Na pewno już ją usłyszeli, a może i zdążyli porządnie jej się przyjrzeć. I jeśli do tej pory nie otworzyli wrośniętych w ziemię drzwi, to tylko dlatego, że naradzają się, nie wiedząc, czy wpuszczać obcego, który odgadł hasło.

Co ona im powie, kiedy wrota jednak się rozsuną?

Będzie mówić o epidemii, która szaleje na Tulskiej? Zechcą się w to wmieszać? Zaryzykują? A może oni wszyscy, jak Leonid, potrafią przejrzeć człowieka na wskroś? Może od razu opowiedzieć im o gorączce, która dotknęła samą Saszę? Wyznać obcym to, czego do tej pory nie zdecydowała się wyznać nawet sobie...

Ale czy Saszy uda się w ogóle ich poruszyć? Przecież jeśli już dawno wygrali z tą straszną gorączką, to dlaczego nie interweniują, dlaczego nie wyprawią na Tulska wysłannika z lekarstwem? Po prostu bali się zwyczajnych ludzi? Czy, mieli nadzieję, że pomór ich wyniszczy? Czy to nie oni sami wywołali chorobę w wielkim metrze?

Nie! Jak mogła tak pomyśleć! Leonid mówił, że mieszkańcy Szmaragdowego Grodu są sprawiedliwi i przyjaźni ludziom. Że nie zabijają, a nawet nie zabierają wolności. I że pośród tego nieskończonego piękna, którym się otoczyli, nikt nie ośmiela się nawet pomyśleć o zbrodni.

Więc dlaczego nie uratują skazanych na śmierć? Dlaczego nie otworzą jej drzwi?!

Sasza zadzwoniła jeszcze raz. I jeszcze.

Za stalową ścianą było tak głucho, jakby była ślepymi drzwiami i nie kryła nic poza tysiącami ton kamienistej ziemi.

- Nie otworzą ci.

Sasza gwałtownie się odwróciła. Dziesięć kroków od niej stał muzyk - przechylony na bok, potargany, smutny.

- To spróbuj sam! Może ci wybaczyli? - Sasza spojrzała na niego nie rozumiejąc - Przecież po to przyszedłeś?

- Nie ma kto mi wybaczyć. Tam jest pusto.

- Ale przecież mówiłeś...

- Skłamałem. To nie jest wejście do Szmaragdowego Grodu.

- Więc dokąd?

- Nie wiem. I nikt nie wie - rozłożył ręce.

- Ale jak to jest, że wszędzie cię przepuszczali? Więc nie jesteś obserwatorem... Więc... I na Okrężnej, i u czerwonych... Oszukujesz mnie teraz, tak? Wygadałeś się o Grodzie i teraz żalujesz! - żalonym, poszukującym wzrokiem, próbowała zajrzeć mu w oczy, znaleźć tam potwierdzenie swoich domysłów.

- Sam zawsze marzyłem, żeby tam trafić - Leonid uparcie patrzył w ziemię. - Szukałem go wiele lat. Zbierałem pogłoski, czytałem stare książki. Tylko w to miejsce przychodziłem pewnie ze sto razy. Znalazłem ten dzwonek... Wydzwaniałem przez okrągłą dobę. Wszystko na nic.

- Dlaczego mnie oszukałeś?! - ruszyła wprost na niego; jej prawa ręka ożyła i sama zaczęła szukać noża. - Co ja ci zrobiłam? Za co to?!

- Chciałem im cię wykraść - kiedy zauważył broń, jakoś się zmieszał i zamiast uciekać usiadł na szynach. - Myślałem, że jeśli zostanę z tobą sam na sam...

- A dlaczego wróciłeś?!

- Trudno powiedzieć - patrzył na nią pokornie z dołu do góry. - Chyba zrozumiałem, że przekroczyłem jakąś granicę. Kiedy cię tu wysłałem... Zostałem sam i zacząłem się zastanawiać... Dusza przecież nie jest czarna od urodzenia. Z początku jest przezroczysta, a potem stopniowo ciemnieje, plamka po plamce, za każdym razem, kiedy wybaczasz sobie zło, znajdujesz dla niego usprawiedliwienie, mówisz sobie, że to wszystko tylko gra. Ale w którymś momencie czerni jest coraz więcej. Mało kto potrafi wyczuć ten moment, od środka go nie widać. A ja nagle zrozumiałem, że to właśnie tu i teraz przekraczam granicę, i potem stanę się kimś innym. Na zawsze. I przyszedłem się przyznać. Właśnie dlatego, że nie zasłużyłaś.

- Ale w takim razie, dlaczego wszyscy tak się ciebie boją? Dlaczego tak ubiegają się o twoje względy?

- Nie moje - westchnął Leonid. - Taty.

- Co?

- Nazwisko „Moskwin” nic ci nie mówi?

- Nie - Sasza pokręciła przecząco głową.

- Więc jesteś chyba jedyną taką osobą w całym metrze - uśmiechnął się niewesoło muzyk.

- W skrócie, mój tata jest wielkim naczelnikiem. Całej Linii Czerwonej. Wyrobił mi paszport dyplomatyczny, no to i przepuszczają. Rzadkie nazwisko, nikt nie ryzykuje brania tego na

siebie.

- To co ty... - Sasza odsunęła się od niego i patrzyła złym wzrokiem. - Obserwujesz? To po to cię wysłali?

- Pozbyli się mnie. Tatko zrozumiał, że nie wyjdę na ludzi, i dał sobie spokój. I oto powoli hańbię jego nazwisko - skrzywił się Leonid.

- Pokłóciłeś się z nim? - dziewczyna zmrużyła oczy.

- Jak można się pokłócić z towarzyszem Moskwinem? Przecież to żywy pomnik! Ekskomunikowali mnie i wyklęli. Widzisz, ja od dziecka byłem cudakiem. Do ładnych obrazków mnie ciągnęło, do fortepianu, książek. Mama mnie zepsuła, chciała mieć dziewczynkę. Kiedy ojciec się spostrzegł, próbował zaszczepić mi miłość do broni palnej i partyjnych intryg, ale było za późno. Matka uczyła mnie grać na flecie, ojciec oduczał mnie pasem. Profesora, który mnie uczył, zesłał na katorgę, przydzielił mi politruka. Wszystko na nic. Zdążyła już mnie ogarnąć zgnilizna. Nie podobała mi się Linia Czerwona, zdawała się zbyt szara. Chciałem kolorowego życia, chciałem zajmować się muzyką, malować obrazy. Tatko za to kazał mi rozkuwać mozaikę, w celach wychowawczych. Żebym wiedział, że piękno jest ulotne. I skułem ją, żeby nie dostać w skórę. Ale kiedy ją niszczyłem, zapamiętałem całą ze szczegółami i teraz sam mógłbym taką ułożyć. A ojca od tego czasu nienawidzę.

- Nie wolno ci tak o nim mówić! - oburzyła się Sasza.

- Mnie wolno - uśmiechnął się muzyk. - To pozostałych za to rozstrzelują. A jeśli chodzi o Szmaragdowy Gród... Opowiadał mi o nim szeptem mój profesor, kiedy jeszcze byłem mały i postanowiłem, że koniecznie muszę odszukać wejście, kiedy dorosnę. Że powinno być na świecie miejsce, gdzie to, dla czego żyję, ma sens. Gdzie wszyscy żyją właśnie dla tego. Gdzie nie będę niepotrzebnym, marnym wyrodkiem, ani księciem-paniczykiem, ani następcą Drakuli, a równym wśród równych.

- I nie znalazłeś - Sasza schowała nóż; odsiawszy nieznaną jej słowa, potrafiła zrozumieć to, co najważniejsze. - Dlatego, że go nie ma.

Leonid wzruszył ramionami. Podniósł się, podszedł do dzwonka, nacisnął przycisk.

- Pewnie nie jest ważne, czy ktoś mnie tam słyszy, czy nie. Pewnie nie jest ważne, czy jest w ogóle takie miejsce na ziemi. Najważniejsze, że to ja myślę, że gdzieś jest. I że ktoś mnie słyszy. Że po prostu jeszcze nie zasłużyłem na to, żeby mi otworzyli.

- I tylko tyle ci wystarcza? - spytała Sasza.

- Całej ludzkości zawsze wystarczało, wystarczy i mnie - wzruszył ramionami muzyk.

Stary wybiegł na peron w ślad za odchodzącym brygadierem, rozejrzał się zagubionym wzrokiem dookoła - nigdzie go nie było. Z izolatki wyjechał też Młynarz, poszarzały, wyjałowiony, jakby razem z zagadkowym żetonem oddał brygadierowi duszę.

Dlaczego i dokąd uciekł Hunter? Dlaczego zostawił Homera? Pytać Młynarza nie było sensu; przed tym człowiekiem należało jak najdalej się schować, zanim przypomni sobie o istnieniu starego. Udając, że podąża za brygadierem, Homer pospiesznie odszedł, oczekując okrzyku zza siebie. Ale Młynarz chyba już się nim nie interesował.

Hunter powiedział staremu, że potrzebuje go, by nie zapominać o swoim dawnym ja... Skłamał? Może po prostu nie chciał się zapomnieć, stracić nad sobą panowania i uwikłać się w Polis w potyczkę, którą mógł przegrać, nie dotarłszy w końcu do Tulskiej? Jego instynkt i umiejętność zabijania były niesamowite, ale nawet on nie zdecydowałby się w pojedynkę szturmować całej stacji. Jeśli tak, to po odprowadzeniu go do Polis stary odegrał już swoją rolę i teraz wypchnięto go ze sceny.

Rzeczywiście, rozwiązanie całej historii zależało też od niego. I przyłożył swoją rękę do tego, by jej finał okazał się właśnie taki, jak planował brygadier - czy też ten, który przez niego przemawiał.

Co to był za żeton? Przepustka? Oznaka władzy? Piracka czarna plama? Darowanie przyszłych win, tych wszystkich grzechów, które Hunter tak bardzo chciał wziąć na swoje sumienie? Jakkolwiek było, otrzymawszy od Młynarza żeton i pozwolenie, brygadier ostatecznie rozwiązał sobie ręce. Nie zamierzał nikomu się spowiadać. Spowiadać! Bo to, co wzięło w nim górę, ta groza, co z rzadka wychodziła do lustra, nie umiała nawet sensownie mówić...

Co się więc stanie na Tulskiej, kiedy Hunter jej dopadnie? Uda mu się ugasić swoje pragnienie, topiąc we krwi całą stację, dwie, trzy? Czy przeciwnie, to, co w sobie nosi, po takim poczęstunku będzie się rozrastać bez końca?

Kto z tej dwójki prosił Homera, by za nim poszedł? Ten, który pożerał ludzi, czy ten, który walczył z potworami? Który z nich padł w wymyślnym starciu na Poliance? I kto potem rozmawiał ze starym, prosząc o pomoc?

A może... Może Homer miał go zabić i to było jego prawdziwe zadanie? Może resztki dawnego brygadiera, stłamszone i prawie zaduszone, wyciągnęły starego na tę wyprawę, żeby ten sam zobaczył wszystko swoimi oczami, żeby z przerażenia, bądź z litości uśmiercił Huntera zdradzieckim strzałem w tył głowy w jakimś ciemnym tunelu? Brygadier nie mógł sam pozbawić się życia, dlatego znalazł sobie kata. Kata, którego nie trzeba było o nic prosić, który miał się okazać wystarczająco domyślny, żeby zrobić wszystko samemu, zwiódłszy w

Hunterze tego drugiego, który rósł z każdą chwilą i nie chciał umierać.

Ale nawet gdyby Homer nabrał odwagi, gdyby wybrał właściwy moment i potrafił wziąć Huntera z zaskoczenia, to co by to dało? Sam nie powstrzyma pomoru. A więc jednak, w tym zugzwangu, staremu pozostawało tylko obserwować i zapisywać?

Homer mógł przypuszczać, dokąd skierował się brygadier. Na wespół mityczny Zakon, do którego, jak można było sądzić, należeli i Młynarz, i Hunter, jak głosiły plotki, miał swoją siedzibę na Smoleńskiej, w podbrzuszu Polis. Jego legioniści byli zobowiązani do ochrony metra i jego mieszkańców przed niebezpieczeństwami, z którymi nie poradziłyby sobie armie zwyczajnych stacji... To było wszystko, co Zakon pozwalał o sobie wiedzieć.

Stary nie miał nawet co myśleć o tym, by dostać się na Smoleńską, niedostępną jak twierdza Alamut. Nie miało to też sensu: aby spotkać brygadiera, trzeba było tylko wrócić na Dobrynińską... i czekać, aż tor, którym jedzie Hunter, nieuchronnie zaprowadzi brygadiera właśnie tam, na miejsce przyszłej zbrodni, na końcową stację tej strasznej historii.

Pozwolić mu rozprawić się z zadżumionymi, odkazić Tulska, a potem... Wypełnić jego niewypowiedzianą wolę? Stary myślał, że jego rola jest inna: tworzyć, a nie strzelać, unieśmiertelnić, a nie uśmiercać. Nie oceniać i nie interweniować, pozwalając bohaterom książki działać na własną rękę. Ale gdy wokół płynie rzeka krwi, trudno się nie ubrudzić. Chwała Bogu, że zostawił dziewczynę z tym cwaniakiem. Przynajmniej uchronił Saszę przed widokiem tej strasznej rzezi, której tak czy owak już nie zapobiegnie.

Sprawdził godzinę na stacyjnym zegarze: jeśli brygadier szedł równo według grafiku, to Homerowi, zdaje się, pozostało w zapasie jeszcze trochę czasu.

Parę godzin, żeby pobyć jeszcze z samym sobą. I żeby zaprosić Polis do ostatniego tanga.

- I jak zamierzałeś zasłużyć na prawo wejścia? - spytała Sasza.

- No... To oczywiście głupota... Dzięki fletowi. Myślałem, że to może coś naprawić. Rozumiesz... Muzyka to najbardziej ulotna, najbardziej efemeryczna ze sztuk. Istnieje dokładnie tak długo, jak gra instrument, a potem w ułamku sekundy znika bez śladu. Ale nic nie zaraża ludzi tak szybko, jak muzyka, nic nie rani tak głęboko i nie goi się tak powoli. Melodia, która cię poruszyła, pozostanie z tobą na zawsze. To ekstrakt piękna. Myślałem, że można nim leczyć spotwornienie dusz.

- Dziwny jesteś - powiedziała dziewczyna.

- A teraz nagle zrozumiałem, że trędowaty nie może leczyć trędowatych. Że jeśli nie przyznam ci się do wszystkiego, to już nigdy mi nie otworzą.

- Myślałeś, że ci wybaczę? Twoje kłamstwa, okrucieństwo? - spojrzała na niego ostro

Sasza.

- Dasz mi jeszcze jedną szansę? - Leonid znów się do niej uśmiechnął. - Przecież mówiłaś, że wszyscy mamy do niej prawo.

Dziewczyna czujnie milczała, nie chcąc znów dać się wciągnąć w jego dziwne gry. Dopiero co prawie uwierzyła muzykowi, uwierzyła w jego skrucę, i teraz znowu?

- We wszystkim, co ci opowiadałem jedna rzecz była prawdziwa - powiedział. - Sposób na chorobę istnieje.

- Lekarstwo? - Sasza drgnęła, gotowa, by znów dać się zwieść - To nie lekarstwo. Nie tabletki i nie surowica. Kilka lat temu ognisko takiej choroby pojawiło się u nas, na Priobrażeńskiej.

- Ale dlaczego nawet Hunter o tym nie wie?!

- Do epidemii nie doszło. Wygasła sama z siebie. Te bakterie są bardzo wrażliwe na radiację. Promieniowanie coś z nimi robi... Zdaje się, że przestają się dzielić. Choroba się zatrzymuje. Nawet od niewielkich dawek. Odkryli to przypadkiem. Ot i cały sposób. Rozwiązanie, można powiedzieć, leży na powierzchni.

- Naprawdę? - ze zdenerwowania wzięła go za rękę.

- Naprawdę - nakrył jej dłoń swoją. - Trzeba się po prostu z nimi skontaktować, wyjaśnić im...

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Przecież to takie proste! Ilu ludzi umarło przez ten czas... - uwolniła rękę, oczy jej zabłyśły.

- Przez jeden dzień? Raczej nie... Nie chciałem, żebyś została przy tym mordercy - wymamrotał. - I od samego początku zamierzałem ci wszystko powiedzieć. Ale chciałem wymienić tę tajemnicę na ciebie.

- A mnie wymieniałeś na życie innych ludzi! - powiedziała ze złością Sasza. - A to... Nie jest warte nawet jednego!

- Oddałbym własne - muzyk zabawnie ruszył brwiami.

- Nie ty decydujesz! Wstawaj! Trzeba biec z powrotem... Zanim dotrze do Tulskiej - dziewczyna dotknęła palcem zegarka, szeptem wyliczyła czas, i jęknęła. - Zostały tylko trzy godziny!

- Po co? Mogę wykorzystać naszych radiowców... Dodzwonią się do Hanzy, wszystko wyjaśnią. Nie ma potrzeby, żebyśmy sami tam biegli, tym bardziej, że możemy nie zdążyć...

- Nie! - Sasza pokręciła głową. - Nie! On w to nie uwierzy. Nie będzie chciał wierzyć. Muszę sama mu powiedzieć. Wyjaśnić mu...

- I co będzie potem? - spytał z zazdrością Leonid - Oddasz mu się z radości?

- Co cię to obchodzi? - odgryzła mu się, ale tu, pod wpływem natchnienia pojmując sztukę kierowania zakochanym mężczyzną, dodała łagodniej: - Niczego od niego nie potrzebuję. A bez ciebie sobie teraz nie poradzę.

- Nauczyłaś się ode mnie kłamać... - uśmiechnął się kwaśno muzyk. - Dobra - westchnął z miną skazańca. - Chodźmy.

Na Sportiwną weszli dopiero po półgodzinie: strażnicy się zmienili, i Leonid musiał znów im tłumaczyć, jak dziewczyna bez paszportu może przekroczyć granicę Linii Czerwonej. Sasza spoglądała w napięciu na zegarek, muzyk na nią; było łatwo zauważyć, że się waha, walczy z sobą.

Na peronie chuderlawi rekruci ładowali na starą, cuchnącą dreżynę paki z jakimś towarem, skacowani robotnicy w skupieniu udawali, że uszczelniają pęknięte rury, dzieci w mundurkach uczyły się śpiewać wcale nie dziecięcą piosenkę. W ciągu pięciu minut Saszy i Leonidowi dwukrotnie chciano sprawdzić dokumenty, a kolejna kontrola - kiedy już prawie weszli do tunelu prowadzącego do Frunzeńskiej - przeciągnęła się ponad wszelką miarę.

Czas uciekał. Dziewczyna nie była nawet przekonana, czy zostały jej te marne dwie godziny z kawalkiem: przecież Huntera nie mógł zatrzymać nikt. Nawet żołnierzyki zdążyli już skończyć załadunek, i kopcąca dreżyna zaczęła nabierać prędkości, zbliżając się do nich. I wtedy Leonid się zdecydował.

- Nie chcę cię teraz wypuszczać - powiedział. - Ale nie mogę cię też zatrzymać. Zamierzałem zrobić tak, żebyśmy się spóźnili i żebyś nie miała tam już czego szukać. Ale zrozumiałem, że wtedy i tak nie będziesz moja. Być szczerym, to najgorszy sposób, by uwieść dziewczynę. Ale przestałem kłamać. Przy tobie cały czas jest mi za siebie wstyd. Wybieraj sama, z kim chcesz zostać.

Muzyk wyrwał niespieszącemu się mundurowemu swój magiczny paszport i zaskakująco zręcznie uderzył go w szczękę, kładąc go na ziemię, ścisnął Saszę za rękę, i razem wskoczyli na dreżynę, która właśnie w tym momencie się z nimi zrównała. Oszołomiony maszynista odwrócił się za siebie i spojrzał w lufę rewolweru.

- Tata byłby teraz ze mnie dumny! - zachichotał Leonid - Ile ja się od niego nasłuchałem, że zajmuję się bzdurami, że z tej mojej babskiej gry na fujarce nigdy nie będzie pożytku! I wreszcie zachowuję się, jak prawdziwy mężczyzna, a jego tu nie ma! Jaka szkoda! Wyskakuj! - nakazał trzymającemu ręce w górze maszyniście.

Ten, pomimo szybkości, posłusznie zeskoczył na tory, poturlał się jęcząc z bólu, ucichł i przepadł w ścigającej ich ciemności. Leonid zaczął zrzucać ładunek, i z każdą paką, która

spadła na tory, silnik furczał z coraz większym wigorem. Mizerny reflektor na czole drezyny spoglądał naprzód z niedowierzaniem, krótkowzrocznie mrugając; oświetlał tylko najbliższe kilka metrów. Z piskiem, jakby ktoś skrobał po szkle, spod kół prysnął cały miot młodych szcurów, odskoczył wystraszony dróżnik, gdzieś w oddali urywanym głosem zawyła syrena alarmowa. Żebra tunelu migały coraz szybciej: muzykant wyciskał z maszyny wszystko, do czego była zdolna.

Przelecieli przez Frunzeńską; złapani z zaskoczenia wartownicy rozbiegli się w rozsypce, zupełnie jak tamte szcury, i dopiero kiedy drezyna znalazła się kilkaset metrów za stacją, ta zawyła w rozdrażnieniu unisono ze Sportiwną.

- Teraz się zacnie! - krzyknął Leonid - Najważniejsze, to przejechać przez zjazd na Okrężną! Tam jest duży posterunek... Spróbują nas przechwycić! Pojedziemy linią prosto, do centrum!

Wiedział, co mówi: z tego samego bocznego tunelu, który doprowadził ich na Linię Czerwoną, po oczach smagnęło ich światło reflektora nadjeżdżającej im na spotkanie wielkiej drezyny spalinowej. Ich tory łączyły się w odległości kilkudziesięciu kroków, było już za późno, żeby się zatrzymać. Muzyk wcisnął wytarty do połysku pedał do deski, Sasza przymknęła oczy. Pozostało tylko mieć nadzieję, że zwrotnica jest ustawiona w dobrą stronę i nie wyśle ich na zderzenie czołowe.

Gruchnął cekaem, kule świsnęły przechodząc centymetry od jej uszu. Buchnęły spaliny i gorące powietrze, wzmógł się i ucichł ryk drugiego silnika: maszyny cudem się wyminęły, potężna drezyna wleciała na ich tor ułamek sekundy po tym, jak drezyna Saszy minęła rozwidlenie. Teraz, trzęsąc się, pędziła w stronę Parku Kultury, a wóz bojowy rzuciło w przeciwną stronę.

Uzyskali niewielką przewagę; do najbliższej stacji starczy, a tam? Drezyna zwolniła: tunel zaczął biec w górę.

- Park jest prawie przy samej powierzchni... - oglądając się za siebie, wyjaśnił jej muzyk.
- A Frunzeńska na głębokości pięćdziesięciu metrów... Żeby tylko przejechać ten podjazd, potem się rozpędzimy!

Przed Parkiem. Kultury zdążyli nabrać szybkości. Stary, dumny, z wysokimi sklepieniami, na wpół martwy i ciemny, okazał się być prawie niezamieszkały. Chrząknęła, przeczyszczając zardzewiałe gardło, syrena alarmu. Za ceglanyimi umocnieniami pokazały się głowy. W ślad za nimi odezwało się spóźnione, bezsilne i złe szczekanie automatów.

- Możemy jeszcze zostać przy życiu! - zaśmiał się muzyk. - Jeszcze odrobina szczęścia

i...

I wtedy w ciemności za ich plecami błysnęła mała iskra, potem zapłonęła silniej, oślepiając, doganiając ich... Reflektor motodrezyny! Wystawiwszy przed siebie rażący snop światła, niczym kopię, na którą chciała nabić ich marny pojazd, pancerna drezyna połykała odległość między nimi, z każdą chwilą była coraz bliżej. Znów zaszczekał karabin maszynowy, zagwizdały kule.

- Jeszcze kawałek! Już Kropotkińska!

- Kropotkińska... Pokratkowana na komórki i zastawiona jednakowymi namiotami, zapuszczona i zaniedbana. Czyjeś pozbawione szczegółów portrety na ścianach, niedawno namalowane i już pokryte zaciekami. Flagi, flagi, tyle ich, że zlewają się w jedną nieprzerwaną krwistą wstęgę, w zastygłą strugę tryskającą ze skamieniałej żyły.

Tym razem w ślad za nimi plunął granatnik, i na drezynę posypał się grad marmurowych odłamków, z których jeden rozciął Saszy nogę, na szczęście płytko. Przed nimi żołnierze zaczęli opuszczać szlaban, lecz rozpędzona drezyna zwała go, sama o mało nie wyskakując z toru.

Wielka pancerna drezyna zbliżała się nieubłaganie: jej silnik był o wiele mocniejszy i bez trudu popychał pokrytą stalą maszynę. Sasza i muzyk musieli się położyć i skryć za metalowym szkieletem nadwozia...

Lecz za kilka chwil pokłady obu drezyn po prostu się zrównają, i wezmą ich abordażem. Leonid, jak gdyby oszalał, nagle zaczął się rozbierać.

Przed nimi pojawił się posterunek, stanowiska ogniowe z worków z piaskiem, kolczaste metalowe blokady: koniec jazdy. Zaraz znajdą się między dwoma reflektorami, między dwoma cekaemami, między młotem a kowadłem.

Za chwilę wszystko się skończy.

Rozdział 18

Wybawienie

Sznur ludzi rozciągnął się na kilkadziesiąt metrów. Byli tu tylko najlepsi sewastopolscy żołnierze, każdego z nich pułkownik wybrał osobiście. W półmroku tunelu migwały malutkie czołowe latarki, i cały ten szyk bojowy wydał się Denisowi Michajłowiczowi rojem świetlików lecącym w noc. W ciepłą i duszną krymską noc, nad cyprysami, ku szemrzącemu morzu. Tam, dokąd pułkownik chciałby odejść po śmierci.

Strząsnął z siebie łaskoczący dreszcz, spoważniał, zwymyślał siebie w myślach. Na stare lata zaczął jednak mięknać... Przepuściwszy ostatniego żołnierza, wyciągnął z papierošnicy ze stali nierdzewnej jedyne go skręta, powąchał, pstryknął zapalniczką.

To był dobry dzień. Pułkownikowi uśmiechał się sukces, i wszystko układało się tak, jak to zaplanował. Nagorną minęli bez strat, i nawet jedyny, który zaginął bez wiešci, szybko dogonił kolumnę. Humory mieli wszyscy wyśmienite: iść na karabiny było o wiele mniej straszne, niż gnić w niekończącym się oczekiwaniu i niewiedzy. Do tego, zanim wyruszyli, Denis Michajłowicz pozwolił im się wreszcie porządnie wyspać. Tylko jemu samemu nie udało się w końcu zasnąć. Pułkownik zawsze uważał los po prostu za ciąg przypadków i nie rozumiał, jak można mu się zawierzyć. Przez wszystkie dni, które minęły odkąd skromna ekspedycja weszła w tunele Linii Kachowskiej, nie mieli od nich żadnych wiešci. Wszystko mogło się zdarzyć, Hunter nie jest nieśmiertelny. A czy Denis Michajłowicz miał prawo polegać tylko na brygadierze, który w swoich niekończących się walkach mógł ucierpieć na umyśle, i na staruszkubajkopisarzu?

On też nie mógł już czekać.

Plan działania: poprowadzić główne siły sewastopolczyków przez Nachimowski, Nagorną i Nagatińską, do zamkniętej południowej śluzы Tulskiej, a po powierzchni ziemi wysłać grupę dywersyjną nad zaczopowaną stację. Spuścić dywersantów przez szyby wentylacyjne do tunelu, zlikwidować strażę, jeśli jeszcze tam są, otworzyć zaporę dla brygady uderzeniowej... A dalej, ktokolwiek by tam był, to już tylko kwestia sprzętu.

Trzy dni trwało odnalezienie i oczyszczenie szybów. Dziś stalkerom pozostanie tylko wpuścić dywersantów do środka. A stanie się to już za parę godzin.

Za dwie godziny wszystko się rozwiąże, i Denis Michajłowicz znów będzie mógł myśleć o czymś innym, znów będzie mógł spać i jeść.

Plan był prosty, sprawdzony, bez zarzutu. Ale Denis Michajłowicz czuł w środku wielki ciężar, a serce waliło mu tak, jakby miał osiemnaście lat i znów szedł w swój pierwszy bój do tej górskiej wioski. Pułkownik przypalił niepokój ognikiem papierosa, wyrzucił króciutki niedopałek, znów naciągnął maskę i ruszył do przodu, doganiając oddział.

Wkrótce brygada natknęła się na stalowe wrota. Teraz, przed rozpoczęciem szturm, można odpocząć, jeszcze raz powtórzyć z dowódcami drużyn rozpisane i wyuczone role.

W jednym Homer okazał się mieć rację, uśmiechnął się do siebie pułkownik. Nie ma potrzeby brać twierdzy szturm, jeśli można sprawić, by drzwi otworzyły się od środka. Ruch konika; czy to czasem nie Homer pisał o zdobyciu Troi?

Denis Michajłowicz sprawdził wskazanie dozymetru - niski poziom promieniowania - i zdjął maskę przeciwigazową. Po nim to samo zrobili drużynowi, a potem pozostali żołnierze. Nieważne, niech teraz złapią oddech.

W Polis zawsze było sporo gapiów, którzy po tym, jak ledwo udało im się tu dotrzeć z biednych i ciemnych peryferyjnych stacji, błądzili teraz po jej galeriach i holach z wytrzeszczonymi oczami i opuszczoną z zachwyty szczęką. Tak więc Homer, krążąc po Borowickiej, patrząc z czułością na wysmukłe kolumny Aleksandrowskiego Sadu, z miłością i zachwytem przyglądając się zalotnym, podobnym do damskich kolczyków żyrandolom Arbackiej, niczym się wśród nich nie wyróżniał.

Jego serce wypełniło i nie opuszczało przeczucie: to jego ostatni raz w Polis. To, co wydarzy się na Tulskiej za kilka godzin, przekreśli całe jego życie, a może i je zakończy. Stary postanowił: zrobi to, co powinien. Pozwoli Hunterowi wyrznąć i spalić stację, a potem spróbuje go zabić. Lecz jeśli brygadier domyśli się zdrady, w jednej chwili skręci Homerowi kark. A może i stary sam zginie podczas szturm Tulskiej. Jeśli tak, niedługo umrze. A jeśli wszystko się uda, Homer zostanie pustelnikiem, by wypełnić wszystkie czyste kartki między gotowym już początkiem książki, a jej ostatnią kropką, którą postawi strzelając Hunterowi w potylicę.

Uda mu się? Odważy się? Na samą myśl staremu zaczynały trząść się ręce. To nic, to nic, wszystko rozstrzygnie się samo. Teraz nie można o tym myśleć, nadmiar rozmyślań sprawia, że człowiek się waha.

I chwała Bogu, że dał odejść dziewczynie! Teraz Homer już nie rozumiał, po co wplątał ją w tę swoją awanturę, jak mógł pozwolić jej wejść do klatki z lwami. Zaczął się bawić w

pisarza, zapomniał, że ona nie jest tworem jego wyobraźni...

Powieść wyjdzie mu nie taka i o czym innym, niż wcześniej myślał. Ale przecież od samego początku Homer zamierzał wziąć na siebie ciężar nie do udźwignięcia. Jak umieścić w jednej książce wszystkich ludzi? Weźmy choćby tłum ludzi, między którymi stary teraz szedł: na stronach książki będzie im ciasno. Homer nie chciał przekształcać powieści w zbiorowy grób, gdzie od oznaczonych nazwiskami słupków mieni się w oczach, gdzie za literami z brązu nigdy nie da się dojrzeć twarzy i charakterów poległych.

Nie, nic z tego nie wyjdzie. Nawet jego pamięć, która rozeszła się i dawno zaczęła przeciekać, nie pomieści na pokładzie wszystkich tych ludzi. I podziobaną przez ospę twarz handlarza słodyczami, i bladą, spiczastonosą twarzyczkę dziewczynki wręczającej mu nabój. Uśmiech jej matki, świetlisty jak u Madonny, i uśmiech - pożądliwy, lepki - przechodzącego obok żołnierza? I głębokie bruzdy na twarzach proszących tam akurat starych żebraków, i śmiejące się drobne zmarszczki wokół oczu trzydziestoletniej kobiety?

Kto z nich jest okrutny, kto chciwy, kto jest złodziejem, kto zdrajcą, kto rozpustnikiem, kto prorokiem, kto jest cnotliwy, kto po prostu nie jest obojętny, a kto jeszcze nieukształtowany: Homer tego nie wie. Jest przed nim ukryte to, o czym w rzeczywistości myśli sprzedawca słodyczy patrząc na małą dziewczynkę, co oznacza uśmiech jej matki, czyjejś żony, wzbudzony przez iskrę żołnierskiego spojrzenia, czym trudnił się żebrak zanim amputowano mu nogę. I dlatego nie do Homera należała decyzja, kto zasłużył na prawo do wieczności, a kto nie.

Sześć miliardów zginęło bez śladu; sześć miliardów! Czy to nie przypadek, że tylko kilkudziesięciu tysiącom udało się ocaleć?

Maszynista Sierow, którego miejsce Nikołaj miał zająć tydzień po Apokalipsie, zapalony kibic, myślał o całym życiu, jak o meczu piłki nożnej. Cała ludzkość przegrała, mówił Nikołajowi, a ja i ty jeszcze biegamy, nie zastanawiałeś się dlaczego? Dlatego, że moje i twoje życie nie ma określonego wyniku, i arbiter zarządził dla nas dogrywkę. I w czasie tej dogrywki mamy zrozumieć, po co tu jesteśmy, zdążyć skończyć wszystkie sprawy, wszystko naprawić i dopiero wtedy opanować piłkę i pobiec w stronę świetlistej bramki... Mistyk był z tego Sierowa. Homer nigdy go nie pytał, czy udało mu się strzelić gola. Ale do tego, że sam Kola powinien jeszcze poprawić własny wynik, Sierow go przekonał. I to od niego wzięła się u Homera pewność, że w metrze nie ma ludzi przypadkowych.

Ale nie da się napisać o wszystkich!

Czy jest sens dalej próbować?

I wtedy, pośród tysięcy nieznanomych twarzy, stary spostrzegł tę, którą najmniej

spodziewał się teraz zobaczyć.

Leonid zrzucił kurtkę, ściągnął sweter, a po nim również względnie białą koszulkę. Uniósł ją nad głowę jak flagę i zaczął machać, nie zwracając uwagi na pociski, które gęstymi seriami przesywały powietrze dookoła. I stała się dziwna rzecz: pancerna dreżyna zaczęła zwalniać, a mającący przed nimi posterunek wciąż nie otwierał do nich ognia.

- A teraz tata by mnie zabił! - oznajmił Saszy muzyk, kiedy z dzikim zgrzytem zahamowali przed samą blokadą.

- Co ty robisz? Co robimy? - nie mogła złapać tchu, nie mogła pojąć, jak przeżyli ten pościg.

- Poddajemy się! - zaśmiał się. - To wjazd na stację Biblioteka im. Lenina, posterunek graniczny Polis. A ty i ja jesteśmy zbiegami.

Strażnicy podbiegli do nich i ściągnęli ich z dreżyny, sprawdzili paszport Leonida i spojrzeli po sobie, po czym schowali przygotowane już kajdanki i zabrali dziewczynę i muzyka na stację. Zaprowadzili ich do stróżówki i wymieniając pełne respektu szepty, wyszli po dowódców.

Leonid, który rozsiadł się szeroko w wytartym fotelu, natychmiast się zerwał, wyjrzał za drzwi i machnął do Saszy ręką.

- Tu są nawet gorsze oferty, niż na naszej linii! - parsknął. - Nikt nas nie pilnuje!

Wyślizgnęli się z pokoju, z początku niespiesznie, a potem coraz szybciej zaczęli iść korytarzem, a wreszcie puścili się biegiem, wzięwszy za ręce, żeby tłum ich nie rozdzielił. Uszy wkrótce załaskotały ich od świdrujących policyjnych gwizdków, ale nie było nic prostszego niż zgubić się na tej ogromnej stacji. Było tu dziesiątki razy więcej ludzi, niż na Pawieleckiej. Nawet kiedy Sasza myślała o życiu przed wojną podczas spaceru po powierzchni, nie mogła wyobrazić sobie takich tłumów! I jasno było tu prawie tak, jak tam, na górze. Sasza ukryła twarz w dłoniach, patrząc na świat wokół przez wąziutką szczelinę między palcami.

Jej oczy co chwila zatrzymywały się na przedmiotach, twarzach, kolumnach - jednych bardziej zadziwiających od drugich, i gdyby nie Leonid, gdyby nie ich splecione palce, z pewnością przewróciłaby się i zabłądziła. Kiedyś koniecznie musi tu wrócić, przyrzekła sobie Sasza. Kiedyś, kiedy będzie miała więcej czasu.

- Sasza?!

Dziewczyna odwróciła się i napotkała spojrzenie Homera - przestraszonego,

rozzłoszczonego, zdziwionego.

Sasza uśmiechnęła się: okazało się, że zdążyła się za staruszką stęsknić.

- Co ty tu robisz? - nie mógł zadać głębszego pytania dwójce uciekających młodych ludzi.

- Idziemy na Dobrynińską! - odpowiedziała łapiąc oddech, zwolniwszy nieco kroku, żeby stary mógł za nimi nadążyć.

- Bzdury! Nie możesz... Zabraniam ci! - ale zakazy wydawane przez ciężko dyszącego staruszką nie mogły jej przekonać. Do posterunku na Borowickiej dotarli zanim jeszcze pogranicznicy zdążyli uprzedzić o ucieczce.

- Mam upoważnienie od Młynarza! Proszę natychmiast nas przepuścić! - sucho rozkazał Homer oficerowi dyżurnemu. Ten otworzył już usta, ale w końcu niewiele myśląc zsalutował staremu i zwolnił przejście.

- Skłamał pan? - uprzejmie zapytał Homera muzyk, kiedy posterunek został daleko za nimi i zginął w ciemnościach.

- Co za różnica? - burknął ze złością stary.

- Najważniejsze, to robić to z przekonaniem - ocenił Leonid. - Wtedy zauważą to tylko profesjonaliści.

- Do diabła z tymi naukami! - spochmurniał Homer, włączając rozładowującą się powoli latarkę. - Pójdziemy razem do Sierpuchowskiej, ale dalej was nie puszcze!

- Bo ty nie wiesz! - powiedziała Sasza. - Znalazło się lekarstwo na tę chorobę!

- Jak to... znalazło się? - stary zgubił krok, kaszlnął, dziwnie lękliwie popatrzył na Saszę.

- Tak! Radiacja!

- Bakterie stają się niegroźne pod działaniem promieniowania - przyszedł jej z pomocą muzyk.

- Przecież mikroby i wirusy są setki, tysiące razy bardziej odporne na promieniowanie od człowieka! A od napromieniowania spada odporność! - tracąc panowanie nad sobą, krzyknął stary. - Czegoś ty jej naopowiadał! Po co ją tam ciągniesz?! Czy ty chociaż rozumiesz, co tam się zaraz stanie! Ani ja, ani wy już tego nie powstrzymamy! Zabierz ją stąd, ukryj! A ty... - Homer obrócił się do Saszy - Jak mogłaś uwierzyć... Profesjonaliście! - wypluł z pogardą ostatnie słowo.

- Nie bój się o mnie - cicho powiedziała dziewczyna. - Wiem, że Huntera można powstrzymać. Ma dwie połowy... Widziałam obie. Jedna chce krwi, druga stara się ratować ludzi!

- O czym ty mówisz! - Homer klasnął w dłonie. - Tam nie ma już żadnego podziału, to

jest jedna całość. Potwór w ludzkiej skórze! Rok temu...

Lecz powtórzona przez starego rozmowa między wygolonym a Młynarzem zupełnie Saszy nie przekonała. Im dłużej słuchała Homera, tym bardziej upewniała się, że to ona ma rację.

- Po prostu ten w środku, który zabija ludzi, oszukuje tego drugiego. - Z trudem dobierała słowa, próbując wyjaśnić wszystko staremu. Mówi mu, że nie ma wyboru. Jednego dręczy głód, a drugiego tęsknota... Dlatego Hunter tak się wyrывa do Tulskiej - ciągną go tam obie połowy! Trzeba je przeciąć. Jeśli pojawi się przed nim wybór - możliwość ocalenia bez zabijania...

- Chryste... Przecież on nawet nie będzie cię słuchał! Co ciągnie tam ciebie?!

- Twoja książka - uśmiechnęła się do niego łagodnie Sasza. - Wiem, że wszystko można w niej jeszcze zmienić. Zakończenie jeszcze nie zostało napisane.

- Bzdura! Nonsens! - mamrotał Homer w rozpacz. - Po co ja ci o niej opowiedziałem... Młody człowieku, może chociaż pan - chwycił Leonida za rękę. - Bardzo pana proszę, wierzę, że pan nie jest złym człowiekiem i nie kłamał pan złośliwie. Niech pan ją zabierze. Tego pan chciał? Oboje jesteście tacy młodzi, piękni... Musicie żyć! Ona nie może tam iść, rozumie pan? I pan też nie. Tam zaraz... Tam za chwilę będzie straszne pobojuwisko. I pan ze swoim kłamstwem w niczym nie przeszkodzi...

- To nie kłamstwo - powiedział grzecznie muzyk. - Chce pan, żebym dał słowo honoru?

- Dobrze, dobrze - machnął ręką stary. - Ja nawet jestem gotów panu uwierzyć. Ale Hunter... Pan go widział tylko przelotnie?

- Za to dużo się nasłuchałem - mruknął Leonid.

- On przecież... Jak pan chce go powstrzymać? Fletem? Czy pan uważa, że on posłucha dziewczyny? W nim jest coś takiego... On już w ogóle niczego nie słyszy...

- Jeśli mam być szczery - muzyk nachylił się do starego - w duchu się z panem zgadzam. Ale dziewczyna prosi! A w końcu jestem dżentelmenem - mrugnął do Saszy.

- Czy wy nie możecie zrozumieć... To nie jest gra! - Homer spoglądał błagalnie to na dziewczynę, to na Leonida.

- Wiem o tym - twardo odparła Sasza.

- Wszystko jest grą - spokojnie powiedział muzyk.

Jeśli muzyk rzeczywiście był synem Moskwin, to z pewnością mógł wiedzieć o epidemii coś, o czym nie słyszał nawet Hunter... Nie słyszał, czy nie chciał mówić? Homer podejrzewał, że Leonid był szarlatanem, ale a nuż promieniowanie rzeczywiście było zdolne

pokonać gorączkę? Wbrew woli, wbrew zdrowemu rozsądkowi, stary zaczął zbierać dowody na to, że miał rację. Czy to nie o tym marzył przez wszystkie ostatnie dni? A więc kaszel, krwotoki z ust, duszności... To tylko symptomy choroby popromiennej? Dawka, którą otrzymał na Linii Kachowskiej z pewnością powinna była zniszczyć zarazę...

Ten grajek z piekła rodem wiedział, czym skusić starego!

Niech tak będzie. Ale co z Tuską, co z Hunterem? Sasza miała nadzieję, że uda jej się go przekonać. I chyba rzeczywiście miała nad brygadierem dziwną władzę. Lecz jeśli jednej z walczących w nim jaźni lejece, które chciała na niego zarzucić dziewczyna, zdawały się zrobione z jedwabiu, to drugą paliły niczym rozżarzone żelazo. Która z nich znajdzie się na wierzchu w decydującym momencie?

Tym razem Polianka nie miała ochoty niczego pokazywać: ani jemu, ani Saszy, ani Leonidowi. Stacja ukazała im się pusta, skostniała, od dawna pozbawiona życia. Mieli to uznać za dobry czy zły znak? Homer nie wiedział. Być może wiejący w tunelach przeciąg - cień wiatrów pędzących po powierzchni - po prostu zwił wszystkie otumaniające opary. Albo stary popełnił gdzieś błąd, i teraz nie było już przed nim przyszłości, o której Polianka mogłaby mu opowiedzieć?

- A co to znaczy „Smaragdowy”? - spytała nagle Sasza.

- Smaragd to taki przejrzysty kamień zielonego koloru - wyjaśnił z roztargnieniem Homer. - „Smaragdowy” to po prostu „zielony”.

- Zabawne - powiedziała w zamyśleniu dziewczyna. - To znaczy, że on jednak istnieje...

- Co ty mówisz? - drgnął muzyk.

- Nie, tak sobie... Wiesz - popatrzyła na Leonida - teraz też będę go szukać, tego twojego Grodu. I koniecznie muszę go kiedyś znaleźć.

Homer tylko pokręcił głową; nadal nie był przekonany, że skrucha muzyka, który okłamał Saszę i na próżno zwabił ją na Sportiwną, była szczerą.

A dziewczyna wciąż myślała o jakichś swoich sprawach, szeptała coś do siebie, parę razy westchnęła. Potem spojrzała badawczo na starego:

- Zapisaleś wszystko, co się ze mną działo?

- Ja... piszę.

- Dobrze - kiwnęła głową dziewczyna.

Na Sierpuchowskiej działo się coś złego.

Hanzeatyckie straże przy wejściu były dwukrotnie liczniejsze. Ponurzy, nierozmowni

żołnierze kategorycznie odmawiali przepuszczenia Homera i pozostałych. Ani naboje, którymi pobrzękiwał muzyk, ani jego dokumenty nie zrobiły na nich wrażenia. Sytuację uratował stary: zażądał, by połączono go z Andriejem Andriejewiczem. Długie pół godziny później przyszedł, rozplątując gruby przewód, zaspany łącznościowiec, i Homer oznajmił groźnie do przyniesionego telefonu, że ich troje to awangarda kohorty Zakonu... Ta półprawda wystarczyła, by przeprowadzili ich przez hol, tak duszny, jakby ze stacji wypompowano całe powietrze, i mimo nocnej pory, niepogrążony we śnie, aż do gabinetu naczelnika Dobrynińskiej.

Ten, spocony i rozczochrany, z zapadłymi oczyma i śmierdzącym alkoholem oddechem, sam przyjął ich na progu; ordynansa w przedpokoju nie było. Andriej Andriejewicz przyjrzał im się nerwowo, i nie widząc Huntera, wychrypiał:

- Długo jeszcze?!

- Niedługo... - obiecał mu z przekonaniem Homer.

- Sierpuchowska jest o krok od buntu - naczelnik zaczął chodzić po gabinecie ocierając twarz. - Ktoś chlapnął o epidemii. Nikt nie wie, czego ma się bać; krążą kłamstwa, że maski przeciwgazowe nie pomogą.

- To nie kłamstwa - wtrącił Leonid.

- Z posterunku w jednym z południowych tuneli, które prowadzą do Tulskiej, zdezerterowała cała obsada. Tchórzliwe dranie... W drugim, tam gdzie są sekciarze, na razie stoją... Ci fanatycy ich osaczyli, wyją o sądnym dniu... Niedługo będę tak miał i na mojej własnej stacji! I gdzie ci nasi wybawcy?!

Z holu dochodziły ich wymyślenia, czyjeś krzyki, przekleństwa strażników. Nie otrzymawszy w końcu odpowiedzi, Andriej Andriejewicz wcisnął się do swojej nory i słabo brzęknęła szyjka butelki uderzająca w kieliszek. A na biurku jego ordynansa, jakby ledwo mogąc się doczekać, aż naczelnik opuści pomieszczenie, zapaliło się czerwone oko telefonu. Tego samego co wtedy, z napisem „Tulska” na kawałku plastra.

Homer zawahał się przez moment, po czym podszedł do stołu, oblizał zaschłe wargi, wziął głęboki oddech...

- Dobrynińska, słucham!

- Co mam im powiedzieć? - Artem obejrzał się tępo na dowódcę.

Ten był nieprzytomny; oczy, mętne, jakby pokryte zasłoną, błędziły niespokojnie wciśnięte pod samo czoło. Co jakiś czas jego ciałem wstrząsał paskudny kaszel. Przebili płuco, pomyślał Artem.

- Żyjecie? - krzyknął do słuchawki. - Zarażeni uciekli!

Potem sobie przypomniał: przecież oni nie wiedzą, co się dzieje na Tulskiej. Przecież trzeba wszystko im opowiedzieć, wyjaśnić. Na peronie wrzeszczała kobieta i padały strzały z cekaemu. Dźwięki przeciskały się przez szczelinę pod drzwiami, nie było gdzie się przed nimi schować. Po tamtej stronie linii ktoś coś mu odpowiadał, o coś pytał, ale słabo było słyhać.

- Trzeba zamknąć im przejście! - powtarzał Artem. - Strzelajcie, żeby zabić. Nie dopuszczajcie ich do siebie!

Zrozumiał: oni przecież nie wiedzą, jak wyglądają chorzy. Jak ich opisać? Grubi, z pękającą skórą, śmierdzący? Ale przecież, ci którzy zarazili się niedawno, wyglądają jak zwykli ludzie.

- Strzelajcie do wszystkich, jak leci - powiedział mechanicznym głosem.

A jeśli sam spróbuje wydostać się ze stacji, wychodzi na to, że jego też zastrzelą, że sam wydał na siebie wyrok? Nie, jemu już nie uda się wydostać. Na stacji nie został nikt zdrowy... I Artem znów poczuł się straszliwie samotny. I przestraszył się, że człowiek, który słucha go tam, na Dobrynińskiej, nie będzie miał czasu, żeby z nim rozmawiać.

- Tylko nie odkładaj słuchawki! - poprosił.

Artem nie wiedział, o czym ma rozmawiać z nieznanym człowiekiem, i zaczął opowiadać mu o tym, jak długo próbował się dodzwonić, o tym, jak się bał i jak myślał, że w całym metrze nie została już ani jedna żywa stacja. A może - przyszło mu do głowy, i to też powiedział - dzwonił wtedy do przyszłości, w której nikt nie ocalał? Teraz nie trzeba się było obawiać, że wyjdzie na głupca. Teraz w ogóle nie trzeba już było się bać. Byłe z kimś porozmawiać.

- Popow! - wychrypiał zza jego pleców dowódca. - Połączyłeś się z północnym posterunkiem? Zapora... opuszczona?

Artem odwrócił się, pokręcił głową.

- Szczeniak - dowódca plunął krwią. - Do niczego... Słuchaj mnie. Stacja jest zaminowana. Znalazłem rury... Na górze. Odpływ dla wód gruntowych. Założyłem tam ładunki... Wysadzimy je i całą Tuską zaleje w cholerę. Detonatory mam tutaj, w kabinie. Trzeba zamknąć północną służbę... I sprawdzić, czy ta na południu się trzyma. Zapieczętować stację. Żeby woda nie popłynęła dalej. Zamknij ją, rozumiano? Powiesz mi, kiedy wszystko będzie gotowe... Łączność z posterunkiem jest?

- Tak jest - skinął głową Artem.

- Tylko sam nie zapomnij zostać po tej stronie zapory - dowódca rozciągnął usta w uśmiechu, zaniósł się kaszlem. - Byłoby nie po koleżeńsku...

- Ale jak pan... Pan tu zostanie?

- Nie pękaj, Popow - zmrużył oczy dowódca. - Każdy z nas się po coś urodził. Ja, żeby utopić tych sukinkotów. Ty, żeby zamknąć wszystkie luki i zdechnąć jak porządny człowiek. Zrozumiano?

- Tak jest - powtórzył Artem.

- Wykonać...

Słuchawka ucichła.

Kaprys telefonicznych bóstw sprawił, że akurat Homer świetnie słyszał wszystko, co mówił mu dyżurny z Tulskiej. Jednak ostatnich kilku zdań nie udało mu się rozszyfrować, a potem łączność w ogóle się urwała.

Stary podniósł wzrok. Wisiało nad nim cielsko Andrieja Andriejewicza; jego granatowy mundur pod pachami miał ciemne plamy, tłuste ręce trzęsły się.

- Co jest? - spytał zgaszonym głosem.

- Wszystko wymknęło się spod kontroli - Homer ciężko przełknął ślinę. - Niech pan przerzuci wszystkich wolnych ludzi na Sierpuchowską.

- Nie da się - Andriej Andriejewicz wyciągnął z kieszeni spodni makarowa. - Na stacji panuje panika. Wszystkich lojalnych ludzi rozstawiłem przy wejściach do tuneli na Okrężnej, żeby chociaż stamtąd nikt nie uciekł.

- Ich można uspokoić! - powiedział niezdecydowanie Homer. - Odkryliśmy... Gorączkę można wyleczyć. Promieniowaniem. Niech pan im powie...

- Promieniowanie?! - skrzywił się naczelnik. - Sam pan w to wierzy? Proszę, krzyżyk na drogę! - błazeńsko zasalutował staremu, zatrzęsł drzwi i zamknął się w swoim gabinecie.

Co robić? Teraz Homer, muzyk i Sasza już nie dadzą rady stąd uciec... Właśnie, gdzie oni są?! Stary wyszedł na korytarz, trzymając się za wałce jak młotem serce, pobiegł na stację wykrzykując jej imię... Nigdzie ich nie było. Na Dobrynińskiej panował chaos, kobiety z dziećmi, mężczyźni z tobołami oblegali coraz mniej liczny kordon, wśród powywracanych namiotów uwijali się szabrownicy, ale nikt już się nimi nie zajmował. Homerowi zdarzało się już coś takiego widzieć: zaraz zaczną deptać po tych, którzy się przewrócili, potem strzelać do bezbronnych.

I tu jęknął sam tunel.

Harmider i wrzaski ucichły, zastąpiły je pełne zdziwienia okrzyki. Niezwykły, potężny dźwięk powtórzył się... Jakby zagrzmiały trąby rzymskiego legionu, który zagubił się wśród

tysiąceci i wynurzał teraz na Dobrynińskiej...

Żołnierze zakrzętnęli się odsuwając blokady, i w gardzieli tunelu pokazało się coś ogromnego... Prawdziwy pociąg pancerny! Ciężki łeb kabiny, obity stalą, pokryty ściegami nitów, ze szczelinami otworów strzelniczych, z dwoma ciężkimi karabinami maszynowymi dużego kalibru, wąski tułów i druga rogata głowa, patrząca w drugą stronę. Takiego monstrum nie widział nigdy nawet Homer.

Na pancerzu, czarne jak wrony, siedziały pozbawione twarzy posągi. Nieodróżnialne jedna od drugiej w pełnych skafandrach ochronnych, kewlarowych kamizelkach kuloodpornych, w niespotykanych maskach przeciwgazowych i z plecakami, w ogóle nie należały ani do tego czasu, ani do tego świata.

Pociąg stanął. Zakuci w zbroje przybysze, nie zwracając uwagi na zgromadzonych gapiów, zeskoczyli na peron, ustawili się w trójszeregu. Potem, jednocześnie zmieniając szyk - jak jeden mąż, jak maszyna, równo zadudnili butami po posadzce i pomaszerowali do przejścia na Sierpuchowską, zagłuszając swoim tupotem pełne podziwu szepty i dziecięcy płacz. Stary pospieszył za nimi, próbując wśród dziesiątków żołnierzy odróżnić Huntera. Wszyscy byli prawie równego wzrostu, na wszystkich bezkształtne, nieprzeniknione kombinezony leżały jak ulał, naciągnięte na ich potężne bary. Wszyscy byli tak samo ciężko uzbrojeni - na plecach miotacze ognia, karabiny Wintoriez z tłumikami. Żadnych oznaczeń, żadnych godeł, nic wyróżniającego.

Czyba któryś z trójki, która szła na przedzie?

Stary obiegł kolumnę, zamachał ręką, zaglądając w szkła masek, napotykał jednakowo beznamienne, obojętne spojrzenia. Żaden z przybyszy się nie odzywał, żaden nie poznawał Homera. Lecz czy był wśród nich Hunter? Musiał, musiał się zjawić!

Idąc korytarzem, stary nie zauważył ani Saszy, ani Leonida. Czyżby rozsądek jednak wziął górę i muzyk zabrał dziewczynę, by nie kusić losu? Niech tylko przeczekają gdzieś tę krwawą łaźnię, a potem już Homer się dogada z Andriejem Andriejewiczem, jeśli tylko ten nie strzeli sobie tymczasem w łeb.

Przecinając tłum na dwoje, oddział niczym żelazny młot parł naprzód; nikt nie śmiał stanąć mu na drodze, i nawet pogranicznicy Hanzy rozstępowali się przed nimi w milczeniu. Homer postanowił iść w ślad za kolumną - trzeba było się upewnić, czy Sasza nie spróbuje czegoś przedsięwziąć. Nikt starego nie przeganiał, nie przyciągał więcej uwagi, niż szczekający kundelek biegnący za drezyną.

Zagłębiwszy się w tunel, trójka idąca na czele kolumny zapaliła latarki, jakby milionami świec wypalając przed sobą ciemność. Żaden z nich się nie odzywał, cisza była przytłaczająca,

nienaturalna. To było oczywiście wyuczone; ale starego nie opuszczało uczucie, że kształtując nawyki ciała, tłumiono u tych ludzi nawyki duszy. I teraz miał przed sobą istny mechanizm do uśmiercania, którego wszystkie części były bezwolne, i tylko jedna, z zewnątrz nie do odróżnienia od innych, wprowadzała program. I kiedy wyda komendę „ognia”, pozostali, nie zastanawiając się, wydadzą na pastwę płomieni i Tulską, i każdą inną stację, i wszystko, co na nich żyje.

Dzięki Bogu szli nie tym tunelem, w którym tkwił pociąg z sekciarzami. Nieszczęśnicy dostali niewielkie odroczenie przed sądem: najpierw rozprawią się z Tulską, i dopiero potem wezmą się za nich.

Posłuszna niezauważalnemu dla Homera sygnałowi, kolumna raptem zwolniła kroku. Chwilę później on również zrozumiał w czym rzecz: stacja była już bardzo blisko. W przejrzystą jak szkło ciszę niczym gwoździe skrobały czyjeś rozdzierające krzyki...

I jeszcze, absolutnie nie na miejscu, sprawiając, iż stary zaczął myśleć, że zwariował, na spotkanie przybyszom kropla po kropli sączyła się przedziwna muzyka.

Słuchawka zajęła całą uwagę starego; nie dostrzegał nic, oprócz urywanego głosu skrzeczącego w jej głośniku. I Sasza pomyślała, że lepszego momentu na ucieczkę już nie znajdzie.

Wyślizgnęła się bokiem z poczekalni, poczekała na zewnątrz na Leonida i pociągnęła go za sobą - najpierw do przejścia na Sierpuchowską, potem do tunelu, który zaprowadzi ją do tych, którzy jej potrzebowali. Do tych, którym mogła uratować życie.

I powinien ją też zetknąć z Hunterem.

- Nie boisz się? - zapytała Sasza muzyka.

- Boję się - uśmiechnął się. - Ale mam za to podejrzenie, że w końcu robię coś wartościowego.

- Przecież nie masz obowiązku ze mną iść... A jeśli umrzemy? Przecież można teraz zatrzymać się i zostać na stacji, nigdzie nie iść!

- Przyszłość człowieka jest przed nim ukryta - Leonid z mądrą miną wskazał palcem w górę, wydał policzki.

- Sam decydujesz, jaka ona będzie - nie zgodziła się Sasza.

- Daj spokój - uśmiechnął się muzyk. - My wszyscy jesteśmy po prostu szczurami, które biegają po labiryncie. W korytarzach są takie podnoszone drzwiczki. I ci, którzy nas badają, raz je podnoszą, a innym razem opuszczają. I jeśli drzwiczki na Sportiwnej są teraz opuszczone, to nie da rady, żebyś się tam dostała, choćbyś nie wiem ile w nie drapała. A jeśli

za następnymi drzwiczkami jest pułapka na myszy, to i tak w nią wpadniesz, nawet jeśli będziesz czuć, że coś tu nie gra, a to dlatego, że innej drogi nie ma. Cały twój wybór, to biec dalej albo zdechnąć na znak protestu.

- A nie jest ci przykro, że masz takie życie? - spochmurniała Sasza.

- Przykro mi, że budowa kręgosłupa nie pozwala mi zadrzeć głowy do góry i popatrzeć na tego, który przeprowadza eksperyment - odparł muzyk.

- Nie ma żadnego labiryntu - Sasza przygryzła wargę. - A szczury mogą się przegryźć nawet przez beton.

- Buntowniczką z ciebie - zaśmiał się Leonid. - A ze mnie konformistą.

- Nieprawda - potrząsnęła głową. - Wierzysz, że ludzi można zmienić.

- Tylko chciałbym w to wierzyć - zaprzeczył muzyk.

Minęli porzucony w pośpiechu posterunek: w niewygaszonym, jeszcze dymiącym ognisku żarzyły się głownie, obok wałało się zatłuszczone czasopismo ze zdjęciami nagich ludzi i smętnie zwisła ze ściany na wpół przedarta polowa chorągiew Hanzy.

Po kolejnych dziesięciu minutach natknęli się na pierwszego trupa. W nieboszczyku trudno było rozpoznać człowieka. Nogi i ręce, tak grube, że pękło na nich ubranie, miał rozłożone szeroko, jakby bardzo się zmęczył i chciał sobie poleżeć. Jego twarz była straszniejsza od pyska któregośkolwiek z potworów, które Sasza zdążyła zobaczyć w życiu.

- Ostrożnie! - Leonid złapał ją za rękę, nie dopuszczając do trupa. - On zaraża!

- Co za różnica? - spytała Sasza. - Przecież jest lekarstwo! Idziemy tam, gdzie wszyscy zarażają.

Przed nimi zagrzmiały wystrzały, dały się słyszeć dalekie krzyki.

- Jesteśmy w samą porę - zauważył muzyk. - Zdaje się, że nawet nie zaczęli na twojego przyjaciela...

Sasza popatrzyła na niego z przestachem, a potem z pasją i przekonaniem powiedziała:

- To nic, trzeba im po prostu powiedzieć! Oni myślą, że wszyscy są skazani na śmierć...

Trzeba po prostu dać im nadzieję!

Przy otwartej na oścież śluzie w ziemię patrzył jeszcze jeden zabity - tym razem człowiek. Obok niego rozpaczliwie charczała i trzeszczała żelazna skrzynka interkomu. Chyba ktoś próbował obudzić strażnika.

Przy samym końcu tunelu, kryjąc się za porozrzucanymi workami z piaskiem, leżało kilku ludzi. Wśród nich był, zdaje się, jeden żołnierz z cekaemem i kilku strzelców z automatami - ot i cała blokada.

A dalej, przed nimi, tam gdzie ciasne ściany tunelu rozwierały się szeroko, gdzie zaczynał się peron Tulskiej, kotłował się straszny tłum nacierający na broniącą się grupkę. Wśród oblegających byli wymieszani zarażeni i normalni, ludzie i zniekształcone przez chorobę potwory. Niektórzy mieli latarki, inni nie potrzebowali już światła.

Ci, którzy leżeli za workami, bronili tunelu. Ale kończyły im się naboje, wystrzały odzywały się coraz rzadziej, i rozzuchwalony tłum podchodził coraz bliżej i bliżej.

- Posiłki?! - odwrócił się do Saszy jeden z obrońców. - Chłopaki, dodzwonili się do Dobrynińskiej! Przysłali posiłki!

Wielogłowy potwór też się zaniepokoił, nacisnął mocniej...

- Ludzie! - krzyknęła Sasza. - Jest lekarstwo! Znaleźliśmy lekarstwo! Nie umrzecie! Poczekajcie! Proszę, poczekajcie!

Tłum pożarł jej słowa, beknął z niezadowoleniem i znów ruszył na obleganych. Strzelec smagnął ich ze złością serią z cekaemu, kilku ludzi jęknęło i padło na ziemię, inni odgryźli się seriami z automatów. Falująca masa niepowstrzymanie parła naprzód, gotowa zdeptać, rozerwać na strzępy tak obrońców, jak i Saszę i Leonida.

Ale coś się stało.

Z początku ukradkiem, potem coraz pewniej, potężniej, odezwał się flet. Nie mogło być nic głupszego, nic mniej pasującego do tej sytuacji. Broniący się żołnierze posłali muzykowi otumanione spojrzenia, tłum ryknął, zarechotał, znów zaczął napierać... Leonidowi było wszystko jedno. Grał, zapewne nie dla nich, a dla siebie, tę samą przedziwną melodię, która oczarowała Saszę, tę samą, która za każdym razem, jak lej, zasysała do siebie dziesiątki słuchaczy.

Być może właśnie dlatego, że nie dało się wymyślić gorszego sposobu, by powstrzymać bunt, uspokoić zarażonych, właśnie przez rozczulający idiotyzm tego, kto postanowił tak postąpić, a nie dzięki magii fletu, tłum nieco osłabił napór. A może muzykowi udało się jednak przypomnieć tym, którzy okrążali go gotując się do przełamania naporu... Przypomnieć o czymś...

Wystrzały zamilkły, i Leonid, nie opuszczając fletu, wystąpił naprzód... Jak gdyby była przed nim zwyczajna publiczność, która już za moment zacznie bić brawo i obsypie mu futerał nabojami.

Przez ułamek sekundy dziewczynie wydało się, że wśród słuchających widzi ojca - uspokojonego, uśmiechającego się. Oto, gdzie na nią czekał...

Sasza przypomniała sobie: Leonid mówił jej, że ta melodia potrafi koić ból. W żelaznych

wnętrznosciach zapory dał się słyszeć pomruk - nagle, przedwcześnie.

Desant sprawił się przed czasem? A więc sytuacja na Tulskiej nie była wcale tak skomplikowana! Może zdobywcy stacji dawno już ją porzucili, pozostawiając wrota zamknięte?

Oddział rozproszył się, żołnierze ukryli za występami tubingów, i tylko czterech zostało przy Denisie Michajłowiczu - przy samych wrotach, z bronią przygotowaną do strzału.

To wszystko. Zapora zaraz powoli odsunie się na bok, a za parę minut czterdziestu ciężkobrajnych sewastopolskich szturmowców wejdzie się na Tuską. Każdy możliwy opór zostanie złamany, i stacja zostanie zdobyta w mgnieniu oka.

Okazało się to o wiele prostsze niż myślał pułkownik.

Wydać rozkazu założenia masek przeciwgazowych Denis Michajłowicz już nie zdążył.

Kolumna marszowa rozlała się, pogrubiała - teraz w każdym szeregu stało sześciu ludzi, zajmując całą szerokość tunelu. Pierwszy szereg najeżył się lufami miotaczy ognia, drugi przygotował do strzału wintoriezy. Czarną ławą sunęli naprzód - niespiesznie, pewnie.

Homer, wyglądający zza szerokich pleców przybyszów, w białych strugach światła reflektorów ujrzał całą scenę naraz: i garstkę prowadzących obronę żołnierzy, i dwie szczupłe figurki - Saszę i Leonida - i otaczający ich bezlik koszmarnych stworzeń. I wszystko w Homerze zamarło.

Leonid grał. Cudownie, niewiarygodnie, jak natchniony, jak nigdy wcześniej. I horda szkaradnych stworów słuchała go chciwie, i leżący żołnierze podnosili się, żeby lepiej widzieć wykonawcę. A jego melodia przezroczystą ścianą rozdzielała walczących, nie pozwalając im rzucić się na siebie nawzajem w ostatnim śmiertelnym boju.

- Przygotuj broń! - powiedział nagle jeden z dziesiątków czarnych ludzi; który?!

Cały pierwszy szereg naraz opuścił się na jedno kolano, drugi podniósł karabiny snajperskie.

- Sasza! - zawołał Homer.

Dziewczyna gwałtownie się do niego odwróciła, zmrużyła oczy przed zbyt ostrym światłem, wyciągnęła przed siebie dłoń i poszła naprzeciw tryskającemu z latarek potokowi blasku, powoli, jakby pod huraganowy wiatr.

Tłum, oślepiiony światłem, wydał z siebie pomruk, zajęczał, skulił się...

Przybysze czekali.

Sasza podeszła do nich blisko.

- Gdzie jesteś? Muszę z tobą pomówić!

Nikt jej nie odpowiedział.

- Znaleźliśmy środek na tę chorobę! Można ją wyleczyć! Nie trzeba nikogo zabijać! Jest lekarstwo!

Falanga czarnych kamiennych posągów milczała.

- Proszę cię! Wiem, że tego nie chcesz... Próbujesz tylko ocalić ich... I siebie...

I tu nad tym szykiem bojowym, jakby nie wychodząc od nikogo oddzielnego, rozległ się głuchy głos:

- Odejdź. Nie chcę cię zabijać.

- Nie musisz nikogo zabijać! Jest lekarstwo! - powtórzyła rozpaczliwie Sasza, idąc między jednakowymi ludźmi w maskach, starając się znaleźć pośród nich tego jedyne.

- Lekarstwo nie istnieje.

- Promieniowanie! Promieniowanie pomaga!

- Nie wierzę.

- Proszę cię! - głos Saszy przeszedł w krzyk.

- Stacja musi być oczyszczona.

- Czy ty nie chcesz wszystkiego zmienić?! Dlaczego powtarzasz to, co już raz zrobiłeś?...

Wtedy, z czarnymi?! Dlaczego nie chcesz uzyskać przebaczenia?

Posągi więcej nie odpowiadały; tłum zaczął podchodzić bliżej.

- Sasza! - szepnął błagalnie Homer; ta nie słyszała.

- Niczego nie da się zmienić. Nie ma kogo prosić o wybaczenie - padły w końcu słowa. -

Podniosłem rękę na... Na... I zostałem ukarany.

- To wszystko jest w tobie! - Sasza nie ustępowała. - Możesz sam siebie uwolnić! Możesz udowodnić! Nie widzisz, że to jest lustro?! To odbicie tego, co zrobiłeś wtedy, rok temu! I teraz możesz postąpić inaczej... Posłuchać. Dać szansę... I samemu na nią zasłużyć!

- Muszę zniszczyć potwora - przemówił ochryple głos oddziału.

- Nie uda ci się! - krzyknęła Sasza. - Nikomu się nie uda! On jest też we mnie, śpi w każdym! Jest częścią ciała, częścią duszy... I kiedy się budzi... Nie da się go zabić, nie da się wyciąć! Można go tylko znów utulić... Uśpić...

Spomiędzy spotworniałych zarażonych wyslizgnął się umorusany żołnierz, precyzyjnie przeszedł przez znieruchomiałe szeregi czarnych, podbiegł do zapory, do metalowej skrzynki przekaźnika, złapał mikrofon, coś do niego krzyknął... Ale tu krótko mlasnął tłumik, i żołnierz padł. Wyczuwszy krew, tłum natychmiast ożył: nabrzmiął, wydał gniewny ryk.

Muzyk przyłożył do ust flet, zagrał, lecz magia się ulotniła; ktoś do niego strzelił, chłopak

wypuścił instrument, obiema rękami złapał się za brzuch...

Końcówki miotaczy ognia oblizwały płomienie. Falanga wystawiła kolejne lufy i zrobiła krok do przodu.

Sasza rzuciła się do Leonida, gotowa roztrzaskać się o tłum, który otoczył już rannego, nie chcąc oddawać go dziewczynie.

- Nie, nie! - nie mogła już powstrzymać krzyku.

Potem, sama przeciw setkom koszmarnych potworów, sama przeciw legionowi zabójców, sama przeciw całemu światu, powiedziała stanowczo:

- Chcę cudu!

Gruchnął daleki grzmot, sklepienia drgnęły, tłum najeżył się i odstąpił, przybysze też się cofnęli.

Po ziemi popłynęły cienkie strumyczki, z sufitu zaczęły padać pierwsze krople, coraz głośniejszemu zaszemrały ciemne strugi...

- Wyrwa! - zakrzyknął ktoś.

Ludzie w czerni pospiesznie wyszli ze stacji, wycofując się w stronę wrót, stary pobiegł za nimi, oglądając się na Saszę. Ta nie ruszała się z miejsca. Z dłońmi i twarzą wystawionymi do tryskającej na nią z góry wody, dziewczyna... śmiała się.

- To przecież deszcz! - wołała. - On wszystko potrafi! Będzie można zacząć wszystko od nowa!

Czarny oddział wyszedł za służę, i Homer z nim. Kilku przybyszów napało na wrota, starając się zamknąć Tulska, powstrzymać wodę. Zapora poddała się i ciężko ruszyła. Starego, który wyrwał się z powrotem, do pozostawionej na tonącej stacji Saszy, chwycili i odciągnęli do tyłu.

I dopiero wtedy jeden z czarnych rzucił się nagle ku zwięzającej się szczelinie, wyciągnął rękę, krzyknął do dziewczyny.

- Do mnie! Jesteś mi potrzebna!

Wody było już po pas; i nagle białowłosa głowa zanurzyła się i przepadła.

Czarny człowiek cofnął rękę, i wrota się zamknęły.

Wrota jednak się nie otworzyły. Tunelem wstrząsnęły konwulsje, z drugiej strony zapory w stalową płytę uderzyło i odbiło się echo wybuchu. Denis Michajłowicz przycisnął ucho do metalu, wsłuchał się... Otarł wilgoć z policzka, spojrzał ze zdziwieniem na mokry sufit.

- Wracamy! - rozkazał. - To już koniec.

Epilog

Homer westchnął i przewrócił stronę. Wolnego miejsca w zeszytce zostało już bardzo niewiele - ledwie parę kartek. Co zapisać, a co poświęcić? Wyciągnął dłonie do ogniska - by ogrzać zmarzłe palce, uspokoić je.

Stary sam poprosił, by wysłano go na południowy posterunek. Tu, twarzą do tuneli, pracowało mu się lepiej, niż w domu na Sewastopolskiej, pośród stert martwych gazet, choć Helena strzegła jego spokoju najlepiej jak mogła.

Brygadier siedział daleko od pozostałych strażników, na samej granicy światła i ciemności. Ciekawe, dlaczego wybrał właśnie Sewastopolską, pomyślał stary. Widocznie coś w tej stacji jednak było...

Hunter nie opowiedział w końcu staremu, kto ukazał mu się wtedy, na Poliance, ale Homer teraz wiedział: to, co zobaczył, nie było przepowiednią, a przestrogą.

Woda z zatopionej Tulskiej spłynęła po tygodniu; reszta została odessana ogromnymi pompami przywiezionymi z Linii Okrężnej. Homer na ochotnika wybrał się tam na pierwszy rekonesans.

Prawie trzy setki trupów. Zapominając o obrzydzeniu, zapominając o wszystkim, sam przetrząsał straszne ciała, szukał jej, szukał...

Potem długo jeszcze siedział w tym samym miejscu, gdzie widział Saszę po raz ostatni. Gdzie nie zdążył, nie zdecydował się pójść do niej - i ocalić, albo zginąć razem z nią. A przed nim ciągnął niekończący się sznur chorych i zdrowych - na Sewastopolską, do leczniczych tuneli Linii Kachowskiej. Muzyk nie skłamał: promieniowanie rzeczywiście zatrzymywało rozwój choroby.

A może on w ogóle nie kłamał? Może i istniał gdzieś prawdziwy Szmaragdowy Gród, trzeba było tylko znaleźć wrota... A może przychodził już kiedyś do nich, tylko wtedy nie zdążył jeszcze zasłużyć, by się przed nim otworzyły?

„A kiedy wody opadły...”, okazało się, że jest za późno.

Lecz to nie Szmaragdowy Gród był arką; prawdziwą arką było samo metro. Ostatnim schronieniem, w którym przed ciemnymi, burzliwymi wodami skrył się i Noe, i Sem, i Cham; i sprawiedliwy, i obojętny, i nikczemnik. Wszystkich istot po parze. Wszystkich, których rachunek nie był jeszcze wystawiony - lub opłacony.

Jest ich zbyt wielu i nie pomieszczą się w tej powieści. Wolnych kartek w zeszycie starego zostało tyle co nic. Jego książka to nie arka, a łódka z papieru - nie da rady wziąć wszystkich na pokład. Lecz Homerowi wydawało się, że prawie mu się udaje ostrożnymi kreskami nanieść na stronicę coś bardzo ważnego... Nie o ludziach, a o człowieku.

Pamięć o tych, którzy odeszli, nie ginie - myślał Homer. Cały nasz świat utkany jest z czynów i myśli innych ludzi, zupełnie tak, jak każdy z nas jest stworzony z niezliczonych kawałków mozaiki pochodzących od tysięcy przodków. Pozostawili po sobie ślad, zostawili dla potomków cząstkę duszy. Trzeba się tylko przyjrzeć.

I jego stateczek, powstały z papieru, z myśli i wspomnień, może płynąć po oceanie czasu nieskończenie długo, póki nie podniesie go ktoś inny, nie obejrzy i nie pojmie, że człowiek nigdy się nie zmienił, że nawet po śmierci świata on pozostał wierny sobie. I że niebiański ogień, który kiedyś w nim rozpalono, zadrzał na wietrze, ale nie zgasł.

Teraz jego własny wynik był już ustalony.

Homer zamknął oczy i przeniósł się na lśniącą stację skąpaną w jasnym świetle. Na peronie zebrały się tysiące ludzi w odświętnych ubraniach, należących do czasów, kiedy był jeszcze młody, kiedy nikt nawet nie pomyślał o tym, by nazywać go Homerem ani nawet Nikołajem Iwanowiczem, a teraz dołączali do nich współcześni, żyjący w metrze ludzie. Jedni nie dziwili drugich. Coś ich wszystkich łączyło...

Czekali na coś, i wszyscy niespokojnie wpatrywali się w ciemne sklepienia dalekiego tunelu. Teraz stary rozpoznawał te twarze. Była tu jego żona z dziećmi, i koledzy z pracy i z klasy, i sąsiedzi, dwóch najlepszych przyjaciół, i Ahmed, i ulubieni aktorzy filmowi. Byli tu wszyscy, których jeszcze pamiętał.

I oto tunel wypełnił się blaskiem, i na stację bezszelestnie wpłynął pociąg metra - z żywymi, jasnymi oknami, z wyczyszczonymi ścianami, nasmarowanymi kołami. Kabina maszynisty była pusta; w środku wisiał wyprasowany uniform i biała koszula.

To mój mundur, pomyślał stary. I moje miejsce.

Wszedł do kabiny i otworzył drzwi w wagonach. Dał sygnał. Tłum ruszył do środka, rozsiadając się na kanapach. Miejsca starczyło dla wszystkich; uspokojeni pasażerowie już się uśmiechali. Uśmiechał się też stary.

Homer wiedział: kiedy postawi w swojej książce ostatnią kropkę, ten skrzący się pociąg, pełen szczęśliwych ludzi, odjedzie z Sewastopolskiej prosto w wieczność

I nagle, wyrывая starego z czarodziejskiej wizji, całkiem blisko dał się słyszeć głuchy,

niehumaniczny jęk. Homer wzdygnął się, chwycił za automat...

Jęczał brygadier. Stary podniósł się, chciał podejść i zobaczyć, co z Hunterem, ale ten jęknął znów... Nieco wyżej... I jeszcze raz... teraz troszkę niżej...

Nie wierząc własnym uszom, Homer wsłuchał się i zrobiło mu się zimno.

Ochryple, nieumiejętnie, brygadier nucił melodię. Mylił się, cofał i uparcie powtarzał z poprawkami... Śpiewał cicho... jak kołysankę.

Była to melodia, której Leonid nigdy nie dał tytułu.

Homer nie znalazł w końcu na Tulskiej ciała Saszy.

Co jeszcze?



Tacy jak on zostają kosmonautami, a przynajmniej gośćmi talk show; takie dossier nierzadko mają bohaterowie książek i filmów. Dmitry Glukhovsky jednak sam pisze książki. Zaś widzowie kanału Russia Today jego oczami widzą Moskwę, Rosję i Władimira Putina.

Dmitry Glukhovsky przez 30 lat swojego życia zdążył odbyć czteroipółletnią edukację w Izraelu, mieszkać rok w Niemczech i trzy lata we Francji. W jego CV znajdziemy pracę w Radio Rosja, stacji radiowo-telewizyjnej Deutsche Welle, w kanałach Euronews i Russia Today na stanowisku korespondenta akredytowanego przy Kremlu. W jego życiorysie znalazła się też praca w charakterze reportera wojennego w Abchazji i Izraelu - w mieście Kiryat Szmona, na które przypadło 80 procent ataków Hezbollahu.

Do legendy przeszły podejrzenia kolegów z Euronews o to, że Dmitry jest szpiegiem, ponieważ „człowiek nie może mieć 23 lat, znać 5 języków i nie pracować dla wywiadu”.

Do planów Dmitrija należy przejechanie drezyną przez moskiewskie metro nocą w poszukiwaniu tajemnego podziemnego życia. Jego głowa aż pęka od pytań o to, jak będzie wyglądał świat po globalnej katastrofie, a w szczególności co stanie się z modelem zachowań społecznych po zdziesiątkowaniu rasy ludzkiej.

Dmitry Glukhovsky postarał się uzyskać odpowiedzi na te pytania, przeprowadzając apokaliptyczne eksperymenty na bohaterach swoich książek *Metro 2033* i *Metro 2034*.